



Kryminalna intryga utkana
gęsto niczym pajęczna sieć.
Wpadniesz w nią i nie pożałujesz.

ROBERT MAŁECKI

KRZYSZTOF BEŚKA
CIEŃ
NA PIASKU

LITERATURA Z POCISKIEM

KRZYSZTOF BEŚKA

CIEŃ NA PIASKU

POCISK
WYDAWNICTWO

Bywa, że wściekam się z byle powodu. W oczekiwaniu na zmianę świateł na skrzyżowaniu. Albo gdy autobus nie przyjeżdża na przystanek, choć według rozkładu powinny być już dwa. Klnę wtedy pod nosem, zgrzytam zębami, zaciskam pięści, choć przecież pomoc to może tyle, co nic. Nie, cierpliwość nie jest i nigdy nie była moją najmocniejszą stroną. I pewnie nie będzie.

Stoję przed drzwiami. Już dwa razy dotykałem przycisku dzwonka i dwa razy wyraźnie usłyszałem jego dźwięk, wysoki, chroboczący, co oznacza, że wszystko działa doskonale. Tylko że nikt mi nie otwiera.

– Co się dzieje, do kurwy nędzy? – pytam sam siebie.

Szybko ganię się za to w duchu. Wiem dobrze, że muszę trzymać nerwy na wodzy. Język też. Szczególnie teraz. Nie dam się wyprowadzić z równowagi, zniosę to z pokorą.

Stoję więc w bezruchu obiema stopami na słomiance, w którą chwilę wcześniej wytarłem dokładnie buty, choć na dworze nie pada deszcz. Stoję i wpatruję się w jasny prostokąt na drzwiach, na wysokości oczu, kilka centymetrów pod numerem mieszkania. Przy dwóch końcach prostokąta czernią się otwory po śrubkach, a może gwoździakach. Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy właściwie zdjęto tabliczkę z nazwiskiem i pierwszymi literami imion lokatorów. I czy zrobiłem to ja, gdy jeszcze tu mieszkałem, czy stało się to później, kiedy już...

Dobrze, jeszcze jedna próba. Jak to mówią, do trzech razy sztuka – postanawiam.

Wyciągam rękę w stronę przycisku, gdy do moich uszu dobiega dziwny dźwięk. Zza drzwi, to pewne. Coś jak pisk. Pisk psa. Albo dziecka.

– Dorota?

Naciskam klamkę. Drzwi ustępują. Pcham je lekko. Przez szparę między ich krawędzią a futryną nasłuchuję przez chwilę. Cisza.

– Jesteście tam? – rzucam niegłośno.

Brak odpowiedzi.

– To ja. Umawialiśmy się, że wpadnę...

Zakłopotany przestępuję z nogi na nogę, wreszcie wchodzę do środka. Wciągam przez nos dobrze znajomy zapach. I wtedy znów słyszę ten pisk, tym razem głośniejszy. Nie mam już wątpliwości, że dochodzi z kuchni.

Siedzą sztywno na taboretach przy stole. Obie mają usta zaklejone szeroką taśmą. Drżą, a po ich policzkach spływają łzy. Nad nimi stoi łysy mężczyzna w czarnej, skórzanej kurtce. Mierzy z pistoletu w skroń kobiety, ale patrzy na mnie.

– No i jest nasza zguba – rozlega się męski, nieco schrypnięty głos.

Oto drugi mężczyzna wychodzi zza załomu ściany. Jest bardzo podobny do tego, który trzyma broń, ale trochę starszy i niższy. Też ma na sobie skórę, choć ta wydaje się bardziej elegancka.

– Czego chcecie? – głos z trudem przechodzi mi przez ściśnięte gardło.

– Porozmawiać – odpowiada tamten.

– O czym?

– O tym, co się stało. Tylko nie próbuj żadnych sztuczek, ostrzegam z góry. Aleks jest nerwowy. – Mężczyzna spogląda na uzbrojonego kamrata.

– W porządku. – Unoszę ręce do góry. – Masz mnie, więc zostaw moją rodzinę. Porozmawiajmy.

– Tak lepiej. Aleks!

Człowiek trzymający broń posłusznie odrywa lufę od głowy Doroty.

– Zawsze warto rozmawiać – mówi starszy. – A mamy naprawdę wiele spraw do omówienia.

– Chodźmy do salonu. – Cofam się o krok i wskazuję ręką kierunek niczym wzorowy agent nieruchomości.

W chwili, gdy wróg robi krok do przodu, a ręka jego pomagiera, która trzyma pistolet, wiotczeje, mój wzrok pada na ścianę przedpokoju. Wisi na niej orientalny kindżał w pochwie wysadzonej kolorowymi paciorkami. To pamiątka z dalekiej podróży. Właściwie to nigdy za nim nie przepadałem. Aż do teraz...

Rozdział pierwszy

Twarz młodego księdza była rumiana, dobroduszną. Duże policzki, nad górną wargą biały meszek. Wielebny przypominałby pastuszka z obrazów dawnych mistrzów, gdyby nie jeden mały szczegół: okulary. Dodawały mu mądrości, powagi, a także lat. Przez takie szkła patrzył lekarza, który ma do przekazania złą diagnozę, ale da nadzieję. I adwokata, któremu nie udało się niczego ugrać dla klienta, ale ponoć sędzia ludzki człowiek.

– Czy zostawili jej okulary? – Maria bezwolnie poruszyła wargami słodkimi od nadmiaru szminki, bo tylko tak była w stanie skutecznie zamaskować spękania i rany. – Przecież ona zawsze nosiła okulary. Trudno ją było bez nich rozpoznać...

– Z prochu powstaniesz i w proch się obrócisz – wyrecytował ksiądz dziwnie wysokim, chłopięcym głosem, po czym sięgnął po kropidło i chlapnął w dół, a potem, z równie dużą siłą i zapalem, prosto w oczy stojących dookoła ludzi.

Dziurę w ziemi otaczał wianuszek złożony z kilkunastu osób, w większości starszych, ubranych ciepło, bo to już jesień, i w zwyczajową w takich chwilach czerń. Kolor ów różnił się jednak znacznie od koloru sutanny czy biretu księdza. Była to czerń poszarzała biedą, przykurzona zapomnieniem, wytarta troską. Ta ostatnia marszczyła też twarze ludzi, którzy przyszli pożegnać jedną z nich, wykrzywiała im usta, malowała się cieniem pod oczami, mnożyła i tak liczne zmarszczki.

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego...

Kilkoro z nich, wśród nich także Maria, która na tę chwilę przestała mieć koniec wstążki zdobiącej wiązanek kwiatów, uczyniło znak krzyża. Ktoś westchnął, inny głośno pociągnął nosem. Kapłan nabrał do płuc kolejną porcję zimnego październikowego powietrza.

– Panie Boże Wszchemogący, przyjmij do siebie ciało córki swojej, Antoniny... – zaintonował.

Po zgromadzonych przetoczył się szept. Znaczące chrząknięcie. Maria podniosła wzrok, dotąd wbity w czubki butów, do których nie wiadomo kiedy przylepiły się grudki błota.

Czy ktoś się odezwie?

– Heleny – powiedział jakiś starszy mężczyzna, po czym zakasłał i powtórzył głośniejszym głosem: – Zmarła „Helena” miała na imię, proszę księdza.

Wielebny skinął głową i uśmiechnął się przepaszająco. Pomyłka chyba go nie speszyła. W tym samym momencie jeden z żałobników, dotąd objający się gdzieś z tyłu, przedarł się przez ciżbę. Trzymał przed sobą krzyż z tabliczką, na

której widniały personalia i dwie daty. Kapłan-niezduga otrzymał więc aż dwie podpowiedzi.

– Dobry Boże, przyjmij do siebie ciało córki swojej, Heleny... – powtórzył nie mniej uroczyście, po czym zaintonował jakąś pieśń.

Grabarze zaczęli opuszczać trumnę. Tłumek zafalował. Jakaś kobieta zaczęła głośno płakać, być może dopiero teraz doszło do niej, co się dzieje. I że dzieje się naprawdę, choć wszyscy woleliby, żeby to był tylko koszmar senny.

– Ktoś musi za to odpowiedzieć! – zawołał dyszkantem starszy pan i choć stojąca obok pani, pewnie żona, zaczęła go zaraz uciszać, dorzucił jeszcze: – Płazem tego nie puścimy!

– Do czego jeszcze się posuną? – zawtórował mu z przeciwnej strony rozedrgany gniewem głos kobiety. – Kto z nas będzie następny?!

Odpowiedziały im równie groźne pomruki. Szybko jednak umilkły, zgaszone przez kogoś, kto apelował o powagę miejsca i szacunek dla zmarłej. Zastąpiły je coraz głośniejsze pochlipywania.

Tymczasem młody ksiądz zakończył śpiew i wycofał się pod wielką figurę anioła, zdobiącą sąsiedni grób, być może w obawie przed dalszymi reakcjami tłumu. Po chwili trumna spoczęła na dnie. Wciągane z powrotem pasy otarły się z sykiem o jej boki. Pierwsza garstka wilgotnej ziemi głucho stuknęła o drewniane wieko.

Maria bała się podejść do krawędzi, nie mówiąc już o tym, by spojrzeć w dół. Postanowiła, że poczeka, aż grabarze wykonają swoją pracę. Wtedy dopiero położy na kopczyku wiązankę. Takich osób jak ona było zresztą więcej. Kłosowscy z parteru albo pani Jadzia Nowak, która na co dzień rzadko opuszcza mieszkanie na trzecim piętrze, teraz jednak nie mogła postąpić inaczej. No i była przy niej córka, która wprawdzie co chwila spoglądała niecierpliwie na zegarek, ale trwała przy matce.

Wreszcie skończyli. Maria zbliżyła się do grobu i położyła na nim kwiaty, wyprostowała wstążkę ze stylizowanym napisem OSTATNIE POŻEGNANIE. Odwróciła się. I wtedy szare pnie cementarnych drzew zawirowały jej przed oczami, a wszystkie ludzkie twarze stopiły się w jedną, wykrzywioną grymasem. Potem mara zniknęła. Zastąpiła ją ciemność.

Starsza pani zachwiała się, zatrzepotała w powietrzu rękami. I już pogodziła się z tym, że upadnie, może po raz ostatni. Poczula nawet błogość i przyjemne ciepło. W tej samej sekundzie czyjaś ręka chwyciła ją w pól i pociągnęła ku górze, a do jej uszu dobiegł męski głos:

– Pomogę pani. Proszę spokojnie oddychać. Już dobrze...

* * *

Nie był zbyt wysoki, ale na ułomka też nie wyglądał. W końcu udało mu się

utrzymać ją w pionie, choć byle chuchrem nie była! Twarz miał nawet przystojną, choć coś w niej było niepokojącego i fascynującego zarazem. Usta się uśmiechały, podczas gdy oczy pozostawały poważne, jeśli nie smutne. Mężczyzna ten miał około czterdziestki, może kilka lat więcej, a może mniej. Trochę siwych włosów na skroniach, nieliczne zmarszczki.

Przydałoby mu się odwiedzić fryzjera – zauważyła w duchu Maria. I nową żyletkę kupić.

– Napije się pan herbaty – stwierdziła bardziej niż zapytała. – Mam świeże ciasto, szarlotkę. Sama piekłam. Lubi pan?

– Może powinna pani jeszcze trochę odpocząć? – powiedział, lekko uniósłszy się w fotelu.

– Już mi lepiej. Dużo lepiej.

– Na pewno?

– Na pewno.

– W takim razie poproszę – sapnął, by dodać: – Szarlotka to moje ulubione ciasto.

Uśmiechnęła się, po czym wstała z bliźniaczego fotela i podreptała do kuchni.

– Już podaję – rzuciła przez ramię.

Mężczyzna po raz kolejny rozejrzał się po wnętrzu. Największy pokój w mieszkaniu nie był zbyt przestronny, ale za to dość wysoki, jak na przedwojenną architekturę przystało. Jedną ze ścian zajmowała etażerka z kryształami i porcelaną. Na półeczce ustawiono ramki ze zdjęciami. Nie było wśród nich fotografii nowych, kolorowych.

Pod przeciwległą ścianą stała kanapa, która razem z fotelami, na których siedziała gospodyni i jej gość, tworzyła komplet. Wszystkie trzy meble okrywały grube narzuty w zielono-pomarańczowe pasy. Białe okrągłe stolice chroniła bardzo podobna do narzut serwetka. Ściany pokoju, oklejone pociemniałą tapetą w drobny wzorek, zdobiły reprodukcje obrazów. Połowa przedstawiała świętych.

Maria skłamała, mówiąc, że czuje się już dobrze. Odkąd wrócili z cmentarza do mieszkania, kręciło jej się w głowie, a serce kołatało niespokojnie. Zbierało jej się na wymioty.

Tak, mocna herbata na pewno mi pomoże – pomyślała.

– Nigdzie się pan nie spieszy? – zawołała z kuchni, zaraz jednak zrobiło jej się głupio: jeszcze gotów pomyśleć, że go wyprasza!

– Nie – odpowiedział szybko nieznajomy. – Robota może poczekać.

– Ma pan swoją firmę?

– Można tak powiedzieć.

Nie wyglądał na biznesmena. Raczej na nauczyciela, takiego swojaka w dzinsach, co z łatwością dogaduje się z młodzieżą. Uwagę zwracał tylko jego

zegarek na srebrnej bransolecie, dość duży, wystający nieco spod mankietu szarej bluzy z jakimiś angielskimi napisami.

– Tak, teraz to lepiej być na swoim – skwitowała.

Czajnik zaczął gwizdać. Maria zaparzyła herbatę i ukroiła dwa kawałki ciasta. Umieściła wszystko na jednej dużej tacy, uniosła ją, ale zaraz postawiła z powrotem na stole.

Nie dam rady.

Wtedy znów pojawił się on. Bez wołania. Jak dobry anioł.

– Pomogę pani. – Podniósł tacę.

Po chwili znów siedzieli w największym pokoju, pili, jedli i gawędzili miło, jakby znali się od dawna. Gdy jednak temat rozmowy zszedł na to, co wydarzyło się nieco ponad godzinę wcześniej, Maria spochmurniała.

– Szkoda pani Helenki, wielka szkoda – westchnęła, ocierając łzę. – Od początku mówiła, że tego nie wytrzyma. No i miała rację...

Mężczyzna z uwagą odstawił filiżankę na spodek.

– Czego nie wytrzyma? – zapytał.

– Pan nic nie wie? – Maria zmarszczyła brwi. – Myślałam, że...

– Przepraszam, to nie moja sprawa – bąknął, czerwieniąc się. – Pójdę już.

Podniósł się z miejsca, gospodyni jednak żywo zaprotestowała:

– Ależ niech pan siedzi! – zachnęła się. – Po prostu myślałam, że jest pan z rodziny pani Helenki. Dalszej, ale jednak z rodziny. I wie pan, co tu się działo. Co się nadal dzieje. Zresztą chyba każdy by zapytał, słysząc, co sąsiedzi wykrzykiwali na pogrzebie. Czułam się jak na demonstracji.

– Tak, nie brzmiało to zbyt przyjaźnie – ocenił nieznajomy. – Kogo właściwie mieli na myśli?

Starsza pani westchnęła. Spojrzała za okno. Właśnie zza jednej ciężkiej, jesiennej chmury na moment wychynęło słońce.

– Mieszkam tu od sześćdziesiątego piątego roku – zaczęła. – Wprowadzaliśmy się z rodzicami i starszym bratem. Lata mijały, nic się nie działo. Człowiek uczciwie płacił czynsz, za gaz, wodę i prąd. Nigdy nie mieliśmy żadnych zaległości. Ani wtedy, gdy byli jeszcze rodzice, ani potem, gdy zostałam tu sama. Mieć długi? To się nie mieściło w głowie!

Przerwała. Sięgnęła po widelczyk i ukroiła kawałek szarlotki, jednak nie włożyła go do ust.

– Kiedy upadła komuna – ciągnęła – zaczęło się mówić, że teraz będzie sprawiedliwie, po ludzku. Ja nie mówię, że wcześniej było źle. Zawsze mieliśmy posprzątane na klatce schodowej, podwórko zamiecione. Bo jak nie, to dozorca od razu miał nieprzyjemności. Zaczęto też mówić, że być może ktoś upomni się o nasz budynek. Przedwojenny właściciel, co to mu odebrali własność dekretem Bieruta. Wie pan, o co chodzi?

Skinął głową.

– No i znalazł się – prychnęła z pogardą. – Nie sam właściciel, bo przecież ten dawno już nie żyje, ale jakiś jego pociotek. Dokumenty miał, pieczętki były na swoim miejscu, więc wszystko było w porządku. Tylko on nie był. Czasami wystarczy raz spojrzeć na człowieka i już się wie, co to za egzemplarz. Starzy ludzie, proszę pana, potrafią takiego przejrzeć. Niech mi pan wierzy. Ale potrafią też dać się podejść jak dzieci. Starczyło kilka spotkań, by ich omotał. A jak omotać ludzi?

– Pewnie coś im obiecać.

– Otóż to! – Maria wycelowała wskazującym palcem w pierś swojego gościa. – Obiecać. I tak właśnie zrobił. Mieliśmy mieć wyremontowaną klatkę schodową, wymienioną windę, choć ta, jak pan widział, wciąż niczego sobie. Ten człowiek zapowiadał wymianę instalacji kanalizacyjnej i elektrycznej. Miało być jak w Bristolu! Tydzień po tym spotkaniu otrzymaliśmy pisma, w których nowy właściciel powiadał nam o podwyżce czynszu. Trzykrotnej! Pan sobie to wyobraża?

– Trzykrotnej?! – zapytał, jakby nie dosłyszał.

– Od razu było wiadomo, że nikt tyle nie zapłaci. Większość ludzi, którzy tu mieszkają, mają tylko emerytury. Całe życie uczciwie pracowali. Komuś pomagają dzieci czy wnuki, żeby jakoś wiązał koniec z końcem. Ale płacić trzy razy tyle? To rozbój w biały dzień!

Maria wstała z fotela i podreptała w kierunku etażerki stojącej przy ścianie równoległej do okna. Otworzyła jedną z szuflad, chwilę w niej grzebała. Wreszcie wyjęła teczkę w burym kolorze. Tak zaopatrzona, wróciła z sapką do stołu.

– Tu jest wszystko, proszę pana. – Położyła teczkę na blat. – Cała historia mojej mordęgi. Każdy z lokatorów ma w domu podobną, gdzie składa wszystkie pozwy, monity i odwołania. Pani Helenka też miała...

Rozległo się pojedyncze, głuche uderzenie w blachę. Nieznajomy spojrzął ponad ramieniem starszej pani na ścianę, na której wisiał zegar. Minęła pierwsza po południu.

– Pójdę już. – Dopił z filiżanki resztę herbaty. – Dziękuję za ciasto. Było naprawdę pyszne.

Wstał. Maria również, choć wydawało się, że jej myśli krążą zupełnie gdzie indziej.

– Ale to wszystko nic – dotknęła burego kartonu usianą płamkami dłonią – w porównaniu z tym, co stało się potem. Dotąd to były tylko słowa, argumenty. Cyfry oznaczające kwoty i numery paragrafów. Potem jednak, proszę pana, przyszli oni...

* * *

Wnętrze niewielkiego sklepiku wypełniała woń wyściółki, zwierzęcych odchodów i karmy. Drugim zmysłem szczególnie narażonym w tym miejscu był słuch. Głosy kilkudziesięciu zamkniętych w klatkach ptaków słyszało się na długo przed tym, jak naciśnięto się klamkę drzwi.

Właśnie ktoś to zrobił. Siedzący za ladą długowłose sprzedawca podniósł wzrok znad czytanej gazety. Jednym ruchem zdjął z uszu ogromne słuchawki. Nie wyglądał na najszcześniejszego, bo oto znów ktoś przerywał mu błogie lenistwo. Wyraz zniecierpliwienia szybko musiał jednak zastąpić uśmiech.

– Dzień dobry. – Uniósł się z miejsca; następnych kilka sekund miało zdecydować, czy na dobre się podniesie, czy klapnie z powrotem.

Do sklepu wszedł mężczyzna w spranej dżinsowej kurtce. Sprzedawca widział go tu po raz pierwszy. Miał pamięć do twarzy, a i pracował tu niedługo. W przyszłą środę miały minąć dwa miesiące. Wcześniej robił w sklepie z płytami, ale właściciel musiał zamknąć interes.

– Uszanowanie – odpowiedział po dłuższej chwili przybysz.

Nie wygląda ani na akwarystę, ani na człowieka, który lubi, gdy budzi go śpiew kanarka – pomyślał o nowym kliencie długowłose. Swoją drogą trzeba mieć nie w porządku pod sufitem, żeby sprawić sobie takiego zasańca, który budzi cię o piątej nad ranem i za nic ma, że to sobota czy niedziela.

Klient podszedł do jednej ze ścian i przez dłuższą chwilę przyglądał się klatkom, w których mieszkały chomiki, myszki, świnki morskie i szynszyle. Sprzedawca dyskretnie włączył pauzę w odtwarzaczu leżącym poza zasięgiem wzroku wchodzących do sklepu, czyli pod ladą.

– Może w czymś pomóc? – zapytał.

– Na razie się rozglądam – odrzekł tamten półgębkiem, po czym przeszedł na drugą stronę, gdzie piętrzyły się akwaria.

Tymczasem drzwi otworzyły się ponownie, tym razem na dłużej. Do sklepu weszła bowiem matka z dwójką dzieci. Dziewczynka wyglądała na jakieś dziesięć lat, chłopczyk – niższy od niej o głowę – mógł jeszcze chodzić do przedszkola. Malec od razu podbiegł do klatek z ptakami, wskazał palcem jedną z nich. Kobieta podeszła bliżej. Najpierw uśmiechnęła się, ale potem pokręciła głową. Niezrażony tym dzieciak próbował szukać zrozumienia u siostry, ta jednak nie odrywała wzroku od ekranu telefonu komórkowego.

– Może w czymś pomogę? – Ekspedient, który w międzyczasie wyszedł z za kontuaru, zbliżył się do rodziny; dopiero teraz można było zobaczyć, że mimo jesiennej aury ubrany był w krótkie spodnie.

– Szukamy papugi – oznajmiła kobieta.

– Chodzi pani o jakiś konkretny gatunek?

Kobieta bezradnie rozłożyła ręce.

– Papuga Krystyna – odpowiedział jej mały.

– Tak ma na imię, synku – sprostowała cierpliwie matka. – Nie zapytałeś kolegi, jakiego gatunku jest jego Krystyna. Wie pan – przeniosła spojrzenie na długowłosego – jak to jest z dziećmiakami...

– W sprzedaży mamy kadadu, gwarki, żako – zaczął wymieniać sprzedawca. – W przyszłym tygodniu mają przywieźć dwie pary nierozłączek i faliste.

A jeszcze kilka tygodni temu nie miał pojęcia, że coś takiego w ogóle istnieje – a teraz?! Może minął się z powołaniem i zamiast na filozofię na uniwersytecie powinien był iść na biologię lub coś podobnego?

Ale kobieta jeszcze bardziej się zakłopotowała. Było jasne, że przychodząc tutaj, chciała zrobić przyjemność synowi, który najpewniej zażyczył sobie mieć papugę taką jak jego kolega.

– Chyba jeszcze musimy się zastanowić – westchnęła, po czym złapała malca za rękę.

– Może polecę innego ptaka? – Długowłosey wskazał ruchem głowy na klatki z kanarkami, próbując ratować sytuację. – Wczoraj przywieźli.

– Ja chcę papużkę Krystynę! – wykrzyczał malec, a na jego policzkach pojawiły się łzy.

I aby pokazać, że nie żartuje, tupnął ze złością nogą. Był to obrazek, jakich wiele widzi się co dzień w centrach handlowych. Hałas spowodował, że uwięzione ptaki podniosły wrzask.

Kobieta przeprasząco spojrzała na sprzedawcę, po czym pchnęła syna w kierunku drzwi, które chwilę wcześniej otworzyła jej córka. Obyło się bez ataku hysterii, rzucania się na podłogę. Chwilę potem w sklepie zostali tylko sprzedawca i mężczyzna w dzinsowej kurtce. Długowłosey zdążył już o nim zapomnieć. Zateśknił za muzyką, która czekała pod sklepową ladą. Marzył o chwili, gdy zamknie tę cholerną budę.

Klient uśmiechnął się. Brakowało mu dwóch przednich zębów.

– Ma pan więcej tych klatek? – Wskazał na plastikowy pojemnik z uchwytem i drzwiczkami, służący do transportu małych zwierząt.

– Na zapleczu powinny być. Ile pan potrzebuje?

– A z pięć, sześć – rzekł szczerbaty z dziwną obojętnością. – Ile pan masz.

– A da pan radę wszystko zabrać?

– Spokojna głowa. Zaraz tu będzie mój kolega. To co? Idziem na zaplecze?

Sprzedawca zawahał się. Nie mógł przecież zostawić interesu bez dozoru. A może to jakaś podpucha, a ten facet chce go stąd wyciągnąć? Po chwili jednak obaj zniknęli na zapleczu sklepu.

* * *

Siedział na ławce jakieś pięćdziesiąt metrów od wejścia do pasażu handlowego i patrzył na kobietę z dwójką dzieci. Chłopiec, który był mniejszy,

płakał. Chyba, bo z tej odległości trudno było to ocenić. Dziewczynka coś mówiła matce.

Ulicą przejechał tramwaj. Gdy ponownie odsłonił widok, matki z dziećmi już nie było.

– Hej! – siedzący na ławce usłyszał krzyk, a po chwili gwizd.

To Patyk. Stał przed wejściem do pasażu. Trzymał w rękach jakąś skrzynkę. Przywoływał go ruchami głowy.

Wstał z ławki i obciągnął spodnie, których nogawki przykleiły się do skóry. Wciąż się pocił, co było dziwne, bo temperatura nie przekraczała dziesięciu stopni.

– Już idę, idę – mruknął w odpowiedzi na kolejny gwizd.

Przeczekał, aż przejadą dwa samochody, po czym przeskoczył jezdnię.

– Ruchy, Nowy! – fuknął gniewnie Patyk. – Nie płaci ci się za siedzenie.

– Dobrze już, dobrze. Jestem.

– Trzymaj. – Wcisnął mu do rąk pudło.

– Co to jest?

– Zobaczysz – wyjaśnił zdawkowo tamten, po czym na powrót zniknął za drzwiami.

Mężczyzna ostrożnie postawił pudło na ziemi. Znowu bolała go głowa. Zaczęło się, jak siedział u tej starej kobiety, która częstowała go szarlotką i herbatą. Pewnie łeb rozboleł go od tego, co mówiła. I nie mogła przestać! Poprosił o tabletkę, oczywiście zaraz mu ją podała.

– Chyba domyślam się, do czego te skrzynki – mruknął sam do siebie.

Pięć minut później siedzieli w starym dostawczym fiacie. Skrzynki do przewozu małych zwierząt – Patyk kupił cztery – nie zajmowały nawet dziesiątej części powierzchni.

– Co dobrego? – Szczerbaty spojrział z ukosa na siedzącego na miejscu pasażera mężczyznę, którego nazwał Nowym. – Nie wyglądasz za dobrze. Kac cię jebie?

– Boli mnie głowa.

– Zachlałeś wczoraj z Cześkiem?

– Nie. Skąd.

– Przede mną nie musisz udawać. Prokuratorem nie jestem. Ani proboszczem. A Czesiek nie lubi pić sam, wszyscy to wiedzą. I mało też nie może. To jak? Było coś wczoraj?

Nowy wzruszył ramionami. Na szczęście Patyk nie naciskał, bo musiał skupić się na drodze. Wyjechali już na dwupasmową arterię, do tego zbliżał się czas popołudniowych powrotów, więc było tłoczno. Zmierzali w stronę rogatek miasta. I co chwila musieli się zatrzymać.

– Kurwa ich mać! – zaklął kierowca, po raz kolejny naciskając na hamulec. – Jakby się sprzysięgli. Jedna droga tylko jest, żeby wyjechać z tego zasranego

miasta?!

Ostatnie pytanie wykrzyczał przez otwarte okienko w stronę mijających ich na sąsiednim pasie samochodów. Nikt mu nie odpowiedział. Nikt też najpewniej nie usłyszał jego słów.

– Sąsiedni pas zawsze jest szybszy. Stara zasada, co nie? – rzucił ni to do siebie, ni to do pasażera. – Nie wytrzymujesz, w końcu zmieniasz pas, bo kto lubi stać w korkach. I wtedy ten, który opuściłeś, jakoś cudownie przyspiesza...

Nowy znów nic nie odpowiedział. Patrzył nieruchomym wzrokiem w boczną szybę. Tymczasem Patyk najwyraźniej się nakręcał.

– Każdego dnia to samo. Rano w jedną stronę, wieczorem w drugą. Gdybym tak miał zapierdalać codziennie pięćdziesiąt kilometrów do roboty i z powrotem, to chyba bym se w łeb od razu strzelił. Ale jak chcą, proszę bardzo. Miasto im się nie podoba. Przyjechać, swoje gówno i smród zostawić, a po fajrancie do domciu. Na łono natury. Buraki zasrane!

Zamilkł wreszcie. W tym samym momencie nad jezdnią zapaliło się zielone światło. Ruszyli, tym razem powoli, niemal dostojnie. Skrzyżowanie, krytyczny punkt wylotówki z metropolii i przyczyna korka, było już przecież tylko złym wspomnieniem.

– Nawet nie tak źle. Piętnaście minut. – Kierowca spojrzał z zadowoleniem na zegarek. – Przed zmrokiem będziemy na miejscu. Nie lubię jeździć o szarówce, wiesz, Nowy? Czasem wolę poczekać, aż zrobi się zupełnie ciemno.

– Uhm.

– A, nie mówiłeś mi jeszcze, jak było na... zakopkach?

– Gdzie? – Mężczyzna oderwał wzrok od bocznej szyby fiata, za którą coraz szybciej przesuwały się drzewa i niskie budynki; kilka chwil wcześniej minęli tablicę z przekreśloną nazwą miasta.

– No, na pogrzebie – zarechotał Patyk, ukazując ubytki w uzębieniu. – Mówiłeś przecież, że się wybierasz.

– Zgadza się. Byłem.

Przez chwilę milczeli. Kierowca włączył lewy kierunkowskaz, zredukował bieg i wcisnął gaz, by wyprzedzić jakiegoś marudera. Gdy wrócił na swój pas, podjął wcześniejszy temat.

– I jak? Wszystko się udało? – dopytywał.

– Ksiądz się pomylił – przypomniał sobie Nowy.

– Pogrzeby pomylił?

– Nie. Imię zmarłej.

– Eee, to nic takiego! – Patyk oderwał prawą rękę od kierownicy i machnął nią lekceważąco. – Ty wiesz, ile taki ksiądz ma dziennie pogrzebów, ślubów czy chrzcin? I weź tu zapamiętaj wszystkie imiona. Mówią, że to nieroby. A to według mnie jeden z najtrudniejszych zawodów.

Nowy spojrział na niego zezem.

– Ważne, że mu się pogrzeb ze ślubem nie pomylił – ciągnął ze swadą kierowca. – Choć odwrotnie pewnie by było gorzej. Pomyśl, stoisz jako pan młody przed ołtarzem i nagle słyszysz: „spoczywaj w pokoju”. Choć jak tak na niektóre panny młode spojrzeć...

Fiat zwolnił, rozległ się dźwięk kierunkowskazu przypominający tykanie zegara. Skręcili w prawo. Kilka skrzynek przesunęło się po podłodze. Koła auta zachrzęściły na żwirze. Nowy usiłował dostrzec nazwę miejscowości na drogowskazie, jednak było już na to za późno.

– Jeszcze dwa kilometry i jesteśmy na miejscu – mruknął Patyk, odpowiadając, choć tylko po części, na niezadane pytanie.

Dziesięć minut później furgonetka wjechała na ogrodzony teren. Szczerbaty zaparkował przed drzwiami domu, którego spadzisty dach rysował się wyraźnie na tle łuny zachodu. Gdzieś blisko ujadał pies, czemu towarzyszyło podzwanianie łańcucha o drewnianą ścianę budy.

– Zostań – rzucił kierowca do pomocnika.

Wyskoczył z samochodu, postawił kołnierz i skierował kroki w stronę wejścia do budynku. Nie trzasnął drzwiami, a zawsze lubił huknąć, aż rdza się sypała. Tym razem jednak z jakiegoś powodu pozostawił je niedomknięte.

Nowy rozejrzał się dookoła, nerwowo poruszył się na siedzeniu. Nie podobało mu się to miejsce. Na szczęście ból głowy był nieco mniejszy.

Po raz trzeci był z Patykiem w trasie. Określenie było może przesadzone, ale polubił je, bo pachniało światem i przygodą. Za każdym razem przewozili jakieś pudła, większe lub mniejsze, za to ciężkie. Rolą Nowego było przenieść wszystkie do fiata, a potem wynieść. No i jak dotąd nie opuszczali miasta. Dziś stało się to po raz pierwszy. Za to Patyk był jakiś rozmowniejszy, skłonny do żartów, bo wcześniej prawie ze sobą nie rozmawiali.

Burek przestał ujadać. Pewnie reagował na ruch. Zacznie od nowa, gdy kierowca wróci albo na podwórko przyjedzie ktoś nowy z pola lub – jak oni – z miasta. Przez okienko z opuszczoną do połowy szybą do uszu siedzącego dobiegły inne odgłosy: jakaś muzyka, strzęp rozmowy. Gdzieś wyżej niósł się pomruk nabierającego wysokości samolotu. Jadąc tu, widzieli jeden lecący tak nisko nad ulicą, że można było dostrzec światła w okienkach.

– Dobrze, żeście przyjechali, bo już nie miałem ich czym karmić – od strony domostwa doszedł starczy głos.

– Im bardziej wygłodzone, tym lepsze – zaśmiał się Patyk.

– Też prawda.

Nowy nie dosłyszał nic więcej, bo pies znów zaczął szczekać. Wydawało się jednak, że robi to z mniejszym gniewem i zajadłością. Teraz widział przecież swojego pana. Pan trzymał go co prawda bez przerwy na uwięzi, kija nie żałował,

karmił marnie, ale pewnie i to nie było w stanie osłabić psiej miłości. Nowy poczuł z tym kundlem, którego nawet nie widział, dziwną solidarność.

– Zamknij wreszcie mordę! – krzyknął gospodarz na psa, ten zaś momentalnie zamilkł. – Macie skrzynki?

– W samochodzie – odpowiedział Patyk.

– No to chodźmy.

– Nowy, nie śpij! – Kierowca, który wcześniej oszczędził drzwiom fiata, teraz odbił sobie uderzeniem pięścią w blachę karoserii.

– Nie śpię.

– Przypomniałeś sobie coś? – Patyk mrugnął porozumiewawczo okiem do gospodarza.

Chwila ciszy.

– Nie – odpowiedział wreszcie pomocnik.

– To łap się za skrzynki i chodź.

Chwilę później szli w kierunku jednego z budynków gospodarczych. Nowy wyjrzał zza niesionych przed sobą pojemników. Cień gospodarza, tak jak przed paroma chwilami jego dom, rysował się na tle pomarańczowego nieba. Dziadek szedł przekrzywiony ku lewej stronie, utykał.

– Jeszcze rok, dwa, i sprzedam to wszystko w cholerę – wysapał.

– Nie szkoda? – chciał wiedzieć Patyk.

– Tylko patrzeć, jak tu miasto przyjdzie. Lepiej, żeby ktoś się jeszcze tą ciszą nacieszył.

– Może i tak.

– A ja tego nie oglądał – dokończył stary. – No, jesteśmy na miejscu. Daj no pan pierwszą skrzynkę.

Nowy postąpił krok do przodu, a Patyk zdjął pojemnik, który znajdował się na szczycie i podał go gospodarzowi, ten zaś zaraz zniknął za drzwiami. Wrócił po paru chwilach. Skrzynkę postawił na ziemi. Coś w niej było, coś skrobało o plastikowe ścianki.

– Rzeczywiście niespokojny – przyznał Patyk zmienionym głosem.

– Palucha pchać nie radzę, chyba że niepotrzebny. Ale ZUS za to nie zapłaci – zachichotał stary, zakasłał, po czym z nową skrzynką zniknął za drzwiami.

* * *

Maria skończyła układać pasjansa. Nie wyszedł jej, zresztą po raz drugi tego wieczora. A tak bardzo chciała się dowiedzieć, co ją czeka. Czy widać koniec udręki?

Gdy kilkanaście godzin temu znów o tym opowiadała człowiekowi, który pomógł jej na cmentarzu, a potem przywiózł do domu, niemal czuła, jak zrzuca z siebie ciężar. Po trochu, z każdą chwilą, z każdym wypowiedzianym zdaniem,

naprawdę była jakby lżejsza. Właściwie nawet nie wiedziała, jak on się nazywa. Pewnie już się tego nie dowie. A wystarczyło zapytać...

A może lepiej nie wiedzieć, nie wymieniać się numerami telefonów, których zresztą najprawdopodobniej nigdy się nie wykręci? – pomyślała ze smutkiem.

Nieznajomy, owszem, wysłuchał, bo tego nakazywała grzeczność albo ta siła, która kazała mu wyciągnąć rękę na cmentarzu, uchronić kobietę przed niechybnym upadkiem. Ale przecież nie zmieni świata!

No bo kogo tak naprawdę obchodziła ona i znajdujący się w tej samej sytuacji pozostali lokatorzy kamienicy, którą odzyskał potomek spadkobiercy? Odzyskał wraz z lokatorami, ale co za problem pozbyć się ich, szybko i skutecznie? Na początku kulturalnie, podwyżką czynszu, której nikt nie przewidywał w najczarniejszych snach. A gdy to nie przyniosło efektu, a przecież liczył się czas, przystąpić do bardziej zdecydowanych działań.

Gdy zalało mieszkanie Kazimierskich na pierwszym piętrze, mówiono o pechu. Ot, nie zakręcili kranu w łazience, przez co mieli kłopot i oni, i Kaczmarkowie z parteru. Kazimierski zarzekał się, że to nie jego wina, ale kto by tam staremu wierzył. W efekcie dwa mieszkania do remontu. Potem ktoś wybił kamieniami szyby w oknach pani Helenki. Mieszkała od ulicy, więc zrzucono winę na jakichś łobuzów, najpewniej pseudokibiców.

Jakiś czas później zaczął się remont klatki schodowej. Wzięto to za dobrą monetę, bo od lat aż się prosiło, by pomalować ściany i poręcze. Ciężko było przejść między rusztowaniami, żeby nie pobrudzić ubrania. W dodatku robotnicy byli wyjątkowo nieprzyjemni: jak nie przekrzykiwali się nawzajem, to słuchali głośno radia.

Mijały dni, tygodnie, a remont się nie kończył. Trudno zresztą, żeby się skończył, skoro malarze zaczęli znikać na całe godziny, zostawiwszy wszystko rozgrzebane. Drzwi wejściowe były wciąż otwarte, oficjalnie celem wywietrzenia szkodliwych oparów, ale przez to do środka zaczęły wchodzić różne męty. Raz nawet jeden, narkoman pewnie, wszedł do mieszkania i zarzygał podłogę w przedpokoju. Niestety, było to znów mieszkanie pani Helenki...

Bardzo to przeżyła. Od tamtej chwili bała się zostać w mieszkaniu sama. Maria często ją odwiedzała, na ile tylko pozwalało jej zdrowie. Kilka dni po incydencie z narkomanem nieznani sprawcy udusili dwa ukochane koty pani Helenki. Ścierwo podrzucili jej na wycieraczkę. Nawet nacisnąć dzwonek zdążyli! Oczywiście nikt niczego nie widział, nikt nie słyszał.

Panią Helenkę to dobiło. Gasła z dnia na dzień, aż w końcu odeszła...

– Kto z nas będzie następny?! – Maria powtórzyła to samo pytanie, które wykrzyczała podczas pogrzebu jedna z sąsiadek.

Rozległo się siedem uderzeń w blachę. W ten sposób stary zegar ogłosił kolejną godzinę. Wiedziała, że dźwięk nie jest już taki jak kiedyś. Drażnił gości,

których, rzadko bo rzadko, ale przyjmowała. Coś się zepsuło w mechanizmie, coś przesunęło, zużyło, w końcu to już tyle lat. Planowała oddać zegar do naprawy, ale nigdy nie miała na to czasu.

– Czas iść spać – powiedziała sama do siebie, jak miała w zwyczaju.

Wstała od stolika. I wtedy znów zawirowało jej w głowie. Etażerka z kryształami, porcelaną, ramki ze zdjęciami, kanapa i fotele, okno, drzwi i obrazy świętych – wszystko przeleciało jej przed oczami, jakby siedziała na karuzeli.

Klapnęła z powrotem na fotel, oddychała ciężko.

– Co się dzieje... – Dotknęła dłonią czoła, które jednak wcale nie było gorące.

To się zaraz stanie. Najpierw pani Helena, teraz ja. Nie mam kota ani psa. Będę następna... – pomyślała z przerażeniem.

W tej samej chwili coś stuknęło za drzwiami wejściowymi.

* * *

Czesiek zamknął lodówkę, wsunął butelkę pod pachę. Chłód szkła spowodował, że zadygotał krótko. Następnie wyjął kieliszki z kuchennej szafki i tak wyekwipowany skierował kroki w stronę pokoju, skąd dobiegał podniesiony głos sprawozdawcy sportowego.

– I co? Strzelili? – zapytał rozwalonego na kanapie Patyka.

– Usłyszałbyś chyba – odparł młody mężczyzna z ubytkami w uzębieniu.

– A gdyby oni strzelili, też byś się cieszył i skakał? – Czesiek spojrzał kosym wzrokiem na towarzysza, którego zaprosił do swojej kawalerki na oglądanie meczu reprezentacji.

– Pewnie, że nie – zachnął się Patyk. – Za kogo mnie masz?

Czesiek nie odpowiedział. Był to mężczyzna w średnim wieku, o rzadkich, niemal całkowicie już siwych włosach, dość drobnej budowie ciała, lekko przekrzywiony w krzyżu. Nosił okulary w grubej oprawie, zlepionej plastrem w miejscu, gdzie łączyły się otwory, w których umieszczono szkła nie pierwszej czystości.

Z uwagą postawił na stoliku kieliszki, po czym uderzył łokciem w denko półlitrowki. Otworzył ją, rozlał kolejkę.

– Za zwycięstwo!

Wypili. Patyk nabił na widelec ćwiartkę kiszzonego ogórka, leżącego na talerzyku z wyszczerbionym brzegiem, podczas gdy jego kompan znów napełniał szkło. Zasalutowali po raz drugi, jednak gość na dłuższą chwilę zastygł z kieliszeczkiem w dłoni.

– Coś jest nie tak z twoim telewizorem – powiedział.

– Niby co? – Czesiek nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego.

– Coś jest nie tak z głosem. Jakby nie korelował z wizją.

Gospodarz potwierdził skinieniem głowy. Wolał przez chwilę nie otwierać gęby, bo gdyby to zrobił, zapytałby tego młokosa, przy którym to, kurwa, śmietniku nauczył się takich mądrych słówek. Ko... kolerował. Dobre sobie.

– Telewizor ściszyłem do zera – wyjaśnił wreszcie z dumą. – A to, co słyszysz w głośnikach, to relacja w radiu. Bardzo mi to odpowiada. Spróbuj kiedyś u siebie.

Patyk zrobił mądrą minę. Wypili na drugą nóżkę. Żadna z drużyn wciąż nie strzeliła bramki, choć od pierwszego gwizdka sędziego minęło już dwadzieścia minut.

– Zawieźliście wszystko na miejsce? – zapytał w pewnej chwili Czesiek.

– Tak. Już ci mówiłem – odrzekł bez zniecierpliwienia Patyk.

– Widać zapomniałem. Dużo dziadyga wziął?

– Tyle co zawsze.

– Czyli dużo.

– Sami byśmy sobie nie poradzili. Wiesz o tym.

– To prawda.

Gospodarz rozlał pozostałą w butelce wódkę do kieliszków. Wyszło prawie po równo, ręka nawet mu nie zadrżała.

– A Nowy nie chciał wpaść? – zapytał, odstawivszy flaszkę.

– Nie – odpowiedział Patyk. – Chyba miał niezłego kaca. Myślałem, że to po wieczorze u ciebie, ale się nie przyznał.

– Nie było go tu wczoraj, chociaż zapraszałem. W ogóle jakiś dziwny jest, nie?

– Dziwny. Lepiej nie zapraszać. Mieszkasz na jedenastym piętrze. Jeszcze popije, wyjdzie na balkon, a wtedy jakiś głos w głowie powie mu, że jest ptakiem.

– To możliwe. Ale nieraz widziałem, że się ludziom po wódce głowa otwierała. Przypominali sobie różne rzeczy.

– Na przykład, że pożyczyci od ciebie kiedyś pieniądze?

Zarechotali.

– A ty co byś zrobił, gdybyś stracił pamięć? – zapytał z powagą Patyk. – Gdzieś jest dom, ale chuj wie, gdzie. Żona czeka, się martwi...

– Może dałbym ogłoszenie do gazety. Albo zgłosił się do telewizji...

– Tam pełno takich. Przy okazji pięknie tańczą i śpiewają.

– A ty co byś zrobił?

– Pewnie stałbym przed lustrem i starał się zapamiętać swoją gębę. A potem szukał kogoś podobnego na ulicy.

Stuknęli się szklankami.

– Taa, dziwny trochę ten Nowy – mruknął Czesiek, opróżniwszy swoją.

– Ale nie pedał?

– Cholera go wie. Jak nie pamięta, jak się nazywa, to pewnie nie pamięta też,

czy lubi babki, czy facetów. Pokaż się przy nim na golasa, a jak mu stanie, to będziesz wiedział.

– Sam się, kurwa, pokaż.

Wkrótce będzie tydzień, odkąd znalazł się wśród nich. Znalazł się – tak, to było właściwe słowo. Leżał w parku, nieprzytomny, zakrwawiony. Zmrok już zapadł i pewnie by tak chłopina leżał, może nawet wyleżał się na amen, gdyby nie Czesiek właśnie. Wracali z roboty z Arkiem, szefem. On pierwszy go zauważył, kazał zatrzymać samochód.

Wysiedli, podszli bliżej. Myśleli, że pijany. Ale nic nie było czuć, no i ta krew. Czesiek się trochę wahał. Nie chciał, żeby tamten mu juchą zaświnił tapicerkę. Ale Arek był zdecydowany. Człowieka na pastwę losu nie zostawi, nie ma mowy. Na szczęście Czesiek miał w bagażniku jakieś stare worki, którymi wyściełali tylną kanapę samochodu. Położyli tam tego człowieka. Przebudził się nawet na chwilę, kiedy go nieśli, coś mamrotał, ale ciężko było zrozumieć.

Do szpitala nie chcieli jechać. Nie mieli zaufania do takich instytucji. Pojechali do zaprzyjaźnionego lekarza, który mimo późnej pory opatrzył nieznanego i zbadał. Potwierdził ich domysły, że było to pobicie. Napastników pewnie ktoś wystraszył, a może chcieli dać temu człowiekowi tylko nauczkę, bo rany nie były poważne.

Kiedy lekarz wyszedł na chwilę z pomieszczenia, żeby umyć ręce, Arek kazał Cześkowi przetrząsnąć tamtemu kieszenie. Nie znalazł ani żadnego dokumentu tożsamości, ani portfela z pieniędzmi czy kartami kredytowymi. Uwagę zwracał zegarek, który ten człowiek nosił. Po pierwsze w żaden sposób nie można go było zdjąć (Czesiek próbował dwa razy, wykorzystując chwile, gdy szef nie patrzył). A po drugie, mimo że na ciekłokrystalicznym wyświetlaczu migaly jakieś cyfry, nie wskazywał godziny. Prawdopodobnie przypadkowo włączył się stoper...

W przedniej lewej kieszonce spodni rannego Czesiek natknął się na złożoną na czworo kartkę. Wypisano na niej dziewięć cyfr, prawdopodobnie numer telefonu. Arek schował ją starannie do portfela.

Przewieźli tego człowieka do domu Arka, położyli w garażu, na stojącej w kącie starej sofie. Szef powiedział Cześkowi, żeby nikomu pary z gęby nie puszczał o znalezisku. Gdy więc następnego dnia podczas spotkania w domu szefa przysiadł się do stołu, oblepiony plastrami i napuchnięty, Czesiek udał, że widzi go, jak inni, po raz pierwszy w życiu.

Arek przedstawił tamtego jako nowego współpracownika. Nie wymienił żadnego imienia ani nazwiska, więc mówili na niego po prostu „Nowy”. Zaczął chodzić z nimi na robotę, odzywał się mało, wykonywał skrupulatnie wszystkie polecenia. Nawet najgorszą robotę.

Prywatnie rozmawiali tyle, o ile. Gdy go o coś pytali, zasłaniał się niepamięcią. Myśleli, że pewnie nie pamięta, bo nie chce. Sami często to mieli,

choćby wtedy, gdy rozmawiał z nimi dzielnicowy. Tylko Czesiek wiedział, że ta przykra przypadłość mogła być spowodowana pobiciem. Ale nikomu o tym nie powiedział. Raz, gdy znalazł się z Nowym sam na sam, próbował go podpytać. Wiedział przecież więcej od innych. Nowy nie pamiętał jednak parku, gdzie go znaleźli, ani tego, co się tam wydarzyło. Tak przynajmniej twierdził.

– Tak, dziwny jakiś – mruknął Czesiek, po czym wstał od stołu.

– Ale skuteczny, nie zaprzeczysz – wtrącił Patyk.

– To prawda.

Czesiek pozbierał szkło ze stolika i skierował kroki w stronę kuchni.

– Przyniesiesz jeszcze butelkę? – dobiegł go głos gościa.

– Przecież wiesz, że mamy dziś robotę – odpowiedział z przyganą.

– Wiem, wiem. Tak tylko zapytałem.

W tej samej chwili rozległ się krzyk z głośników. Nasi strzelili pierwszego gola.

* * *

– A, to pan? Przestraszyłam się...

Mężczyzna wyglądał na zakłopotanego.

– Przepraszam. Nie miałem takiego zamiaru – rzekł cicho.

– Niech pan wejdzie, proszę! – Maria szerzej otworzyła drzwi.

– Trochę późno – próbował się jeszcze krygować, jednak przekroczył próg mieszkania. – Chciałem tylko sprawdzić, czy wszystko u pani w porządku. Zadzwońiłbym, ale nie znam numeru.

Zamknęła drzwi, przekręciła kółko patentowego zamka. Dopiero po tym odpowiedziała:

– Prawie już nie używam stacjonarnego telefonu. Kiedyś to był luksus, dziś tylko kłopot. Bez przerwy dzwonią z jakimiś ofertami, reklamami. A ja sama nie mam już do kogo...

Weszli do salonu. Gość jednym spojrzeniem ogarnął pomieszczenie. Nic się nie zmieniło od chwili, gdy wyszedł stąd kilka godzin temu. Tylko na stole leżały karty.

– Napije się pan czegoś? – zapytała Maria.

– Naprawdę nie chciałbym przeszkadzać...

– To żaden kłopot. I wcale nie jest jeszcze tak późno. Kiedyś dopiero o tej porze zaczynało się życie towarzyskie. To czego się pan napije? Kawy, herbaty? A może czegoś mocniejszego? Mam dobry koniaczek.

– Wystarczy herbata.

Usiadł w tym samym miejscu, w którym siedział wcześniej. Przyjrzał się rozłożonym kartom.

– A wie pan, że czuję się już dobrze – zawołała z kuchni Maria. – Tam na

cmentarzu to była tylko chwilowa niedyspozycja. Tyle emocji.

Ledwo skończyła mówić, rozdzwonił się telefon. Sygnał był równie drażniący, jak bicie ściennego zegara. Aparat ustawiony był na małym stoliczku, tuż przy drzwiach salonu.

– Na pewno znów jakaś reklama – powiedziała Maria, wycierając dłonie w ściereczkę. – Halo? Tak?

Przez chwilę nasłuchiwała w skupieniu, marszcząc brwi, by za chwilę wysoko je unieść.

– Nie... nie rozumiem – powiedziała.

Chwilę trwała ze słuchawką przy uchu, po czym nagle odrzuciła ją, jakby ta zaczęła parzyć. Zbladła, zachwiała się, chwyciła futryny. Widząc to, mężczyzna zerwał się z fotela, chwycił starszą panią pod ramię dokładnie tak samo, jak nad grobem jej sąsiadki.

– Znów się zaczyna, Boże – jęknęła.

– To oni?

Skinęła głową. Może jeszcze parę dni temu powtórzyłaby niemal słowo w słowo, co usłyszała w słuchawce telefonu. Oczywiście tylko to, co nadawało się do powtórzenia publicznie. Ale dzisiaj nie miała na to siły. I wcale nie czuła się lepiej, nie ma co okłamywać siebie i innych.

– Znów pani grozili? – chciał wiedzieć.

Potwierdziła niemo.

– Może powinniśmy zadzwonić na policję? Namierzyliby numer.

Tym razem zdecydowanie pokręciła głową.

– Obawiam się, że to na nic – powiedziała szeptem. – Oni mają znajomości nawet w policji. Mówiłam panu, są zdolni do wszystkiego...

Pomógł jej dojść do kanapy. Usiadła, odchyliła głowę na oparcie. Oczy miała przymknięte. On tymczasem zwilżył zimną wodą ściereczkę, złożył ją na pół i powstały w ten sposób kompres przyłożył starszej pani do czoła.

Tyle mógł zrobić. Nie siadał już, jakby za chwilę miał zamiar opuścić pokój i mieszkanie. Maria chyba to wyczuła. Otworzyła oczy i zdjęła kompres z czoła.

– Wiem, że proszę o wiele, ale... – przerwała, zamachała niezdarnie rękami, jakby chciała odpędzić namolną muchę. – Przepraszam, ma pan swoje życie, obowiązki, rodzinę. Pewnie na pana czekają, denerwują się. Kogo obchodzi jakaś stara...

– Boi się pani, że ktoś może tu przyjść? – zapytał.

– Tak.

– I chce pani, żebym został?

* * *

Schody są strome, zakręcają w prawo. Intensywnie pachną mokrym

drewnem. Prawdopodobnie ktoś je niedawno umył ryżową szczotką, może nawet zrobił to na klęczkach, wykonując robotę ponad siły. Dlatego zastanawiam się, czy iść dalej. Zatrzymuję się, przyciskam dłoń do powierzchni poręczy. Jest zimna.

W tej samej chwili z góry dobiega głos. Głos jest wibrujący, wysoki. Przede wszystkim jednak znajomy.

– Czy to ty?

– Tak, to ja – odpowiadam.

– To chodź już, chodź. Czekam na ciebie od godziny.

Idę. Czuję się usprawiedliwiony. Staram się stąpać po dwa stopnie naraz, omijać mokre plamy. Nie jest to dla mnie kłopot, nie wymaga specjalnego wysiłku. Tylko poręcz, której wciąż się trzymam, lekko się chybcze.

Docieram na miejsce. Drzwi są uchylone, zapraszają do wejścia. Szparę wypełnia słoneczny blask, dzieli na pół leżącą przed progiem słomiankę w kolorze jakiegoś leśnego, martwego zwierzęcia; wspinam się bezszelestnie po schodach na kolejne piętro, a może już – pokonałem ich przecież sporo – strych.

– Wchodź, śmiało. I drzwi szybko zamykaj, skarbie. Szkoda ciepła! – woła ten sam głos, tym razem przy akompaniamencie postukiwania garnków, sztućców i talerzy.

Starannie wycieram buty na słomiance (co to może być za zwierzę?), zamykam za sobą drzwi. Od razu ogarnia mnie zapach gotowanych warzyw zmieszany z wonią pasty do podłóg, ciętych kwiatów i dermy, którą obito od środka drzwi wejściowe. Przede wszystkim jednak słodkomdłąca, niepodobna chyba do niczego innego woń starości.

Wciąż stoję w przedpokoju. Jest wąski i ciasny. Gdybym wyciągnął w bok ramiona, z łatwością dotknąłbym równoległych ścian. I dość ciemny, mimo że ściany obito jasną sosnową boazerią, sięgającą od podłogi aż po sufit. Zastanawiam się, czy zzuć buty. Druga myśl dotyczy czystości skarpetek, które mam na sobie.

Wtedy symfonia kuchenna nieoczekiwanie się kończy. Dzięki temu słyszę teraz wyraźnie męski, dudniący głos. Prawdopodobnie dochodzi on z telewizora.

– Idź do pokoju, kochanie – słyszę wołanie z kuchni. – Zaraz do ciebie przyjdę.

Nieśmiało robię pierwszy krok. Drewniana podłoga skrzypi pod stopami. Bosymi, bo jednak zdjąłem buty. Docieram do największego pokoju, jednego z dwóch w mieszkaniu. Ku mojemu zdziwieniu, w pomieszczeniu ktoś jest. Na sofie pod oknem siedzi starsza, drobna pani. Nie znam jej.

– Dzień dobry – mówię grzecznie, bo tak mnie nauczono.

– Siadaj, chłopcze – odzywa się głosem bardzo podobnym do tego, który wołał do mnie z kuchni, po czym wskazuje mi miejsce obok siebie. – Dzień dobry.

Robię krok, by uczynić zadość tej prośbie. W tym samym momencie słyszę za plecami:

– No, wreszcie przyszedłeś, smyku. Chyba zapomniałeś o mnie.

Oglądam się przez ramię. Stoi na progu pokoju i wyciera dłonie w ściereczkę. Następnie patrzę znów na kobietę, która siedzi na sofie. I znów na tę, która stoi. Są takie same!

– Nie... nie rozumiem – jąkam się. – Kim pani jest? To znaczy panie...

– Twoją babcią – odpowiadają jednocześnie, po czym ta stojąca dodaje: – Z reguły ma się dwie, prawda? No, może nie jest to reguła. Powiedzmy: duże szczęście. Nie każdy tak ma.

– Ale...

– Że nie różnimy się od siebie? – wchodzi jej w słowo siedząca. – Przez pierwsze lata życia i tak nas nie rozróżniałeś. A potem, cóż. Miałeś ważniejsze sprawy.

– Życie cię ciągnęło.

– Zabawa.

– Dziewczęta.

– Wyjechałeś do szkół.

Robi mi się nieznośnie gorąco, brakuje mi tchu. Lufcik w pokoju jest uchylony, powiew wiatru wydyma firankę. Muszę usiąść. Sofa jest bardzo miękka, zapadam się w niej, bardziej niż bym chciał.

– Może zjesz coś? – pyta po chwili babcia stojąca.

– Mam świeże ciasto – uzupełnia ta, która siedzi na sofie obok mnie, ale mimo to spogląda na mnie z góry.

– Szarlotkę? – pytam przez ściśnięte gardło.

Obie babcie spoglądają na siebie, jak na komendę unoszą brwi. Kręcą głowami też niemal jednocześnie. Wreszcie mówią zgodnym chórem:

– Przecież ty nie cierpisz szarlotki!

W tej samej chwili ktoś puka do drzwi. Myślę, że to ja powinienem je otworzyć. Usiłuję więc podnieść się z sofy, ale nie mogę. Zapadam się jeszcze głębiej. Tymczasem pukanie staje się coraz głośniejsze...

* * *

Ocknął się. Uniósł głowę. Leżał na kanapie. Właściwie pólleżał, bo nogi wystawały; nie zdjął butów.

Musiałem przysnąć – pomyślał.

Wtedy ktoś zapukał do drzwi. Pewnie po raz kolejny.

Zerwał się na równe nogi, zatoczył, omal nie rozbijając szklanego stolika. W kilku susach pokonał salon i przedpokój, dopadł drzwi wejściowych i przekręcił kółko patentowego zamka.

– Długo mamy czekać, Nowy? – fuknął Patyk, wchodząc do mieszkania jak do siebie.

Za nim drobił kroki Czesiek. Trzymał w rękach dwie skrzynki. Nowy otworzył szerzej drzwi. Poczul wyraźną woń alkoholu.

– Są jeszcze dwie na korytarzu – rzucił półgębkiem mężczyzna w okularach zlepionych plastrem.

Nowy przechylił się przez próg, sięgnął po pozostawione pudła, sprawnie przełożył je na drugą stronę, po czym zamknął cicho drzwi mieszkania Marii.

– Śpi? – Patyk, który stał na środku salonu z rękami w kieszeniach, wykonał gest głową w kierunku najbliższych drzwi.

– Chyba tak – odpowiedział niepewnie Nowy.

– Dosypałeś jej coś?

– Nie.

– Tak sama z siebie?

– Zmęczona była.

– Lepiej, żeby się nie obudziła zbyt wcześnie. Dobra, robimy, panowie.

Szczerbaty zatarł dłonie, po czym podszedł do etażerki i... jednym ruchem zgarnął z niej wszystkie ramki z fotografiami. Rozległ się trzask tłuczonego szkła. Taki sam los spotkał stojące wyżej dzbanuszki. Duży wazon rozleciał się na setki małych kryształków.

– Ciszej – mruknął przypatrujący się tym poczynaniom Czesiek; opierał się o jeden z foteli i wyglądał, jakby przysypiał, bo przymykał powieki na coraz dłuższe chwile. – Jeszcze wszystkich pobudzisz. Nie trzeba nam teraz afery z lokatorami.

– Spokojnie, wszystko pod kontrolą – rzucił przez zęby Patyk. – A aferę mamy od dawna, nie? I to niezłą.

Zrobił kilka kroków po pokoju. Kryształki chrzęściły pod podeszwami jego ciężkich butów, rysowały drewnianą podłogę. Coś było bardzo znajomego w tym widoku, coś bolesnego. Odległe, złe wspomnienie.

– A teraz czas na pierwszego Hektorka – powiedział, schylając się po pierwszą skrzynkę.

Chwilę majstrował przy zaślepce, która blokowała drzwiczki. Przy kratce pojawił się ruchliwy szczurzy pyszczek. Wreszcie Patykowi udało się uporać z zamknięciem.

– Gdzie pierwszy? – Rozejrzał się po salonie, by następnie przenieść wzrok na Cześka.

– Jak zawsze – mruknął mężczyzna w zepsutych okularach. – Wywietrznik w kuchni. Muszę tylko znaleźć jakąś miotłę albo mopa na długim kiju. Wejść na stółek, przebiję otwór do sąsiedniego mieszkania i będzie pozamiatane.

Wszystkie te słowa skierowane były do Nowego i brzmiały jak instrukcja. Albo przynajmniej próba nawiązania kontaktu, bowiem mężczyzna, który otworzył im drzwi, od kilku chwil nie wydobył z siebie żadnego dźwięku. Stał na środku

pokoju z opuszczonymi rękami i z półotwartymi ustami. Sprawiał wrażenie, jakby nie rozumiał mowy, którą posługują się tamci dwaj. I patrzył na to, co robią, jakby to był tylko film, a nie rzeczywistość.

Drgnął w chwili, gdy na podłodze znalazła się kryształowa misa. To Patyk „niechcący” zsunął ją z etażerki.

– Dosyć – powiedział Nowy.

Tamten chyba jednak nie dosłyszał. Już bawił się kolejnym naczyniem. Tym razem był to piękny, pękaty wazon.

– Zostaw! – warknął mężczyzna. – Słyszysz?!

– A co, kurwa, twoje?

– Zostaw, powiedziałem.

– Spokojnie, stary. Przecież jutro i tak nie będziesz niczego pamiętał.

W tej samej chwili do pokoju wrócił Czesiek. Sapał. Operacja wpuszczenia wygłodzonego szczura do przewodu wentylacyjnego musiała kosztować go sporo wysiłku.

– Drugi pójdzie przez wspólny balkon. – Pochylił się nad plastikowym pudełkiem, o którego ścianki od kilku chwil, może z głodu, a może przeczuwając, że zaraz opuści pułapkę, obijał się budzący powszechny wstręt gryzoń. – Obok chyba nikogo nie ma, bo światła się nie świecą. Ale lufcik widziałem uchylony.

– Zgadza się. – Patyk nie spuszczał spojrzenia z Nowego. – Żaden z sąsiadów nie może zostać pokrzywdzony. Dajemy wszystkim po równo. Jak system, który ich karmił przez lata. Dziś wszyscy święci, krzyże i Madonny wieszają. – Znów potoczył wzrokiem po ścianach.

– Chodź, mały – Czesiek uśmiechnął się do kratki w skrzynce, którą chwilę wcześniej podniósł z podłogi.

– Nie mów, Nowy, że Arek nie opowiadał ci, na czym polega nasze zajęcie – podjął Patyk, rozgarniając kawałki szkła czubkiem buta. – Mieszkasz u niego, więc chyba rozmawiacie, co? Z drugiej strony czasem lepiej nie wiedzieć za dużo, prawda? Na ile się umawiałeś z szefem?

Nowy nic nie odpowiedział.

– Bądź spokojny, swoje zarobiłeś. Może nawet jakaś „trzynastka” będzie – zaśmiał się, szybko jednak spoważniał. – Ja sam nie wiem, ile bierzemy za wyczyszczenie kamienicy. To wie tylko szef. On rozmawia ze zleceniodawcami, a my tylko wykonujemy robotę. I masz rację, nie ma co robić hałasu. To co? Sztama? – Wyciągnął rękę.

Ale Nowy nie podał mu dłoni. W ogóle się nie poruszył. Tylko wargi mu drgały.

– Dobra, ostatni do sypialni i spadamy stąd – rzucił Patyk do Cześka, który trzymał w dłoniach ostatnie pudełko.

Wtedy Nowy zastąpił im drogę.

– Nie.

– Ja mu jednak dzisiaj pierdolnę!

Patyk nie zdążył jednak zamienić groźby w czyn, bo rozległ się dzwonek u drzwi, zaraz po nim głośnie pukanie. Mężczyźni spojrzeli po sobie.

– Mówiłem, żebyś był cicho. – Czesiek spojrział na kamrata znad posklejanych oprawek. – I co teraz?

– Niech Nowy otworzy – bąknął Patyk.

– Dlaczego Nowy?

– Bo znają go tu.

– I co powie?

– Że... przeprowadzamy deratyzację.

– Odszczurzenie?

– Jak w ubiegłym roku na Pięknej. Pamiętasz?

– No.

– Od razu łykną. A jak nie, to im zaraz pokażemy, cośmy znaleźli. Wtedy już nie będą zadawać pytań, tylko prędiutko pobiegną do siebie, żeby sprawdzić, czy nie jesteśmy aby potrzebni w ich mieszkaniach.

Ledwo wyrzucił z siebie te słowa, a zrobił to bez mrugnięcia okiem, znów rozległ się dzwonek, a po nim pukanie, nieco bardziej natarczywe niż wcześniej.

– Albo lepiej sam to zrobię – powiedział Patyk. – Nowy ma chyba problem z mówieniem.

Mrugnął okiem do kolegi, po czym odwrócił się i wyszedł z pokoju. Czesiek odstawił skrzynkę z powrotem na podłogę, sięgnął ręką w zanzadrze i tam ją zostawił. Nie spuszczał wzroku z Nowego. Po chwili usłyszeli dźwięk przekręcania zamka i głos Patyka.

– Słucham? Ale jakie hałasy?

Tyle tylko zdążył powiedzieć, zanim zagłuszyły go podniesione głosy, w tym także kobiece, i odgłosy szamotaniny.

– Chodu! – zawołał przytomnie Czesiek, rzucając się w stronę balkonu, skąd przed paroma chwilami wrócił.

W tym samym momencie otworzyły się drzwi sypialni. Stała w nich Maria. Spojrzała na potłuczone kryształy i ramki. Potem na Nowego. Na człowieka, którego sama wpuściła do mieszkania. Któremu zaufała. Nie było apelacji. Jej oczy mówiły wszystko.

Chciał coś powiedzieć, ale nie potrafił.

– Ruchy! – Czesiek szarpnął Nowego za ramię. – Spierdalamy stąd.

Wskoczyli na balkon. Mieszkanie Marii znajdowało się na pierwszym piętrze, poniżej była ulica. Na szczęście wzdłuż chodnika ciągnął się trawnik, wyściełany grubą warstwą liści, które zapomniano wygrabić.

Czesiek przerzucił nogi przez balustradę, odwrócił się i krzyknął do

Nowego, który dopiero się do tego szykował:

– Zabierz skrzynki!

Obejrzał się. Rzeczywiście, wszystkie zostały w pokoju, w tym jedna z zawartością.

– Jeszcze się przydadzą, drogie są! – wysapał Czesiek. – I odciski palców...

To ostatecznie przekonało Nowego. Gdy ponownie pojawił się w pokoju, nie dostrzegł już Marii. Od strony drzwi dobiegał głos jakiegoś mężczyzny. Chyba go już słyszał, na cmentarzu.

– Pilnujcie tego bydlaka. Idziemy. Musi być ich więcej w mieszkaniu!

Nie było czasu. Nowy ponownie wskoczył na balkon, na którym już nie było Cześka. Kątem oka zauważył, że drzwi mają zasuwkę, dzięki której można je zamknąć od zewnątrz. Przesunął ją, co dało mu, przynajmniej na chwilę, przewagę nad tamtymi.

Wychylił się. Ile tu jest metrów?

W tej samej sekundzie ściana kamienicy naprzeciwko rozświetliła się na niebiesko. Policyjny radiowóz z piskiem opon zatrzymał się przed głównym wejściem. Sekundę później wyskoczyło z niego dwóch funkcjonariuszy.

– Stój! Policja! – krzyknął któryś za uciekającym ulicą cieniem; rozległ się tupot.

– Puść mnie, kurwa! – ryknął Czesiek po chwili.

Nowy przyłgnał plecami do ściany.

– Kapuś pierdolony! Nowy, już nie żyjesz...

Mimo chłodu panującego na zewnątrz twarz Nowego płonęła ogniem, a serce rozsadzało piersi. Właśnie został posądzony o zdradę. To już się stało. Za chwilę mógł znaleźć się za kratami obok swojego oskarżyciela. To się jeszcze nie stało.

Co robić?

Mieszkanie Marii i sąsiadów miało wspólny balkon, co kilka chwil wcześniej bezlitośnie wykorzystał jeden z czyścicieli, podrzucając drugiego szczura. Teraz Nowy dostrzegł w tym sąsiedztwie szansę ratunku dla siebie. Lufcik, jak mówił Czesiek, był uchylony. Tamtędy wpuścił szczura, który miał przelać czarę goryczy i razem z innymi spowodować, że lokatorzy opuszczą swoje mieszkania, a spadkobierca będzie mógł zrobić z kamienicą, co zechce.

Tylko że dorosły człowiek nie zmieści się w otworze lufcika. Nowy przyjrzał się drzwiom balkonowym. Choć były stare, drewniane, sprawiały wrażenie solidnych. Niebieskie światło radiowozu wciąż migało, a z głębi kamienicy dochodziły coraz bardziej podniesione głosy. Prawdopodobnie wszyscy mieszkańcy byli na nogach i zaraz dokonają linczu na Patyku. Jednak w mieszkaniu, przed którego drzwiami balkonowymi teraz stał, nikt nie zapalał światła.

Rozejrzał się na boki. Ulicą nadjeżdżał jakiś samochód. W chwili, gdy warkot silnika był najgłośniejszy, mężczyzna uderzył łokciem w szybkę najbliższą wewnętrznej klamce. Była cienka, rozpadła się niczym tafla lodu w kwietniu. Niestety, mimo wszystko narobiła też sporo hałasu.

– Co tam się dzieje?! – dobiegł jakiś gniewny głos z góry.

Przywarł do ściany i wstrzymał oddech. Na szczęście hałas nie zaalarmował nikogo w radiowozie. Po chwili uciekinier wsunął dłoń w szparę, chwilę operował przy zimnym metalu. Wreszcie drzwi uchyliły się z cichym skrzypnięciem.

Jedynym źródłem światła w mieszkaniu były uliczne latarnie. Gdzieś w półmroku musiał czaić się szczur; o tym Nowy również nie mógł nie pomyśleć. Udało mu się jednak szybko pokonać salon. Mieszkanie miało podobny układ co sąsiednie, więc zaraz odnalazł przedpokój i drzwi wejściowe. Jeśli do ich zamknięcia użyto tylko patentowego zamka...

Niemal podskoczył, słysząc pukanie. Chwilę trwał z uniesioną ręką. Wreszcie ostrożnie i powoli odchylił na milimetr przesłonkę judasza. Przyłożył policzek do powierzchni drzwi intensywnie pachnącej lakierem.

– Panie sąsiedzie! Panie Wieńczysławie – dobiegł z korytarza kobiecy głos.
– Jest pan tam?

Mimo że pole widzenia było wąskie, ujrzał twarz stojącej po drugiej stronie sąsiadki, zniekształconą przez szkło. Za nią przesuwwały się jakieś postacie. Cała kamienica, jak pomyślał wcześniej, nie spała. Gdyby więc pan Wieńczysław był w mieszkaniu, pewnie przynajmniej zapaliłby światło. A jak śpi, to tym lepiej. Oby sen miał mocny.

Przeczekał – postanowił w duchu Nowy.

Cofnął się o krok i wtedy jego lewa stopa natrafiła na coś miękkiego. Cofnął ją szybko. Pochylił się i wyteżył wzrok, jednak niczego nie widział. Mógł na powrót zająć się spoglądaniem przez wizjer w oczekiwaniu na dobry moment, by opuścić mieszkanie, jednak ciekawość okazała się silniejsza. Namacał włącznik światła...

– Boże...

Na podłodze w przedpokoju leżał starszy człowiek. Zwrócony był twarzą do ziemi, jego głowę porastały nieliczne kępkki białych włosów. Staruszek. Czy to jest właśnie pan Wieńczysław? Nowy przez kilka chwil spoglądał na leżącego. Usiłował dostrzec najmniejszy choćby ruch w obrębie klatki piersiowej, który świadczyłby o tym, że człowiek ten jednak żyje. Ale tak się nie stało.

Zrobiło mu się nieznośnie zimno. Zimny był nawet pot pod pachami. Wybita szyba, odciski palców, tu i za ścianą – analizował gorączkowo. Nie, lepszych śladów nie mógł zostawić. Znalazł się w pułapce. A do tego jeszcze ten trup...

* * *

Przed kamienicą zatrzymał się duży, czarny volkswagen. Kierowca przez dłuższą chwilę nie wyłączał silnika i nie wychodził ze środka. Prawdopodobną przyczyną tego wahania była obecność radiowozu, z którego dobiegały jakieś podniesione głosy.

Po kilku chwilach rozsunęły się drzwi i z furgonetki wyszedł policjant w stopniu sierżanta. Od razu zwrócił uwagę na stojącego kilka metrów dalej volkswagena. Gdy zbliżył się do niego, w samochodzie opuszczono szybę.

– Co się dzieje, panie władzo? – Kierowca był pierwszy, ale sierżant zignorował pytanie.

– Tu nie wolno parkować. Proszę odjechać.

– Oczywiście, już odjeżdżam. Proszę mi jednak powiedzieć, co się tu dzieje. Jestem z administracji tego budynku.

– Mieliśmy zgłoszenie o awanturze w kamienicy. Moi ludzie to sprawdzają. Zatrzymaliśmy już dwóch podejrzanych.

Widać mężczyźni w czarnym volkswagenie to wystarczyło, bo skinął oszczędnie głową. Zamknął okno, wycofał auto i zaparkował kilkanaście metrów dalej. Kilka chwil później wszedł do bramy kamienicy. Był to postawny mężczyzna w eleganckim płaszczu z wielbłądziej wełny.

Odprowadził go wzrok sierżanta, stojącego przy radiowozie.

– Miejsca za kratką mamy jeszcze dosyć, jakby co – mruknął pod nosem mundurowy, zsuwając czarną bejsbolówkę ku tyłowi głowy.

Tymczasem kierowca volkswagena pokonał podwórko i zniknął w jednej z klatek schodowych. Na parterze natknął się na spory tłum, składający się w większości ze starszych osób. O czymś rozmawiali, poruszeni; gestykulowali. Nie zauważył wśród nich policyjnych mundurów.

– Złapali wszystkich, sama widziałam! – Jakaś kobiecina w szlafroku uderzyła się pięścią w okryty dekolt.

– Ja słyszałem, że tylko dwóch. A przecież było ich więcej – oponował starszy pan w marynarce z miniaturką orderu w klapie, narzuconej na siatkowy podkoszulek.

– Trzeba zejść do radiowozu i sprawdzić – próbował ich godzić ktoś trzeci.

– A pan w jakiej sprawie? – przez gwar niczym ostrze noża przebił się kobiecy głos.

Czujni byli. Po tym, co się działo, nie mogli inaczej. W jednej chwili zrobiło się cicho. Wszystkie spojrzenia spoczęły na nieznanym. Ten bynajmniej nie speszył się.

– Starszy referent Lipski, dzielnicowy zarząd budynków – przedstawił się, wypowiadając słowa bardzo starannie, jakby chciał, by dobrze je zapamiętano. – Dobry wieczór państwu.

Cisza. Przerwał ją dopiero inny męski głos.

– Już załatwione, panie kierowniku. Awaria usunięta. Możemy wracać. –
Stojący pod ścianą mężczyzna w okularach z grubymi szklami i w burej czapce z włóczki, naciśniętej nisko na oczy, postukał palcem w kartonową teczkę.

– A zatem możemy iść. Dobranoc państwu.

– Dobranoc – powiedział ktoś z tłumu, ktoś najgrzeczniejszy.

Mężczyźni opuścili kamienicę. Dopiero gdy znaleźli się w bramie, znacznie przyspieszyli krok. Ten w płaszczu zapytał niegłośnie:

– Gdzie Patyk i Czesiek?

– Wpadli – odpowiedział Nowy, równie konspiracyjnym szeptem.

– Co się właściwie stało? Mieliście tylko wypuścić szczury.

– Patyk zaczął hałasować. Tłukł szkło. Pewnie to zaniepokoiło lokatorów.

Wezwali policję.

– I to mnie najbardziej dziwi. Że psy przyjechały – warknął ze złością Arek.

Znaleźli się na ulicy. Radiowóz z Patykiem i Cześkiem w środku wciąż stał przed kamienicą.

– Nie patrz tam – Arek syknął na Nowego. – Idziemy prosto do samochodu.

W chwili, gdy otwierał drzwiczki, z bramy wyszło dwóch policjantów. Towarzyszyła im jakaś kobieta. Nowy rozpoznał Marię. Uniósł rękę do skroni. Znów bolała go głowa.

– Wsiadaj, do cholery! – fuknął Arek.

Ruszyli spokojnie, by nie zwracać niepotrzebnie uwagi i nie drażnić policji. Dopiero za następną przecznicą Arek mocniej nacisnął na gaz. Nowy nie widział go jeszcze tak zdenerwowanego. Szef co chwila walił pięścią w kierownicę, wykonywał głową ruchy, jakby chciał wyswobodzić szyję ze zbyt ciasnego kołnierzyka. Siedzący obok z niepokojem patrzył na strzałkę szybkościomierza.

– Prostego zadania nie potraficie wykonać, jełopy pierdolone! – wycedził przez zęby Arek. – Mów mi jeszcze raz, jak to było. Tylko dokładnie. Pamiętasz?

– Tak.

I Nowy opowiedział o wszystkim, co działo od chwili, gdy przekroczył próg mieszkania Marii. Starał się nie pominąć niczego, żadnego szczegółu.

– Byli pijani? Jesteś pewien? – Arek nie dowierzał.

– Poczuję od nich alkohol.

– Skurwysyny! – Znów uderzył pięścią w kierownicę. – Teraz wszystko rozumiem. Nie, nie będę ich już wyciągał z mamra. Niech zgniją, niech ich jebią! Żeby taką prostą robotę skrewić. Tyle miesięcy pracy poszło na nic. Trzeba będzie wszystko zaczynać od początku... A ty?

– Co?

– Piłeś?

Nowy chuchnął jak sztubak. Tak też się poczuł, choć na oko był sporo starszy od Arka.

Przez kilka chwil nie mówili nic. Jechali przez centrum. Tak się przynajmniej Nowemu wydawało, bowiem miasta tego, tak jak swojego życia, nie pamiętał. Najwięcej neonów, najwyższe budynki ze szkła i światła, najwięcej ludzi na trotuarach – tak, to musiało być samo serce miasta. Podobało mu się, ale jednocześnie przerażało. Nie był pewny, czy dałby sobie radę, gdyby kazano mu teraz wysiąść z auta...

Czy to było jego miasto? A jeżeli tak, to czy od urodzenia, czy może osiedlił się w nim niedawno? Czy mieszkał tutaj, w centrum, czy gdzieś dalej, na peryferiach? Jeśli tak, to musiał pewnie uczyć się go przez długie miesiące. Jeśli nie lata.

Szef na szczęście nieco zwolnił. Chyba ochłonął.

– A jak ci się udało uciec? – zapytał, ruszając spod świateł na skrzyżowaniu.

– Przez balkon, do sąsiedniego mieszkania. Było zamknięte tylko na patent.

Ledwo Nowy wypowiedział te słowa, znów poczuł na plecach zimny dreszcz.

Powiedzieć, że nie było puste? – zapytał sam siebie w myślach.

– Na korytarzu kręciło się pełno ludzi – ciągnął po krótkiej chwili. – Nie mogłem tak po prostu wyjść, ale potem zrobiło się zamieszanie. Jakaś baba krzyknęła, że na jednym z wyższych pięter jeszcze kogoś złapali. Wykorzystałem okazję. A wtedy pojawił się szef. Złapałem tylko płaszcz z wieszaka i okulary z półki przy drzwiach. Nikt nie poznał...

W odpowiedzi Arek coś mruknął pod nosem. Taka myśl mimowolnie zamieniona w słowo. Potem włączył samochodowe radio, chwilę manipulował przy guzikach.

– Nie wiesz, jak się nazywasz, ale może pamiętasz, jaki masz muzyczny gust. – Mrugnął do Nowego, choć twarz miał nadal poważną. „Niebo tak bliskie, niebieska opieka. A naokoło ani śladu człowieka...” – śpiewał wokalista.

– Co to za jęki, ja pierdolę! Radio Maryja? – Kierowca już wyciągał rękę w stronę radia, ale Nowy ją zatrzymał.

– Nie.

Arek spojrzał z ukosa na pasażera, ale nie zmienił stacji.

– Ja skądś znam tę piosenkę – powiedział Nowy. – Na pewno już ją słyszałem.

Ale szef nie podzielał jego entuzjazmu.

– Jak pewnie setki innych.

– Nie. To coś więcej. Jakaś konkretna sytuacja...

Kilka następnych przecznic pokonali, nic nie mówiąc. Potem specjalista od czyszczenia kamienic wrócił do najważniejszego tematu.

– Na Patyka i Czeška pewnie nic nie będą mieli i szybko ich wypuszczą. Nikt z lokatorów nie widział, jak robią demolkę, mam rację?

– Nikt – potwierdził Nowy.

– Ciebie jednak zna stara, więc będziesz musiał zniknąć. Przynajmniej na jakiś czas.

– To znaczy?

– Wyjedziesz z miasta.

– Rozumiem.

– Nie zapytasz nawet: dokąd?

Nowy tylko wzruszył ramionami. O niewiele rzeczy pytał.

Każdego ranka Arek schodził do garażu, gdzie jego nowy pracownik pomieszkiwał kątem od tamtego feralnego dnia, który znał tylko i wyłącznie z opowieści. Jeśli Nowy akurat leżał na tapczanie, podnosił się. Wtedy Arek lekceważąco machał ręką. Po chwili pytał, czy może coś sobie przypominał. Odpowiedź była zawsze taka sama: nie. I pewnie na nią czekał szef każdego dnia, tak jak czeka się na pierwszą filiżankę kawy czy jajko na miękko albo papierosa.

Nowy wykonywał polecenia. Jakiś głos podpowiadał mu, że tak trzeba. Incydent w mieszkaniu Marii, gdy nieoczekiwanie stanął na drodze Cześkowi i Patykowi, był pierwszy. Co go podkusiło? Nie znał przecież nikogo w tym mieście, tylko ich. No i Marię, którą pokazali mu na cmentarzu i o której Arek powiedział przed chwilą „stara”. Ale przecież była stara. Tak jak pan Wieńczysław, na którego dłoń Nowy nadepnął w sąsiednim mieszkaniu. Był stary i umarł na starość.

A jeśli nie? Czy powinienem o tym powiedzieć? – zaczął się znów zastanawiać.

– Pamiętasz tę kartkę, którą przy tobie znaleźliśmy? – zapytał w pewnej chwili Arek.

To była jedna z dwóch rzeczy, które Nowy miał wtedy przy sobie, oczywiście prócz ubrania i butów. Dziwny zegarek, w którym włączył się stoper, choć nie wiadomo jak, bo nie było żadnych przycisków czy klawiszy. I ta kartka. Arek pokazał mu ją, gdy Nowy nieco wydobrał. Ale nie potrafił nic o niej powiedzieć.

– Tę z numerem telefonu?

– Tak. – Człowiek za kierownicą wyciągnął z prawej bocznej kieszeni płaszcza niewielki karteluszek. – Powinieneś coś wiedzieć, Nowy...

– Co takiego?

Nie od razu odpowiedział. Dłoń trzymająca kartkę powędrowała ku dołowi. Wrzucił luz, nacisnął na hamulec. Zatrzymał samochód przy krawężniku chodnika. Westchnął, spojrzał na pomocnika, którego imię i nazwisko wciąż nie było mu znane.

– Nie wiem, skąd masz ten numer, ale...

Nagle zrobiło się jasno jak w dzień. Rozległ się pisk hamulców

i przeraźliwy, ogłuszający huk. W ciągu następnej sekundy podłoga znalazła się tam, gdzie powinien być sufit. Powietrze wypełnił zgrzyt zgniatanej blachy i trzask rozbijanego szkła. W głowie Nowego jeszcze raz zapłakały wszystkie stłuczone tego wieczora w mieszkaniu Marii kryształki i ramki ze zdjęciami...

* * *

– Wszystko przez to, że daliście mu wsiąść do tego samochodu!

Średniego wzrostu, krępy mężczyzna odwrócił się od ściany i rozpoczął kolejną rundkę po pokoju. Ręce miał splecione na plecach. Utykał na jedną nogę.

– Już ci mówiłem, tamci byli szybsi. – Stojący nieco z boku drugi z mężczyzn, młodszy i nieco wyższy od tamtego, z siwiejącymi wąsami, rozłożył bezradnie ręce. – Po prostu podjechali pod bramę, zanim zdążyliśmy przekręcić klucz w stacyjce...

– Silnik powinien być włączony. Amatorzy!

Wąsacz pokornie skinął głową

– Ale po jaką cholere wsiadł do ich bryki? Znał ich? – drażył kulejący.

– Nie wiem.

– Ty wsiadłbyś do samochodu z jakimiś obcymi facetami?

– To zależy. Autostopem się kiedyś jeździło...

– Nie pierdol mi o autostopie! – Kulejący zatrzymał się w pół kroku, spojrzał bykiem na rozmówcę. – Mało to policja i media ostrzegają przed zbrodnicami.

– Przed sobą powinni ostrzegać.

– Też prawda. – Stary odchrząknął. – Naprawdę nie widzieliście ich wcześniej?

– Pojawili się znikąd. Potem nas zgubili. Ich kierowca to niezły dzygit.

– Załatwili was jak dzieci. Wychodzi na to, że nie można was zostawić samych ani na chwilę. Człowiek wyjedzie na tydzień urlopu, wraca i zastaje takie kwiatki.

– Urlopu? – zdziwił się młodszy z mężczyzn, machinalnie dotykając wąsów.

– A co? – fuknął starszy, marszcząc srogo brwi. – Nie podoba się?

Tamten wzruszył ramionami. Jego ręka znów powędrowała ku twarzy, ale tym razem udało mu się zapanować nad odruchem.

– Myślałem, że ty masz urlop przez cały czas – powiedział, uśmiechając się wąsko.

– Bardzo śmieszne!

Przez kilka chwil nic nie mówili. Ciszę pracownicy wypełniało stukanie butów o podłogę, bowiem starszy znów zaczął krążyć od ściany do ściany. Po chwili zatrzymał się przy biurku i pochylił nad rozpostartym na nim dużym planem miasta. W milczeniu wpatrywał się w żółto-białą siatkę ulic.

– Mówisz – podjął – że namierzyliscie go wczoraj na cmentarzu?

– Zgadza się – potwierdził wąsacz. – Nie wiemy, co robił przez ten czas, ale wiele wskazuje na to, że wpadł w złe towarzystwo. Jacek i Konrad mają go na oku... – przerwał, rozległ się dzwonek komórki. – Słucham? Co jest?

Kulejący rozprostował się znad biurka i spojrzał wyczekująco na podwładnego. Widział, jak jego twarz tężeje.

– Rozumiem – powiedział słabym głosem wąsacz. – Melduj mi, jak coś będziesz wiedział. Jesteśmy przez cały czas w firmie. Tak. Czekam.

Rozłączył się. Spojrzał na szefa, pokręcił głową.

– No mów, do kurwy nędzy! – huknął kulawy.

– Stało się coś złego...

* * *

Widział nad sobą gwiazdy. Nie potrafił ich nazwać, choć zawsze obiecywał sobie, że zajrzy do atlasu nieba. Wielki Wóz, Mały Wóz – tylko tyle. No i jeszcze Pas Oriona, na który składały się trzy gwiazdy w jednym szeregu.

– Chyba się ocknął – dobiegł go schrypnięty głos.

– Rzeczywiście – zawtórował mu inny, bardzo podobny.

Na tle rozgwieżdżonego nieba pokazały się dwa cienie, jeden z góry, drugi z dołu. Leżał na gołej ziemi, bo zaczynał już czuć zimno; ktoś się nad nim pochylał.

– Słyszysz mnie pan? Halo, człowieku! Słyszysz mnie?

Czyjaś ręka szarpnęła go za ramię. Niezbyt może mocno, ale wystarczyło, by poczuł pulsujący ból. Aż jęknął.

– Czego go szarpiesz? – fuknął jeden z cieni.

– Co... co się stało? – wymamrotał wreszcie Nowy.

– Mieliście wypadek. W wasz samochód uderzyło rozpędzone auto. Przekoziołkowaliście kilkanaście metrów. Tamci uciekli. Byliśmy niedaleko, pierwsi podbiegliśmy...

Wystarczyło kilka zdań, by Nowy przypomniał sobie o wszystkim, co wydarzyło się w jego życiu w ciągu kilku ostatnich godzin, a nawet dni. Niestety, dalej wspomnienie nie sięgało.

– A kierowca? – zapytał.

– Próbowaliśmy go wyciągnąć, ale się zakleszczył – odpowiedział drugi głos. – Pan wyszedł z wraku o własnych siłach.

Tego akurat nie pamiętam – pomyślał.

– Ale przeżył. Szybko przyjechało pogotowie. Zapytaliśmy pana, czy chce zostać, ale pan nie chciał. No to poszliśmy. Dopiero parę minut temu stracił pan przytomność.

– Pamięć mam dziurawą jak ser szwajcarski – zaśmiał się Nowy, by zaraz się skrzywić, bo zabolowało go w klatce piersiowej; musiał być niezłe poobijany.

Wtedy przypomniał sobie, o czym rozmawiali z Arkiem. O kartce z numerem telefonu. Co tamten chciał mu powiedzieć? Czuł, że to ważne. A kartka? Została w samochodzie?

– Muszę już iść. – Podniósł tułów, ale w tej samej chwili tego pożałował; nie krępował się krzyknąć z bólu, był on jeszcze większy i trudniejszy do zniesienia niż ten, który poczuł kilka chwil wcześniej.

– Chyba nie tak szybko – mruknął jeden z cieni.

– Może jednak trzeba do szpitala? – zapytał cicho ten drugi.

Cisza.

– Musimy go zabrać do nas – zdecydował pierwszy z mężczyzn, po czym pochylił się jeszcze niżej nad leżącym. – Niech się pan nie martwi, zaniemiemy pana do naszego przyjaciela, który pracował kiedyś w szpitalu. On panu pomoże. To niedaleko...

Z każdym słowem Nowy słyszał coraz mniej, aż w końcu przestał słyszeć cokolwiek.

* * *

Gwiazdozbiór Lwa. Tak, widzę go teraz dokładnie, odkąd mi go wskazała. Zamknięty między jej kciukiem i palcem wskazującym, kawałek rozgwieźdzonego, sierpniowego nieba. Po chwili oczy zaczynają mi łzawić od intensywnego patrzenia.

– Nazwa pochodzi od lwa, którego pokonał Herkules, wykonując swoje dwanaście prac – mówi ona, nie wiadomo czemu szeptem. – Zdobył zbroję z lwiej skóry, która chroniła go potem przed ciosami. Pamiętasz ten mit?

– Jak przez mgłę, a raczej... mgławicę – odpowiadam z uśmiechem. – Na egzaminach wstępnych nikt o to nie pytał.

– Jak wyglądają takie egzaminy?

– Normalnie. A co? Pewnie słyszałaś niestworzone rzeczy, które ludzie opowiadają o tej szkole. Ja też słyszałem, że na egzaminie ze sprawności fizycznej kandydaci muszą obłożyć półmetrową pałą skózanego manekina. A jak dodadzą kilka kopniaków, gdy ten już będzie leżał, to będzie dodatkowy plus.

Śmiejemy się oboje z tej bzdury wierutnej. Ona pierwsza poważnieje. Przytula głowę do mojego ramienia. Jej włosy cudownie pachną. To chyba szampon *Trzy zioła*. Kilka kosmyków łaskocze mnie w nos i czoło, ale nie chcę ich odgarniać.

Ona wzdycha. Znam to westchnięcie.

– Po co ty tam w ogóle idziesz? – pyta po chwili.

Podnoszę się na łokciu.

– Już o tym rozmawialiśmy.

– Wiem, ale... – Odwraca głowę. – Przecież to wszystko się łączy dzień

rozleci, cały system. Zobacz, co się dzieje znów na Wybrzeżu. Wałęsa jeszcze nie poszedł na emeryturę.

– Nie idę tam, żeby bronić systemu. I mam nadzieję, że żaden z tych chłopaków, których poznałem na egzaminach, nie ma takiego zamiaru. Kraj zawsze będzie nas potrzebował, niezależnie od ustroju. Poza tym to po prostu przygoda, nic więcej. Chcę się najzwyczajniej w świecie wyrwać z domu, zacząć żyć na własny rachunek...

– Nie za wcześnie na takie deklaracje?

– Internaty też są dla ludzi.

– Ale nie wszystkie są ogrodzone murem z drutem kolczastym.

– To jednak wciąż tylko internat.

– Ja bym chyba nie potrafiła.

Chyba wolę już, jak rozmawiamy o astronomii. To jej wielka pasja od lat, wie o gwiazdach bardzo dużo. A w tym mieście, do którego za dwa dni wyjadę, by, jak powiedziałem, wyrwać się z domu i przeżyć przygodę, jest duże planetarium. Myślę, że będziemy się tam często spotykać. I to nie tylko po to, by podziwiać gwiazdozbiory.

Wyrwać się z domu i przeżyć przygodę. Im częściej to sobie powtarzam, tym bardziej się boję. A powinno być odwrotnie.

– Włącz jeszcze raz tę piosenkę – prosi.

Wyciągam rękę, trafiam na przycisk magnetofonu Wilga. Oby baterie dały radę... „Czeka nas rzeka miłości, czeka nas morze radości. Czeka nas rzeka miłości, czeka ocean szczęścia...” – dobiega z głośnika refren piosenki.

Utwór się kończy. Wtedy dziewczyna przytula się jeszcze mocniej.

– Chyba musimy już iść – mówi.

– Zimno ci?

– Nie. Po prostu późno się zrobiło.

Mówi tak, ale ja czuję, że drży. Obejmuję ją ramieniem. Wiem, że do niczego innego nie dojdzie. I ona to wie. Tak się umawialiśmy, szczerzy do bólu. A może jednak nie? Może ta ostatnia nasza noc przed moim wyjazdem powinna wyglądać inaczej?

Ona pierwsza zaczyna mnie całować. Jej głowa przysłania Gwiazdozbiór Lwa i wszystkie inne konstelacje gwiazd...

* * *

Ocknął się, dotknął palcami spierzchniętych ust. Miał zatkany nos, chciało mu się pić.

– Herbatki?

Podniósł wyżej głowę. Baltazar właśnie stawiał na fajerkach stary, okopcony od dołu czajnik.

– Poproszę.

Pomieszczenie, w którym leżał na starym, pokrytym plamami materacu, przykryty nadprutą, ale ciepłą kołdrą, miało wielkość dużego pokoju w zwyczajnym mieszkaniu. I tylko jedno, wąskie okno. Dzięki temu nietrudno było ogrzać lokum, co nie było bez znaczenia teraz, na progu zimy. Po sofie w garażu Arka była to degradacja, ale nie narzekał. Ważne, że żył...

Mieszkali tu we czterech, Nowy i ich trzech. Dwóch z nich wyciągnęło go z wraku rozbitego samochodu. Było to dwa dni temu. Przytargali go na bazę, jak nazywali budynek przy torach kolejowych, który pewnie wciąż należał do kolei, ale jakoś nikt się nim przesadnie nie interesował.

Rozległ się nosowy pomruk. Z początku niezbyt głośny, z każdą sekundą potężniał. Po kilku sekundach zaczęły drżeć ściany.

– Intercity nad morze – poinformował Baltazar, nie przerywając smarowania margaryną grubej pajdy chleba. – Opóźniony sześć minut.

Gwizd lokomotywy i huk przejeżdżającego pociągu strząsnęły z Nowego resztki gnuśności. Do pragnienia doszedł głód. Mężczyzna łakomym wzrokiem spojrzął na chleb w dłoniach współlokatora.

Nazwał ich Trzema Królami. Pewnie dlatego, że jeden z nich naprawdę miał na imię Kacper. Tomasza ochrzcił na swój prywatny użytek Baltazarem, a tego trzeciego, Leona, Melchiorem. Wszyscy nosili długie, gęste brody, fryzjer też pewnie miałby przy każdym z nich zajęcie na dłuższy czas. Wystarczyło spojrzeć, by wiedzieć, że żaden nie narzeka na nadmiar szczęścia, a tym bardziej gotówki.

Musieli też śmierdieć. Oni i ich przytulisko. Ale on nic nie czuł. To, że w wyniku pobicia, prócz pamięci, stracił też węch, podejrzewał już wcześniej. Gdy pomieszkiwał w garażu i Arek uruchamiał samochód, a pomieszczenie wypełniało się spalinami. Teraz nabrał pewności.

Trzej Królowie zajmowali się zbieraniem złomu, głównie aluminiowych puszek po piwie i napojach, w śmietnikach najbliższej okolicy. Swoje peregrynacje zaczynali wczesnym świtem, a kończyli wieczorem. Tamtego wieczora, gdy byli świadkami wypadku, wracali z jednego z takich obchodów. Gdy się potem dowiedział, kim są, przez chwilę się nawet zastanawiał w duchu, czy bardziej zależało im na rannych, czy może jednak na wraku.

Baltazar zalał wrzątkiem herbatę w blaszanych kubkach. Kiedy dali Nowemu wody z takiego właśnie kubka – tamtej nocy, kiedy miał wypadek – mimo że balansował na krawędzi utraty świadomości, przypomniał sobie ten charakterystyczny smak. Smak wody prosto ze studni albo zaczerpniętej z potoku podczas górskiej wycieczki.

– Dziękuję. – Wziął naczynie do rąk, mimo że blacha parzyła mu palce. – Nie wyszedłeś dzisiaj na robotę?

– Mam urlop – odrzekł z powagą Baltazar.

– Wypoczynkowy?

– Wychowawczy.

Siorbnęli z kubków niemal jednocześnie. Herbata była czarna, mocna i aromatyczna, choć pewnie jednocześnie była jedną z najtańszych na półce w najtańszym dyskontowym sklepie. Na stole stał litrowy, niezbyt czysty słoik po ogórkach, wypełniony do połowy cukrem. Ale żaden z pijących w tej chwili z niego nie skorzystał.

– Ludzie dzielą się na inteligentnych i tych, co słodzą herbatę – rzekł ze swadą Baltazar, gdy Nowy go zapytał, czemu nie używa cukru; zrobił to bardziej dla zagajenia rozmowy niż z potrzeby posiadania tej wiedzy.

Zresztą i tak tematów do rozmowy było jak na lekarstwo. Nowy, choć go wypytywali, a i pewnie przetrząsnęli dokładnie kieszenie, kiedy był nieprzytomny, nie potrafił odpowiedzieć, jak się nazywa, gdzie pracuje, gdzie mieszka. Jedynie o człowieku, z którym jechał wtedy samochodem, mówił, że to jego szef. I że feralnego wieczora wracali z pracy.

Za jedynym oknem przemknął podmiejski.

– Pyszna herbata – pochwalił Nowy, odstawiając kubek na gazetę pełniącą rolę serwetki.

– Cieszę się, że ci smakuje – rzekł na to Baltazar, spoglądając badawczo znad krawędzi kubka na rozmówcę. – A o co ci tak naprawdę chodzi?

– Skąd wiesz, że o coś mi chodzi?

– Lata praktyki. Pracowałem kiedyś... zresztą nieważne. Ważne, że umiem czytać między słowami. Z oczu też.

– I co wyczytałeś?

Na chwilę zawisła między nimi ciężka cisza.

– Mów, co chcesz powiedzieć, Nowy – burknął Baltazar, aż zadrgały kędziory porastające jego usta, poźółkłe od papierosowego dymu.

– Chcę iść z wami.

– Iść z nami?

– Zgadza się. Siedzę wam na karku od dwóch dni. Za darmo...

– Nie ma nic za darmo w naszej kochanej Polsce – przerwał Baltazar, siorbnąwszy zdrowo. – Kiedyś tak, dzisiaj nie. Wystrajkowali, wytupali, wygłodowali. I mają. Gówna. Z colą i frytkami. Życzy pan sobie zestaw powiększony za złotówkę?

– Święte słowa – zgodził się Nowy. – Tak czy inaczej chciałbym odpracować. Nic mnie już nie boli, sił mam sporo. Przydam się.

– Aha.

– Wy znacie teren, ale mogę ciągnąć wózek.

– Wózek? – prychnął Baltazar. – Patrzcie go, optymista!

Mimo to z zaciekawieniem przysłuchiwał się temu, co mówi Nowy. Skubał

brodę. Przypominał profesora, który słucha na egzaminie plotącego bzdury studenta.

Tak, odkąd Nowy pojawił się między nimi, wiele razy o nim rozmawiali. Żaden nie wątpił, że tamtego wieczora w rozbitym aucie nie siedzieli ludzie kryształowi. Że były to bandyckie porachunki. Auto, które wjechało w volkswagena, uciekło od razu, jak to ujął Kacper, o własnych siłach. Ciężko było dostrzec numery.

Dlaczego więc Melchior i Kacper, którzy siedzieli sobie wtedy spokojnie na górze i pili tanie wino z Biedronki, przerwali degustację i dysputę o życiu, zasranym u każdego z nich, i zbiegli na ulicę? Żaden nie umiał potem się z tego racjonalnie wytłumaczyć. Może poczuli się lepiej choć przez chwilę, bo ktoś miał życie bardziej do dupy niż oni.

Wyciągnęli Nowego, po cichu licząc na to, że ktoś, przyjaciel albo wróg, zgłosi się po niego. I wynagrodzi im to. Zegarek, który tamten miał na ręce, nie mógł tego zrobić, bo nie sposób było go zdjąć, a próbowali kilka razy. To zresztą chyba nie był zegarek, a jakieś dziwne ustrojstwo, którego przeznaczenie trudno określić. Gdy je oglądali, na wyświetlaczu pełgały cyferki. Siedem, przy czym najbardziej ruchliwe były dwie ostatnie. Jak upływające sekundy...

Ale póki co, nikt się po Nowego nie zgłaszał, mimo że wiadomość poszła w eter. A wikt i opierunek kosztowały.

– Jak chłopaki wrócą z dzielni, pogadamy – odpowiedział Baltazar, by dodać: – Ale myślę, że tak. Jak coś, to mój głos masz jak w banku, Nowy!

* * *

– Ile waży jedna puszka po piwie?

Spojrzeli po sobie. Jasne, że miał prawo zadać takie pytanie. Był z nimi w trasie dopiero pierwszy raz. Decyzję, by poszedł, podjęli zresztą jednogłośnie, kilka godzin wcześniej.

– Pólitrowa od szesnastu do dwudziestu jeden gram. Bez względu na to, czy cała, czy zgnieciona – odrzekł uczenie Melchior, a jego dwaj kamraci zachichotali pod brodami.

– Pewnie zaraz zapytasz, czy nie próbowaliśmy wrzucać do puszek kamieni, by były cięższe – wtrącił się Kacper.

– Tak, myślałem o tym – przyznał Nowy, czując, że się czerwieni.

– Więc lepiej już nie myśl – skwitował z jak najbardziej poważną miną Baltazar, by dodać: – Kilka razy może się to udać, bo przecież puszka nigdy nie jest do końca zgnieciona. Ale prędzej czy później to się wyda. A wtedy koniec z przyjaźnią. Żaden złomiarz nie będzie chciał z tobą gadać.

Dochodziła szósta wieczorem, było już ciemno. Nowy podciągnął do końca zamek sięgającej pasa kurtki. Odkąd pamiętał, miał na sobie cały czas ten sam

strój: wspomnianą kurtkę z brązowej skóry, pod nią szarą bluzę z nic mu nie mówiącymi angielskimi napisami, sprane dżinsy z parcianym paskiem i schodzone mokasyny. Przydałaby się jakaś czapka i szalik. Arek pewnie by o to zadbał, gdyby dalej razem pracowali. Gdy Nowy u niego pomieszkiwał, troskliwie kupił mu po pięciopakach skarpet i bokserek. Teraz wszystko przepadło...

Ciekawe, co u niego? – pomyślał. Miał nadzieję, że przeżył wypadek i teraz dochodzi do siebie w jakimś szpitalu.

Kończyła się trzecia godzina peregrynacji po okolicznych śmietnikach. Efektem tego był spory, za to niemal nic nie ważący wór puszek po piwie i napojach. Nowy, jako że był nowy, a w dodatku od początku zadeklarował się jako tragarz, niósł ów wór na plecach. Czuł się jak Święty Mikołaj, krążący po mieście z prezentami w wigilijny czas.

– Tutaj dzisiaj nie wejdziemy. – Melchior, który szedł w ich stronę, rozłożył ręce.

Zła wiadomość, którą przyniósł, dotyczyła strzeżonego osiedla po drugiej stronie ulicy.

– Czemu? – chciał wiedzieć Nowy.

– Ten pierdolony ubek siedzi dzisiaj na cieciovie – wyjaśnił. – Ledwo mnie zobaczył, złapał za słuchawkę i zaczął obdzwaniać pozostałe bramy, jakby się paliło. Ale nic to. Spróbujemy jutro, jak będzie pan Włodzimierz.

Zaczęli niespiesznie wstawać z ławki. Któryś pociągnął głośno nosem.

– Poogradzali się, jaśnie państwo. – Kacper splunął z pogardą w stronę osiedla, którego strzegł wysoki płot, bramy na pilota, a przede wszystkim czujni portierzy. – Żeby tylko się nie pobrudzić, butków nie zabłocić. A sami to jeszcze wczoraj srać za chałupę chodzili...

– Daj spokój, Kacper. – Melchior pociągnął towarzysza za rękaw przydługiej jesionki. – Jeszcze ci ciśnienie skoczy i będziemy mieli kłopot.

– Bo zawsze mnie cholera jasna bierze, jak muszę nadrabiać drogi, bo tej hołocie strach mieszkać. Tak, już się czają mordercy z nożami, gwałciciele z chujami po kolana. Tylko czekają, aż wyjdziecie! – wycedził, spoglądając na budynki o jasnych elewacjach.

Na szczęście kompleksu czteropiętrowych bloków po tej stronie ulicy nikt nie ogrodził, więc dostęp od altanek śmietnikowych był wolny. Co więcej, w niektórych z nich życzliwi lokatorzy sami zostawiali puszek z myślą o zbieraczach. W innych przypadkach trzeba było „sprawę przestudiować dogłębnie”, jak to pięknie ujął Baltazar.

– Nowy, twoje zadanie. – Wskazał wypełniony kopiaście kontener z napisem ODPADY ZMIESZANE

– Dałbyś mu już spokój – Kacper wziął w obronę kolegę, zapalając połówkę papierosa. – Od początku tylko Nowy nurkuje. Sam się wysił.

– Chciał nauki, no to ma – bronił się Kacper. – Końmi go ze sobą nie ciągnęliśmy.

Koniec końców za przetrząsanie kontenerów zabrali się wszyscy czterej i już po chwili puszki zaczęły lądować z trzaskiem na betonowej nawierzchni. Rozgniatali je pracowicie, robiąc przy tym jeszcze większy hałas.

– Ciszej tam, do jasnej cholery! – dobiegł ich głos, o którym trudno było powiedzieć, czy jest męski, czy kobiecy, a zaraz potem trzask zamykanego okna.

– Do capstrzyku jeszcze trzy godziny – skwitował Melchior, ku uciesze pozostałych.

Szybko jednak pognietli znalezione puszki, kilkanaście sztuk. Nikt nie chciał prowokować awantury, bowiem za bardzo cenili sobie to miejsce z wolnym dostępem. Do tego, jak widać, suto zaopatrzone. Nowy, jak przypuszczali starzy wyjadacze, raz po raz musiał wyjmować stopę, która zakleszczała się w puszcze. Nie śmiali się z niego.

Wrzucili wszystko do worków i opuścili altanę. Wszyscy prócz Kacpra.

– Zostajesz? – rzucił w półmrok Baltazar.

– Nie. Tylko w zeszłym tygodniu znalazłem tutaj walizkę na kółkach, wiecie, tę czarną – wyjaśniał gorączkowo mężczyzna.

– I co, szukasz teraz kosmetyczki do kompletu?

– Spierdalaj!

– Chyba nie chcesz nigdzie wyjechać, zostawić nas? – z udawanym żalem zapytał Melchior, co spowodowało falę wesołości.

I pewnie dalej kpiliby z towarzysza, gdyby nie pojawienie się przy śmietniku mężczyzny z pieskiem na smyczy. Piesek nie był z gatunku obronnych ani zbyt wielki, za to jego pan niewątpliwie wzbudzał respekt tak swoją posturą, jak i fizjonomią.

– Co się tu dzieje? – burknął, podnosząc wieko innego kontenera, na którego burcie umieszczono napis SZKŁO OPAKOWANIOWE.

Któryś ze zbieraczy coś powiedział, ale jego głos zagłuszył trzask rozbijanego szkła.

– Już sobie idziemy, do widzenia. – Melchior uklonił się wnikliwemu lokatorowi.

Ten coś mruknął za nimi. Huknęła zamykana kłapa kontenera.

Nowy przełożył rękę trzymającą koniec worka z lewego ramienia na prawy. Ciężar wciąż nie był wielki, ścierpła tylko dłoń od trzymania zwiniętej folii. Spojrzał w okna najbliższego budynku. Jakaś kobieta krzątała się w kuchni. Piętro wyżej rodzice z dwójką małych dzieci oglądali telewizję.

Być może w jednym z tych mieszkań, może tym z niebieską firanką, które kojarzyło mu się z fiołkowym światłem w oknie szpitala, ktoś na niego czekał. Ktoś od wielu dni umierał z tęsknoty i niepokoju, nie mogąc zrozumieć, co się

stało, bo przecież wyszedł tylko po bułki na śniadanie albo po papierosy...

Czy to ta dziewczyna ze snu? Ta, która zna nazwy wszystkich gwiazd? – zastanawiał się.

Po tym, jak opowiedziano mu o wszystkim, co się stało, pytał Arka, nawet kilka razy, czy nikt go nie szukał. Patyka i Cześka też pytał, ale rzadziej. Za każdym razem słyszał, że nie. Szef sprawdzał ponoć nawet w pewnej fundacji, która zajmowała się osobami zaginionymi. Ale bez skutku. Może jeszcze było na to za wcześnie i nikt nie zdążył zgłosić zaginięcia, a może Arek nie mówił mu całej prawdy, mając wobec niego swoje plany.

– Coś się tak zamyślił, Nowy? – zainteresował się Kacper, pstrykając petem w stronę najbliższych krzaków.

– Nic. Jak tylko...

– Próbowałeś sobie coś przypomnieć?

– Tak.

– I co? Myślisz, że mieszkałeś w takich blokach jak te – wykonał ruch głowy za siebie – czy może jednak te lepsze? W grę wchodzi jeszcze trzecia opcja: samochód, którym jechałeś, kierował się w stronę rogatek miasta...

– Przestań go męczyć – tym razem to Baltazar stanął w obronie Nowego. – Spróbuj sam stracić pamięć, to zobaczysz, jakie to przyjemne.

– Wiele razy próbowałem – westchnął Kacper. – Marzę o tym właściwie każdej nocy, gdy kładę pijany w kurwę łeb na śmierdzącej poduszce. Niestety, nigdy mi się nie udaje i każdego dnia rano pamiętam, kim jestem i dlaczego obudziłem się w tym, a nie innym miejscu. A łeb jak napierdalał, tak napierdala.

– Dobra, mordy w kubel, panowie – zakomenderował Melchior. – Wystarczy na dzisiaj tej pielgrzymki. Wracamy na chatę. Trzeba coś zjeść i zebrać siły przed kolejną robotą.

– A co to za robota? – zainteresował się Nowy.

– Tym razem nie dla ciebie – uciął zdecydowanie Kacper.

– Dlaczego?

– Za mało się znamy.

* * *

Następnego dnia Nowy ponownie ruszył wraz ze współlokatorami zbierać tak złom, jak i wszystko inne, czego ludzie już nie chcieli, a czym nie pogardzili ci, których życie wyrzuciło na aut. Nieznany brzeg. Na pewno nie margines! Starali się nie wchodzić w drogę innym zbieraczom. W tym biznesie nie było miejsca na sentymenty i Wersal.

Kilka razy to właśnie Nowy wypatrzył większy i, co najważniejsze, cięższy kawałek metalu, za który dobrze mógł później policzyć właściciel skupu złomu. I policzył. Raz była to miedź, kiedy indziej mosiądz manganowy.

Robiło się coraz zimniej, a Nowy nie miał nic do ubrania poza kurtką, bluzą i dżinsami. Trzej Królowie nie mogli tego nie zauważyć. Był pośród nich najmłodszy, to nie ulegało akurat wątpliwości, więc czuli się za niego odpowiedzialni.

Wieczorem Kacper gdzieś zniknął. Wrócił pół godziny później, niosąc pod pachą coś czarnego i uśmiechając się tajemniczo. Była to bosmanka z dwoma rzędami złotych guzików.

– Podoba się, marynarzu? – zapytał, gdy Nowy przymierzył przyodziewek.

– Jasne. Dziękuję. – Poglądził dłońmi grube, czarne sukno; było bardzo przyjemne w dotyku, było w nim też coś znajomego... – Skąd wzięłeś?

– Mamy swoje źródła – odparł enigmatycznie Kacper.

Gdy nazajutrz przechodzili jedną z osiedlowych uliczek, Nowy ujrzał w oddali duży pojemnik, do którego wrzucało się używane, niepotrzebne ubrania. Ktoś rozpruł drzwi, rzeczy leżały rozwleczone w pobliżu pojemnika. Właściciel bosmanki postawił kołnierz i nie pytał o nic.

Okolo południa całą czwórką udali się do podziemi jakiegoś klasztoru, gdzie dawano gorącą zupę. W kolejce, a była ona zawsze spora, spotykało się znajome twarze. Były rozmowy, nawet żarty, choć każdemu z tych ludzi daleko było do śmiechu. Tego dnia serwowano jarzynową. Gdy opuścili jadłodajnię, resztki warzyw zdobiły brody wszystkich trzech współlokatorów Nowego.

Potem wrócili do bazy. Ale Nowemu czegoś wciąż było mało.

– Pójdę jeszcze, pokręcę się, jeśli nie macie nic przeciwko – rzekł do Trzech Króli.

Nie mieli. Dobrze się składało, bo mogli teraz porozmawiać o swoich sprawach.

– A może jednak powinniśmy wziąć go na robotę? – zapytał Kacper, gdy za Nowym zamknęły się drzwi.

– Też o tym myślałem – zgodził się Melchior. – Mam zresztą wrażenie, że on się domyśla, co robimy. Za każdym razem przecież śmierdzimy jak cholera.

– To prawda – mruknął milczący dotąd Baltazar, choć nie wiadomo, czy miał na myśli sprawę wtajemniczenia Nowego, czy to, że śmierdzą.

– Jest niezły kozak, to widać. Mógł robić nawet przy egzekwowaniu długów. Może nam się przydać – podsumował Kacper. – Ktoś ma coś naprzeciwno, panowie posłowie?

Nikt się nie zgłosił.

Decyzję postanowili przekazać zainteresowanemu przy podwieczorku.

– To ile żeś uzbierał solo, Nowy? – zapytał Kacper, dłubiąc sobie od niechcienia paznokciem w zębie. – Na wycieczkę do Tunezji starczy czy jeszcze trochę?

Nowy podał kwotę. Baltazar chrząknął znacząco.

– Dobra – podjął po krótkiej chwili – czas najwyższy, przyjacielu, żeby cię wtajemniczyć we wszystkie nasze sprawy. Dienne już znasz, teraz pora na wieczorne. I nocne. Nie bój, nie jesteśmy pedały. Po naradzie z kolegami doszliśmy do wniosku, że bardzo byś nam się przydał przy niektórych zadaniach.

Coś podpowiadało Nowemu, żeby nie wykazywać zawczasu zbyt wielkiego entuzjazmu. Dokończył smarować margaryną połówkę bułki.

– Kiedy zaczynamy? – zapytał.

– Dzisiaj wieczorem – odpowiedział Baltazar. – Zasada jest jedna: jakby coś...

– Jakby co?

– Do tego jeszcze dojdziemy. Jakby coś, nie znamy się.

– Przecież i tak się nie znamy – zauważył Nowy, przełknąwszy kęs pieczywa.

– Otóż to. Reszty dowiesz się przed robotą. Teraz zbieraj siły na wieczór.

Do wieczora nic się nie działo. Baltazar i Kacper ucieli sobie drzemkę, Melchior i Nowy zaś zajęli się od dawna odkładanym opatrywaniem ścian budyneczku przy pomocy znalezionej gdzieś wełny mineralnej. Nocami nieźle już ciągnęło.

Przy tej pracy zastał ich zmierzch.

– Dobra, wystarczy na dzisiaj – powiedział Melchior. – Trzeba coś przekąsić i w drogę.

Nowy, choć wciąż nie dowiedział się, dokąd owa droga prowadzi, cieszył się z wieczornej eskapady niemal jak małe dziecko, któremu obiecano wyjście do wesołego miasteczka.

O dziewiątej wieczorem opuścili bazę. Przepuścili ekspres znad morza, o czym nie omieszkali poinformować pozostałych jak zawsze dobrze zorientowany Baltazar, po czym zeszli z nasypu. Długo szli wzdłuż torów, po których przejeżdżały podmiejskie. W ich rozświetlonych oknach było widać twarze ludzi, którzy po dniu pracy, zmęczeni, ale szczęśliwi, wracali do domów.

Czy byłem jednym z nich? – zastanawiał się przez chwilę Nowy.

Dotarli do ulicy. Minutę później spod wiaduktu wyjechał zdezelowany wóz dostawczy. Zatrzymał się przy krawężniku, zaledwie kilka centymetrów od czubków butów Baltazara.

– Pakujemy się – rzucił niegłęboko Kacper, rozejrzawszy się na boki.

Wskoczyli do środka, postępując przy tym gęsto. Huknęły zamykane drzwi. Baltazar dwa razy stuknął otwartą dłonią w ścianę, za którą znajdowała się kabina kierowcy. Był to znak, że można jechać. Samochodem szarpnęło. Nowy, który nie zdążył się niczego złapać, runął na podłogę.

– Na drugi raz będziesz pamiętał – skwitował któryś. – Bodek nogę ma ciężką.

O tym, że tak jest, świadczyły dalsze wyczyny rzeczonoego Bodka, który wcale nie myślał zwalniać na zakrętach, łagodnie hamować przed światłami, a tym bardziej ruszać spod nich. Wystarczyło kilka minut takiej jazdy, by w głowie Nowego obudziło się mgliste wspomnienie. Przecież jechał już tak, zresztą nieraz, kurczowo trzymając się ławki i walcząc z prawami fizyki. Silnik warczał, co jakiś czas przechodząc w wyższe, niemal rozpaczliwe tony. Co było na końcu tej drogi? Co będzie teraz? Które życie było lepsze? Odpowiedzi na te pytania wciąż szukał.

– Za chwilę będziemy na miejscu – poinformował Baltazar, który siedział przy samych drzwiach, z których jedno zaopatrzone było w niewielkie przykurzone okienko.

Jak powiedział, tak się stało. Wyskoczyli z pojazdu. Jeszcze tylko ostatnie klepnięcie w karoserię i zostali w chmurze spalin.

– Kiedyś mu pierdolnę. – Melchior zakasłał. – Jak Boga kocham.

Stali na chodniku ciągnącym się wzdłuż ulicy, która kilkadziesiąt metrów dalej wpadała do dwupasmowej alei z tramwajami. Właśnie jeden rozpędzał się w niej z narastającym wizgiem.

– Dobra, Nowy. – Kacper położył dłoń na ramieniu debiutanta, gdy podążyli wolnym krokiem w przeciwną stronę. – Pora, abyś się dowiedział, na czym będzie polegała nasza robota. Otóż wszyscy, jak nas tu widzisz, opowiadamy się po stronie postępu. Świat pędzi do przodu i nie ma w nim miejsca dla romantyków czy marzycieli. Jesteś romantyk?

– Taki z niego romantyk, jak ze mnie królowa brytyjska! – prychnął Melchior.

Ale Nowy był poważny.

– Nie wiem, kim jestem. – powiedział. – Próbuję tylko przeżyć, a przy okazji cokolwiek sobie przypomnieć.

– Ciesz się, brachu, że ruszasz rękami i nogami – powiedział kroczący przodem i milczący dotąd Baltazar. – Reszta pierdnięcia niewarta. Nawet nie wiesz, jak wielu ludzi chciałoby zapomnieć, jak się nazywają, gdzie mieszkają i dokąd muszą co dzień rano iść pracować. Uwolnić się od upierdliwych żon i wrzeszczących bachorów. Ciesz się, bracie, chwilą. Ja ci to mówię.

– Święte słowa, ale nie odbiegajmy od tematu – rzekł Kacper. – Za chwilę znajdziemy się na miejscu. Stoi tam budynek, właściwie ruina, która blokuje poważną inwestycję. Ktoś cwany wystarał się w magistracie, że to niby zabytek i tyle teraz mu mogą zrobić. – Brodacz zgiął prawą rękę w łokciu. – A w tym miejscu może przecież powstać duży dom, dla wielu rodzin z małymi dziećmi.

– I na czym niby miałyby polegać nasza rola? – zapytał Nowy, patrząc po kolei po twarzach towarzyszy, które teraz, po zmierzchu, wydały mu się niemal identyczne.

Jeszcze kilka dni i będę wyglądał tak jak oni – przemknęło mu przez myśl,

jego policzki dawno bowiem nie zaznały żyletki ani pianki do golenia.

Nikt mu nie odpowiedział. Tylko Baltazar sięgnął do kieszeni jesionki, coś z niej wyjął i rzucił do Nowego. Ten zwinnie złapał niewielki przedmiot. Nie musiał podnosić go do oczu, by wiedzieć, co trzyma w dłoni. Nic przecież nie wydawało takiego dźwięku jak zapalki.

– Losowy przypadek, tak bywa – powiedział Kacper. – Tylko czasami losowi trzeba pomóc. Tak jak szczęściu, *poniał*?

Ulicą przejechał autobus miejski. W środku pojazdu paliło się światło, ale nie było żadnego pasażera. Być może kierowca zjeżdżał już do bazy.

– Rozumiesz? – zapytał Kacper jeszcze raz, nieco głośniejszym głosem.

– Tak. Rozumiem – odpowiedział głucho Nowy, zaciskając palce ma pudełku.

– No to chodźmy.

Od strony dwupasmówki powiał silny, chłodny wiatr. On najwyraźniej też myślał tak jak Trzej Królowie. Że czas na sentymenty minął i nie powstrzyma się postępu. I że czasem trzeba uciec się do zdecydowanych metod.

Tak, zrobię to! – przekonywał sam siebie.

Pięć minut później znaleźli się na miejscu. Rudera, o której mówił Kacper, okazała się być solidną piętrową willą o mansardowym dachu. W żadnym z jej licznych okien nie paliło się światło. Budynek otaczał zapuszczony ogród, okolony z kolei przez zwykłą siatkę, tu i ówdzie zakrzywioną od ciągłego przechodzenia.

– Zabytek, ja pierdołę! – Melchior splunął z pogardą.

– Dobra, nie zatrzymujemy się, panowie – powiedział Kacper.

Ze względów bezpieczeństwa, jak tłumaczył po chwili, na teren ogrodu musieli dostać się od drugiej strony. Ulicą, którą szli, mimo późnej pory, wciąż jeździły samochody, autobusy, a przede wszystkim chodzili ludzie.

Podejście „od zakrystii”, jak to zabawnie określił któryś, kosztowało ich sporo wysiłku i nerwów. Teren był bowiem namiękły po jesiennych deszczach, rośliny czepiały się spodni i płaszczy. Najważniejszy jednak był efekt – już po kilku chwilach znaleźli się pod ścianą willi.

– Nie ma nikogo w środku? – chciał się upewnić Nowy.

– Tylko duchy – zaśmiał się Baltazar. – Ale one zawsze zdążą uciec.

Kacper już manipulował przy zamku. Nie było to dla niego wielkim wyzwaniem, bo już po chwili otwarta kłódka zadzwoniła o obite blachą drzwi. Nowy przez chwilę zastanawiał się, kim jego współlokator był „za życia”, jak często między sobą nazywali wcześniejszy okres, ale jego uwagę szybko ściągnęły działania Baltazara i Melchiora.

Obaj pojawili się przed wejściem z niewielkimi plastikowymi pojemnikami, w których coś chlupało. Nietrudno się było domyślić, że nie woda.

– Będzie się buzowało, że hej! – rzekł z zadowoleniem Kacper.

Baltazar został na czatach, pozostali weszli do środka. Melchior, zanim miały to zrobić płomienie, oświetlał wnętrze przy pomocy latarki. Wszędzie walały się resztki połamanych mebli, przykurzone butelki świadczące o niegdysiejszej popularności tego miejsca, stare gazety. Nowy pomyślał o szczurach. Wzdrygnął się, choć wcześniej było mu obojętne, co kryją skrzynki...

– Zabytek, ja pierdolę! – mruknął znów Melchior, kręcąc głową z politowaniem.

Schodami wspięli się na piętro, a stamtąd dostali się na strych. Tam otworzyli pojemniki i jęli polewać drewniane elementy poszycia dachu. Nowy przejął latarkę. Oświetlał wnętrze strychu, pociemniałe ze starości i pokryte tysiącnymi pajęczynami elementy więźby.

– Gotowe! – z zamyślenia wyrwał go głos Kacpra.

Patrzyli na niego obaj. Pojemniki były puste. Zrozumiał, że teraz jego kolej.

* * *

– To jak było z tym autostopem, co?

– Jakim autostopem?

– No przecież mówiłeś, że jeździłeś, jak byłeś młody.

Krępy mężczyzna przez dłuższą chwilę spoglądał na siedzącego za kierownicą towarzysza z wąsami. Ten spojrział w lusterko wsteczne. Na twarzy starego błąkał się ironiczny uśmiezek. Znał go aż za dobrze.

– O co ci chodzi? – zapytał wąsacz.

– O nic. Po prostu mnie to bardzo interesuje. Może ci zazdrozczę tego doświadczenia z młodości? Mnie na przykład starzy nie chcieli za cholerę puścić...

– Jeździłem, o czym tu więcej mówić. Człowiek miał siano we łbie, ale z drugiej strony nigdy tego nie zapomnę. Któregoś dnia chcieliśmy z kumplem dojechać do Paryża. Wyszliśmy na rogatki miasta, machamy. Zatrzymuje się TIR. Pytamy kierowcę, dokąd jedzie, a on: do Paryża!

– Nieźle! – Starszy aż klasnął w dłonie. – Nie baliście się, że to może jakiś zboczylacha ten szofer? Żeby tak od razu Paryż. A gdybyście powiedzieli: Londyn?

– Weź spierdalaj!

– Bardzo bym chciał. Marzę o kolacji w domu. Ale póki co musimy jeszcze trochę posiedzieć na tym zadupiu – westchnął, wtulając policzki w podniesiony kołnierz płaszcza. – Podziękuj naszym młodym wilkom, którzy nie potrafią odróżnić hamulca od gazu. Mają szczęście, że wyszli z tego cało.

– On też wyszedł.

– Owszem, i bardzo się z tego cieszymy. – Stary potarł dłonie. – Cieszylibyśmy się jeszcze bardziej, gdyby znów nam się nie zgubił.

– Chłopaki wrócili, ale w samochodzie został tylko kierowca.

– Wiem. Dziesięć razy już to słyszałem.

Osiedlową uliczką przemknął skulony rowerzysta.

– Mam tylko nadzieję, że ona coś nam powie – mruknął stary.

Mijała już druga godzina, odkąd siedzieli w samochodzie, nie spuszczać wzroku tak z drzwi do klatki schodowej czteropiętrowego bloku, jak i okien na drugim piętrze. Wciąż były ciemne.

– Kawy bym się napił – bąknął wąsacz.

– Ostatnio ja szedłem, teraz twoja kolej. Boli mnie noga. Zresztą jest za późno na kawę. Oka potem nie zmrużę, a jutro od rana muszę być na chodzie. Jeśli już, to herbatę. Z cytryną. Skoczysz?

Nie doczekał się odpowiedzi, bowiem rozległ się warkot samochodowego silnika.

– To ona? – Wąsaty wyprostował się na siedzeniu, zbliżył twarz do przedniej szyby, która znów zaczynała parować.

– Poczekaj, spokojnie. Zdamy się podejść. Pamiętaj, że nie możemy jej wystraszyć...

Ale samochód nie zatrzymał się przed klatką.

– To jak z tą herbatą?

Kierowca coś mruknął pod nosem i wygramolił się z samochodu. Na szczęście kilkanaście metrów dalej był sklep spożywczy, który oferował też przekąski na ciepło i gorące napoje. Odwiedzali go już dwa razy, ale chyba nie wzbudzili podejrzeń. Zawsze mogli być tylko glazurnikami albo malarzami, którzy pracują w jednym z mieszkań na osiedlu.

Wąsacz zapłacił za herbatę, wziął do jednej ręki kartonową tackę, w której umieszczone były gorące kubeczki, i wyszedł ze sklepu. Wystarczyło kilka kroków i już wiedział, że krajobraz zmienił się bardzo, odkąd oglądał go po raz ostatni.

Oby nie było za późno – pomyślał z trwogą, przyspieszając kroku.

Przed klatką schodową stał policyjny radiowóz. Z drugiej strony uliczką powoli zbliżał się pojazd Żandarmerii Wojskowej. Starszy z mężczyzn siedział na swoim miejscu w samochodzie. W oknach, które od paru godzin obserwowali, paliło się światło.

– Wróciła... – stwierdził bardziej niż zapytał wąsaty.

– Dwie minuty temu – rzekł półgębkiem stary. – Razem z dziećmi. Niestety, chyba nie tylko my mamy do niej parę pytań. Kurwa, a wszystko wyglądałoby inaczej, gdybyście wtedy w porę zajechali mu drogę...

* * *

– Nie przejmuj się, Nowy. Następnym razem będzie lepiej. – Baltazar próbował dodać otuchy druhowi, klepiąc go po ramieniu, jednak z powodu ciemności jego ręka trafiła w próżnię.

Przez okienko na chwilę wpadło nieco pomarańczowego światła ulicznych latarni. Jechali tym samym gruchotem, który przywiózł ich w okolice zrujnowanej willi. Kierowca nie pędził już jednak na złamanie karku. Był po robocie. Musiał jeszcze tylko odwiedzić tych oberwańców tam, skąd ich zabrał. Siedzącymi w środku już nie rzucało tak jak wcześniej, choć wciąż trzeba było trzymać się ławki, jeśli lubiło się swoje zęby.

Nowy zaciskał ze wszystkich sił palce obu rąk na zimnej, twardej krawędzi, ale nie po to, by znów nie spaść, a ze złości. Miał potrzebę siarękę o draskę. To potrafią już dzieci w przedszkolu. Ale tego nie zrobił. Trzymał pudełko w rękach, jakby pierwszy raz widział je na oczy. Spoglądał to na nie, to na stojących obok Baltazara i Kacpra. Coś mówili do niego, ale on ich nie słyszał. Widział tylko, jak poruszają wargami jak na zwolnionych obrotach filmowej taśmy.

Potem ujrzał płonące krokwie. Widok ten sprawił, że otworzył usta ze zdumienia. I może by i stał dalej na strychu willi i patrzył, co skończyłoby się uwędzeniem, gdyby nie kamraci, którzy siłą ściągnęli Nowego na dół. Uciekając przez ogród, co chwila odwracał się i patrzył na płomienie, które poczynały sobie coraz śmieiej.

– Pewnie lubieś w dzieciństwie patrzeć na ognisko, co? – diagnozował Kacper.

– Nie pamiętam – odpowiedział Nowy. – Być może.

– A rozpałałeś je sam czy brat ci pomagał?

– Nie męcz go już, kurwa! – fuknął Melchior. – Następnym razem nie skrewi.

Samochód nagle zahamował.

– Jesteśmy na miejscu? – zdziwił się siedzący najbliżej wyjścia Kacper, podnosząc się do okienka. – Tak szybko?

Wtedy błysnęło niebieskie światło. Wszystko było jasne: zostali zatrzymani przez policję.

– Oby tylko papiery miał w porządku – mruknął Baltazar. – Nie chce mi się popierdalać z buta do domu.

Nasłuchiwali w napiętym oczekiwaniu, ciekawi, co się wydarzy. Konieczność pokonania powrotnej drogi na piechotę była przecież tak naprawdę najmniej dokuczliwą represją, która mogła ich spotkać. Wiedzieli o tym doskonale.

– Prawo jazdy, dowód rejestracyjny, polisę obowiązkowego ubezpieczenia OC poproszę – wyliczył jednym tchem niewidoczny funkcjonariusz drogówki, sądząc z głosu, młokos.

Nie usłyszeli, co mówi szofer. Być może tylko wykonywał polecenia. Sekundy dłużyły się w nieskończoność. Kacprowi chyba zachciało się kichnąć (jego kichnięcia powodowały zawsze drżenie ścian, chyba dużo większe niż przejeżdżające pociągi!), bo zakrył oburącz usta, schylił się, schował głowę niemal

między nogi. Po chwili pozostali poczuli coś w rodzaju tąpnięcia.

– Co pan przewozi? – Policjant przeszedł do kolejnego etapu kontroli, najwyraźniej był bardzo ambitny i, co najważniejsze, wyspany.

– A paru takich na łebka wziąłem pod miastem – tym razem usłyszeli głos kierowcy. – Nie znam ich. Na dworzec chcieli jechać, no to jedziemy...

– Proszę otworzyć drzwi.

Trzej Królowie i Nowy popatrzyli na siebie. Nie, to przecież niemożliwe, żeby... A może ktoś ich jednak zobaczył przy tej willi?

– W zaparte – zdążył mruknąć Kacper, zanim otworzyły się drzwi.

Policjantów było dwóch, w białych czapkach i żółtych kamizelkach. Jeden miał latarkę, którą po kolei oświetlał twarze pasażerów.

– No nie po oczach – jęknął któryś.

Drugi z policjantów, starszy sierżant, kilka razy znacząco pociągnął nosem.

– Ze święta piezzonego ziemniaka wracacie, co? – rzucił lekkim na szczęście tonem.

– Zgadza się, panie komisarzu – odpowiedział Melchior. – Piekliśmy ziemniaczki na łące za miastem. Wcześniej kupiliśmy je w Biedronce, bo to pewnie też pana komisarza interesuje.

Pozostali zaśmiali się wymuszenie. Wydawało się, że mundurowi rozumieją i dadzą spokój i im, i kierowcy. Tak się jednak nie stało.

– Proszę opuścić pojazd – rzucił sierżant.

– Ale dlaczego? – próbował oponować Kacper.

– Ponieważ nie jest dostosowany do przewozu pasażerów.

– Proszę nie dyskutować – sierżantowi przyszedł w sukurs starszy posterunkowy.

Nie było o czym gadać. Baltazar wykrakał. Niechętnie, postępując jak zwykle, zaczęli się podnosić z ławek, które, okazało się, wcale nie są przeznaczone dla ludzi. Stawali kolejno na chodniku. Jako ostatni zrobił to Nowy.

– Dokumenty panów poproszę. – Starszy sierżant znów pociągnął znacząco nosem.

Wydobyć dowód osobisty z fałd ubrań, a o tej porze roku każdy z nich miał ich na sobie kilka warstw, nie było łatwe. Ale po chwili wszyscy trzymali w rękach kawałki kolorowego plastiku. Wszyscy prócz Melchiora, który zamierzał wylegitymować się złachmanioną książeczką wojskową. I Nowego, który w ręku nie trzymał niczego.

– A pana dowód? – Policjant spojrzał spod daszka czapki na najmłodszego i najwyższego z całej czwórki.

– Nie mam – odpowiedział Nowy.

– W takim razie pojedziemy na komendę.

– Ale po co?

– W celu weryfikacji danych.

– On nic nie pamięta... – bąknął Baltazar, ale stojący obok Kacper trącił go ramieniem, co oznaczało, żeby się zamknął i nie wtrącał.

Policjant pobieżnie i z obrzydzeniem przeglądał dokumenty. Nowy, który stał najbliżej jezdni, dostrzegł zbliżający się z przeciwnej strony autobus. Od furgonetki dzieliło go dwadzieścia, może piętnaście metrów, gdy mężczyzna gibnął nagle w bok. Nim ktokolwiek zdążył się zorientować, przeskakiwał przez przerywaną linię, dzielącą jezdnię na pasy.

– Stój! Co robisz?! – krzyknął za nim jeden z policjantów.

Rozległ się głośny nosowy klakson autobusu. Ludzki cień przemknął tuż przed maską. Sekundę później czerwone cielsko zakryło go zupełnie...

* * *

– Jak ma na imię twoja papuga? – Młody porucznik Żandarmerii Wojskowej zdjął z głowy beret i kucnął obok chłopczyka, który od kilku chwil nie odrywał wzroku od stojącej na niskiej szafce klatki z kolorowym ptakiem.

– Kasia – odpowiedział malec po chwili.

– Bardzo ładnie.

– Miała być Krystyna, tak jak papuga mojego kolegi z przedszkola, ale mama wytłumaczyła mi, że ptaki nie mogą się tak samo nazywać.

– Dlaczego? – zdziwił się oficer. – Znam wiele osób, które mają tak samo na imię. Ja jestem Tomek i kierowca, który mnie do ciebie przywiózł, też ma na imię Tomek.

– Nie wiem. Tak powiedziała mama.

– A ty zawsze mamy słuchasz?

Przedszkolak skinął głową. Po chwili znów spojrzał w kierunku dużego pokoju, skąd dochodziły głosy: kilka męskich i jeden należący do kobiety, matki chłopca.

– Zaraz skończymy – powiedział z uśmiechem żandarm. – Nie chcieliśmy was przestraszyć.

– Nie ma sprawy – powiedział chłopczyk.

Rzeczywiście, rozmowa, która od kilkunastu minut toczyła się w salonie, najwyraźniej zmierzała ku końcowi. Czy ku pomyślnemu? Dla dwóch mężczyzn w mundurach, policyjnym i wojskowej panterce, chyba niekoniecznie.

– Tłumaczyłam panom, że mój mąż jest w pracy – powiedziała kobieta.

– Czy jest pani tego pewna? – naciskał policjant w stopniu nadkomisarza.

– Oczywiście.

– Kiedy ostatnio widziała pani męża? – zaatakował z drugiej flanki major żandarmerii.

– Dzisiaj rano.

Mundurowi spojrzeli po sobie. Początkowa niechęć, którą wywołało jednocześnie, ale i zupełnie przypadkowe pojawienie się ich pod tym adresem, szybko zamieniło się we współpracę. Chwilę później ktoś otworzył drzwi mieszkania.

– O, już jest – powiedziała kobieta, spoglądając na gości z zadowoleniem i ulgą.

* * *

Dotarł na skraj gęstego zagajnika. Dyszał ciężko. Bieg kosztował go sporo wysiłku, w dodatku był to bieg z przeszkodami. Kluczył między krzakami i pniami drzew, a stopy zapadały się w miękki kożuch starych i dopiero co opadłych liści, co raz trafiając na miejsce, które po ostatnich deszczach zamieniło się w grzęzawisko.

Odwrócił się. Nie, nikt za nim nie szedł, nie gonił, choć wydawało mu się, że policjanci podjęli pościg. Teraz musiał zastanowić się, co dalej. Był już późny wieczór, prawie noc, a on nie miał pojęcia, gdzie jest. Nie wiedział tego nawet wtedy, gdy stali przy zatrzymanej przez drogówkę furgonetce, która miała ich dowieźć po robocie w okolice bazy. Ile jeszcze miała do pokonania? To wiedział tylko Bodek, szofer z ciężką nogą...

Nowy otarł nos w rękaw bosmanki. Rozejrzał się dookoła. Wydychane z ust powietrze tworzyło obłoczki pary, ale w ogóle nie czuł zimna. Z oddali dobiegło wycie syreny karetki pogotowia albo policji, co przyjął z obojętnością. Wzdrygnął się dopiero na inny dźwięk.

– Pociąg!

Niczym czujne zwierzę, zastygł bez ruchu i wyteżył słuch. Wszystko po to, by bezbłędnie zlokalizować przemieszczający się skład. Na szczęście sygnał, którym maszynista ostrzegał niefrasobliwych, co to skracali sobie drogę do domu, idąc po torach, albo budził drzemiącego dróżnika na przejeździe, wybrzmiał jeszcze raz. Tym razem Nowy nie miał wątpliwości, skąd dobiegał.

Powrót do bazy był w tym momencie najlepszym rozwiązaniem. Nowy żywił nadzieję, że Kacper, Melchior i Baltazar już tam będą. Że policjanci puścili ich wolno, skoro to on skupił na sobie wszystkie podejrzenia i niewątpliwie także gniew. By tak się stało, musieli pewnie powiedzieć, że go nie znają. Niewiele by się zresztą pomylili...

Dotarł do nasypu kolejowego. Nie miał pojęcia, czy powinien iść teraz w lewo, czy w prawo. W wyborze pomógł pociąg elektryczny, który po chwili nadjechał z lewej strony. Był prawie pusty, musiał więc wracać do centrum.

Nowy ukrył dłonie głęboko w kieszeniach i ruszył w stronę, gdzie za zakrętem zniknęły dwa czerwone światelka pociągu. Ścieżka wiła się wzdłuż nasypu, oddalała się od torów, to znów przybliżała. Stopy idącego co raz natrafiały na plastikowe i szklane butelki, których pozbywali się pasażerowie

przejeżdżających tędy składów. Kilka razy kopnął ze złością puszkę po piwie, o czym jeszcze wczoraj, ba! jeszcze dziś po południu, nawet by nie pomyślał.

– Od szesnastu do dwudziestu jeden gram... – Splunął jej śladem.

Nie wiedział, czy idzie we właściwym kierunku. Ale szedł. By nie marznąć i zagłuszyć symfonię myśli, która huczała mu w głowie. Wciąż przeważały w niej pytania, z tym jednym, najważniejszym na czele: kim właściwie, do kurwy nędzy, jest? I co ma takiego w twarzy, że wszyscy widzą w nim tego, który bez zadawania zbędnych pytań pójdzie pod prąd?

Mogła minąć godzina, choć równie dobrze tylko kwadrans. Nogi już zaczynały plątać się Nowemu ze zmęczenia. Pociągi nie jeździły, co mogło oznaczać, że jest bardzo późno, może nawet zaczął się kolejny dzień...

– Czy to baza? – Zatrzymał się w pewnej chwili, ocierając łzawiące od wiatru oczy. – Tak!

Serce podskoczyło mu w piersiach. Chciał znaleźć się tam jak najszybciej. W okienku, jedynym w zapomnianym kolejowym budynku, paliło się światło. Nowy położył dłoń na zimnej kłamce. Coś jednak kazało mu poczekać. Sekundę później usłyszał głos Melchiora.

– Musimy coś z tym zrobić, panowie posłowie...

Nowy odstąpił od drzwi. Na palcach przesunął się kilka kroków wzdłuż ściany i stanął pod okienkiem. Budynek wciąż miał pełno dziur i szpar, które należało zatkać, by nie marznąć zimą. Przez jedną z nich mężczyzna słuchał teraz rozmowy, która toczyła się między Trzema Królami.

– Jeśli nie wróci, nie będzie sprawy – powiedział Baltazar.

– Nie będzie? – zawiesił głos Kacper. – A może od razu pobiegł na mendy i powiedział, cośmy zrobili? Myślę, że byliby gotowi wybaczyć mu ucieczkę w zamian za takiego niusa.

– Przecież sam brał w tym udział – zauważył Melchior.

– Bezpośrednio nie. Pamiętaj, że nie rzucił zapalki. Jest czysty. No, może nie do końca. Ale i gdyby sam polewał, a potem się do tego przyznał i wyraził skruchę, a przede wszystkim zaczął sypać na psiarni... Chyba nie muszę kończyć?

W jednej chwili gardło Nowego wyschło na wiór. Zdało mu się, że jego twarz nagle znalazła się bardzo blisko źródła ognia.

Wtem rozległo się pukanie. Policja?! Przyłgnął do muru.

– Kto tam? – chciał wiedzieć Baltazar, czyli Tomasz.

– Ja z ogłoszenia – odpowiedział męski głos.

Skrzypnęły otwierane drzwi.

– Słucham? – fuknął niezbyt przyjaźnie Kacper.

– Któryś z panów kontaktował się ze mną wczoraj...

– To ja – odrzekł Leon, zwany Melchiolem. – Nie mówiłem wam, chłopaki, ale zadzwoniłem na numer, który znaleźliśmy wtedy przy Nowym. Pan się zgłosił.

Obiecał gratyfikację – ostatnie słowa były skierowane najprawdopodobniej znów do gościa.

– Gdzie jest w tej chwili ten człowiek? – zapytał nieznajomy.

– Powinien wrócić lada chwila – poinformował go Baltazar.

Przez kilka chwil Nowy nie słyszał nic. Potem któryś z jego byłych kompanów krzyknął:

– Jezus Maria! Co pan robisz!

Odpowiedziały mu dwa głuche klaśnięcia. Potem jeszcze dwa. Za chwilę kolejne trzy. Ciche jęknięcie. Odgłos przewracanego mebla...

Nowy oderwał się od ściany. Zaczął biec. Po kilku krokach potknął się jednak i runął jak długi na tłuźceń. W tym samym momencie coś zaświstało tuż obok niego. Zerwał się i przeskoczył przez tory. Z impetem wpadł w zarośla. Tuż za nim zrobiły to dwie kolejne kule...

* * *

Schody są strome. Ale to nie te same, które prowadzą do mieszkania babci. Nie zakręcają w prawo i nie wykonano ich z drewna. Są betonowe, a obok ciągnie się metalowa balustrada, pomalowana szarą farbą. I skądś wiem, że prowadzą do mojego mieszkania. Wciąż mówię o nim „moje”, choć od dawna już tam nie mieszkam.

Wspinam się z mozołem po kolejnych stopniach. Powinienem być już na kolejnym piętrze i zakręcić, ale wciąż nie jestem. Jednocześnie schody robią się coraz węższe. Gdyby ktoś szedł z góry, mielibyśmy problem z minięciem się.

Już po chwili wiem, że sam będę miał kłopot, ale z dotarciem na górę. Schody nagle się urywają. Zamiast nich ustawiono drabinę, jak w jednym filmie czy serialu o powojennych czasach. Wygląda na solidną, powinna mnie utrzymać, mimo że drży już przy pierwszym kroku. Brnę jednak dalej. Pode mną kilkumetrowa przepaść. Staram się nie patrzeć w dół.

– To ty? – woła z dołu kobiecy głos, który rezonuje echo.

Nie wiem, co odpowiedzieć. Głosu nie poznaję. Gdyby pytanie było skierowane do mnie, dobiegłoby przecież z góry. Dlatego nic nie odpowiadam.

Po kilku chwilach docieram na kolejne piętro. Ktoś ustawił tu rusztowanie. Nie wiem, do czego służy lub służyło. Zaczynam przeciskać się między drewnianymi belkami. Czasem muszę się wspiąć, innym razem mocno schylić, by pokonać przeszkodę. W końcu wychodzę z niego.

Czy to już tu? – pytam sam siebie.

Tak, to ostatnie piętro. Poręcz kończy się na ścianie. Jednak zamiast drzwi, białych z lekko przekrzywioną cyfrą i śladami po tabliczce z nazwiskiem mojej rodziny (chyba nikt już ich nie ma), w murze znajdują się inne drzwi. Owszem, jest klamka i zawiasy, nawet słomianka równo ułożona. Problem w tym, że mają

pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt centymetrów wysokości i dwadzieścia parę szerokości!

Jak mam przez nie przejść?!

Nachylam się i naciskam klamkę. Drzwiczki otwierają się. Klękam na słomiance i pochylam się jeszcze niżej, usiłując zajrzeć do środka, jak w dzieciństwie zaglądałem do psiej budy. Widzę przedpokój, doniczkę, drzwi do salonu. To przecież moje mieszkanie! Kładę się na posadzce i wsuwam głowę głębiej. Czuję na twarzy chłodny powiew przeciągu.

Ktoś kiedyś mówił mi, chyba był to ojciec, że jeśli precyzyjnie się głowa, dalej pójdzie i całe ciało. Usiłuję więc zmieścić w futrynie ramiona. Początkowo mi się to udaje, potem jest jednak trudniej. W pewnym momencie nie mogę ruszyć się ani w jedną, ani w drugą stronę. Zaklinowałem się! Dla kogoś, kto pojawiłby się teraz na korytarzu z niecnymi zamiarami, byłbym łatwym łupem. W jednej chwili oblewa mnie zimny pot...

– Mamo! – wołam z rozpaczą w głąb mieszkania.

Ale nikt mi nie odpowiada. Zaczyna brakować mi tchu, nie tylko z powodu ściśniętej klatki piersiowej. Zaczynam się więc, bezradnie, niczym robak wyciągnięty z ziemi.

Pomaga. Jestem wolny! Zrywam się na równe nogi, choć ciężko mi się na nich utrzymać. Odwracam się, aby zejść w dół po schodach. Tylko że schodów już nie ma. Orientuję się zbyt późno. Tracę równowagę i lecę z krzykiem w dół...

* * *

– Jesteśmy, panie Wasiak.

Otworzył oczy i spojrzał za siebie, w głąb autokaru. Większość podróżujących miała zamknięte oczy. Ktoś pochrapywał. Nic dziwnego, musieli przecież wyjechać o trzeciej w nocy, żeby rano zameldować się tutaj. I do tego być jeszcze w pełni sił, a tych do bicia w bębny, rzucania petard, skandowania na całe gardło „złodzieje, złodzieje!” i kręcenia korbą syreny potrzeba bez wątpienia. Także do niesienia flag i transparentów z żądaniami.

Oto Paweł Wasiak, działacz związkowy, za kilka godzin miał znów poprowadzić ludzi pod siedziby rządzących tym krajem, by wykrzyczeli i wytupali swoje żale, dali upust niezadowoleniu, wyartykułowali gniew. Gdyby ktoś zapytał go, który to już raz, miałby problem z odpowiedzią. Na pewno nie pierwszy i nie ostatni, bo żadna władza nigdy nie zrozumie prostego człowieka...

Wasiak spojrzał w przednią szybę autokaru. Widok, który właśnie się przed nimi otworzył, zawsze wpędzał go w dziwny stan. Szereg lśniących w pierwszych promieniach słońca wieżowców, których za każdym razem było więcej, z jednej strony zachwycał, z drugiej irytował. Choćby dlatego, że to w nich siedzieli ludzie, dla których nie istniał on i tych kilkudziesięciu facetów drzemających w autokarze.

Ale już za kilka godzin znów odczują na własnej skórze, że są. Doświadczą tego, spóźniając się do pracy albo na umówione spotkanie. I potem też, gdy będą spieszyć się na popołudniową randkę albo by odebrać dziecko z przedszkola. Dziś miasto znów stanie, zatrzymane przez kilkanaście tysięcy związkowców. Bo takich autokarów jak ten, który wiozł Pawła Wasiaka i jego ludzi, pojawi się kilkaset.

Póki co jednak kierowca zwolnił, włączył prawy kierunkowskaz i pojazd zatrzymał się.

– Trzy minuty dla natury! – zawołał.

Zaczęli się podnosić z foteli, ten i ów się przeciągnął. Byli jednak zdyscyplinowanymi pasażerami; nie pierwszy raz jechali na demonstrację i bardzo dobrze wiedzieli, że czas trzeba szanować. Kilka sekund później autokar zaczęli więc opuszczać pierwsi związkowcy.

Stali na skraju szosy, kilka metrów za przydrożnym rowem rosły drzewa jakiegoś lasku. Kto bardziej wstydlivy, szedł właśnie tam. Ale większość rozpiłała rozporki na krawędzi rowu.

– Panie Wasiak! – zawołał nagle jeden z tych, którzy poszli sikać dalej; był to jeden z nowych, pierwszy raz miał być z nimi na akcji.

– Co? Szef ma ci potrzytać? – zapytał któryś z szeregu.

– Tutaj ktoś leży...

Tego się nie spodziewali. Ktoś jeszcze zażartował, że to właśnie obraz stolicy, ale pozostałym nie było do śmiechu. Szybko pozapinali spodnie. Już kilku, w tym Paweł Wasiak, przeskoczyło przez rów. Zaszleściło pod kilkunastoma parami stóp.

Pod rozłożystym klonem, częściowo przykryty liśćmi, rzeczywiście leżał kształt ludzki. Czy trup? To można było powiedzieć dopiero po obejrzeniu twarzy, tę jednak, jak i całą głowę, osłaniał jakiś kawał szmaty, który na upartego można było nazwać szalikiem.

– Hej, panie! – Wasiak pochylił się nad leżącym i dotknął, nie bez obrzydzenia, ramienia w czarnym suknie. – Proszę pana! – powtórzył nieco głośniejsze.

Kilkanaście par oczu skupiło się na leżącym w liściach kształcie w oczekiwaniu jakiegokolwiek, najmniejszej nawet oznaki życia. Żeby mieć pewność, wystarczyło dotknąć tętnicy szyjnej, jednak żaden z obecnych tego nie zrobił.

– Nie ma co. Gotowy – mruknął ktoś z dalszym rzędzie.

Paweł Wasiak wyprostował się. Spojrzał na zegarek.

– Tego jeszcze brakowało...

Popatrzyli po sobie. To jasne, że nie mogą tutaj zostawić tego człowieka, niezależnie od tego, czy żyje, czy nie. Stało się. Po cholere leżli tak daleko, żeby się odlać?!

– Trzeba zadzwonić po pogotowie – zaordynował Wasiak. – I po policję...

Wtem leżący drgnął. Kilka listków bukowych posypało się w dół kupki.

– On żyje!

W mgnieniu oka odkopali mężczyznę, ktoś ostrożnie zdjął mu z głowy szalik. Ujrzeni faceta w średnim wieku, normalnego, choć pewnie większość spodziewała się czerwonej, opuchniętej od denaturatu albo w wyniku jej obicia, mordy żula. Ten był tylko nieogolony.

– Nic panu nie jest? – zapytał Wasiak.

– Nie. Zasnąłem tu – odrzekł nieznajomy, który chyba dopiero teraz zaczął odczuwać chłód, bo jego ciało ogarnęły drgawki; słychać było nawet wyraźnie dzwonięcie zębów.

Szybko przynieśli z autokaru gruby, kraciasty koc, owinęli go nim, wreszcie pomogli wstać. Posypały się pytania, ale Wasiak szybko je zgasił. Widać było, że znaleziony w zagajniku mężczyzna potrzebuje teraz nie tylko ciepła, ale i spokoju. Zaprowadzili go do pojazdu.

– Panowie, musimy już jechać! Nie ma czasu! – nawoływał kierowca. – Jeszcze chwila, a nie będziemy mieli gdzie zaparkować.

Nie było innego wyjścia, jak zabrać znalezionego człowieka ze sobą. Było z nim zresztą coraz lepiej. Dostał od kogoś herbaty z termosu, ktoś inny podał mu kanapkę z serem. Dopiero gdy autokar ruszył z miejsca, mężczyzna jakby się ocknął.

– Dokąd my jedziemy? – zapytał z obawą.

– Zmieniać Polskę, proszę pana – odpowiedział z dumą Wasiak, po czym wrócił na miejsce.

– Idziesz z nami... Nowy? – Czyjaś ręka podała mu czerwoną kamizelkę z cienkiego materiału, z jakimś niewiele mówiącym skrótom.

– Pewnie – odpowiedział Nowy, który znów został Nowym, a każdy łyk herbaty i każdy kolejny kęs chleba sprawiał, że czuł się jak nowo narodzony.

Ale zaraz wróciły obrazy minionej nocy. Najpierw biegł. Potykał się i przewracał co chwilę, wiedział jednak, że nie może się zatrzymać. Że człowiek, który strzelał do Kacpra, Melchiora i Baltazara, miał też kule dla niego. Kilka szczęśliwie chybiło uciekiniera, gdy przeskakiwał tory.

Kim był ten człowiek? Melchior mówił, że zadzwonił na numer z kartki. Czyli jednak nie zginęła. Do kogo należał? Nowy chciał się tego dowiedzieć, a jednocześnie nie chciał, bo to, jak widać, oznaczało kłopoty...

Ile wtedy przebiegł i dokąd dobiegł, nie miał pojęcia. Był tak wycieńczony, że w którymś momencie po prostu położył się pod drzewem i zasnął. Budził się kilka razy o brzasku, ale za chwilę znów tracił świadomość. Dopiero, gdy pojawili się ci ludzie w jednakowych kamizelkach...

To cud, że nie zamarzł na tej ziemi!

– Panowie – dobiegł z przodu głos człowieka, który tu rządził.

Uciszyło się. Kierowca wyłączył silnik. Stali w rzędzie innych autokarów.

– Jesteśmy na miejscu – ciągnął Paweł Wasiak. – Proszę o sprawne opuszczenie pojazdu, pobranie flag i transparentów. Następnie przegrupujemy się na miejsce, skąd ruszy nasz pochód. Przypominam najważniejszą zasadę: nie dajemy się sprowokować. Pan premier i minister spraw beznadziejnych tylko na to czekają. Prowokatorzy mogą być wszędzie. Są pytania?

Nie było.

– W razie jakichkolwiek kłopotów zwracacie się o pomoc do kolegów z ochrony – dorzucił jeszcze związkowiec, by dodać ciszej: – Mam nadzieję, że tym razem to miasto zadrży w posadach.

Związkowcy, tak jak im polecono, szybko i sprawnie opuścili autokar. Nowy również wstał z miejsca, ale był to jedyny ruch, jaki wykonał. Dostrzegł to Wasiak.

– Myślałem, że będziemy musieli jechać do szpitala, ale widzę, że jest z pana twardy zawodnik – powiedział wesoło. – Jeśli czuje się pan na siłach, to zapraszam z nami. Każde gardło i para rąk bardzo nam się przyda. To jak? Idzie pan? Jestem Wasiak.

Nowy uściśnął wyciągniętą w jego kierunku dłoń. Związkowiec przez sekundę czekał, aż mężczyzna również się przedstawi. Na szczęście ktoś go zawołał.

Dwie minuty później, ubrany w kamizelkę narzuconą na bosmankę, którą wcześniej obrał z resztek suchych liści, i czapkę z daszkiem w takich samych kolorach co kamizelka, szedł razem z innymi. W ręku trzymał białoczerwoną szturmówkę. Wyła syrena, której wtórowały podniesione głosy, choć było to zaledwie przegrupowanie przed właściwą demonstracją. Wkrótce ich kolumna połączyła się z inną, większą. Od tej chwili częściej stali niż maszerowali. Mimo to żadnego ze związkowców nie opuszczał dobry humor. Sypano dowcipami.

– Wiecie, czym się różni tokarz od balkonu? – zapytał jakiś wielki facet, który dźwigał syrenę. – Balkon utrzyma czteroosobową rodzinę!

Kolumna pokonała zakręt.

– O, już są! – ogłosił ktoś.

Kogo miał na myśli? Tuż za zakrętem stał ogromny wóz bojowy policji z okratowanymi oknami i światłami. Nad kabiną kierowcy umieszczono armatkę wodną.

– Będzie chłodzenie, panowie! – zawołał ten od kawału o balkonie i tokarzu.

Pamiętano o tym, co mówił Wasiak i jemu podobni. Nie pierwszy raz tutaj byli, wiedzieli więc dobrze, że czasami wystarczy iskra, by wzniecić pożar. Mogła być nią wymiana zdań, nie tylko między demonstrującymi a policją czy strażą miejską. A to któryś z kierowców, nie mogąc przejechać, tracił cierpliwość. A to jakiś przechodzień usiłował wtrącić swoje trzy grosze, bo Polak lubi przecież mieć

własne zdanie. Mijali kolejne policyjne patrole i wozy transmisyjne z symbolami stacji telewizyjnych, przed którym stali reporterzy, krzywiąc się przed kamerami.

Wreszcie pochód dotarł na miejsce. Tak przynajmniej Nowy sądził, gdyż zatrzymali się w miejscu na dłużej niż wcześniej, a gdzieś daleko ktoś przemawiał. Przemówienie co chwila przerywały owacje i oklaski, na przemian z gwizdami i buczeniem.

Nowy klaskał, gwizdał i buczał razem ze wszystkimi. Z każdą chwilą czuł coraz większą sympatię dla tych ludzi, choć wciąż nie znał powodów, dla których zdecydowali się wyjść na ulicę. Było coś poruszającego w falującym morzu ludzkich głów, nad którymi łopotały flagi.

W pewnej chwili poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. Obejrzał się. Był to jeden z ludzi z autokaru. Człowiek ten nachylił się nad jego uchem i rzekł:

– Dzięki, Piotr, że mnie... nie poznałeś.

* * *

Czasami niewiele brakowało, by spokojna demonstracja, która miała na celu pokazanie rządzącym, że nie wszystko jest tak pięknie jak w *exposé* kandydata na premiera, zamieniała się w uliczną burdę. Bywało, że jedna petarda więcej rzucona w stronę kordonu albo kolejne ostrzeżenie wypowiedziane przez policyjną krzykaczkę, powodowały lawinę, której nie sposób było już zatrzymać. Nieważne, kto rzucił, swój czy prowokator.

„Za twoim przewodem złączym się z narodem!” – wyśpiewało kilka tysięcy gardeł, choć w ocenie wielu z nich właściwe byłoby słowo „złączym” zastąpić słowem „skończy”.

Śpiew, skandowanie, a nawet oddychanie skutecznie uniemożliwiał dym z petard i płonących opon, których górę demonstrujący rozpalili przed Urzędem Rady Ministrów. Dym mieszał się z gazem łzawiącym, będącym, obok metrowych pał, armatek wodnych i gumowych kul, orężem strony przeciwnej.

– Spokojnie, chłopcy! Trzymamy się razem! Nikt się nie oddała! – wołał do swoich ludzi Paweł Wasiak, kaszląc coraz głośniej.

Gaz robił swoje, dobry, krajowej produkcji, więc związkowcy płakali jak na opłatku u ordynariusza swojej diecezji. Tylko starzy wyjadacze zdążyli w porę osłonić twarze przy pomocy wilgotnych trójkątnych chust w kolorze kamizelek i czapek. Trudno już jednak było utrzymać wcześniejszy szyk. Równie ciężko, a właściwie to nie sposób było powstrzymać tych, którzy do Warszawy przyjechali tylko po to, by z mundurowymi porachować się za poprzednie.

Już któryś, kawał chłopca, trzymał w rękach solidną sztchetę, która wcześniej była pewnie elementem oparcia parkowej ławeczki, bo groźnie wystawały z niej gwoździe. Rzucony przez jego towarzysza blaszany kubeł na śmieci zatoczył łuk nad głowami demonstrantów, ale zamiast osiągnąć celu, upadł

kilka metrów za kordonem policji. Podpalono kukłę, która symbolizowała premiera, choć zaledwie kilka chwil wcześniej spłonęły już dwie, bo przecież żaden z licznych związków zawodowych nie mógł być pod tym względem pokrzywdzony.

Nowy rozglądał się dookoła. Szukał znajomych twarzy. Czuł się coraz bardziej bezradny. Szturmówki nie niósł już dumnie nad głową, tylko ścisnął oburącz kij.

Gdzie podział się ten człowiek, który nazwał mnie Piotrem? – myślał.

Nowy nie poznawał go, nie miał pojęcia, kim jest i skąd się znają, ale było całkiem prawdopodobne, że tamten zna odpowiedzi na wiele pytań. Obiecał, że porozmawiają...

– ZOMO! ZOMO! ZOMO!!! – skandował coraz głośniejsze i coraz bardziej gniewnie chór męskich głosów.

Wybuchła kolejna petarda, niemal pod nogami Nowego. Uskoczył w bok, ale nie udało mu się wylądować na dwóch nogach. Chwila i leżał na mokrym asfalcie. W tym samym momencie usłyszał tupot kilku par ciężkich butów. Przez sekundę czy dwie miał nadzieję, że nikt nie dostrzeże go w gęstym dymie, który rozścielał się wokół niego. Że jest bezpieczny.

Wtedy tuman rozorała ręka trzymająca pałkę, która sięgnęła jego pleców. Krzyknął z bólu i przerażenia. Drugi cios padł z ukosa, a ten, który go zadał, celował w rękę leżącego. Nowy usiłował wstać, ale noga zakończona ciężkim, wysokim buciolem na powrót wbiła go w ziemię. Skulił się, przybierając pozycję embrionu, by ochronić przed kolejnymi ciosami głowę i genitalia.

– Zostaw go! – krzyknął naraz ktoś.

Zafurkotało w powietrzu. Czyjeś ręce chwyciły leżącego pod ramiona i poderwały z ziemi. Nowy był przytomny, mógł poruszać się o własnych siłach, jednak nie mógł nadążyć za tymi, którzy go nieśli i którym widać bardzo się spieszyło.

Kilka chwil później posadzili go na ławce.

– Nic ci nie jest? – zapytali.

Nowego szczypały oczy od gazu. Nic poza tym chyba mu nie dolegało. Nie czuł bólu nawet tam, gdzie trafiła policyjna pałka.

– Nie. W porządku – odpowiedział.

Ktoś troskliwie przemył mu oczy chustką czy może zwilżonym wodą bandażem. Pomogło. Twarz człowieka, który pochylał się nad nim, zyskała ostre kontury.

– Oj, Piter, Piter! – powiedział mężczyzna z nutką przygany.

– Co? – podjął Nowy.

– Mówiłem, że napytasz sobie biedy.

– Kiedy mówiłeś?

– Kilka chwil temu. I wcześniej też.

A więc jednak było jakieś „wcześniej” – pomyślał Nowy.

Widział go już wyraźnie. To był ten sam, który zwrócił się do niego po imieniu, podziękował, że ten go nie poznał. A potem się ulotnił.

– Dlaczego dziękowałeś mi, że cię nie poznałem? – zapytał Nowy.

– O tym jeszcze zdążymy pogadać – odrzekł tamten, po czym rozejrzał się dookoła, jakby w obawie, że ktoś może przysłuchiwać się ich rozmowie; wokół były dziesiątki, a nawet setki ludzi, ale nikt nie interesował się dwoma mężczyznami siedzącymi na ławce, z których żaden nawet nie krwawił.

– Gdzie się podziewałeś przez cały ten czas? – zapytał po chwili znajomy nieznajomy.

W tej samej chwili podszedł do nich jakiś facet ubrany tak jak inni związkowcy. Nieduży, krępy. Czy ten także był w autokarze Pawła Wasiaka?

– Waldek, jesteś – rzucił do tamtego, ten zaś wskazał na Nowego.

– Znalazłem Piotra.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Zenek jestem – przedstawił się przybysz. – Słyszałem o tobie.

Chętnie sam bym coś usłyszał o sobie – zauważył w duchu Piotr-Nowy.

– Dobra, panowie, zwijajmy się stąd. – Waldek zdjął z siebie związkową kamizelkę i cisnął ją do kosza na śmieci; to samo uczynił Zenek.

– A ty na co czekasz? – fuknął ten pierwszy na Nowego. – Związkowcy zafundowali nam podwózkę do stolicy. Pokrzyczeliśmy trochę, pośpiewaliśmy, że „jeszcze nie zginęła”.

– I co?

– I jesteśmy teraz zwyczajnymi turystami.

Nie zatrzymywani przez nikogo opuścili okolicę, w której rozkręcała się, sądząc z częstotliwości wybuchów i głośności syren, coraz większa awantura. Podeszli do placu z rozwidlającymi się ulicami i zeszli w dół po schodach. Na przystanku przy szerokiej alei zatrzymywały się właśnie dwa autobusy. Waldek ruchem głowy wskazał drzwi drugiego z nich.

– Zdążyłeś kupić bilety, Zenek? – zapytał, choć chyba trochę poniewczasie, bo drzwi autobusu zamknęły się z sykiem i pojazd ruszył z przystanku.

Ale Zenek był przygotowany. Ostentacyjnie skasował trzy bilety. Zajęli miejsca. Zbliżało się południe, było po porannym szczycie komunikacyjnym, więc przyspieszony był niemal pusty.

– Dokąd jedziemy? – zapytał milczący dotąd Nowy.

– Jak to dokąd? Do pracy. – Waldek mrugnął porozumiewawczo do siedzącego naprzeciwko Zenka.

– Warszawiacy w pracy, mieszkanie jak na tacy! – zrymował ten.

Nowemu zrobiło się gorąco. Może jeszcze niedawno nie pojąłby, o co chodzi

tym facetom, z których jednego podobno znał, ale za cholerę nie potrafił go sobie przypomnieć. Może jeszcze kilka dni temu zaśmiałyby się z wierszyka. Udał głupiego, naiwnego. Dzisiaj jednak wiedział. Wiedział bardzo dobrze, co za kilka, kilkanaście minut, po wyjściu z autobusu, zrobią ci dwaj mężczyźni. I jaka będzie w tym jego rola.

Czy mam to wypisane na twarzy? – zapytał sam siebie w duchu i pewnie zaraz powtórzyłby to na głos, może nawet wykrzyczał na cały autobus, ale Waldek sięgnął w zanadrze po telefon komórkowy.

– Tak – powiedział do aparatu. – W porządku. Jedziemy. Nie uwierzysz, kogo spotkałem...

Nowy nagle wstał z miejsca i zbliżył się do drzwi. Autobus właśnie zwalniał przed przystankiem.

– Co się dzieje? – Waldek chwycił go za ramię; jego uścisk był bardzo silny. – Źle się czujesz? Będziesz rzygał?

– Tak.

– To pewnie od gazu. Chcesz wyjść?

– Chcę.

Pół minuty później stali na przystanku. Zenek na rozkładzie jazdy sprawdzał, kiedy będzie następny przyspieszony. Nowy usiadł na ławce, ujął głowę w dłonie. Wydawało się, że zaraz zacznie wymiotować, ale tak się nie stało.

– Ja niczego nie pamiętam – westchnął. – Kilkanaście dni temu znaleźli mnie w jakimś parku, nieprzytomnego. Chyba ktoś mnie pobił. Nie wiem, co tam robiłem. Nie wiem też, kim jestem. Ale ludzie, z którymi zetknąłem się przez ten czas, widzą we mnie kogoś, kto potrafi skrzywdzić innego człowieka. Brałem udział w zastraszaniu lokatorów kamienicy, wrzucałem im szczury do mieszkań. Miałem podpalić dom. Czy możesz mi powiedzieć, dlaczego tak się dzieje? Boję się, że w tamtym życiu zrobiłem coś bardzo złego...

Waldek przypatrywał mu się przez dłuższą chwilę.

– Jesteś Piotr – powiedział wreszcie. – Tak mi się przedstawiłeś przed tygodniem.

– A co się stało przed tygodniem?

– Ty i ja wyszliśmy z więzienia...

Rozdział drugi

Łysy odchylił firankę i po raz kolejny wyjrzał na ulicę.

– Ty, Psycholog! – zwrócił się do leżącego na tapczanie mężczyzny lat około czterdziestu.

– Czego? – mruknął ten niechętnie, nie otwierając nawet oczu.

– Powiedz mi, chciałbyś tu mieszkać?

– Tutaj?

– No.

– Na tym wypizdziejwie? W życiu!

– Ale dlaczego? Całkiem ładne miejsce. Cisza, spokój. Do centrum niedaleko, monopolowy pod ręką...

Psycholog łypnął jednym okiem na siedzącego przy oknie kompana. Nic nie powiedział. Tylko ramionami wzruszył, który to gest ciężko było dostrzec w półmroku panującym w niewielkim pokoju, jedynym w mieszkaniu.

W ostatnim zdaniu Łysy trącił czułą strunę. Kto wie, może nawet do tego zmierzała właśnie rozmowa, którą zaczął. Siedzieli tu już trzecią godzinę, a zapowiadało się drugie tyle. Żeby tak chociaż po jednym, schłodzonym piwku! Nikt by się przecież nie dowiedział...

– Czy nie mogą ich wypuszczać o jednej godzinie, co? – mruknął Łysy.

– Amnestię ogłosili jednym dokumentem, ale wypuszczać ich będą długo. Zresztą zapytaj ich, jak chcesz.

– Nigdy nie rozmawiałem z gadem i nie będę – zachnął się mężczyzna siedzący przy oknie.

Psycholog uniósł się na łokciu i spojrzał bykiem na Łysego.

– Jesteś pewien?

– Że nie rozmawiałem, czy że nie będę rozmawiał? – W głosie Łysego coś się zmieniło, jakby zadrżało.

– Że nie... rozmawiasz. Czas terażniejszy.

Łysy przełknął boleśnie ślinę, jakby nagle zmieniła konsystencję z ciekłej na stałą.

– Przecież prawie się nie znamy – drążył Psycholog, siadając. – Pewnie wiesz, że gady i psy przechodzą szybko na emeryturę. Ale z czegoś trzeba żyć, nie?

– Ale... ty... – Łysy przygryzł wargi.

– Patrz lepiej na ulicę, bo znów coś przegapimy – fuknął Psycholog, po czym ostatecznie wstał z miejsca.

Co interesowało tych dwóch mężczyzn? Ktoś, kto przysłuchiwałby się ich

rozmowie (na przykład wścibska sąsiadka zza ściany, bo przecież mieszkanie od dawna stało puste, a tu nagle ktoś, coś!), a przy okazji znał kilka fachowych słówek (tu babsko pewnie niezłe zachodziłoby w głowę), bez problemu domyśliłby się, że była to brama zakładu karnego.

Wszyscy w kilkutysięcznym miasteczku P. doskonale znali to miejsce. Gdy bowiem poupadały niemal wszystkie zakłady pracy w mieście i okolicy, więzienie stało się największym pracodawcą w P. Dostać się tam, najlepiej na koguta, było największym marzeniem chłopaków w wieku poborowym.

– Psycholog – odezwał się naraz Łusy.

– No?

– Chyba coś mam.

Mężczyzna podniósł się z tapczanu, na którym znów zaległ kilka chwil wcześniej. Podszedł do okna, odchylił firankę i wyjrzał na ulicę. Właśnie zamykano drzwi więzienia za niewysokim, korpulentnym mężczyzną. Facet trzymał w ręku reklamówkę z logiem jednego z popularnych hipermarketów. Zatrzymał się kilka metrów za bramą, na skraju chodnika.

– I co? – Łusy spojrział z ukosa na Psychologa.

– Poczekajmy jeszcze chwilę.

Były więzień dłuższą chwilę stał na chodniku i rozglądał się na boki, jakby nie mógł się zdecydować, w którą stronę pójść. Po raz pierwszy od kilku, a może kilkunastu lat miał taki wybór.

– Będzie dobry, mówię ci – naciskał Łusy. – Idziemy?

Psycholog tym razem nic nie powiedział. Przymrużył oczy, jego spojrzenie powędrowało nieco w bok.

– Popatrz – mruknął.

Oto zza zakrętu wyjechał stary opel omega. Zatrąbił kilka razy. Były więzień uniósł rękę. Samochód zatrzymał się przy krawężniku i facet z reklamówką wsiadł do środka. Kilka sekund później nie było po nich żadnego śladu prócz chmury czarnych spalin, unoszących się nad ulicą.

– Skąd wiedziałeś? – zdziwił się Łusy.

– W końcu mówią o mnie Psycholog, nie? – Mężczyzna nie odrywał wzroku od bramy więzienia. – Ten będzie dobry.

Człowiek, który teraz opuścił zakład karny, był sporo młodszy od tamtego. Czarna, nieco wyświechtana skórzana kurtka, sprane džinsy. W rękach nie miał niczego. I właśnie to ostatnie było jednym z najważniejszych kryteriów doboru, które stosował Psycholog. Dopiero więzień bez walizki, plecaka, torby, czy choćby, jak tamten, głupiej reklamówki, był naprawę wolny. I zdecydowany na wszystko, co życie przyniesie.

Psycholog i Łusy byli jednymi z tych, którzy lubili podpowiadać życiu. To była ich praca.

– Idziemy! – rzucił ten pierwszy. – Nie możemy go zgubić.

W kilka sekund opuścili mieszkanie. Kurtki zakładali, zbiegając po schodach. Znalazłszy się na ulicy, Psycholog „miał oko” na więźnia, Łysy zaś pobiegł do samochodu. Wszystko mieli przewidziane w najdrobniejszych szczegółach. A bajer działał prawie zawsze.

Dogonili go kilkadziesiąt metrów za bramą zakładu karnego. Zmierzał w stronę dworca kolejowego. Trzymał ręce w kieszeniach spodni, rozglądał się na boki i nie wyglądał na kogoś, kto bardzo się spieszy. To rokowało dobrze.

Łysy zwolnił, a siedzący na fotelu pasażera Psycholog opuścił szybę.

– Przepraszam pana, jak dojechać do autostrady? – zapytał, starając się, by wypadło rozpaczliwie.

Mężczyzna w wyświechtanej skórzanej kurtce zatrzymał się. Omiótł spojrzeniem samochód, po czym zajrzał do wnętrza.

– Prosto do świateł. – Wskazał ręką kierunek. – Potem w lewo, na kolejnych światłach w prawo. Nie, przepraszam. Na drugich światłach. I nie w prawo, ale w lewo. Do ronda...

Było jasne, że facet nie ma pojęcia, jak jechać. Z jakichś powodów jednak brnie w błagę. Mieli go!

– Oj, nie zapamiętam – niemal zakwilił Łysy.

– A mógłby nam pan pokazać drogę? Oczywiście, jeśli nie byłby to kłopot...

– Psycholog wyszczerzył zęby.

Były więzień podrapał się z zakłopotaniem po głowie, spojrzął na zegarek.

Gra twardego – diagnozował w duchu Psycholog.

– No dobrze – powiedział w końcu, łapiąc za klamkę tylnych drzwi.

Usiadł. Łysy wrzucił jedynkę, ruszyli.

– Strasznie zagmatwane te oznaczenia – skarżył się Psycholog. – Jak nie zapytasz, nie wyjedziesz. A pan do pracy? Mam nadzieję, że nie komplikujemy za bardzo życia?

– Noszę biuro przy sobie. – Facet mrugnął i poklepał się po piersiach, choć akurat nie miał tam żadnej kieszeni. – Dobrze, to teraz na światłach będzie w prawo – instruował kierowcę, choć ten sam sekundę wcześniej dostrzegł zielony drogowskaz.

– A pojechałbym prosto, jak Boga kocham – westchnął Łysy.

– Strasznie zagmatwane te oznaczenia – powtórzył Psycholog, unosząc chusteczkę do ust i nosa, jakby nagle zachciało mu się płakać nad niedociągnięciami systemu dróg w miasteczku P.

Przez kilka chwil wszyscy trzej milczeli. Na następnym skrzyżowaniu kierowca skręcił w prawo, choć nie było żadnej tabliczki, a i pasażer na tylnym siedzeniu nic nie powiedział. Nie powiedział, ponieważ... spał kamiennym snem. System pomysłu Psychologa po raz kolejny zadziałał bezbłędnie: gaz usypiający,

umieszczony w pojemniczku zaszytym w zagłówek, pozbawił przytomności gościa siedzącego na tylnym siedzeniu.

– Gotowy. – Łysy, który też użył nasączonej płynem chustki, odjął ją od twarzy, otworzył okno i już obiema rękami trzymał kierownicę.

Wyjechali już przecież na wylotówkę i można było silniej nacisnąć na, nomen omen, gaz.

– To teraz jak najszybciej na stół z nim – rzucił Psycholog, obejrzawszy się jeszcze raz przez ramię, by upewnić się, że ofiara śpi.

Kiedyś próbował liczyć, ilu ich było. Ludzi wracających do życia, o których najprawdopodobniej nikt się nie upomni, nikt nie będzie szukał. Ale szybko przestał. Bo po co? Lepiej było szybko zapomnieć, wrócić wieczorem do rodziny, poczytać dzieciom na dobranoc. Potem, głównie w nocy, czasami nachodziły Psychologa wątpliwości, czy to, co robił za dnia, zrobił... należycie. Czy nikt ich aby nie widział, nie spisał numerów samochodu. Brał wtedy tabletki na sen i pomagało.

Zadzwoił telefon. Łysy wyciągnął aparat z wewnętrznej kieszeni kurtki i podał siedzącemu obok.

– To boss. Pogadasz?

– Dlaczego ja?

– Nie mam słuchawki ani głośnomówiącego. Nie chcę prowokować psiarni.

Psycholog rozmawiał z bossem dopiero kilka razy. Dwa, może trzy. I tylko raz przez telefon. Lubił jednak bezpośrednie kontakty. Odczekał jeszcze jeden sygnał, zanim odebrał.

– Dzień dobry. Psycholog z tej strony. Tak. Mamy towar – mówił z krótkimi przerwami.

Łysy wrzucił piąty bieg. W lusterku wstecznym spojrzął na leżącego na tylnym siedzeniu człowieka. Pomyślał, że może należałoby go przypiąć pasami bezpieczeństwa. Był przecież cenny, choć pewnie sam, w swojej świadomości drobnego złodziejaska, malwersanta czy za co tam go do pierdła wsadzili, nie zdawał sobie z tego sprawy.

– Dobrze. Za niecałą godzinę będziemy z towarem – zakończył rozmowę Psycholog.

* * *

– A ja bym żadnego autostopowicza nie wziął.

– Nawet panienki?

– Nawet panienki. A może to facet przebrany? Mało tych zboczeńców po świecie chodzi? A nawet jak już kobita, to może jaka morderczyni. Sam wiesz, do czego one są zdolne. Przypomnij sobie Piotrowską. Albo tę, Kmieciak Aldonę. A wy jak sądzicie, chłopaki? – Starszy krępy mężczyzna spojrzął na siedzących po

przeciwnej stronie dwóch młodych, czarnowłosych mężczyzn, bardzo do siebie podobnych; wyglądali jak bracia.

Jeden spojrzął na drugiego, ten zaś wzdął policzki. Żadna odpowiedź nie padła.

– Dobra. – Stary machnął lekceważąco ręką. – Co jeszcze zjecie? Jacek? Konrad?

– Jesteśmy pełni, pułkowniku – odparł jeden z braci, chwytając się oburącz za brzuch.

– Jesteście reko... rekonwalescentami – wypowiedzenie tego słowa kosztowało człowieka nazwanego pułkownikiem nieco wysiłku, ale sobie poradził – więc musicie dbać o dietę. Poza tym comiesięczna kolacja w gronie współpracowników to też obowiązek. Miły, ale obowiązek. To co? Bo kelnerka właśnie idzie.

Istotnie, do ich stolika zmierzała ładna dziewczyna w białej bluzce i czarnej spódniczce. Uwagi na jej temat panowie zdążyli już wymienić wcześniej, zaraz po tym, jak zajęli miejsca przy stoliku restauracji przydrożnego zajazdu. Mimo że miejsce było znacznie oddalone od centrum miasta, szef lubił je bardzo, ponieważ serwowano tu przepyszne pierogi i golonkę w piwie. Te dwa dania zamówili zresztą od razu. Nic więc dziwnego, że byli syci i niczego już nie chcieli, szef też.

– Coś jeszcze podać? – zapytała dziewczyna z uśmiechem, który podobał się bardzo wszystkim siedzącym przy stoliku.

– Rachunek poprosimy – powiedział milczący dotąd mężczyzna z wąsami.

Dziewczyna odeszła. Zapanowała cisza. Rzeczywiście, był najwyższy czas, aby zakończyć kolację. Za oknami było już ciemno.

– O kurwa! – rzucił naraz jeden z braci, po czym spojrzął na mężczyznę w okularach. – Czy to nie oni weszli nam wtedy w paradę? – Ruchem głowy wskazał na wchodzących do sali dwóch mężczyzn; jeden z nich był łysy, drugi siwiejący, bardzo wysoki.

Siedzący przy stoliku obejrzelisi się, ale uczynili to bardzo dyskretnie.

– Masz na myśli to, co ja mam na myśli? – chciał wiedzieć drugi brat.

Tamten skinął głową. W ostatnim czasie tylko jeden raz ktoś im zaszkodził. Stary wciąż miał o to pretensje, chociaż dziś na szczęście nie wspomniał o tym ani słowem. Na kolacji, która rzeczywiście odbywała się co miesiąc, choć za każdym razem w innym składzie, miało być miło.

– Jesteś pewien?

– Będę, jak zobaczę ich gąbłotę. Chodź.

Bracia wstali od stołu i spokojnym krokiem opuścili salę.

– Oby to była prawda – mruknął pułkownik.

Tymczasem Łysy i Psycholog, zamówiwszy coś na szybko przy barze, każdy z butelką wody i szklanką w rękach, zajęli stolik przy oknie. Było stamtąd widać

parking i szosę. Przez cały czas popatrywali w tamtym kierunku, jakby zostawili nie samochód, tylko niezabezpieczone w żaden sposób rowery. Jak się po chwili okazało, nie bez powodu.

– Pułkowniku, to te obszcymury sprzątnęły nam Piotra sprzed nosa – relacjonował Jacek po powrocie. – Jestem pewien. Rozpoznałem samochód. Granatowe volvo kombi, z tymi wieśniackimi drewnianymi wstawkami na drzwiach. Wyjątkowa ohyda...

– Do rzeczy – przerwał mu stary.

– W środku ktoś śpi – dokończył Konrad.

Spojrzeni po sobie.

– Dobra, załatwimy to. – Wąsaty zatarł dłonie. – Wychodzimy. Tylko spokojnie. Nie mogą się zorientować. Drugi raz byłoby to niewskazane... – mruknął.

Po czym wszyscy czterej amatorzy pierogów i golonki w piwie spokojnym krokiem opuścili salę restauracji. Jeden z nich, stary, kulał.

Niecały kwadrans później lokal opuścili także Łysy i Psycholog.

– Mam nadzieję, że się nie obudził – rzucił ten pierwszy.

– Spokojna twoja łysina – mruknął drugi. – Dostał końską dawkę. Będzie spał do rana.

Ledwo znaleźli się na zewnątrz, drogę zastąpiło ich dwóch młodych mężczyzn.

– Ty, Łysy, zamówiłeś tylko wodę mineralną, bo mi się w oczach dwoi – rzucił półgębkiem Psycholog.

Mógł sobie na to pozwolić, przerastał bowiem każdego z tamtych dwóch niemal o głowę. Bywało, że różne szumowiny wchodziły im w drogę. Albo któryś z tych, co ich na łebka wieźli, nagle się budził i dalej z pięściami. Wtedy trzeba było się uciekać do mało eleganckich metod. Psycholog i Łysy byli do tego przyzwyczajeni.

– Ktoś chciałby z panami porozmawiać – powiedział jeden z braci, po czym wskazał drogę.

– Ale my, kurwa, nie mamy ochoty rozmawiać z nim – warknął Łysy, ostentacyjnie żując gumę.

Spojrzał przy tym nieopatrznie w bok; coś ściągnęło jego uwagę, choć tylko na krótką chwilę. To jednak wystarczyło, by jeden z braci zdołał go zaskoczyć silnym i precyzyjnym ciosem w żołądek. Łysy jęknął, zgiął się w pół. Wtedy napastnik zadał kolejny cios, tym razem kolanem, rozbijając nos przeciwnikowi.

Psycholog przyglądał się temu bez słowa, bez najmniejszego ruchu. Jemu z kolei przyglądał się drugi z braci. Był spokojny, może dlatego, że w ręku trzymał pistolet wycelowany w brzuch Psychologa.

– Pójdziemy, tak? – rzekł niegłośno, wskazując kierunek lufą, jak przed

chwilą głową.

Tym razem Psycholog posłuchał i podreptał wraz z Łysym – który trzymał się jedną ręką za brzuch, a drugą za nos – na tyły zajazdu. Minęli pracownika kuchni, który właśnie wyrzucał do pojemnika cały kosz spożywczych odpadków: obierków, skorupki i zbędnej zieleniny. Ten otaksował idących, po czym błyskawicznie zniknął w budynku.

Starszy mężczyzna stał przy otwartych drzwiach terenowego samochodu. Bez zbędnych wstępów, zanim jeszcze pochód zdążył się zatrzymać, zaczął mówić do Psychologa:

– Nie będę się przedstawiał, ponieważ nigdy więcej się nie spotkamy. Chcielibyśmy się tylko dowiedzieć, co zrobiliście z pewnym człowiekiem, który wsiadł do waszego samochodu pod więzieniem w P. jakiś tydzień temu.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi – odparł Psycholog; wbiłby tamtego bez trudu pięścią w ziemię, gdyby nie towarzystwo.

– Czyli nie dogadamy się po dobroci – westchnął pułkownik. – Szkoda, bo to miał być wieczór relaksu. Staram się nie pracować po godzinach. Przyjechałem aż tutaj ze współpracownikami, ponieważ podają w tym miejscu wyśmienite pierogi i golonkę. Jeśli pan nie próbował, proszę koniecznie to zrobić przy najbliższej okazji...

– Mam w dupie ciebie i twoje pedalskie pierogi, ubeku! – Łysy niespodziewanie odzyskał głos.

To musiało kosztować. Ledwo wybrzmiała obelga, rozległ się krzyk. Łysy, uderzony kijem baseballowym w zgięcie pod kolanami, padł na nie niczym grzesznik przed ołtarzem. Jednak na Psychologu znów nie wywarło to wrażenia. Odsunął się nawet od leżącego, jakby w obawie, że ten może mu obrzygać lub, co gorsza, zapaprać krwią nogawki.

– Widzę, że będziemy musieli pogadać inaczej – powiedział pułkownik niezmiennym ani trochę głosem.

W tym samym momencie rozległ się dzwonek telefonu. Mężczyzna niespiesznie sięgnął w zanadrze.

– Fundacja, słucham...

* * *

– Bogdan.

– Co?

– Myślisz, że przesadziliśmy z tamtymi dwoma śmieciami?

Mężczyzna nazwany Bogdanem chrząknął. Nie była to jednak ani oznaka zakłopotania wywołanego pytaniem, ani tym bardziej zniecierpliwienia. Dobrze wiedzieli, co robią, wywożąc Łysego i Psychologa (takie podali personalia) do lasu, ledwo kilkaset metrów od zajazdu.

Tam kazali im okopywać się przy pomocy łopatek saperskich do pozycji stojącej, co było starym sposobem na zbyt pyskatych poborowych. Bogdan Karcz był bowiem emerytowanym pułkownikiem, ale nie niegdysiejszej służby bezpieczeństwa, o co w ataku złości oskarżył go Łysy, ale Wojska Polskiego. Pamiątką ze służby była noga, która po złamaniu w wyniku wypadku nie wróciła nigdy do dawnej sprawności. Wąsaty druż pułkownika nazywał się Andrzej Pełczyński i karierę w armii zakończył w stopniu majora.

– Myślę, że jezuici nie postąpiliby lepiej – odrzekł Karcz.

Ziemia była twarda jak kamień, więc zadanie nie należało do łatwych. Obaj pojmani poddali się i zaczęli śpiewać gdzieś na granicy trzydziestu, może czterdziestu centymetrów. Należeli do zorganizowanej grupy przestępczej, która zajmowała się porywaniem ludzi dla... narządów do przeszczepu. Najbardziej popularne były nerki i wątroba. Ludzie ci nie chcieli zabijać, co więcej – po każdym zabiegu zostawiali przy delikwencie kartkę z informacją, co mu wycięto, i radą, by niezwłocznie udał się do lekarza.

– Wpadłbyś na taki pomysł, co? – zapytał stary.

– Mojej wątroby nie polecałbym nawet najgorszemu wrogowi – zaśmiał się wąsacz, szybko jednak spoważniał. – Ostatnie skurwysyństwo. Do czego ludzie potrafią być zdolni...

– Tak, świat się kończy.

Bandyci wykorzystali amnestię i fakt, że nie wszyscy z więźniów, którzy masowo opuszczali zakłady penitencjarne w całym kraju, mieli dokąd pójść. A nawet jeśli mieli, to nie za bardzo chcieli. Albo chcieli przedłużyć chwilę wolności między jednym kieratem, którego symbolem był oddziałowy, a drugim w postaci przedwcześnie starzejącej się żony.

W ten właśnie sposób w ich volvo znalazł się poszukiwany od dwóch tygodni przez Karcza i jego ludzi człowiek.

– Myślisz, że nie kłamali? – zapytał Pełczyński.

– Nie wiem.

Według relacji bandytów człowiek, którego opisano, uciekł. Obudził się po prostu zbyt wcześnie, otworzył niezabezpieczone drzwiczki samochodu i wyskoczył z niego na jednym ze skrzyżowań. Po czym przepadł jak kamień w wodę. Nie, nie zdążył trafić na stół, co obaj porywacze przysięgali, bijąc się w piersi i nie wstydząc się łez, a raczej tego, że widzi je ten drugi.

– Mam nadzieję, że naprawdę niczego mu nie wycięli – westchnął pułkownik Karcz.

O tym, co działo się potem z ich niedoszłą ofiarą, Łysy i Psycholog nie mieli pojęcia.

Andrzej Pełczyński i Bogdan Karcz, w przeciwieństwie do nich wiedzieli, że tamten żyje. Wszak ich ludzie byli już bardzo blisko niego, ale wtedy znów szyki

popsuł im pech. Chodziło im bardziej o złapanie jakiegokolwiek tropu, który mógłby poprowadzić ich dalej. Jedyne, co mogli zrobić, to dać naukę bandytom, bo przecież tej nigdy za wiele. A porwanego przez nich byłego więźnia z P. uwolnić, a wcześniej dobudzić. I, w razie konieczności, wezwać pogotowie. Oczywiście anonimowo.

Tym ostatnim zajęli się ich ludzie. Łysego i Psychologa, których początkowo naprawdę planowali zakopać w ziemi po szyję, bo wtedy zupełnie inaczej się rozmawia, zostawili w lesie, przywiązanych do drzewa przy pomocy ich własnej linki holowniczej z volvo. I choć tamci wołali i błagali, żeby ich uwolnić, niczym sztubacy obiecywali poprawę, a nawet pieniądze, Pełczyński i Karcz w milczeniu odeszli do samochodu.

Spieszyli się, czego powodem był telefon, który pułkownik odebrał na parkingu na tyłach zajazdu. Była to wiadomość o znalezieniu w górach człowieka o nieustalonej tożsamości. Nie miał przy sobie żadnych dokumentów, a kontakt z nim był niemożliwy. Poza tym delikwent odmroził sobie stopy. Właśnie ważył się ich los. Pokazali go w telewizji, w którymś z wieczornych programów informacyjnych. Zaraz rozdzwoniły się telefony od ludzi, którzy rzekomo znali odnalezionego człowieka lub przynajmniej tak im się wydawało. Telefonowano zarówno do telewizji, jak i bezpośrednio do szpitala, w którym umieszczono pana NN.

To, co powiedział jeden z rozmówców, zaintrygowało lekarza, należącego do zespołu zajmującego się znalezionym w górach mężczyzną. Lekarz znał się z Karczem i wiedział, czym ten się ostatnio zajmuje. Wystarczył jeden telefon, by podjęli decyzję.

- Tylko co on, kurwa, robił w górach? – zastanawiał się głośno pułkownik.
- Jeśli to on – bąknął Pełczyński.
- Rysopis się zgadza.
- Może chciał odetchnąć świeżym górskim powietrzem?
- A przy okazji skoczyć na główkę z Mnicha...

Pół godziny później zaparkowali pod szpitalem. Karcz zadzwonił do człowieka, który kilkanaście godzin wcześniej skomplikował mu życie.

- Tak, drugie piętro. Za chwilę jesteśmy. – Rozłączył się.

Przed wejściem na OIOM czekał na nich lekarz. On też, sądząc z wyglądu, miał za sobą nieprzespaną noc.

- Niestety, nie zdołamy uratować jego stóp – oznajmił zaraz po powitaniu.
- Kurwa – zaklął pod nosem stary.
- A jak twoja noga? – Lekarz po chwili spojrzał w dół.
- Podobnie – odburknął Karcz.

Nałożyli na ramiona ochronne pelerynki i ruszyli korytarzem oddziału. Zatrzymali po kilkunastu krokach, pod przedostatnimi drzwiami.

– Będziecie mogli obejrzeć go tylko przez okienko – zastrzegł lekarz.

Zbliżyli się do szyby. Kilka metrów dalej na szpitalnym łóżku leżał człowiek. Pustym wzrokiem patrzył przed siebie.

– To nie on. – Pułkownik Bogdan Karcz odetchnął z ulgą.

* * *

– Jak się dostać do P.? Najlepiej... kogoś zabić!

Buchnęli śmiechem nawet ci, na których twarzach nikt dawno nie widział niczego poza grymasem cierpienia czy zniechęcenia do życia, które wiedli.

– Choć to jeszcze nie gwarantuje, że dostaniesz się za mur – dodał uczenie dowcipniś, rudy Marian, z którym Piotr-Nowy rozmawiał od kilku chwil i któremu zadał nieopatrznie pytanie, widać jedno za dużo. Zrobił to w zaufaniu, Marian wyglądał mu bowiem na takiego, co zna życie.

– Nie rozumiem – rzekł słabym głosem Piotr.

– Istnieje obawa, że dostaniesz wyrok w zawiasach. Żeby mieć pewność, że trafisz za kratki, musisz... ukraść w sklepie batonik. Najlepiej taki za zeta.

W pokryty zaciekami sufit świetlicy uderzyła ponowna salwa śmiechu. Piotr przyłączył się, ale bardziej dla towarzystwa. Nie rozumiał, na czym ma polegać dowcip. Nie, nie zapyta o to. Pytanie o P. też będzie chyba musiał jakoś obrócić w żart. Jeśli będą zbyt dociekliwi. Ale na szczęście nikt go o to nie pytał, nie drażył, bo właśnie zaczęły się pierwsze wieczorne wiadomości. Pierwsze, albowiem oglądano tu ciurkiem wszystkie po kolei. Rozmowy przycichły. Był to wszak swego rodzaju rytuał.

Piotr siedział w kącie świetlicy noclegowni, gdzie trafił wczoraj późnym wieczorem. Jak inni spoglądał w ekran telewizora, który był najważniejszym elementem wyposażenia świetlicy. Nie docierały jednak do niego słowa wypowiedane przez kolejnych prezenterów i dziennikarzy trzymających mikrofony, polityków, ani zwykłych ludzi, którym przydarzyło się coś bardzo złego, bo inaczej nie stałoby przed kamerą.

Wrócił myślami do poprzedniego dnia. I tego, co powiedział mu Waldek, jeden ze związkowców, jak się okazało, farbowany. Z początku nie chciał uwierzyć słowom człowieka, który wraz z innym miał zamiar za chwilę włamać się do czyjegoś mieszkania, a może nawet do kilku. Niestety, tamten nie miał powodów, by kłamać.

Tydzień temu, na mocy ogłoszonego programu wietrzenia polskich więzień, obaj zameldowali się przy bramie, gotowi do wyjścia. Znali się tylko ze spacerniaka, rozmawiali może ze dwa razy, chociaż nigdy o tym, za co który siedział, jak długo i ile jeszcze zostało do końca kary. Waldemar. Piotr. Tylko tyle.

Okazja do pogłębienia znajomości nadarzyła się przy wyjściu. Los – a może dyrektor zakładu karnego w P. – chciał, że mieli razem opuścić więzienie. Ale

formalności w przypadku Waldka nieoczekiwanie się przedłużyły. Czegoś tam zabrakło, pieczętki czy podpisu na obiegowce. A gdy ten wreszcie wyszedł za bramę, Piotra już nie było.

– Ale się hajcuje, o w mordę! – zawołał któryś, chyba znów był to rudy Marian, czemu towarzyszyło kilka kłaśnień w dłonie, jak na dobrym meczu.

Piotr, który od paru chwil siedział ze wzrokiem wbitym w podłogę, podniósł głowę i spojrzał na telewizor. Jakiś mężczyzna w czarnej kurtce z żółtymi wstawkami mówił do kamery. W tle widać było wozy strażackie i uwijających się przy nich ludzi. Dopiero po chwili pokazano powód ich działań.

– O w mordę... – wyrwało mu się.

Aż się złapał za głowę. Szybko jednak opuścił ręce, rozejrzał się na boki. Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Za chwilę w wiadomościach doniosą o kolejnych zabójstwach dzieci, przekrętach finansowych na niewyobrażalną skalę czy decyzjach rządzących. Żaden z ludzi siedzących w świetlicy noclegowni nie będzie sobie zaprzętał głowy spalonym doszczętnie budynkiem w pobliżu torów kolejowych, najpewniej opuszczonym.

Nie był opuszczony. Piotr planował, że wróci tam, skąd uciekł. A nuż któryś z ludzi, którzy kiedyś uratowali mu życie, potrzebował pomocy? Przecież tak naprawdę nie widział, co się z nimi stało. Może tamten człowiek strzelał tylko na postrach...

– Dobra, za chwilę będzie sport. Zróbcie głośniej! – zawołał któryś z mieszkańców noclegowni; trochę to trwało, bo zapodział się pilot od telewizora, ale już po chwili uczyniono zadość tej prośbie.

Wtedy, na przystanku, Piotr wysłuchał cierpliwie wszystkiego, co miał mu do powiedzenia Waldek. Ten z kolei miał nadzieję, że teraz wszyscy trzej udadzą się wreszcie na robotę, czas przecież mijał, a do namierzonych wcześniej lokali ktoś mógł wrócić.

Ale Piotr odmówił udziału we włamaniu. Bał się co prawda, że zdenerwuje tym mężczyznę, ale kolejna jazda po bandzie nie wchodziła w grę. Na szczęście Waldemar nie nalegał. Powiedział, że rozumie. Tak naprawdę chyba jednak uznał dawnego towarzysza ze spacerniaka za kogoś, kto w wyniku pobicia być może stracił pamięć, ale na pewno rozum. A gdyby poszedł na psiarnię, by się wygadać, nikt nie dałby mu wiary. Tak czy inaczej, nie mogli sobie więcej pomóc.

– Ale dostaniemy w dupę – skomentował któryś wiadomość o sparingu narodowej reprezentacji w piłkę nożną przed kolejnymi eliminacjami do mistrzostw kontynentu.

Piotr cieszył się, że tu trafił. Przedwczoraj wrócił do centrum i próbował odszukać autokar związkowców. Tam jednak trwała już regularna bitwa z policją. Dostać się za kordon było rzeczą niemożliwą, a i wytrzymać w miejscu, gdzie nie było widać nic prócz dymu, pewnie też.

Cały dzień włóczył się po mieście. Odpoczywał na przystankach i na parkowych ławeczkach. Na szczęście nie było bardzo zimno. Potem przyszedł wieczór, więc w poszukiwaniu ciepła trafił na dworzec kolejowy. Tam na Piotra zwrócił uwagę jakiś młody człowiek z brodą i identyfikatorem na szyi. Zaczął wypytywać, a on nie miał sił, by odejść. Wtedy dostał adres noclegowni dla bezdomnych wraz z mapką.

Na miejscu obyło się bez zbędnych formalności. Skłamał, że ukradli mu dowód osobisty, a w kwestionariuszu, który dostał do wypełnienia, bez zastanowienia wpisał zmyślane personalia. Przydzielono mu łóżko w dwudziestoosobowej sali. Prawie wszystkie prycze były zajęte. Na ich wezłowiach i oparciach krzeseł, na kaloryferach i sznurze łączącym przeciwległe rogi pomieszczenia, suszyły się ręczniki i ubrania.

Wtedy poczuł smród. Ciężki, gryzący, niepodobny do żadnego innego. Każdy człowiek na jego miejscu zapragnąłby uciec stamtąd jak najszybciej. Ale Piotr i z tego był rad. Oznaczało to przecież, że wracają mu zmysły. I jak odzyskał węch, tak być może już niedługo przypomni sobie, kim jest. Zasnął więc wczoraj w ciągu chwili, jakby go wrzucili do głębokiej studni.

– No, panowie, jutro plaża. Odkrywamy golenie! – rudy Marian z właściwą sobie rubasnością zareagował na przedstawianą właśnie prognozę pogody, całkiem optymistyczną jak na tę porę roku.

Rozległ się sygnał kończący wiadomości, wyjątkowo głośny, bo nie ściszonego odbiornika po sporcie. Ktoś, komu wystarczyło ich na ten wieczór, wstawał z krzeseł. Za chwilę znajdowało ono amatora choćby bloku reklamowego, gdzie pokazywano inne życie.

Piotr wciąż nie wiedział, do czego miałby tęsknić. Znał tylko swoje imię i dowiedział się tyle, że ostatnie miesiące, a może lata, spędził za kratami. To nie napawało optymizmem. Obawa, która męczyła go od pewnego czasu, potwierdzała się. Zrobił coś złego. Nie wiedział tylko, co to było...

– Chcesz pojechać do P.? – zapytał ktoś znienacka.

Odwrócił się. Stał nad nim mężczyzna w średnim wieku, miał przekrwione oczy, zapadnięte policzki i siwiejącą, hiszpańską bródkę. Piotr nie zdążył jeszcze poznać wszystkich mieszkańców przybytku, byłoby to zresztą niewykonalne, bo wciąż trwał tu ruch. Jedni przychodzili, inni opuszczali to miejsce. Między innymi z powodu kategorycznego zakazu picia alkoholu.

– Tak – odpowiedział, mimo że kilka chwil wcześniej planował obrócić wszystko w żart.

To jedyne wyjście, żeby się czegokolwiek dowiedzieć – wytłumaczył sam siebie w duchu.

– To może jutro. Jeśli oczywiście masz czas. – Nieznajomy mrugnął.

– Mam.

– W takim razie o siódmej. – Facet odwrócił się i wyszedł ze świetlicy.

* * *

Siedział na ławce przed noclegownią z twarzą zwróconą do słońca, które – mimo że ledwo dźwignęło się znad horyzontu – już grzało. Palił papierosa. Oczy miał przymknięte, ale gdy tylko Piotr pojawił się w drzwiach baraku, cmoknął i pogładził hiszpańską bródkę.

– Punktualny jesteś – rzucił półgębkiem.

– Dzień dobry – przywitał się Piotr.

– Taki będzie. Musimy tylko w to wierzyć. Nawet późnym wieczorem! – Mężczyzna pstryknął niedopałkiem w krzaki głogu, wyprostował się. – Gotowy do drogi?

Piotr dopiął ostatni guzik bosmanki i skinął głową.

– Ale żeby była jasność – powiedział po kilkunastu krokach, starając się, żeby wypadło to w miarę grzecznie. – Robię uczciwie.

Mężczyzna spojrzał na niego z ukosa.

– Się wie. Spokojna głowa.

Mówili na niego Kazek. Piotr zapytał o to jeszcze wczorajszego wieczora. Kazek nie był stałym bywalcem noclegowni. Korzystał z niej zawsze maksymalnie przez dwie doby, a potem znikał. Bywało, że nie pojawiał się przez wiele tygodni. Nikt nie wiedział, czym się zajmuje. Stąd też obawy Piotra.

Kazek również zdążył zapytać o nowego mieszkańca tu i ówdzie. Wiedział o jego amnezji. Nie przeszkadzało mu to. Co więcej, postanowił od razu zagrać w otwarte karty.

– Siedziałeś w P.? – zapytał.

– Po co pytasz, skoro wiesz? – mruknął Piotr.

– Po prostu krępuje mnie cisza. Ale skoro nie chcesz gadać, nie ma problemu.

Dotarli do dworca kolejowego, na którym Piotr dostał wczoraj adres przytuliska. Domyślał się, że do P. dotrą podmiejskim pociągiem. Zdziwił się jednak i zaniepokoił, gdy minęli rząd kas biletowych i skierowali kroki od razu na perony.

– Kolejka będzie za pięć minut – ogłosił Kazek na chwilę przed tym, jak uczynił to głos kobiety-mutanta w dworcowych megafonach.

Na peronie panowała zwyczajna, codzienna gorączka. Był ranek, więc ludzie spieszyli się do pracy, szkół i na uczelnie. Znikali tłumnie w gardzielach przejść podziemnych, które za chwilę oddawały jeszcze większą czeredę. Tłum był cichy, niemal pokorny. Jedynie tu i ówdzie ktoś rozmawiał z idącym obok. Albo, co było częstszym obrazkiem, przez telefon.

– Że też ludzie mają zdrowie tak pierdolić od bladego świtu! – Kazek kręcił

głową z politowaniem.

Piotr nijak na to nie odpowiedział. Niemal przez pół nocy leżał na pryczy, patrzył w sufit i zastanawiał się, co zrobi, gdy już stanie przed bramą zakładu karnego. Jak zareagują strażnicy na widok byłego osadzonego? Chyba nie zamkną go znowu?

Nadjechał pociąg. Otworzono drzwi, z których wysypały się kolejne setki wyrobników. Kazek i Piotr przeczekali, aż tłum opuści skład, po czym wraz z innymi, którzy tutaj zaczynali swą podróż, weszli do środka. Bez trudu udało im się zająć miejsca siedzące. Kilka chwil później rozległo się ostrzegawcze buczenie i pociąg ruszył.

Lekkie szarpnięcie, wibracje spowodowane przez toczenie się kół po szynach, a najpewniej wszystko razem spowodowało, że Piotr poczuł się lepiej. Od chwili, gdy otworzył oczy w tym nowym życiu, ani razu nie jechał pociągiem. A przecież widywał je często, gdy mieszkał na bazie.

– Ty, patrz, jaka Kambodża! – Kazek dotknął szyby niezbyt czystym palcem wskazującym.

Piotr spojrział za okno. W pierwszym odruchu chciał odwrócić wzrok, ale ciekawość zwyciężyła. Miejsce, o którym ledwo chwilę wcześniej pomyślał, właśnie przesuwało się przed jego oczami. Baza nie miała dachu, a jej ściany były okopcone. Przed drzwiami leżał stos doszczętnie spalonych kawałków drewna, w których rozpoznał łóżka i stół. Wokół nie było nikogo, a on wciąż nie miał pewności, co stało się z Kacprem, Melchiorem i Baltazarem...

– Słyszałem o tym pożarze – mruknął Kazek, gdy spalony budynek zniknął za zakrętem, a pociąg przyspieszył.

Przyspieszyło też serce Piotra. Czy czegoś się dowie?

– Ktoś ucierpiał? – zapytał nieswoim głosem.

Nie doczekał się jednak odpowiedzi, bowiem rozsunęły się drzwi i w tej części wagonu pojawił się konduktor. Siedzieli tuż przy wejściu, więc to ich poprosił jako pierwszych o bilety.

– Dwa studenckie. – Kazek wyciągnął w kierunku konduktora rękę ze zwiniętym banknotem; trudno było rozpoznać nominał, bowiem transakcja trwała bardzo krótko.

– Bilety do kontroli proszę. – Mężczyzna był już przy następnej parze siedzeń.

Kazek rozparł się jak basza, splótł palce rąk na brzuchu. Przez kilka chwil spoglądał przekrwionymi oczami na siedzącego naprzeciwko mężczyznę. Ten miał inny problem niż jeszcze kilkanaście sekund temu. Właśnie stał się dłużnikiem Kazka. Ile był winien? Odczekał jeszcze parę chwil, aż konduktor się oddali, i zapytał o to.

– Jakoś się dogadamy – odpowiedział Kazek, głaszcząc znów siwiejącą,

hiszpańską bródkę. – Jak Polak z Polakiem.

Piotr rozpiął do końca bosmankę. Spojrzał za okno, na umykające coraz szybciej drzewa. Co teraz będzie musiał zrobić? Oszukiwał i nękał, miał podpalać i kraść. Co zrobi dzisiaj? Może zabije człowieka? Ciekawe tylko, po raz który...

W jednej chwili pożałował, że zaufał Kazkowi i dał się namówić na tę wyprawę. Przecież przy odrobinie zachodu sam by trafił do P. Pieniądze na bilet też mógłby od kogoś pożyczyć albo po prostu zarobić. Słyszał, że raz na parę dni w noclegowni zjawiają się ludzie, którzy oferują robotę. Dorywczą, za grosze, ale legalną. Na bilet w tę i z powrotem na pewno by starczyło.

Wstał z miejsca. Kazek zareagował od razu.

– Dokąd idziesz?

– Do kibla – odrzekł Piotr twardo, spoglądając z góry na tamtego. – Mogę?

– Pewnie.

Rozsunął drzwi. W najbliższym przedsionku nie znalazł drzwi do toalety. Poszedł więc dalej, walcząc z przeciążeniami, pociąg pokonywał bowiem zakręty i stukał na rozjazdach. W kolejnym przedsionku dostrzegł kilka osób, dwóch mężczyzn i kobietę. Była młoda i ładna, dobrze ubrana. W ręku trzymała skórzaną torbę.

– Powtarzam panom jeszcze raz, że mam bilet! – usłyszał jej głos, zanim zdążył otworzyć drzwi; na dowód tych słów pokazywała niewielki kartonik.

Piotr wszedł do przedsionka. Mimo że stwierdził w tym miejscu obecność ustępu, nie naciskał klamki. Stał twarzą do drzwi, przed kilka chwil oglądał krajobraz przesuwający się za brudną szybą. Tak naprawdę jednak słuchał rozmowy, która toczyła się między trojgiem ludzi, choć w istocie był to tylko monolog. Dziewczyna mówiła coraz bardziej nerwowym głosem, jeden z facetów coś pisał, a drugi trzymał przy uchu telefon i prawdopodobnie czekał na połączenie.

– Proszę mi w tej chwili oddać dokumenty! – powiedziała stanowczo kobieta, wyciągając rękę w stronę kontrolera, który najpewniej spisywał jej dane na blankiecie mandatu.

– Za chwilę – odpowiedział mężczyzna, nie przerywając czynności.

Drugi wydawał się nieobecny, jednak nie trzeba było być nie lada znawcą życia w wielkim mieście, by domyślić się, że blokuje gapowiczce drogę ucieczki. Milczał. Ale do czasu. Nie spodobała mu się bowiem obecność dodatkowej osoby dramatu.

– Siusiu? – Spojrzał znacząco na Piotra, a gdy ten nic nie odpowiedział, dorzucił: – No to już, bo zaraz będzie przystanek.

Piotr nie chciał nowych kłopotów. Tym bardziej, że sam był pasażerem na gapę i – w odróżnieniu od tej kobiety – nie miał ani biletu, ważnego czy nieważnego, ani dowodu tożsamości. Dlatego niezwłocznie nacisnął klamkę drzwi

ustępu i wślizgnął się do środka. Szybko przekręcił mniejszą klamkę, uniemożliwiając wejście z zewnątrz.

W ustępie śmierdziało.

Jeszcze przedwczoraj nic bym nie poczuł – pomyślał. A może lepiej niczego sobie nie przypominać, nie jechać do P., nie pytać? Zacząć od nowa?

Odechciało mu się sikać.

– Nie skacz, kurwo, bo tak cię załatwimy, że popamiętasz – dobiegło nagle z korytarza.

Drzwi wagonowej toalety wykonano z cienkiej sklejki. Pewnie byle kopniak połamaby je na drzazgi. Piotr przyłożył ucho do powierzchni, wyteżył słuch. Pociąg hałasował, jednak można było usłyszeć niemal każde słowo prowadzonej rozmowy.

– Pan jest pijany! – powiedziała kobieta.

– Nie pierdol, mała – odparował męski głos. – Masz omamy.

– Złożę na was skargę.

– Spróbuj tylko.

Następnie usłyszał kilka dźwięków, które zinterpretował jako szamotaninę.

– Pomocy! – krzyknęła kobieta.

Niewiele myśląc, wyszedł na korytarz. Cała trójka znajdowała się w rogu po przekątnej. Mężczyźni stali blisko kobiety, uniemożliwiając jej teraz nie tylko ucieczkę, ale i jakikolwiek ruch. Każdy kawał chłopa. Jeden właśnie zakrywał dłonią jej usta...

– Zostawcie ją! – zawołał Piotr.

– Spierdalaj – fuknął jeden z kanarów.

Piotr zacisnął zęby i skinął pokornie głową. Rozsunął drzwi. Nagle wykonał półobrót, chwycił jednego z kanarów za kołnierz kurtki i z całej siły pociągnął w swoją stronę. Zaskoczony mężczyzna stracił równowagę, ale się nie przewrócił. Piotr szarpnął raz jeszcze, drugą ręką ciągnąc za uchwyt drzwi. Sekundę później szyja kanara znalazła się między ich krawędzią a futryną.

Kanar ryknął z bólu, a wtedy Piotr przesunął drzwi w drugą stronę, wykonał kolejny półobrót, by wymierzyć tamtemu potężnego kopniaka. Facet wylądował na podłodze kilka metrów dalej, między rzędami siedzeń i przerażonymi pasażerami. Wszystko trwało sekundy.

Drugi z kanarów, widząc, co się święci, zostawił kobietę, by ratować kamrata. Jednak jego zapędy zostały powstrzymane przez kolejny potężny cios. Trafiony w splot słoneczny, z rozrzuconymi rękami runął do tyłu. Zatrzymał się na drzwiach wagonu. Pech chciał, że chwilę wcześniej pociąg stanął na kolejnej stacji, skrzydła drzwi rozsunęły się i kanar wypadł na peron.

– Biją! Policja! – krzyknęła jakaś baba.

Piotr rozglądał się dookoła, jakby dopiero przed chwilą zdjęto mu z oczu

opaskę. W pewnej chwili jego spojrzenie i spojrzenie kobiety, którą złapali kontrolerzy, spotkały się. Wciąż stała w tym samym miejscu jak sparaliżowana. Jej oczy, z ogromniałym przerażeniem, a może podziwem, nagle zwęziły się.

– Niech pan ucieka – syknęła.

Miała rację. Nogi, którymi Piotr posłużył się do unieszkodliwienia dwóch roślących przeciwników, a zrobił to tak, jakby niczym innym się nie zajmował, trzeba było brać za pas. Zarówno bowiem ten, który upadł między siedzenia, jak i drugi, któremu Piotr wyznaczył znacznie twardsze lądowanie, już się podnieśli.

– Ty skurwysynu! – wycharczał ostatni.

W tej samej sekundzie rozległ się gwizd i skrzydła drzwi zamknęły się z sykiem – tuż przed nosem kanara. Ten co prawda ich dopadł, zaczął walić pięściami, wykrzykiwał, ale skład już się rozpędzał.

– Ani kroku! Jesteś zatrzymany! – Drugi z kanarów spojrzał na Piotra, który wciąż stał w bezruchu na środku przedsionka.

– Mówiłam, żeby pan uciekał... – jęknęła kobieta, spoglądając to na ciemności i otaczających go pasażerów, których zaciekała awantura (oj, będzie co w biurze opowiadać przy pierwszej kawie!), to na swojego wybawcę, który za chwilę najpewniej podzieli jej los.

Kanar zacisnął pięści, pochylił się i sapnął jak byk. Był to naprawdę dobrze zbudowany i z pewnością bardzo silny mężczyzna, który radził sobie z gapowiczami jak z przedszkolakami, więc chyba tylko zupełnym zaskoczeniem można wytłumaczyć fakt, że pozwolił się powalić jednym ciosem. Już miał ruszyć do przodu, by zamienić słowa w czyn, gdy nagle znów stracił równowagę. Podcięty od tyłu, upadł, tym razem na brzuch. Czyjaś noga przycisnęła mu kark do ziemi.

– Waruj!

To był Kazek.

– O czym to mówiłeś? – rzucił półgębkiem do Piotra. – Że teraz robisz uczciwie?

Po czym kopnął leżącego kanara czubkiem buta w skroń, tak jak kopie się piłkę. Któryś z pasażerów, przyglądających się zajściu z nadczytanych gazet czy ekranów telefonów, westchnął boleśnie. Gdzieś dalej rozległ się... śmiech, szybko zamaskowany udawanym kaszlem. Nikt nie spieszył z pomocą pobitemu.

– Idziemy. – Kazek pociągnął osłupiałego Piotra za rękaw.

– Co ja zrobiłem? Co ja najlepszego zrobiłem? – mamrotał ten pod nosem, spoglądając na leżącego między siedzeniami kanara, nad którym litościwie pochylała się jakaś starsza kobieta.

– Uratowałaś panią z łap troglodytów – wyjaśnił rzeczowo mężczyzna z bródką, rozsuwając kolejne drzwi, po czym spojrzał na przyczynę awantury. – A pani niech lepiej też stąd zmyka. Pewnie tamten zdążył powiadomić, kogo trzeba.

Nie musiał dwa razy powtarzać. Po chwili cała trójka przeszła do kolejnego wagonu. Minutę później pociąg zatrzymał się na przystanku. Upewniwszy się, że nikt tam na nich nie czeka, Piotr, Kazek i nieznajoma wysiedli. Rozległ się gwizd i kolejka odjechała, jakby nic się nie stało.

– Puścić cię gdzieś samego... Masz talent do wpadania w tarapaty – skomentował Kazek z kpiącym uśmiechem.

– Na to wygląda.

– Nadal chcesz jechać tam, dokąd chciałeś?

– Tak.

– Dobrze. Następny pociąg za pół godziny.

Kobieta przysłuchiwała się dialogowi. Wreszcie spojrzała na zegarek, potem na Piotra.

– Muszę panu podziękować. Panu zresztą też. – Zwróciła wzrok na Kazka. – Ci faceci usiłowali mi wmówić, że mój bilet jest nieważny. Nie chcieli mi oddać dokumentów. Czułam od nich alkohol. Nie wiem, do czego by się jeszcze posunęli...

– Cała przyjemność po naszej stronie. – Ukłonił się Kazek.

– Powinam być już w pracy – westchnęła, patrząc w kierunku, z którego przyjechali.

Ledwo to powiedziała, usłyszeli odgłos zbliżającego się składu.

– Proszę na siebie uważać – poradził Kazek, gdy wsiadała do wagonu.

Kobieta wyciągnęła rękę w stronę Piotra i podała mu wizytówkę.

– Proszę zadzwonić – powiedziała przy akompaniamencie ostrzegawczego sygnału, który poprzedzał zamknięcie drzwi. – I jeszcze raz dziękuję.

Kolejka ruszyła w stronę miasta.

– Wpadłeś jej w oko – cmoknął Kazek.

* * *

Młody porucznik w stalowym mundurze otworzył szufladę biurka i przez dłuższą chwilę czegoś w niej szukał, robiąc przy tym sporo hałasu. Co chwila spoglądał na stojącego przed nim mężczyznę.

– Może jednak pan usiądzie – powiedział.

– Dosyć się nasiedziałem, nie sądzi pan? – burknął tamten, po czym przesadnie zamasztył gestem odsunął mankiet białej koszuli i spojrzał na złoty zegarek.

Na te słowa poparte gestem strażnik zaczął z jeszcze większą gorliwością grzebać w szufladzie. Wreszcie jego wysiłki zostały nagrodzone. Odbił znaną pieczętkę w tuszu, przystawił ją do druczka obiegowki, tuż nad pieczętką więziennego lekarza. Następnie podpisał się oszczędnie, po czym wręczył dokument mężczyźnie. Starał się nie patrzeć mu w oczy.

– To wszystko – powiedział. – Do widzenia.

– Żaden z nas by tego nie chciał.

Mężczyzna schował druk w wewnętrznej kieszeni marynarki, którą kilkanaście minut wcześniej odebrał z więziennego depozytu. Leżała na nim jak ulał, mimo że trochę czasu minęło od chwili, gdy miał ją na sobie po raz ostatni.

Przeciągle zabzyczał elektromagnes. Kolejne okratowane drzwi otworzyły się, kolejna para oczu ocienionych daszkiem czapki w kolorze stalowym otaksowała idącego. Nie spieszył się. Za chwilę przecież i tak będzie wolny, jak długo nie szukaliby pieczętek czy rzeczy pozostawionych w magazynie. Niech mu będzie. Ale nie minie rok, jak zjawi się tu z powrotem – zdawały się mówić spojrzenia strażników pełniących służbę w zakładzie karnym w P.

– Amnestii im się zachciało – mruknął oddziałowy do kaprała.

– Nie bój, Janek. Zapełni się, nawet nie zauważysz, kiedy. – Wąsacz w stalowym mundurze przekręcił klucz w zamku, po czym rzucił głośniejszym głosem do nadchodzącego. – Jakie plany, panie Szmyt?

– Kawior, bania i dziesięć kurew z podstawówki twojej córki – odpowiedział bez mrugnięcia okiem mężczyzna nazwiskiem Szmyt.

Żaden ze strażników nie zareagował na zaczepkę. Wiedzieli, że nie warto. Nie dzisiaj. Minutę później widzieli go już przed bramą zakładu. Wtedy dopiero wymienili uwagi.

– Patrz, jaką bryką jeździ, kutas – syknął oddziałowy, a kaprał zadeklarował:

– Jeśli by to ode mnie zależało, gnąłby tu do końca swoich parszywych dni...

– Święte słowa.

Wadim Szmyt, bo tak nazywał się więzień wypuszczony właśnie z zakładu, jeden z ostatnich, których objęła amnestia, nie mógł już jednak słyszeć tych słów. A nawet gdyby jakimś cudem usłyszał, pewnie nic by sobie z nich nie zrobił.

Gdy ujrzał swoje ulubione granatowe bmw, stojące na placu przed bramą, zrobiło mu się ciepło na sercu. Wiedział jednak, że nie może tego po sobie okazać. Oto wracał do starego życia, gdzie nie było miejsca na takie odruchy. Zanim otworzył tylne drzwiczki auta, obejrzał się za siebie. Ogarnął wzrokiem mur zakończony skłębionym drutem kolczastym, wieżyczkę, dwuskrzydłową bramę z grubej blachy. Wezbrał w ustach ślinę i splunął przed siebie.

– Chuj wam w dupę, gady jebane – wycedził przez zęby.

Nonszalancko wrzucił torbę na tylne siedzenie. Już miał wsiąść do środka, ale coś ściągnęło jego wzrok. Przymrużył oczy, chwilę patrzył ponad pokrytym wilgocią dachem.

– Coś nie tak, szefie? – zapytał kierowca.

– Nic, w porządku – odparł Wadim, sadowiac się wreszcie na tylnej kanapie limuzyny.

Nie odjeżdżali jednak. Mężczyzna za kółkiem przez chwilę spoglądał w lusterko wsteczne, które odbijało twarz pasażera.

– Przytrzymali szefa na węźle transportowym? – zapytał.
– Prawie dwie godziny, skurwysyny – burknął Szmyt.
– Typowe. Wiedzą, że więcej nie mogą zrobić, to przynajmniej tak uprzykrzą człowiekowi życie. Bo z obiegowką nie było problemu, co? Szefie?

Szmyt wydał z siebie odgłos podobny do mruknięcia zagniewanego dzika.

– Był. W bibliotece się przyczepili – odpowiedział wreszcie. – Że niby czegoś nie oddałem. Ja w bibliotece, kurwa.

– Tak, to rzeczywiście przykre... – przyznał szofer, by po sekundzie zapytać jaśniejszym głosem: – Do domu czy do firmy, szefie?

– Do domu. Na trzecią niech firma zamelduje się u mnie.

– Oczywiście. – Szofer uruchomił silnik, wrzucił pierwszy bieg i wreszcie ruszyli.

Nie ujechali jednak dziesięciu metrów, gdy Wadim wskazał ruchem głowy zaparkowane w zatoczce przy ulicy stare volvo z drewnianymi obiciami drzwi.

– Kto to jest?

– Nie mam pojęcia, szefie. Ale zaraz się dowiemy.

Kierowca wykonał popisowy manewr, w wyniku którego limuzyna zatrzymała się w piskiem opon ledwo dwadzieścia centymetrów od volvo, blokując mu wyjazd. W środku siedziało dwóch mężczyzn. Szyba została opuszczona, więc dobrze było widać ich posiniaczone, opuchnięte twarze. Jeden miał plaster na policzku, drugiemu spod czapki wystawał bandaż.

– Czego?! – fuknął ten ostatni.

Kierowca bmw opuścił przyciemnianą szybę.

– Łysy, kopę lat! – zawołał wesolo. – Kto cię tak pięknie urządził? Wyglądasz jak po zderzeniu z tramwajem.

Tamten tylko otworzył usta.

– A twojego narzeczonego to nie znam – ciągnął mężczyzna. – Jak się wabisz, chłopcze?

– Psycholog – odpowiedział Łysy w zastępstwie indagowanego.

– Bardzo wartościowy zawód. – Kierowca Szmyta pokiwał z uznaniem głową, nie spuszczać wzroku z Psychologa. – I bardzo na czasie. Gdybyśmy wszyscy częściej korzystali z waszych cennych rad, nie byłoby tyle kłopotów. A przede wszystkim tyle zła na świecie. Przecież wszystko można załatwić polubownie, prawda? Zastanawiamy się tylko, ja i osoba, którą wiozę, co w takiej dziurze jak P. robi ktoś tak znamienity jak psycholog... – Ostatnie słowa wypowiadał, powolnym ruchem dokręcając tłumik do lufy pistoletu, który pojawił się w jego rękach nie wiadomo skąd.

Łysy uruchomił auto i z wyciem silnika przeciął chodnik, szczęściem pusty w tym momencie, rozorał pas zieleni, po czym ponownie wjechał na ulicę. Kilka sekund później volvo zniknęło za zakrętem.

– Ciekawe, czego tu szukały te śmieci? – zastanawiał się głośno kierowca.
– Sprawdź to – rzucił krótko Wadim Szmyt. – A teraz jedź. Mam już dość patrzenia na tę psią dziurę w dupie.

* * *

Piotr nie dotarł tego dnia do więzienia w P. Posłuchał Kazka, który awanturę z kanarami w pociągu wziął za złą wróżbę. Nie musiał nawet mocno przekonywać Piotra, by wrócili do noclegowni. Wsiedli do następnego pociągu, który jechał w kierunku centrum. Kazek pożegnał się z nowym znajomym jeszcze na dworcu, umówiwszy się, że wpadnie do schroniska nazajutrz. Po czym zniknął w tłumie podróżnych.

Piotr czuł się źle. Towarzystwo Kazka nie do końca mu odpowiadało. Choćby z tego powodu, że nie wierzył w jego czyste intencje. Ale teraz, gdy został sam, było jeszcze gorzej.

– Pan znowu tutaj?

Odwrócił się. To był ten młody *streetworker*, który wysłał go do noclegowni. Uścisnęli sobie ręce, jakby byli starymi znajomymi.

– Nie, tylko przejazdem – wyjaśnił Piotr. – Chciałem coś sprawdzić w jednym miejscu, ale było nieczynne – skłamał gładko.

– Rozumiem. A jak się panu podoba w noclegowni?

– Bardzo. Przede wszystkim ciepło – przyznał po krótkiej chwili zastanowienia, nie chciał przecież w żaden sposób urazić człowieka, który wyciągnął do niego pomocną dłoń.

– Nie śmierdzi?

– Da się wytrzymać – znów zegnął Piotr, by po chwili uświadomić sobie, że sam również nie pachnie fiołkami; próbował się wykapać, ale w łazience w przytulisku ciepłą wodę podgrzewano z bojlerze, więc szybko się kończyła.

– Teraz, późną jesienią, to nieuniknione – westchnął wolontariusz.

To chyba wszystko. Więcej nie mamy nic do powiedzenia – pomyślał Piotr.

Pożegnali się, bo tamten właśnie dostrzegł w tłumie kolejne istnienie ludzkie, które należało ochronić przed zimnem, wilgocią, złem, a najpewniej i przed nim samym. Piotr popatrzył na tablicę z przyjazdami pociągów. Prawie połowa z nich była opóźniona.

A gdybym tak wsiadł do pierwszego lepszego? – zastanawiał się. Nie, nie do kolejki, takiej jak ta, która jeździ do P. albo trochę dalej. Tylko do porządnego pociągu, który jedzie nad morze albo w góry...

Wzdrygnął się. Chwilę później pośród tłumu podróżnych dostrzegł policyjny patrol. Nie chciał kusić losu, więc wycofał się z dworcowej hali. Na szczęście na zewnątrz było dość ciepło, świeciło słońce. Nie mając pomysłu, co robić, wrócił do noclegowni.

– O, jak dobrze, że już jesteś! – przywitał go tubalnie rudy Marian.

– Ktoś o mnie pytał? – wypalił bez namysłu przybysz; nie wiadomo nawet, skąd mu się wzięło to pytanie, które potem ocenił jako durne i dziecinne.

– Oczywiście!

Serce Piotra poruszyło się w piersiach, ale był to ruch o wiele większy niż jedno z tych kilkudziesięciu uderzeń, które z mozołem wykonywało w ciągu minuty.

– Kto? – zapytał ledwo słyszalnie.

– Śmierć, przyjacielu – odparł Marian. – Pytała o ciebie śmierć, która jako jedyna nie wystawia człowieka do wiatru i zawsze przychodzi. Choćby robił, co mógł, ukrywał się i wił jak piskorz. Ale tym razem powiedzieliśmy jej, że cię nie ma. I żeby przyszła za jakieś trzydzieści lat. Wyglądała na przekonaną.

Świadcami rozmowy było kilku pensjonariuszy, którzy tym razem nie okupowali świetlicy z telewizorem, a siedzieli w przedsiionku.

– Ale ty mi coś na przekonanego nie wyglądasz – rzekł z troską rudy, obejmując Piotra po przyjacielsku ramieniem. – Co jest?

– Nic. Wszystko w porządku. – Mężczyzna zaczerwienił się.

– Wpadłeś w jakie kłopoty na mieście?

– A skąd.

Może Kazek zdążył już im wszystko opowiedzieć? – pomyślał Piotr.

Na szczęście szybko zmienili temat. Okazało się, że noclegownia właśnie otrzymała do jakiegoś dobroczyńcy kilka metrów ziemniaków i należało coś z tym fantem zrobić. W wyniku głosowania zdecydowano, że na kolację będą tego dnia placki ziemniaczane. Ktoś zdeklarował się, że będzie je smażył. Znał się na tym, terminował bowiem w kilku restauracjach, choć nie chciał wymienić ich nazw. Pozostawał problem, kto ziemniaki obierze i utrze. Starym zwyczajem robili to najmłodszy stażem podopieczni noclegowni.

– Mam nadzieję, że się nie skaleczysz – rzekł Marian do ucha Piotrowi.

Kilka minut później siedzieli w pięciu w kuchni. W pomieszczeniu było zimno, na pewno chłodniej niż na zewnątrz. Czuć było ostry zapach środków czyszczących. Przy każdym taborecie, który zajęli, leżał spory kopczyk ziemniaków, które już zaczynały puszczać pędy. Pewnie dlatego przekazano je w darze potrzebującym. Na środku ustawiono ogromny kocioł wypełniony wodą. Każdy z nich trzymał w ręku nóż do obierania warzyw.

– Nie wiem, jak wy – podjął jeden z wydelegowanych do zaszczytnego zadania; Piotr nie znał jego imienia – ale ja wyobrażam sobie, że obcinam członki. Raz, noga. Dwa, ręka. Trzy, fiut! – Wykonywał kolejne ruchy nożem, a każdy następny coraz bardziej gwałtownie; na koniec cisnął obranym, ale bardzo niedbale, ziemniakiem do gara, opryskując pozostałych.

– Weź się, kurwa, uspokój! – krzyknął jakiś facet z ukośną blizną łączącą

kącik ust z zewnętrznym końcem brwi.

– Bo się uniosłem – tłumaczył się tamten.

– Robotą jak każda inna – rzekł cicho mały człowieczek w okularach w drucianej oprawie.

– Ja nie o robocie – tłumaczył nerwowo. – Lubię placki ziemniaczane i nie mam nic przeciwko obieraniu. Jak byłem w wojsku, to najbardziej lubiłem dyżury na kuchni, wiecie? Miałeś górę pyr do oskrobania, ale przynajmniej żaden kapral czy inny trep się do ciebie w tym czasie nie przypierdolił. Z kuchnią zawsze trzeba żyć w zgodzie. Każdy dobrze o tym wie.

– W takim razie o co ci chodzi? – zapytał ten z blizną.

– A bo mi się wczorajsze wiadomości przypomniały. W tych o siódmej pokazywali taką budę jak nasza, ale sporo za miastem. Dziennikarzyna latał z tym mikrofonem, jakby sraczkę miał, choć jego mina świadczyła raczej o zatwardzeniu. Wypytywał, naciskał. Nawet do łóżek, pierdolony, zaglądał! Myślałem, że się za chwilę popłacze, jak na koniec stał przed kamerą.

– I co?

– A to, że, jak znam życie, minutę później o tym zapomniał! Poszedł do dobrej restauracji, wpierdolił stek z frytkami, popił zimnym piwkiem, a potem beknął zdrowo.

– Cała prawda – skwitował okularnik.

– A taki poseł to lepszy? – ciągnął nerwowo. – Pamiętają o tobie tylko wtedy, gdy zbliżają się kolejne wybory. Wtedy cię potrzebują, bo inaczej nie będą mogli do woli chlać i dymać panienek z dala od domu. A ja miałem normalną pracę, ani razu nie byłem na chorobowym. I co? I gówno! Sprzedali nas jakimś zagranicznym zasrańcom, ale tylko po to, żeby w pizdu zamknąć. Zanim się obejrzelśmy, wywieźli maszyny i tyle zostało...

Wydawało się, że kolejny ziemniak, tym razem obrany dokładnie, zostanie ciśnięty z impetem do gara. Ale mężczyzna wrzucił go delikatnie. Najwyraźniej cała złość już z niego zeszła. – Chcieliście, to macie – mruknął okularnik.

– Co chcieliście? Co chcieliście?! – zawołali jednym głosem nerwowo i ten z blizną.

– „Solidarności” wam się zachciało, to macie.

– A za komuny to było lepiej? – Zapytał milczący dotąd czwarty z obierających ziemniaki. Był ze wszystkich najwyższy; siedząc na niskim zydlu, kolana miał niemal pod brodą.

– Nie twierdzę, że tak – powiedział okularnik, patrząc w wodę. – Ale na pewno nie spotkalibyśmy się w takim miejscu, jak nasza buda, bo takich przybytków po prostu nie było. Nikt cię nie wyrzucił z domu, bo była robotą.

– To akurat prawda – zgodził się duży.

– Myślicie, że tym wszystkim wielkim demokratom na zachodzie szło o to,

żebyście mogli głosować, na kogo chcecie, chodzić do kościoła, podróżować bez przeszkód po całym świecie? A chuja! Im chodziło i nadal chodzi tylko o to, żeby móc kupować za bezcen nasze fabryki i ziemię, stawiać na niej swoje McDonaldy i supermarkety. A przede wszystkim mieć tanią siłę roboczą, która będzie tam zapierdalać pod knutem. Ot, cała filozofia. Od wieków nie wymyślono nic innego.

Nikt nie zaprotestował.

– A ciekawe, ile w takim McDonaldzie płacą za jednego kartofla? – zapytał nerwowy, przyglądając się z uwagą obranej przed chwilą bulwie, nadzianej na ostrze noża.

Żart nagrodzili śmiechem, ale krótkim, wymuszonym. Tak śmieją się osoby, które nie chcą zrobić przykrości komuś, kogo się lubi, a kto z zapalem opowiada dowcip z brodą.

Piotr sięgnął po kolejnego ziemniaka. Był duży i miał nieregularny kształt, więc obranie go nie było zadaniem łatwym i zabierającym niewiele czasu. Jeśli oczywiście chciało się zadbać o to, żeby skórka była jak najcieńsza. A on jakoś chciał.

– A ty, nowy, co myślisz? – zapytał nerwowy.

Spojrzenia czterech par oczu spoczęły na właścicielu piątej z nich. Przestali nawet skrobać.

– O czym? – Mężczyzna ze spokojem dokończył obieranie niewielkiego guzka na bulwie.

– O komunie. O tym, co jest teraz. Wypowiedz się. Jesteśmy ciekawi – zachęcał z półśmiechem okularnik.

Piotr wzruszył ramionami. Czas płynął, dzień za dniem mijał, a on wciąż miał do powiedzenia tyle samo.

– Nie za bardzo pamiętam... – odpowiedział, wbijając spojrzenie w spokojną w tej chwili powierzchnię wody w kotle.

Reakcja pozostałych bardzo go zaskoczyła. Ten z blizną poklepał go po ramieniu.

– I to jest bardzo dobre podejście, proszę panów! – ocenił okularnik. – Bardzo zdrowe. Nie ma co grzebać w zeschniętym gównie i nie ufajdać się świeżym. Ot, cała filozofia.

Rozmawiali dalej o tym i o owym, pomijając już jednak trudne tematy. Nerwowy uspokoił się, a ziemniaki spod jego ręki wychodziły gładkie i czyste. Niecałe pół godziny później gar został wypełniony. Utarciem ziemniaków mieli zająć się już inni mieszkańcy przybytku.

Wykąpałbym się – pomyślał Piotr, drapiąc się po głowie i plecach.

Była trzecia po południu, noclegownia nieco się wyludniła. Większość z jej mieszkańców jeszcze przed południem ruszyła do miasta szukać szczęścia. Być może więc woda w bojlerze zdążyła się nagrzać. Ale był też inny problem.

– Masz szczęście. – Uśmiechnął się kierownik noclegowni, na którego kilka chwil później Piotr natknął się na korytarzu.

– Dlaczego?

– Tak się składa, że mamy ostatnio hojnych sponsorów. Hojnych, choć niekoniecznie dobrze zorientowanych, czego nam potrzeba. Ale, jak to mówią, darowanemu koniowi... Wczoraj przysłano nam kilka kartonów środków czystości. Chodź. Może coś sobie wybierzesz.

Po kilku minutach Piotr znalazł się w łazience. Nie pachniało może za pięknie, ale i tak ucieszył się, ponieważ była gorąca woda i nie było tu nikogo prócz niego. Wyfasował niewielki ręcznik, mydło, a także krem i niewielką saszetkę-reklamówkę z balsamem po goleniu. I jednorazową maszynkę do golenia. Niestety, była to maszynka... do golenia kobiecych nóg. Ale on i tak miał zamiar z niej skorzystać – i to w pierwszej kolejności.

Kwadranś później, spoglądając w pokryte liszajami i wyszczerbione tu i ówdzie lustro, ujrzał zupełnie innego człowieka.

Spoglądały na niego jasne, niebieskie oczy. Smutne, a może tylko zmęczone. Brwi miał Piotr szerokie, ciemne, choć z kilkoma siwymi włoskami, lekko nastroszone u nasady nosa, a ten był dość duży, prosty. I ciemniejszy niż reszta twarzy, z wyraźną granicą, gdzieś w jednej trzeciej długości, którą stworzyć musiały przeciwsłoneczne okulary. Zaciśnięte w wąską kreskę usta, których lewy kącik nieco opadał w dół. Między górną wargą a lewą dziurką nosa uwagę zwracała ukośna blizna długości około jednego centymetra. Innych znaków szczególnych nie było.

– Żebyś mi jeszcze powiedział cokolwiek więcej o sobie... – rzekł do swojego odbicia, wcierając w policzki i szyję resztkę balsamu z saszetki.

Następnie wszedł pod prysznic. Ledwo jednak zdążył splukać z siebie pianę, usłyszał, że ktoś wszedł do łazienki. Nie zdziwiło go to.

– Piotr, jesteś tam? – rozpoznał głos okularnika.

– Jestem. Co się dzieje?

– Kierownik zarządził zbiórkę w świetlicy.

– Kąpię się.

– To poważna sprawa. Przyspiesz.

Zbyt krótko tu mieszkał, by nie posłuchać. Oplukał się bez żalu, ponieważ woda zaczynała już stygnąć. Szybko wytarł się w nowy ręcznik, włożył na siebie podkoszulek i spodnie. Ubranie również wymagało prania, ale cieszył się z tego, co udało mu się zrobić.

Świetlica była zapelniona mieszkańcami noclegowni, jakby za chwilę miał się rozpocząć maraton wieczornych wiadomości. Mężczyźni rozmawiali, z zaciekawieniem spoglądali w stronę drzwi. Co było powodem nagłego zebrania? Czyżby któryś z nich miał już nie wrócić z wyprawy do miasta, a kierownik

Walasik chciał o tym poinformować?

– Stawiam na rudego Mariana – powiedział nerwowo.

– Że co? – zainteresował się ten z blizną.

– Coś czuję, że znów próbował dostać się do jakiegoś biura poselskiego.

Pamiętacie tę aferę z sierpnia?

– Tak, wzięli go za zamachowca. Przesiedział na dołku czterdzieści osiem.

A chciał tylko przekazać swoje pomysły na walkę z bezrobociem...

Rozmowy zgasły w chwili, gdy skrzypnęły drzwi. Na progu stanął Walasik. Nie wchodził jednak do środka. Po chwili cofnął się, przepuszczając przodem dwóch policjantów.

– Panowie – zaczął po chwili, stanąwszy przy szafce z telewizorem. – Pozwoliłem sobie poprosić was tutaj, ponieważ wydarzyło się coś przykrego. Obecni tu panowie z komendy rejonowej kilka godzin temu zatrzymali jednego z naszych podopiecznych, Kazimierza Czaplę...

Po sali przetoczył się pomruk.

– Kazimierz Czapla brał udział w pobiciu dwóch kontrolerów biletów, dzisiaj rano, w pociągu podmiejskim – ciągnął kierownik noclegowni. – Wiemy, że nie był sam, choć on sam uparcie temu zaprzecza...

– Charakterny – mruknął pod nosem ten z blizną.

– Pan coś chciał powiedzieć? – Walasik zareagował błyskawicznie, marszcząc brwi.

– Nie, kierowniku. Gardło mnie tylko boli. – Mężczyzna kilka razy chrząknął.

Piotr poczuł, że jego wnętrzności zaczynają się gotować. Paliły go też policzki, kilka chwil wcześniej podrażnione ostrzem maszynki do golenia kobiecych nóg, a może i innych części ciała.

– Czy któryś z panów wychodził dziś z Kazimierzem Czaplą lub widział się z nim? – pytanie kierownika wybrzmiało w ciszy absolutnej.

Czy ktoś mnie widział rano? – zastanawiał się gorączkowo Piotr. Wystarczyła doba, by wiedzieć, że w takich miejscach zawsze jest ktoś, kto nie śpi. Bo nie może lub nie chce, albo się boi. Palić też nie pozwalano w środku, było więc niemalże pewne, że ktoś ich jednak zauważył.

Może na komendzie dowiem się, kim jestem? – pomyślał z nadzieją, ale i rezygnacją.

Wsparł się oburącz o wytarte poręcze, zgiął nogi, a wszystko po to, by wstać. Uniósł się jednak na centymetr, może dwa, gdy czyjaś silna ręka powstrzymała go w miejscu.

– Siedz, kurwa, jak ci dobrze... – syknął nerwowo. – Siedz, powiedziałem.

Posłuchał. Nie obejrzał się. Nawet nie drgnął. Po sekundzie poczuł, że ktoś wkłada mu coś do ręki. To były okulary w drucianej oprawie. Pochylił się i włożył

je na nos szybko, dyskretnie, choć nie bez obrzydzenia.

Walasik gadał coś jeszcze o regulaminie, zakazach i nakazach, wzajemnym zaufaniu. Potem spojrział na policjantów rozglądających się po twarzach obecnych.

– Czy któryś z tych ludzi odpowiada rysopisowi podejrzanego? – zapytał mundurowych, a gdy ci zaprzeczyli, powiedział: – Proszę przyjść jeszcze raz wieczorem. Będą wtedy wszyscy.

Nerwowo musiał sobie zakryć usta oburącz, by nie parsknąć. Było przecież jasne, że być może i wieczorem będą wszyscy, ale na pewno nie zabłądzi pod ten adres osobnik, który wraz z Kazkiem oćwiczył – pewnie słusznie – i nauczył szacunku kolejowych kanarów.

Gdy kierownik i mundurowi opuścili świetlicę noclegowni, Piotr oddał okularnikowi jego własność. Spojrzeli na siebie.

– Nic nie mów – rzekł ten pierwszy, wstając z miejsca. – I będzie lepiej, jak pójdziesz dzisiaj ze mną.

– Dokąd? – przestraszył się Piotr.

– Nie pękaj, przyjacielu. W bezpieczne miejsce.

* * *

Noclegownia, do której Piotr i okularnik, który miał na imię Aleksander, dotarli przed siódmą wieczorem, niewiele różniła się od tej, którą opuścili. Poza jednym, istotnym szczegółem: w tej nowej w każdej sali wisiał sporych rozmiarów krucyfiks i dużo świętych obrazów.

Był to ośrodek prowadzony przez Kościół.

– Nie bój się, nie wymagają zaświadczenia od proboszcza – rzucił półgębkiem Aleksander, widząc niepewną minę towarzysza.

– A dowód tożsamości?

– To już prędzej. A co?

– Nie mam. Ukradli.

– Rozumiem. Ale spokojnie, jesteś ze mną.

Weszli do kancelarii, gdzie Aleksander zamienił kilka słów z młodym mężczyzną w burym habitcie. Rozmawiali o pogodzie, samopoczuciu i czy pracy dużo. Na koniec, jakby od niechcienia, przedstawił swojego towarzysza.

– Pomoże nam przy remoncie u księdza Remigiusza – oznajmił Aleksander.

Braciszek skinął przyzwalająco głową. Wyszli. Jakiś inny facet wskazał im drogę do sali sypialnej, gdzie mieli spędzić noc.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – przywitał się Aleksander głośno i wyraźnie, jeśli nie przesadnie głośno i wyraźnie, gdy przekroczyli próg pomieszczenia.

Ale nikt mu nie odpowiedział. Ktoś coś burknął. Aleksander nie przejął się tym. Po chwili znaleźli dwa wolne łóżka.

– Wolisz na górze czy na dole? – zapytał.

– Wszystko mi jedno. Może być góra.

Piotr zsuł buty i wdrapał się na pryczę. W sali było dość cicho. Zgaszono światło, więc po zaledwie kilku chwilach zasnął kamiennym snem.

Gdy się obudził, było już jasno. Uniósł się na łokciu i rozejrzał dookoła. W izbie sypialnej pozostało tylko kilku mężczyzn. Pobrząkiwały naczynia. Już miał się wychylić, by sprawdzić, czy Aleksander jeszcze śpi, gdy ten stanął w drzwiach pomieszczenia, pod srebrnym krzyżem. W rękach trzymał dwa plastikowe kubki, nad którymi unosiła się para.

– Zbożowa. Samo zdrowie. – Podał Piotrowi jeden z nich, po czym sięgnął po bułkę leżącą na jego pryczy. – Jedz szybko i idziemy.

– Do księdza Remigiusza?

– Widzę, że coraz lepiej u ciebie z pamięcią.

Zaczęli jeść śniadanie. W pewnej chwili Aleksander zwrócił uwagę na dziwne urządzenie na lewym przegubie towarzysza.

– To zegarek? – zapytał z pełnymi ustami.

– Sam nie wiem – odparł Piotr. – Bardziej stoper, ale odlicza do tyłu.

– Do końca świata? – mruknął Aleksander z zupełnie poważną miną.

Dwa, osiem, dziewięć. Tylko te trzy cyfry z pięciu pozostawały nieruchome. Dwa ostatnie pola pełniły szaro pionowymi i poziomymi kreskami na zielonkawym tle.

– Bardzo musielibyśmy nagrzeszyć – zauważył Piotr.

– My? Kogo masz na myśli?

– Ludzkość.

– To prawda. Dlatego należy się ze wszystkich sił modlić.

Posiłek kończyli, maszerując już ulicą. Aleksander spieszył się, co chwila spoglądał na zegarek. Zwykły, o popękany szkieleku.

– Ile chcesz za swój sikor? – zapytał w pewnej chwili.

– Nie jest na sprzedaż. Poza tym nie wiem, jak go zdjąć.

– Znam takich, którzy nie widzieliby w tym problemu. Jeśli wiesz, co mam na myśli. – Przejechał wskazującym pacem po przegubie drugiej ręki.

Aleksander nie chciał powiedzieć, na czym będzie polegała praca u wspomnianego księdza. Piotr, który wczoraj w podobnej sytuacji zastrzegł, że w grę nie wchodzi nic nielegalnego, dziś nie powiedział nic. Szli przecież do domu bożego.

Ujrzeli go pół godziny później. Kościół ze stojącą oddzielnie wysoką dzwonnica wybudowano w nowoczesnym stylu, na tle osiedla czterech i dziesięciopiętrowych bloków. Między świątynią a pierwszym blokiem rozciągał się plac budowy.

– Oto nasze zajęcie na najbliższy czas – powiedział Aleksander, nie kryjąc

dumy. – Robiłeś kiedyś na budowie?

Zamiast odpowiedzieć, Piotr z uwagą zaczął oglądać swoje dłonie. Skórę miał miękką, choć tu i ówdzie widniały też blizny.

– Nie wiem – bąknął wreszcie. – Chyba nie.

– Dasz radę. Magistry po filozofii jakoś dają radę w tych Londynach i Dublinach, to i ty sobie poradzisz. Najpierw jednak pójdziemy przywitać się z wielebnym. Gospodyni piecze wspaniałe ciasta.

Drzwi plebanii otworzyła starsza kobieta, zapewne wspomniana gospodyni proboszcza. Ujrawszy Aleksandra, uśmiechnęła się. Zanim weszli do środka, Piotr zdążył przyjrzeć się budynkowi. Plebania miała dwa piętra, a we wszystkich oknach osadzono solidne kraty.

Aż tak się boi? – pomyślał, wycierając z przesadną starannością buty na słomiance.

Aleksander miał rację. Ciasto, którego zapach można było poczuć tuż za progiem, za chwilę znalazło się na talerzykach. Usiedli w kuchni, gospodyni przygotowała herbatę. Zanim jednak ją podała, poinformowała gości, iż proboszcz niestety musiał wyjechać z ostatnią posługą.

– A pan pierwszy raz u nas? – Spojrzała na Piotra.

– Tak – odpowiedział w jego zastępstwie Aleksander. – Tydzień temu... wrócił z Londynu. To świetny murarz. Na pewno się przyda.

– A to chwała Bogu, chwała Bogu – ucieszyła się kobiecina. – Księdzu Remigiuszowi tak bardzo zależy, żeby jak najszybciej zbudować naszą ochronkę. Tyle zła wokół, tyle pijaństwa, a te biedne dzieci nie mają gdzie się podziać...

– Damy radę, droga pani – uśmiechnął się Aleksander i siorbnął ze szklanki.

Zjedli, wypili, po czym towarzysz Piotra zarządził początek prac. Jak się okazało, na miejscu uwijało się już kilku robotników. Ochronka dla dzieci, na którą tak wszyscy czekali, miała już piwnice. W jednym miejscu ku niebu pięła się pierwsza ściana parteru.

– Cześć pracy! – pozdrowił wszystkich Aleksander.

Reakcja na powitanie była na szczęście inna niż ta w noclegowni poprzedniego wieczora. Pracujący przerwali swoje czynności, podeszli do przybyszów i uścisnęli im dłonie. Aleksander przedstawił nowego pracownika, choć nie powtarzał już wierutnych bzdur o Londynie i wyjątkowych umiejętnościach murarskich. Przez kilka chwil rozmawiali, ktoś częstował papierosami. Piotr odmówił „dymka”.

Nawet nie wiem, czy potrafię palić... – pomyślał.

Przerwa jednak szybko minęła i wszyscy zabrali się za robotę. Piotr, jako nowicjusz, otrzymał proste zadanie: miał nosić cegły z miejsca, gdzie je magazynowano, tam, gdzie były potrzebne. Mógł w tym celu wykorzystać specjalne, wykonane z drewna nosidło. Co prawda już przy pierwszym kursie

połowa cegieł pospadała na ziemię, ale potem było lepiej.

Mimo że praca do najłżejszych nie należała, a i nie było wiadomo, jaka będzie za nią zapłata i czy będzie w ogóle, Piotr cieszył się. W końcu pracował uczciwie! To było w tej chwili najważniejsze. Powziął też decyzję, że przy pierwszej okazji zgłosi się do lekarza, specjalisty od swojej przypadłości. To na pewno da się jakoś leczyć...

– Zmęczony? – zapytał Aleksander po paru godzinach pracy.

– W ogóle – parsknął Piotr.

– Jeszcze poczujesz, później. A teraz chodź na obiad.

Wszyscy budowlańcy, a było ich w sumie sześciu, spotkali się w jadalni plebanii. Gospodyni postawiła na stole wazę z zupą.

– Cudo! Krupniczek! – Aleksander nie mógł się powstrzymać przed uniesieniem pokrywki i zajrzeniem do środka; żeby też nie robić zbędnego zamieszania, nalał najpierw sobie.

Po chwili cała szóstka pałaszowała, aż miło. Po zupie podano drugie danie – kotlet mielony z ziemniakami i surówką z buraczków.

– Rozpieszcza nas pani, pani Henryko – powiedział jeden z murarzy, ścierając rękawem resztki jedzenia z wargi. – Dziękujemy.

– Nie, to my z księdzem proboszczem dziękujemy za pomoc – powiedziała kobieta. – O, o wilku mowa...

Do jadalni wkroczył bowiem wspomniany proboszcz, ksiądz Remigiusz. Był to postawny, łysiejący mężczyzna z czerwonymi policzkami. Ujrawszy go, Piotr pomyślał o księdzu, który kilkanaście dni temu chował panią Helenę. Ten mógłby być starszym bratem tamtego.

– Szczęść Boże – przywitał się przybysz.

– Szczęść Boże – odpowiedzieli zgodnym chórem, mimo że nie wszyscy zdążyli przełknąć to, co mieli akurat w ustach.

– Jak panom smakuje?

– Wybornie jak zawsze, proszę księdza proboszcza – odpowiedział tym razem tylko jeden z nich, z wyglądu najstarszy.

Proboszcz nie siadał do stołu, choć wolnych miejsc i nakryć nie brakowało. Wymienił na stronie kilka uwag z gosposią, a potem zwrócił się do najstarszego budowlańca.

– Panie Edziu, chciałbym z panem porozmawiać o naszym projekcie. Zapraszam do siebie do kancelarii. Oczywiście, gdy pan skończy. Polecam deser.

– Oczywiście, proszę księdza proboszcza.

Wielebny zniknął, a pani Henryka podała rzeczony deser. Sernik był rzeczywiście pyszny, więc w mgnieniu oka zniknął z talerzyków. Robotnicy zaczęli wstawać z krzeseł. Piotr też miał taki zamiar, jednak okazało się, że nie może. Nie może oderwać się od siedzenia.

– Mówiłem, że poczujesz później – rzekł Aleksander, widząc minę młodszego kolegi. – Pomóżcie, panowie. Nowy powinien odpocząć chwilę dłużej.

Ujęli go we dwóch pod ramiona, dźwignęli, jakby nic nie ważył, i zaprowadzili – Piotr usiłował przebierać nogami – do jakiegoś pokoju. Tam położyli go na sofie, a Aleksander troskliwie ściągnął mu buty.

– Ja zaraz wstanę, panowie. Na pewno wstanę... – mamrotał Piotr.

Zamknięto drzwi, został sam. Nie czuł się z tym najlepiej. To prawda, uczciwie zapracował na posiłek, który przed chwilą zjadł i który czuł jeszcze jako błogie ciepło wypełniające wnętrze. Nie mógł jednak obijać się, gdy inni pracowali. Polubił tych ludzi. Postanowił, że poleży dziesięć minut, góra kwadrans. A potem, bez względu na ból, spróbuje wstać.

W pokoju było ciepło i cicho, niewiele więc było trzeba, by stracił świadomość.

* * *

Gdy się obudził, za okratowanym okienkiem było już ciemno.

– Cholera.

Wstał. Nic go nie bolało. Nie miał pojęcia, ile przeleżał. Mogła to być godzina, bo przecież zmrok zapadał coraz szybciej, ale mógł to być o wiele dłuższy czas. Tak czy inaczej, było mu głupio, że nie pracował jak pozostali. Postanowił jak najszybciej wrócić na budowę. Drzwi pokoiku, w którym odpoczywał, były otwarte. Po cichu wyszedł na korytarz. Paliło się na nim jedynie światło w ściennym kinkiecie. Nie wiedział, jak się stąd wydostać. Po prostu szedł przed siebie.

W pewnej chwili, mijając jakieś drzwi, usłyszał męski głos. Zatrzymał się, zbliżył ucho do polakierowanej powierzchni.

– Nie wierzgaj, dobrze?

Rozpoznał ten głos. Księdza Remigiusza słyszał i widział co prawda tylko raz, przy obiedzie, ale z jakiegoś powodu zapamiętał. Zaśmiał się w kulak, bowiem zdaniu, które przez przypadek podsłuchał, towarzyszyło sapanie. Resztę podpowiedziała wyobraźnia.

Jednak następny dźwięk, który dobiegł zza drzwi, w jednej chwili zgasił uśmiech na twarzy podsłuchującego.

– Proszę mnie puścić!

Nie, nie był to głos gospodyni ani innej kobiety, z którą proboszcz łamał zapis o celibacie, będący jedną z podstaw kapłaństwa. Był to głos młodego chłopaka! Piotr poczuł nagłe gorąco na twarzy. Położył dłoń na klamce. Była zimna, co spowodowało, że odzyskał trzeźwość umysłu. Ale tylko na chwilę.

– Niech mnie ksiądz nie dotyka – dobiegło znów zza drzwi.

Pęd powietrza przyniósł ulgę. Mężczyzna z impetem wpadł do środka.

Pomieszczenie za drzwiami, duże i bardzo słabo oświetlone, było najprawdopodobniej zakrystią. Nie od razu Piotr ujrzał tych, których głosy słyszał przez drzwi. Pomógł mu w tym krzyk proboszcza:

– Co... co się dzieje?!

W tej samej chwili z ciemnego kąta między starą rzeźbioną szafą a zasłoną okna wyskoczył ministrant w komży. Piotr ujrzał jego przerażone oczy i otwarte usta. Chłopak przypadł do niego, obejrzał się, by po chwili rzucić się ku otwartym drzwiom. Piotr zdążył tylko musnąć dłonią czuprynę ministranta.

Przylapany na niecnym uczynku ksiądz Remigiusz wyszedł powoli z kąta. Sutannę miał rozpiętą do połowy.

– Nic pan nie widział – mruknął wreszcie, ocierając ślinę z kącika ust.

– To prawda – zgodził się Piotr. – Nic nie widziałem. Ale za to wszystko słyszałem!

Nie poznawał głosu, który wydobywał się z jego ust. Mało tego: przestraszył się wypowiedzianych słów. Było już jednak za późno, aby je cofnąć...

Wtem rozległ się hałas i do zakrystii wpadli robotnicy budujący ochronkę. Był wśród nich Aleksander. I to on pierwszy zawołał:

– Co się stało?!

– On... chciał okraść plebanię! – Proboszcz gestem inkwizytora wskazał Piotra. – Nakryłem go, jak grzebał w szufladach komody. Rzucił się na mnie z pięściami. Chciał mnie zabić...

Oskarżony słuchał tych bzdur, chyba nie do końca zdając sobie sprawę z tego, co się dzieje.

– To... to nieprawda – wydukał wreszcie.

– Ty mendo! A ja cię kryłem przed policją – wysyczał Aleksander. – Nie po to cię tutaj sprowadziłem, żebyś kradł i bił...

Nikt nic więcej nie powiedział, bo przecież wszystko było jasne.

– Tylko nie pobrudźcie mi dywanu. – Ksiądz Remigiusz, dopinając guziki sutanny, dostojnym krokiem opuścił zakrystię.

Budowniczo wiezieli już, że po całym dniu ciężkiej pracy czeka ich jeszcze jedno, ważne i wcale nie lekkie zadanie. Jednak by je wykonać, musieli znaleźć siłę.

– Panowie, to nie tak. Pozwólcie mi wyjaśnić – głos Piotra drżał.

– Zamknij się – syknął Aleksander.

– Ksiądz molestował ministranta i ja...

– Nie pograżaj się – westchnął najstarszy wśród budowniczych, pan Edzio. – Podniosłeś rękę na świętego człowieka, więc teraz przyjmij z pokorą swój los.

Piotr zaczął się cofać rakiem, chwilę później natrafił jednak na ścianę zakrystii. Mieli go. Osaczony wypuścił z ust powietrze i przymknął oczy. Czyżby naprawdę był gotów przyjąć swój los z pokorą?

– Żeby nie było, że nie ostrzegałem – mruknął ledwo słyszalnie.

Pod pierwszym uderzeniem padł idący na czele komanda osiłek, który na budowie zajmował się przygotowywaniem betonu. Na dywan, o który tak drżał ksiądz Remigiusz, trysnęła z ust krew, wraz z wybitym zębem. Jednak reszty atakujących to nie przekonało, bo z jeszcze większą zajadłością rzucili się na swoją ofiarę. Rozległ się trzask rozbijanego szkła. To okulary strącone z nosa Aleksandra upadły na podłogę. Chwilę później dołączył do nich ich właściciel.

Widząc, że zadanie jest o wiele trudniejsze, niż przypuszczali, jeśli nie niewykonalne, reszta zaczęła się wycofywać.

– To szatan! – krzyknął pan Edzio. – Szatan wcielony...

Jeszcze jedna próba. Oto świetny murarz, dzięki któremu budowla zyskała tego dnia kilkadziesiąt centymetrów, nie wiadomo jakim sposobem sprawdził wytrzymałość ścianki działowej zakrystii. Tyle że przy pomocy własnej głowy. To ostatecznie kazało reszcie opuścić w popłochu pomieszczenie, do którego Piotr nieopatrznie wszedł kilka minut wcześniej.

* * *

Ewa Ignaszak wiedziała, że nie wyjdzie z biura przed ósmą wieczorem. Miała wyjątkowo dużo pracy. Do tego ta poranna awantura z kanarami w pociągu zupełnie wyprowadziła ją z równowagi. Kto wie, jak by się to wszystko skończyło, gdyby nie ci dwaj faceci.

Podeszła do okna, które zaczynało się na wysokości jej kostek, a kończyło przy suficie, półtora metra nad głową. Na samym początku bała się choćby do niego zbliżyć. Miała bowiem wrażenie, że za chwilę wypadnie z dwudziestego trzeciego piętra. Ale przyzwyczała się, a nawet polubiła te chwile. Widok, który rozciągał się u jej stóp, zapierał dech w piersiach.

Spełniłam swoje marzenie. Jestem tu, w tym ogromnym mieście – myślała wtedy.

Nie inaczej było i tym razem, choć biurko Ewy zawałone było papierzyskami, do których musiała zajrzeć jeszcze dzisiaj.

Zadzwoiła komórka. Z niechęcią oderwała wzrok od dwupasmowej, oświetlonej arterii, przy której stał jej biurowiec, i podeszła do biurka.

– Halo, tak. – Przez chwilę słuchała. – Jeszcze jestem w pracy, mam. Nie denerwuj się. Mam masę roboty, przecież wiesz. Dobrze, zaraz kończę. Tak, zadzwonię.

Rozłączyła się, odłożyła telefon. Nie, nie miała za złe matce, że się o nią martwi. Ostatnie kilkanaście miesięcy nie było najłatwiejszym czasem w życiu zarówno jednej, jak i drugiej. Ojciec Ewy poważnie chorował, kilka razy był w szpitalu. Na domiar złego trzy miesiące temu zakończył się jej trwający ponad pięć lat związek. Nie z winy Ewy.

Leszek, bo tak miał na imię chłopak, z którym kilka lat temu przyjechała tu, by zrobić karierę, znalazł sobie po prostu inną, młodszą. Pierwsze dwa tygodnie Ewa przeplakała, następne dwa niszczyła wszystko, co świadczyło o ich wspólnie przeżytych latach: wycinała go ze zdjęć z egzotycznych wakacji, paliła listy. A potem zagłuszała się pracą, co trwało do teraz. Dla młodej prawniczki, pracującej w renomowanej kancelarii, nie było to zresztą trudne.

Znów zbliżyła się do okna i spojrzała w dół. Samochody wiozące szczęśliwych ludzi mknęły we wszystkie strony. Jej nie spieszyło się ani do pustego mieszkania, ani do dusznego klubu. Od rana namawiali ją, by z nimi poszła. Towarzystwo z biura. Najpierw na kolację w niedawno otwartej meksykańskiej restauracji, a potem potańczyć w jakimś modnym lokalu.

Grzecznie odmówiła, wymawiając się nawałem pracy. Nie miała ochoty na tańce ani na poznawanie kogoś nowego, a w takim miejscu było to niemal pewne.

– Dobra, jeszcze tylko pół godziny – mruknęła sama do siebie, spojrzawszy na swoje biurko, tak samo nieuporządkowane, jak przed chwilą.

Usiadła, zajrzała do komputera. Nie potrafiła jednak skupić się na pracy. Prawdopodobnie odpowiadała za to... cisza, która panowała tu o tej porze. Nie było nikogo, nawet sprzątaczkę zakończyły już hałaśliwe, przez wycie odkurzacza i wrzaskliwe nawoływania, sprzątanie biura. A Ewa potrafiłaby pracować nawet w ogłuszającym fabrycznym huku. Nie słyszała wtedy własnych myśli. I o to chodziło.

Wzięła do ręki pierwszy z brzegu dokument, opadła plecami na oparcie krzesła, które pod naciskiem odchyliło się o kilkanaście stopni.

– W nawiązaniu do pisma prokuratora okręgowego z dnia... – jej głos przeszedł w trudny do zrozumienia szept.

Przymknęła oczy, jej usta poruszały się jeszcze przez chwilę. Nagle gwałtownie wstała z krzesła i odrzuciła kartkę.

– Nic z tego nie będzie.

W ciągu kilku chwil, jakby miała zamiar zdążyć do znajomych jeszcze przed podaniem burrito lub nawet tequili na aperitif, wyłączyła komputer, zamknęła na kluczyk szufladę biurka, zgasiła lampkę. Chwilę później znalazła się przy szafie. W tej samej chwili zadzwonił telefon na jej biurku. W odpowiedzi pokazała martwemu urządzeniu środkowy palec.

– Nie ma mnie! – fuknęła, a wtedy, o dziwo, telefon przestał dzwonić.

Płaszczyk dopinała, zmierzając szybkim krokiem do windy. Miękką, dopiero co odkurzona wykładzina w kolorze morskiej zieleni pracowicie wygłuszała stukot obcasów. Ewa pragnęła jak najszybciej znaleźć się w domu, we własnym łóżku.

Żadna z czterech wind jednak nie nadjeżdżała. Zdarzało się to w ciągu dnia, ale nigdy o tak późnej porze. Może doszło do jakiejś awarii albo dźwigi były w konserwacji. Ale żeby wszystkie jednocześnie? Wcale nie miała ochoty na

spacer schodami z dwudziestego trzeciego piętra. Kilka razy niecierpliwie nacisnęła guzik.

Wreszcie rozległ się upragniony, pojedynczy dzwonek. Jej młodszy brat, nauczyciel muzyki w ich rodzinnym mieście, na pewno wiedziałby, co to za dźwięk. Wyjąłby z kieszeni kamerton, który nosi przy sobie zawsze, stuknął o coś twardego i sprawdził. Maniak!

Wsiadła do środka. Nacisnęła zero. Windy w biurowcu były bardzo szybkie, ale Ewa nawet lubiła przeciążenia, które towarzyszyły jeździe, zarówno tej w górę, jak i w dół. Niecałe pół minuty później była na parterze.

– Dobranoc – rzuciła do portiera.

Mężczyzna wstał, jakby chciał coś powiedzieć. Wskazywał na telefon, ale ona była już przy drzwiach. Zatrzymała się dopiero na zewnątrz, wdychając zimne powietrze wieczoru.

Tak, tego jej było trzeba!

– Dobry wieczór, pani Ewo – usłyszała nagle męski głos.

* * *

Nie pamiętał, jak znalazł się na osiedlu, na skraju którego stał kościół. Jak w ogóle udało mu się wyjść z prawdziwego labiryntu, który tworzyły korytarze i przedsionki plebanii, znaleźć furtkę i – mimo że gospodyni proboszcza podniosła alarm – opuścić nieprzyjazny teren.

Zatrzymał się wśród jednakowych bloków z wielkiej płyty. Zmrok zapadł już dawno, a tu paliła się tylko część latarni. W pewnej chwili usłyszał warkot silnika. Kilkadziesiąt metrów dalej na pętli zatrzymywał się autobus. Minutę później Piotr siedział w środku, a po kolejnych trzech jechał. Nawet nie zastanawiał się nad tym, że nie ma biletu. Było mu wszystko jedno...

Wysiadł w centrum. Dopiero znalazłszy się na przystanku, zaczął rozważać, co dalej. Powrót do noclegowni, do której zaprowadził go Aleksander, nie wchodził w grę. Zresztą pewnie nawet nie potrafiłby tam trafić. Do starego przytuliska też nie zamierzał iść. Wtedy w kieszeni spodni namacał kartonik. Była to wizytówka, która dostał w pociągu od tamtej kobiety.

Pół godziny później, zapytawszy dwa razy o drogę, odnalazł budynek, szklany biurowiec, o trudnej do policzenia bez bólu szyi liczbie pięter. W niektórych oknach wciąż paliły się światła. Bał się wejść do środka. Nie miał zresztą nadziei, że o tej porze zastanie jeszcze kobietę w pracy.

Jednak w końcu się przemógł. Starszy mężczyzna za kontuarem był na tyle miły, że zadzwonił na numer, który również znajdował się na kartoniku. Po drugiej stronie nikt nie podniósł jednak słuchawki, choć recepcjonista nie przypominał sobie, aby widział panią Ewę wychodzącą z biura. Piotr podziękował, odebrał wizytówkę i opuścił hol. Już miał iść, kiedy ujrzał ją wychodzącą z windy. Wtedy

dopiero poczuł niepewność.

– Poznaje mnie pani? – zapytał, bo wyglądała na przestraszoną. – Poznaliśmy się dzisiaj rano, w pociągu...

Ewa Ignaszak uśmiechnęła się.

– No jasne! – Klepnęła się dłonią w czoło. – Przepraszam, ale jestem po całym dniu pracy... Dobry wieczór.

Uścisnęli sobie dłonie. Piotr szybko schował rękę za plecy, a potem do kieszeni. Wstydził się, mimo że była dużo czystsza niż rano.

Co dalej? Chyba powinienem coś powiedzieć, jakoś wytłumaczyć najście – zastanawiał się.

Ale na szczęście to ona przejęła inicjatywę.

– Cieszę się, że pan się tak szybko odezwał – powiedziała. – Nie zdążyłam panu podziękować. Dziewięciu na dziesięciu przeszłoby obojętnie...

– Nieprawda. Każdy by to zrobił.

Cisza.

Nie powinienem tu przychodzić. A przynajmniej nie o tej porze. To był głupi pomysł – wyrzucał sobie w duchu.

– Zastanawiam się, czy nie złożyć skargi na tych kontrolerów... – ciągnęła Ewa z zapalem.

– Tak, to dobry pomysł. Przepraszam, na mnie już czas. Dobranoc.

* * *

Wadim Szmyt długo zastanawiał się, jak będzie wyglądał jego pierwszy wieczór po wyjściu na wolność. Wbrew temu, co buńczucznie i prowokacyjnie zapowiadał, opuszczając węzeł transportowy zakładu karnego, wcale nie spędził tego czasu, chlając i chędożąc. To mogło poczekać, a interesy nie. Prowadził je co prawda przez cały czas, odsiadując wyrok, teraz jednak mógł – i chciał – przyjrzeć się wszystkiemu osobiście.

Kazał przywieźć sobie obiad z restauracji najlepszego hotelu, a kiedy zjadł, o trzeciej po południu, jak zapowiedział w rozmowie z kierownicą, firma przyszła do niego. Na naradzie zwołanej w willi Szmyta, stojącej na spokojnym osiedlu na obrzeżach miasta, stawili się wszyscy jego współpracownicy. Księgowi wymienili wiele cyfr, padło wiele nazwisk.

Interesy Wadima miały się dobrze.

– A co nowego na mieście? – zapytał, chcąc odrobinę odpocząć od trudnych tematów.

– Kilka dni temu zrobiła się luka na rynku nieruchomości – odpowiedział mu jeden z obecnych. – Psiarnia rozbiła jedną z grup czyścicieli kamienic.

Szmyt zainteresował się wiadomością. Chciał konkretów. Gdy usłyszał nazwiska Patyka i Cześka, czyli obu zatrzymanych, a także Arka, który leżał

w szpitalu po wypadku samochodowym, ale był pilnowany przez policję, bo tamci dwaj go sypnęli, skrzywił się.

– Brudna robota – ocenił. – Choć same nieruchomości, czemu nie? Nawet się nad tym zastanawiałem, wiecie? Słyszałem, że można całkiem łatwo nabyć roszczenia do przedwojennych kamienic, szczególnie żydowskich. A także atrakcyjnych działek w centrum miasta.

Chwilę rozmawiali o wstępnych kosztach wejścia w ten interes. Potem Wadim chciał się dowiedzieć, co słyhać u kilku znajomych polityków. W tej kwestii zabrał głos uczestnik spotkania, który do tej pory jeszcze się nie odzywał.

– Mamy kilka grubych ryb na widelcu – powiedział niskim głosem, który sprawiał wrażenie, jakby specjalnie go zniekształcono, by uniemożliwić identyfikację. – Rozmawialiśmy z kelnerami w jednej restauracji, gdzie ci ludzie często bywają. Są chętni do współpracy. Myślę, że jeszcze kilka spotkań i będziemy mogli zacząć działać. Sprzęt nagrywający czeka.

– Cieszę się – rzekł Wadim.

Rzucił kilka dowcipów spod celi, po czym uczestnicy narady rozeszli się. W salonie pozostał jedynie gospodarz oraz jego najbardziej zaufany człowiek, noszący pseudonim Maksym.

– Co ze sprawą naszego przyjaciela? – zapytał Szmyt, przybliżając płonąca zapalke do końcówki cygara. – Odzywał się?

– Nie – odrzekł Maksym.

– Doskonałe cygaro – mruknął Wadim, wypuszczając dym aż pod sufit, po czym jeszcze bardziej nachylił się ku rozmówcy. – Nie możemy działać nerwowo. Prędzej czy później nasze drogi się skrzyżują. Wadim Szmyt nigdy nie zapomina o kolegach ze spacerniaka.

* * *

– Smakuje panu? – Ewa z uwagą przyjrzała się siedzącemu naprzeciwko.

Potwierdził niemo. On z kolei nie odrywał oczu od talerza, z którego zmiatał tak zapamiętałe, jakby od kilku dni nie miał nic w ustach.

Chyba zrozumiała, że w ciągu najbliższych kilku minut niczego więcej się nie dowie, bo sama chwyciła za sztucce i zabrała się do swojego burrito średniej ostrości. A jednak wylądowała tego wieczoru w meksykańskiej knajpcie, choć nie tej, do której wybierało się towarzystwo z kancelarii. Chciała po prostu zjeść. I nakarmić głodnego.

Niespodziewana wizyta człowieka, który kilkanaście godzin wcześniej wyciągnął ją z kłopotów, wprowadziła Ewę w nie lada zakłopotanie. Nie wiedziała, co powiedzieć, jak się zachować. Próbowiła kancelaryjnych sztuczek. Gdy nieznamy jakimś sposobem to wyczuł i odwrócił się na pięcie, nagle ze wszystkich sił zapragnęła, aby tego nie robił. Dlatego zaproponowała kolację.

Zgodził się od razu, ale dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo był głodny.

Kim jesteś, dziwny człowieku? – zastanawiała się, co raz popatrując na niego znad talerza.

Wciąż zadawała sobie to pytanie, proste, choć przecież tak skomplikowane. Mimo że o wszystkim, co wydarzyło się w jego życiu w ciągu ostatnich tygodni, dni, a nawet godzin, zdążył już jej opowiedzieć w drodze do restauracji. Nie, nie bała się go. Było w tym człowieku coś, co kazało jej mu zaufać. No i ta historia z poranka...

Czy naprawdę stracił pamięć? Jak to jest nie pamiętać niczego lub prawie niczego ze swojego życia? Ech, sama wiele by dała, aby w jakiś cudowny sposób pozbyć się niektórych wspomnień, szczególnie tych przykrych. Zdrada, porzucenie, choroba. Ostatnio w jej życiu innych nie było...

– Ostre – ocenił Piotr, sięgając po szklankę z colą.

Ewa uśmiechnęła się. Przepadała za tą kuchnią, lubiła tu przychodzić ze znajomymi.

– Dlatego zawsze biorę łagodne – wyjaśniła. – Trzeba pamiętać, że u Meksykańca średnie zazwyczaj oznacza ostre, a ostre wypala podeszwy.

W ciągu kolejnych dwóch minut Piotr dokończył swoje danie i opróżnił szklankę z colą.

– Tu jest taki zwyczaj, że można sobie dolewać – powiedziała Ewa.

– Wiem. Kelner wspominał. Odkąd mam kłopoty z przypomnieniem sobie niektórych rzeczy, jakoś bardziej słucham wszystkiego, co ludzie mówią. Jakby na zapas... Przynieść pani? – Podniósł się z krzesła.

Dopiła duszkiem swój napój.

– Poproszę.

Kiedy się oddalił, by napełnić szklanki w samoobsługowym dystrybutorze niedaleko baru, spojrzała na zegarek. Nigdzie się nie spieszyła. Następnie wyciągnęła z torebki telefon. Ale nikt do niej nie dzwonił z nagłym wezwaniem do pracy, co było częste w jej profesji, ani nie wysłał wiadomości z pytaniem, czy aby nie zmieniła zdania i nie chciałaby dołączyć do wesołej kompanii.

Mogła robić, co chciała. Tylko że nie miała pojęcia, czego tak naprawdę chce. Jeszcze kilka miesięcy temu jej plany przypominały arkusz z rozliczeniem podatku. Potem wszystko się rozsypało. Ewa zastanawiała się nawet, czy nie wyjechać z tego miasta, a nawet z kraju. Odciać się od wszystkiego, co kojarzyło się z wcześniejszym życiem. W końcu jednak nie zrobiła nic...

Ciekawe, ile on ma lat? – zastanawiała się. Na pewno jest starszy ode mnie. Czy ma rodzinę? Żonę i gromadkę dzieci, które nie mogą się doczekać, kiedy znów go zobaczą...

Wrócił. Ewa dokończyła posiłek. Gdy nadeszła kelnerka, aby zabrać talerze, poprosiła o rachunek. Wtedy mężczyzna jakby skurczył się w sobie.

– Głupio mi – bąknął, gdy zostali sami.

Wyciągnęła z torebki portfel, a z niego kartę płatniczą. Pokręciła głową.

– Niepotrzebnie. Powiedziałam, że zapraszam pana na kolację. I nic się nie zmieniło. To ja miałam dług wdzięczności wobec pana. Właściwie to nadal go mam.

– Proszę tak nie mówić.

– Ale tak jest.

Ewa wyrównała rachunek. Kilka minut później opuścili restaurację. Mimo późnej pory ruch wciąż był spory. Na przystankach czekali ludzie, trotuarami przemieszczały się grupki młodzieży. Słysząc było wesołe nawoływania. Skądś doleciał zabłąkany strzępek muzyki.

– Dziękuję. – Piotr wyciągnął rękę do pożegnania.

Tym razem zrobił to bez wstydu. W łazience restauracji dokładnie i bez pośpiechu umył bowiem dłonie. Przy okazji przyjrzał się swojemu odbiciu w idealnie gładkim i czystym lustrze: musiał przyznać, że maszynka do golenia damskich nóg sprawiła się doskonale.

– To był bardzo miły wieczór – dodał jeszcze.

Ale dziewczyna, zamiast ucisnąć jego prawicę, wskazała kciukiem za siebie.

– Idę w stronę metra. Jeśli nie masz innych planów...

– Nie mam – odrzekł szybko, jakby w ogóle nie zdziwiła go ta propozycja. – Chętnie cię odprowadzę.

– Cieszę się. W takim razie chodźmy.

– Chodźmy.

W ten oto prosty sposób, bez zbędnych ceregieli, przeszli na „ty”.

Szli deptakiem. Mijali młodych ludzi, stojących w kolejkach przed drzwiami klubów, i ulicznych grajków. Przy jednym z nich, młodym długowłosym chłopaku, Piotr się zatrzymał.

„Droga daleka, noc taka ciemna. Nikt na ciebie nie czeka. Zostań ze mną...”

– śpiewał wokalista, z zapalem uderzając w struny gitary.

– Znam tę piosenkę – powiedział Piotr.

Ewa sięgnęła do torebki i rzuciła monetę do otwartego futerału, leżącego u stóp grajka.

– Nie pomogę ci – powiedziała. – Nigdy jej nie słyszałam. Chociaż podoba mi się. Zastanawiam się, jak bardzo trafne są jej słowa...

– Co masz na myśli?

– Czy rzeczywiście nikt na ciebie nie czeka.

– Tego nie wiem.

Po chwili szli dalej. Piotr wpatrywał się w ziemię, wydawał się być zatopiony we własnych myślach.

– Coś sobie przypomniałeś? – zapytała dziewczyna, ale szybko zganiła się za to w duchu, bo naiwne to było i dziecinne.

Przygryzł wargi. Jeszcze głębiej wsunął dłonie do kieszeni bosmanki.

Kilka minut później znaleźli się przy wejściu do stacji metra. Wtedy Piotr przypomniał sobie sytuację z poranka. W ciągu tego dnia wydarzyło się tyle, że miał wrażenie, iż od tamtej chwili upłynęło nie kilkanaście godzin, a kilkanaście dni...

– Co właściwie robiłaś w tym pociągu? – zapytał, by natychmiast się stropić.
– Przepraszam, nie powinienem. To nie moja sprawa...

– Coś za często przepraszasz jak na faceta, który kilkoma ciosami załatwił dwóch osiłków – zaśmiała się Ewa.

– Pamiętaj, że nie zrobiłem tego sam – zauważył.

– To prawda.

Oby tylko nie zapytała o Kazka – przestraszył się. Przecież nie powiedział jej, że go przyskrzynili. A nie chciałby kłamać. Nie po tym, co dla niego zrobiła.

– Jechałam do klientki – powiedziała po chwili. – Ma 87 lat i kłopoty z poruszaniem się, a chciała przepisać notarialnie mieszkanie na wnuczka.

– Rozumiem.

– Właśnie tym się zajmuję na co dzień. No, może nie zawsze poza miastem. Wynajmuję mieszkanie kilka stacji stąd.

Tak, to wszystko – pomyślał z żalem. Uścisnąć dłoń, podziękować. Tyle zostało mu do zrobienia. Właściwie co sobie wyobrażał? Owszem, podobała mu się coraz bardziej. Miała jasne, długie włosy, całą burzę. Uwagę zwracały brwi wygięte w idealne łuki, niebieskie oczy i lekko wystające kości policzkowe. To właśnie ten ostatni szczegół pamiętał z porannej awantury. Resztę jakby oglądał po raz pierwszy. I najprawdopodobniej ostatni...

Już miał się pożegnać, gdy rozległ się dzwonek. Ewa sięgnęła do torebki.

– Przepraszam.

– Coś za często przepraszasz jak na prawniczkę – mruknął.

Ewa jeszcze przez chwilę zapamiętała grzebała w torebce.

Narzeczony się niecierpliwi – pomyślał.

Wreszcie odebrała połączenie. Piotr widział, jak zmienia się jej twarz: ściągnięte brwi, zmarszczone czoło i usta zaciśnięte w wąską kreskę spowodowały, że oglądał w tej chwili zupełnie inną osobę.

– Ale nie może pan poczekać z tym do jutra? – zapytała zmienionym głosem.
– Dobrze, rozumiem. Najwcześniej za pół godziny, tak. Do zobaczenia.

Rozłączyła się, ale nie chowała telefonu. Zauważył, że trzęsą jej się ręce. Teraz sobie przypomniał: wtedy, w podmiejskim pociągu, w jej niebieskich oczach ujrzał to samo.

– Musisz ze mną pojechać – powiedziała.

- Co?
- Na razie o nic nie pytaj...
- * * *

Miała rację. Dokładnie pół godziny po tym, jak Ewa Ignaszak zakończyła rozmowę przez telefon, stanęli przed wejściem do jej domu. Był to piękny, nowy apartamentowiec. Dopiero wtedy też się odezwała. Przez cały czas podróży metrem milczeli, jakby byli pokłóconą parą. On nie próbował dopraszać się wyjaśnień, choć miał do tego prawo i zrobiliby to chyba każdy na jego miejscu. Ona zaś myślami była zupełnie gdzie indziej.

– Musisz jeszcze raz mnie uratować – powiedziała, patrząc mu w oczy.

– Nie rozumiem. – Rozejrzał się na boki. – Nikogo tu nie ma, a okolica wygląda na całkiem spokojną. A tam, zdaje się, siedzi ochroniarz.

Pokręciła głową. Wyjęła klucz, otworzyła drzwi. Weszli do środka.

– Przepraszam, że to robię, ale nie mam innego wyjścia – podjęła, gdy czekali na przyjazd windy. – Kilka miesięcy temu rozstałam się z chłopakiem. Mieszkałam tu z nim, póki się nie wyprowadził. Mieszkanie jest wynajęte od pewnego starszego faceta. Zawsze był bardzo miły, nie robił problemów. Przychodził każdego pierwszego dnia miesiąca po pieniądze. Gdy coś nie grało, od razu przysyłał ekipę, żeby naprawiła, albo sam się za to brał...

Przyjemny, niegłośny gong ogłosił przyjazd windy. Drzwi rozsunęły się niemal bezszelestnie. Ewa i Piotr weszli do środka.

– Wszystko się zmieniło – ciągnęła, nacisnąwszy guzik z rzymską cyfrą siedem – gdy ten mężczyzna dowiedział się, że zostałam sama. Nie wiem, skąd, ale wiedział. Nie ogłaszałam tego całemu światu. Zaczął przychodzić wieczorami, niby po to, by sprawdzić liczniki. Albo po wiertarkę. Akurat trafiał zawsze na chwilę, kiedy szłam się kąpać albo wracałam z łazienki...

– Wpuszczałaś go?

– Miał swoje klucze.

– Co?!

– Wciąż je ma. Nie przeszkadzało nam to, a wręcz ułatwiało życie, gdy jakiś fachowiec miał coś naprawić w ciągu dnia, a my byliśmy w pracy. Z początku wzięłam to za przypadek, ale te wizyty zaczęły być coraz częstsze. Za każdym razem patrzył na mnie tak, jakby za chwilę miał się na mnie rzucić. Może komuś innemu, młodszemu, zrobiłabym awanturę. Ale to człowiek w wieku mojego ojca...

– Nie zmieniałaś zamków? – zdziwił się Piotr.

Wzruszyła ramionami. Spojrzała na elektroniczny wyświetlacz, na którym zmieniały się cyfry. Właśnie szóstka zmieniała się w siódmkę. Dojechali na miejsce.

– Gdy któregoś dnia w końcu starczyło mi odwagi i powiedziałam, co myślę o tych jego wieczornych wizytach, zaczął przeproszać. Myślałam, że to załatwi sprawę. Ale tak się nie stało. Właściciel uprzedza o swoich wizytach telefonicznie. Tak jak dzisiaj. Już wie, że nie zaskoczy mnie w samym szlafroku. Ale za to przedłuża, jak może, moment wyjścia.

– Nie możesz znaleźć czegoś innego?

– Cały czas próbuję, ale to nie jest takie proste. Co drugie ogłoszenie w gazecie o wynajmie mieszkania to oszustwo...

Korytarzem doszli do drzwi mieszkania, Ewa zadzwoniła kluczem. Nie zdążyła ich jednak użyć, bo drzwi otworzono od wewnątrz.

– Dobry wieczór! – Piotr, który stał z boku, usłyszał męski głos. – Niech pani wejdzie.

Ewa otworzyła usta i tak trwała, nieruchoma niczym słup, przez dłuższą chwilę. Poruszał się tylko okrągły breloczek od kluczy w jej opuszczonej ręce.

– Mam nadzieję, że się pani nie gniewa, że pozwoliłem sobie wejść do środka – zawołał rubasznie właściciel mieszkania. – No, proszę, proszę. Niech pani wchodzi!

Dziewczyna wzdrygnęła się. Spojrzała zezem w bok. Choć nie zdążyli niczego ustalić, było jasne, na czym ma polegać jego rola. Zacerpnął powietrza i zrobił krok z półobrotem.

– Dobry wieczór panu.

Stanęli ze sobą twarzą w twarz. Piotr, który słysząc głos, usiłował wyobrazić sobie, jak wygląda intruz, nie zdziwił się. Właściciel mieszkania był mężczyzną lat około pięćdziesięciu pięciu, korpulentny i łysy. Sprawiał sympatyczne wrażenie, a raczej sprawiałby, gdyby nie wiedza, którą Piotr zdążył osiągnąć kilka zaledwie chwil wcześniej.

– Dobry wieczór. – Uśmiech momentalnie zniknął z niezbyt dokładnie ogolonej twarzy właściciela; sekundę później facet odzyskał jednak rezon. – Kim jest ten pan? – zwrócił się do Ewy, jakby naprawdę był jej ojcem albo wychowawcą w szkolnej bursie.

– To mój nowy chłopak – odparła błyskawicznie. – Pracujemy razem.

– Kowalski – przedstawił się Piotr, mijając niższego niemal o pół głowy mężczyznę. – Ale jestem głodny, kochanie. Masz coś w lodówce?

– Sprawdź. Coś powinno być z ostatnich zakupów.

Właściciel mieszkania zbaraniał. Ewa odwiesiła płaszczyk do szafy w przedpokoju, zasunęła ze spokojem drzwi, ujęła się pod boki i kpiącym wzrokiem spojrzała na intruza.

– A teraz słucham pana. Co było aż tak ważne, że zdecydował się pan wejść do mieszkania pod moją nieobecność?

– Wiertła – bąknął ledwo słyszalnie.

Spojrzała na stoliczek stojący tuż przy drzwiach wejściowych. W istocie leżała na nich paczka wierteł, jeszcze nie rozpieczętowana. Była niemal pewna, że w jednej z kieszeni mężczyzny znalazłaby rachunek z kasy. Być może nawet z dzisiejszą datą.

– Cieszę się, że pan już znalazł – powiedziała zimno.

– Wyjąć ci piwo, kochanie? – dobiegło z kuchni.

– Tak, poproszę.

– A dla pana?

– Niestety, pan już wychodzi.

Nikt nie mierzył czasu, ale minutę później, a może mniej, właściciela nie było już w mieszkaniu. Ewa i Piotr siedzieli natomiast w salonie i robili to, co zamierzali zrobić: pili piwo.

– Nie wiem, jak mam ci dziękować. – Ewa odstawiała szklankę na stolik.

– Przecież nic nie zrobiłem – bronił się mężczyzna. – Oby tylko ci teraz nie wymówił. Albo nie zafundował podwyżki...

– Przecież i tak ciągle płacę za dwoje.

Wstała od stołu. Niespiesznym krokiem poszła do łazienki. Przez chwilę przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze.

Jeszcze nie jestem stara – pomyślała. Całe życie przede mną. I to ode mnie zależy, kiedy się zaczniesz na nowo...

Gdy wróciła do salonu, zastała swojego wybawiciela w zabawnej pozycji. Jego głowa i tułów leżały na sofie, podczas gdy stopy wciąż miały kontakt z podłogą. Piwo stało niedopite.

Piotr spał w najlepsze.

* * *

Kiedy się obudził, za oknami było jasno. Podniósł się na łokciu, potarł powieki. Poczul się głupio: jakby nie było, w pewien sposób wymusił nocleg na tej dziewczynie. Chociaż z drugiej strony to jej zależało, by tu z nią przyjechał i odegrał swoją rolę. Uśmiechnął się, przypomniawszy sobie wczorajszą historię z właścicielem mieszkania. Jednak szybko spoważniał.

Zaraz sobie pójdę.

Odsunął koc, którym Ewa troskliwie go przykryła. Usiadł na sofie. Czuł się błogo, miał wszak za sobą pierwszą od dłuższego czasu noc spędzoną w normalnych warunkach.

Nastawił uszu. W mieszkaniu panowała cisza.

Czyżby jeszcze spała?

Nie chciał się kręcić samopas po mieszkaniu, w którym był tylko gościem. A musiał, bowiem czuł coraz większe parcie na pęcherz, a także coraz większy głód. Z tym drugim mógł sobie jakoś poradzić, z tym pierwszym gorzej. Wstał

z sofy. Na placach podszedł do okna. Widok na miasto, który roztaczał się mieszkania Ewy, był imponujący. Nic dziwnego, że nie chciała się stąd ruszać i tak długo znosiła niechciane wizyty właściciela...

Drgnął na dźwięk dzwonka. Nie wiedział, czy to telefon, czy domofon. Kolejny sygnał. Ucieszył się, że właśnie ktoś wyręcza go w budzeniu gospodyni. Nie odważyłby się zapukać do jej sypialni. Nie wiedział nawet, gdzie jest.

Tylko że to coś dzwoniło i dzwoniło, a nikt nie podnosił słuchawki.

– Cholera.

W końcu zorientował się, że za hałas odpowiedzialny jest aparat wiszący na ścianie w przedpokoju. Podniósł słuchawkę.

– Tak? – rzucił niepewnie.

– No, już myślałam, że sobie poszedłeś – zaszcebiotała Ewa.

– Nie, jestem. Dopiero wstałem.

– Ja musiałam iść do pracy, a nie chciałam cię budzić. Zrób sobie coś do jedzenia. Lodówka jest pełna. I nie wychodź nigdzie, dobrze? Zresztą i tak nie masz kluczy, w przeciwieństwie do właściciela. Dobra, muszę kończyć. Niedługo wrócę...

Jeszcze przez kilka chwil po zakończeniu rozmowy wibrował mu w głowie jej głos. Cieszył się z takiego obrotu spraw. W lodówce znalazł wszystko, co było potrzebne do przygotowania śniadania, jednak w końcu poprzestał na kilku kromkach razowego chleba z powidłami i gorzkiej herbacie. Zaspokoiwszy głód, starannie po sobie sprzątnął.

Dopiero teraz zaczął zastanawiać się, co miała na myśli Ewa, mówiąc „niedługo”. Wczoraj złapał ją, wychodzącą w biura wieczorem. Trochę przerażała go perspektywa samotnego siedzenia w mieszkaniu przez cały dzień. Nigdzie się nie spieszył, to prawda, w dodatku miał do dyspozycji telewizor i sporą biblioteczkę, a jednak...

Zdziczałem – ocenił sam siebie.

Ledwo o tym pomyślał, rozległ się chrobot klucza przekręcanego w zamku. W grę wchodziły tylko dwie osoby: Ewa albo właściciel. A Piotr nie chciał już żadnych awantur. Zastygł w bezruchu.

– To ja! – zawołała od progu Ewa. – Jesteś?

Odetchnął z ulgą.

– Jestem.

Była zaróżowiona od zimna.

– Może przejdziemy się na spacer? – zaproponowała po kilku chwilach. – Jest chłodno, ale całkiem ładnie. Jeśli oczywiście miałbyś czas...

– Pewnie – bąknął. – A dokąd? Do parku?

– Myślałam, że pójdziemy cmentarz.

– Nie rozumiem...

– Przecież dzisiaj jest Wszystkich Świętych, pierwszy listopada. Nie pojechałam do domu, na groby, ponieważ rodzice mieszkają daleko, a to środek tygodnia. Wczoraj, gdy zasnąłeś, ktoś zapukał do drzwi. Przestraszyłam się, że to znów ten facet. Już chciałam cię budzić.

– I kto to był? – w głosie Piotra słabą nutką, ale jednak, odezwało się zniecierpliwienie.

– Dzieci poprzebierane z okazji Halloween. Wołały: cukierek albo psikus! Na szczęście miałam kilka. A rano wpadłam tylko na chwilę do biura i oto jestem! Zawsze chciałam tu iść na cmentarz, żeby zobaczyć groby sławnych ludzi, ale jakoś nigdy nie było okazji. To co...?

* * *

Nieco ponad kwadrans później wyszli z mieszkania, a po godzinie wysiedli z tramwaju przy głównej bramie jednego z największych cmentarzy w mieście i najbardziej znanych w kraju. Wzdłuż okalającego go muru ustawili kramy sprzedawcy kwiatów, zniczy, a także wszelakiej tandety, którą Polacy nie gardzili bez względu na okoliczności. Nie brakowało stoisk z artykułami spożywczymi.

– Lubisz pańską skórkę? – zapytała Ewa.

– Nie wiem – odparł Piotr.

– Ja też. Zawsze chciałam kupić, ale... Nieważne. Zjemy po jednej, na próbę – zdecydowała, po czym u starszej pani zakupiła dwa kawałki czegoś białego i różowego.

– Słodkie jak nieszczęście – skrzywił się Piotr, gdy ugryzł kawałek.

– Oddawaj! – Dziewczyna chciała wyrwać mu smakołyk z ręki, ale zdążył się odsunąć.

– Co? Moje!

Przed bramą cmentarza kłębił się tłum. Część osób opuszczała nekropolię, część dopiero miała znaleźć się w jej alejkach, wśród rzędów krzyży, tablic i figur. Po chwili znaleźli się tam także Ewa i Piotr. Dziewczyna trzymała w ręku plastikową torbę z czterema zniczami, które kupiła na jednym ze stoisk. Nie pytał, dla kogo.

Była poważna, może nawet smutna. Czytała napisy na nagrobnych tablicach, niektóre już niemal nieczytelne ze starości. Część mijanych przez nich figur aniołów nie miała twarzy albo skrzydeł. Tu i ówdzie po figurze ukrzyżowanego Jezusa pozostał tylko blady zarys na piaskowcu.

Piotr poszedł za jej przykładem. Nie znał żadnego z dziesiątek nazwisk, które czytał. Wciąż nie znał swojego, więc kto wie, może któreś z nich było także jego. Wystarczyło, że pomyślał o swoim kłopotcie, a znów poczuł ból głowy. Zatrzymał się.

Ewa przeszła jeszcze kilka kroków, nim zorientowała się, że jest sama.

– Co się stało? – Podeszła do ławeczki, na której w międzyczasie usiadł.
– Nic. Trochę boli mnie głowa.
– Gdzieś miałam tabletki. – Zaczęła mocować się z zamkiem torebki, ale ją powstrzymał.

– Daj spokój, zaraz przejdzie...

Usiadła obok. Obok nich bez końca przesuwiał się potok ludzki.

– Zastanawiam się, ilu ludzi ma tu swoich bliskich, a ilu przyszło z czystej ciekawości, tak jak my. Dla zabicia czasu... – powiedziała półgłosem.

– Nie przyszłaś tylko z ciekawości – zauważył, ruchem głowy wskazując na plastikową torbę. – Masz przecież znicze.

– To prawda. Zapalimy je razem, dobrze? Już nawet wiem, gdzie powinnam je postawić...

Jak powiedziała, tak zrobili. Jeden znicz stanął na malutkiej, opuszczonej mogiłce dziecka. Następne dwa w kwaterach żołnierskich. Ostatni zaś na grobie pisarza, którego Piotr co prawda nie znał, ale Ewa powiedziała, że w dzieciństwie czytała jego książki. Na tej mogile też nikt nie zrobił porządków przed świętem. Po drodze oglądali groby znanych ludzi: aktorów, muzyków, polityków i sportowców.

– Ciekawe, co by się stało, gdyby oni wszyscy nagle wstali – powiedziała cicho Ewa, wpatrując się w morze pełgających płomyków. – Przecież nie wszyscy mieliby gdzie wrócić, nie na wszystkich ktoś jeszcze czeka. Pewnie nie ma nawet wielu domów, w których mieszkali.

A czy ja mam dokąd wracać? – pomyślał nagle.

Nie wiedział tego. Może też był jak umarły. Jego ubrania wyrzucono albo oddano biednym, dokumenty spalono. Może został już tylko na kilku czarno-białych fotografiach? A może właśnie minął swój grób, symboliczny. Tę jedyną pociechę dla żyjących...

Szli dalej alejkami, dzięki czemu Piotr wkrótce zapomniał o bólu głowy. Zaczęły go dła odmiany boleć nogi, ale nie zważał na to. Głos Ewy, jej bliskość, a także miniona noc, najspokojniejsza od tygodnia, choć bez snów – wszystko to sprawiało, że czuł wewnętrzny spokój. Ta dziewczyna, której ktoś nie chciał, była w tej chwili jedyną bliską mu osobą. Nie myślał o tym, jak skończy się ten dzień, ani o tym, gdzie przyjdzie mu tym razem położyć głowę.

– Jestem głodna – oznajmiła, gdy po prawie dwóch godzinach przeciskania się zatłoczonymi alejkami zabytkowego cmentarza wreszcie znaleźli się poza jego murami.

– Ja też – przyznał. W chwili, gdy wypowiedział te dwa proste słowa, zdał sobie sprawę z kłopotu, który miał: jak dotąd to przecież ona za wszystko płaciła.

– Ciekawe, czy dzisiaj jest coś otwarte. Chyba musielibyśmy pojechać do centrum...

Nie zdążyli jednak ustalić, jak dalek będzie wyglądał ich dalszy, wspólny, co

już było pewne, dzień, a może nawet wieczór. Ewa ujrzała bowiem zmieniającą się twarz mężczyzny. Spoglądał w napięciu w jakiś punkt.

Co przykuło jego uwagę, a może raczej: kto? Odpowiedź na to pytanie pojawiła się w tej samej chwili, gdy uszu Ewy doszedł kobiecy, zduszony, ale wyraźny, wibrujący od emocji głos:

– Czego tu szukasz, Judaszu? Znow przyszedłeś na cmentarz? Kogo tym razem chcesz skrzywdzić?!

* * *

Pierwszy listopada. Aż trudno uwierzyć. W Polsce pewnie plucha i ziąb, że z domu nie chce się wyjść, a przecież trzeba, bo tradycja. A tutaj słońce i skwar, aż trudno wytrzymać.

Wczoraj minęły dokładnie trzy miesiące, od kiedy Daniel Stefański, młody i pełen sił dziennikarz, wysiadł z samolotu na lotnisku pośród piasków pustyni. Dołączył do ekipy telewizyjnej, pracującej tu od chwili pojawienia się polskiego wojska. Zajmował się gromadzeniem danych, informacji i umawianiem spotkań.

Jednak niecałe dwa tygodnie później reporter, którego twarz widzowie w kraju oglądali w telewizorach, został w trybie pilnym wezwany do kraju. Daniel miał go zastąpić do czasu przysłania zmiennika. Nikt się jednak jakoś nie kwapił do zmiany klimatu albo też było tylu chętnych, że szefostwo stacji telewizyjnej nie mogło się decydować, kogo wybrać. Grunt, że tygodnie mijały, a nikt nie przylatywał.

Tymczasem Stefański, stojąc w mikrofonem w ręku na tle pustyni, zaczął się czuć w tej roli coraz lepiej. Szybko polubili się z resztą ekipy: operatorem, dźwiękowcem i montażystą. Przede wszystkim dogadali się co do priorytetów. Nikt nie miał zamiaru nadstawiać tyłka. Wykopanie nowej studni, budowa przedszkola, rozmowy gubernatorów o przyszłości prowincji, wigilijne plany wojskowego kucharza, szkolenie afgańskiej milicji, wizyta w bazie znanej aktorki – o tych i podobnych historiach najlepiej i najchętniej kręcili materiał.

I tak kilka minut temu zakończyli nagranie o budowie nowej drogi. Żartowali między sobą, że arteria będzie z pewnością szybciej zbudowana i o wiele lepsza niż te w Polsce, mimo że średnia temperatura o dwadzieścia stopni wyższa. Ambasador, zresztą emerytowany generał, pieprzył farmazony o przyjaźni między narodami, a dowódcy wojsk inżynieryjnych cieszyli się na wieczorną popijawę.

Potem członkowie ekipy dali sobie godzinę wolnego. Daniel chciał zobaczyć słynny Niebieski Meczec. Jego sylwetka z charakterystyczną wieżą górowała nad miastem, więc nie sposób było zabłądzić.

Stefański mijał akurat posterunek milicji, gdy ujrzał wychodzącego z budynku znajomego. Był to Scott, znajomy reporter BBC. Uścisnęli sobie ręce.

– Chodź, zjemy coś – zaproponował od razu Anglik.

Po kilku chwilach siedzieli w dużej, stylowej restauracji w samym centrum miasta.

- Polecam *oufta challaw*, pycha – powiedział Scott.
- Boję się nawet zapytać, co to jest – uśmiechnął się Polak.
- Czasem lepiej nie wiedzieć.

Chwilę milczeli. Z głośników leciał jakiś arabski pop.

- Co robisz na północy kraju? – zapytał Daniel, gdy zabrali się za jedzenie.
- Węszę – odpowiedział.
- Za to płaci ci BBC.
- To prawda. Ale teraz węszę po godzinach.
- Nie rozumiem.

Anglik rozejrzył się na boki, jakby obawiał się, że ktoś może podsłuchiwać.

– Wiesz dobrze, że sama wojna nie przynosi żadnych wymiernych korzyści – perorował. – Wręcz przeciwnie: kosztuje i to niemało. Nie tylko to, co przeliczalne, czyli funty, euro czy dolary, ale też inne sprawy. Choćby utratę władzy. Wojna jest zawsze o coś i niech sobie w dupę wsadzą bajeczki o demokracji i walce z terrorem. Gdzie indziej chodziło o ropę, to wszyscy wiemy. A o co chodzi tutaj?

– No właśnie.

– Gaz? Ropa?

– Lazuryt? – dorzucił Daniel, przypomniawszy sobie kolor Niebieskiego Meczetu.

– Pewnie tak. Ale nie tylko!

– W ciągu dwóch pierwszych misji zniknęła całkiem spora świątynia, bo każdy z żołnierzy chciał zabrać sobie jedną cegłę na pamiątkę.

Zaśmiali się obaj.

– Jeszcze dobrze tego nie wiem, ale podejrzewam, że oni znaleźli tutaj coś, co jest o wiele bardziej cenne. Nie mam na razie pojęcia, co to może być, ale się dowiem.

Ostatnie słowa wypowiedział, stojąc już przy stoliku. Pożegnał się i poszedł zapłacić za obiad. Danielowi się nie spieszyło, więc zamówił jeszcze baklavę na deser, po czym udał się do toalety. Wszedł do jednej z kabin, zamknął drzwi na skobelek. Ledwo jednak rozpiął rozporek, do łazienki ktoś wszedł. Po chwili dziennikarz usłyszał polską mowę.

– Przecież nie będziesz zapierdalał jak zając do emerytury – powiedział jeden głos; Daniel znał ten ton, ton ludzi nieznoszących sprzeciwu, wszystkowiedzących.

– Mam inne wyjście? – odpowiedział pytaniem drugi, dużo spokojniejszy, chyba nawet nieco starszy.

– Możesz jeszcze dać sobie dupę odstrzelić.

– Nie wchodzi w rachubę.

- Albo wrócić do swojego leśnego garnizonu.
- Niechętnie.

Chwila ciszy. Jakby się zastanawiali, jakich argumentów użyć, żeby się nawzajem przekonać. Tylko do czego? Tego jeszcze przygodnemu słuchaczowi nie udało się ustalić.

- Chodzi o trzy, góra cztery transporty – zaczął znów ten fanfaron.
- Dokąd?
- Do kraju. Pytasz, jakbyś nie wiedział!
- Skąd mam niby wiedzieć...
- Dobra, nieważne. Międzyładowanie jest w S. Reszta cię już nie obchodzi.

Inkasujesz za usługę okrągłą sumkę i szybko zapominasz o całej sprawie.

Przedostatniemu zdaniu towarzyszył gest otrzepywania rąk. Mężczyźni wyszli z łazienki.

Daniel Stefański starał się zapamiętać dokładnie każde słowo, które usłyszał, a raczej najwyczejniej w świecie ukradł. I chyba dowiedział się tego, nad czym od dawna głowił się Scott. Odechciało mu się nawet sikać.

* * *

Wadim Szmyt zapalił knot znicza, przykrył blaszaną koroną i postawił na środku marmurowej płyty obok dwóch już płonących i trzech doniczek z białymi chryzantemami. Przyklęknął na krawędzi grobu, przeżegnał się, zaczął się modlić.

- Już niedługo będziesz pomszczony, bracie – powiedział na koniec.

Zbliżając się do swojego samochodu zaparkowanego w zatoczce, zauważył przy nim jakiś ruch. Nie przyspieszył jednak kroku ani nie zwolnił. Jeszcze dwa kroki i już miał pewność, że ktoś usiłuje się włamać do auta. Zrobił cztery kolejne i rozejrzał się na boki.

- Może w czymś ci pomóc? – zawołał niegłośno.

Cisza. Cień zniknął. On wiedział jednak, że złodziej nadal tam jest.

- Jakiś problem? – rzucił znów.

Wreszcie złodziej ujawnił się. Ale chyba nie po to, by wyrazić skruchę.

- A chuj cię to obchodzi!

– Jednak obchodzi – odpowiedział ze spokojem Wadim. – Jeśli nie uszkodziłeś zamka, będę wspaniałomyślny i pozwolę ci odejść. To jak będzie?

- Pierdol się, cioto! Twoje?

– Niestety, tak się składa, że moje. Masz pecha.

– To ty masz pecha – dobiegło naraz z przeciwnej strony, czyli zza pleców Szmyta.

Wyglądało na to, że dialog między właścicielem pojazdu a niedoszłym złodziejem, mimo że nie był prowadzony głośno, przywołał kamrata tego drugiego. Ten głośno wezbrał w ustach ślinę i prowokacyjnie splunął na ziemię.

– I co teraz powiesz, cioto? – Nakryty złodziej wyszedł z samochodu i rozkołysanym krokiem zbliżył się do jego właściciela.

– Ściągaj portki – rzucił drugi z napastników.

– Po co?

– Zobaczysz.

Szmyt głośno westchnął.

– Nie zmuszajcie mnie, żebym...

Nie dokończył, bo musiał uniknąć ciosu, który wyprowadził stojący za nim złodziej. Spadająca z impetem pięść trafiła na próżnię i, co gorsza, spowodowała, że jej właściciel stracił równowagę. To nieomylnie wykorzystał zaatakowany, zadając tamtemu potężny cios nogą w krocze. Chłopak zawył z bólu i upadł na ziemię. Drugi z napastników, uderzony nie wiadomo kiedy pięścią między oczy, okazał się nieco bardziej dyskretny, bo tylko jęknął.

Wtedy Wadim Szmyt powolnym ruchem sięgnął za pazuchę płaszcza.

– Macie szczęście, że dziś święto – mruknął. – Ale kary nie unikniecie.

* * *

– Może jeszcze zrobię pani herbaty, co? – zaproponowała Ewa.

– To chyba ja powinnam...

– Ależ nie ma o czym mówić! Już wiem, gdzie co jest. To naprawdę nie kłopot.

– W takim razie chętnie się napiję.

Dziewczyna skierowała kroki do kuchni. Piotr i pani Maria, bo to właśnie ją spotkali z Ewą przed bramą cmentarza i to przez nią mężczyzna został publicznie odsądzony od czci i wiary, zostali sami. Zapanowało krępujące milczenie. Mimo że wszystko zostało wyjaśnione, jakoś ciężko było rozmawiać i śmiać się jak kilka dni temu, kiedy w tym samym miejscu pili herbatę, jedli ciasto i gawędzili miło, jakby znali się od dawna.

Piotr wypił kilka łyków. Po raz kolejny rozejrzał się po wnętrzu pokoju. Nie spodziewał się, że jeszcze kiedyś tu trafi. Spojrzawszy na etażerkę, przypomniał sobie, jaki los tamtego wieczora spotkał ramki z fotografiami, dzbanuszki i duży wazon. Fotografie były już oprawione w nowe ramki, obok stało kilka nowych dzbanuszków, jakieś figurki.

– Jak pan widzi, udało mi doprowadzić wszystko jako tako do ładu – powiedziała starsza pani. – Szczura też wypędziłam, jeszcze tego samego wieczora. Był chyba bardziej przestraszony niż ja. Dużo gorzej jest tutaj. – Dotknęła dłonią klatki piersiowej.

Zwiesił głowę. Nie przychodziły mu do głowy żadne słowa pocieszenia. Wszystko, co miał do powiedzenia na swoje usprawiedliwienie, powiedział. Zaczął jeszcze pod cmentarzem, mówiąc o tym, że został w nieczny sposób wykorzystany,

by zdobyć jej zaufanie. Mógł po prostu odwrócić się i odejść, bez trudu rozpląnąć się w tłumie. Ale nie chciał. Musiał to z siebie wyrzucić.

Szybko jednak przerwał, ponieważ starszej pani zrobiło się słabo. Na szczęście Ewa, prócz wiary w niego, zachowała zimną krew. Udało im się złapać taksówkę, wsiedli do niej we trójkę, Piotr podał kierowcy adres. Maria nie protestowała, mimo że wtedy jeszcze nie przekonał jej o swojej niewinności. Po prostu pogodziła się z losem.

Gdy znaleźli się w jej mieszkaniu, Ewa przyszła w sukurs Piotrowi. Potwierdziła to, co powiedział o utracie pamięci. Przytoczyła też niedawną historię z pociągu. Czy to przekonało Marię? Tego Piotr nie był pewny. Nawet wtedy, gdy zaczęła się uśmiechać jak kiedyś. Czy Ewa również mu wierzyła, czy tylko prowadziła jakąś dziwną grę, nie chcąc przyznać się sama przed sobą do dziecięcej naiwności? Na to pytanie również nie znał odpowiedzi. I chyba nie chciał jej poznać.

– Pewnie nie słyszał pan o panu Wieńczysławie, moim sąsiedzie? – zagadnęła po chwili gospodyni mieszkania.

– Nie – skłamał, czerwieniąc się.

– Umarł tego samego dnia, gdy widzieliśmy się po raz ostatni.

Pokręcił głową.

– Znalazła go córka, następnego dnia rano. Ludzie mówią, że to nie był zwyczajny zawał. Widzieli kogoś, kto wychodził z jego mieszkania w czasie tej wieczornej awantury...

Wie? Może czeka, aż sam to powiem? – zastanawiał się gorączkowo.

Z kłopotu, przynajmniej na razie, wybawiła go Ewa, przynosząc dzbanek z herbatą.

– Na troski najlepsza herbatka – powiedziała wesoło, po czym zaczęła nalewać gorący płyn do filiżanek. – Moja babcia zawsze tak mówiła.

– A jest się czym martwić, jest – westchnęła pani Maria. – Właściciel kamienicy nie przestaje nas gnębić ani na chwilę. Nie ma już wprawdzie tych łobuzów – przez sekundę spojrzała na Piotra, ale to wystarczyło, by znów spiekl raka – ale to i tak nie zmienia naszej sytuacji. Straszy lokatorów sądami. Dwoje już przypląciło to życiem. Ja będę następna.

– Proszę tak nie mówić – zaprotestowała Ewa.

Usiadła na kanapie, wymieniła spojrzenia z mężczyzną.

– A może mogłabym jakoś pani pomóc?

– Tu prawnika trzeba, moje dziecko. I to bardzo dobrego! Specjalistę od takich beznadziejnych spraw.

– Właśnie przed panią siedzi. – Dziewczyna rozłożyła szeroko ręce i nie był to bynajmniej gest rezygnacji.

Gdy wrócili do mieszkania Ewy, był już późny wieczór. Porady, których

łebska prawniczka postanowiła udzielić pani Marii, zajęły niemal dwie godziny. Z pewnością były cenne, bo starsza pani przez cały czas coś skrupulatnie notowała, a gdy czegoś nie rozumiała, po prostu pytała. Natomiast dziewczyna z uwagą przyglądała się niemal każdemu dokumentowi dotyczącemu mieszkania. Była w swoim żywiole.

Piotr bynajmniej nie marnował czasu. Pozmywał, dokładnie posprzątał. Cieszył się z takiego obrotu spraw. Nie czuł się co prawda zupełnie oczyszczony z win, ale przynajmniej znów mógł spojrzeć tej kobiecie w oczy. No i teraz to on miał dług wobec Ewy, która – z tego, co usłyszał – znalazła wiele rozwiązań patowej wydawałoby się sytuacji.

Ewa odwijiała właśnie szalik z szyi, ale on nie odpiął nawet jednego guzika bosmanki.

- Chyba czas na mnie. – Spojrzał znacząco na zegar wiszący w przedpokoju.
- Nie wyglupiaj się – fuknęła.
- Nie wyglupiam się.
- Przecież wiem, że nie masz dokąd iść.

Nie powiedział jej jeszcze o przytuliskach, w których dotąd spędzał noce, nie wspominając już o ruinie przy torach. Aż dziw, że po tym wszystkim nie oblaźło go robactwo. Gdyby wiedziała, co robił i gdzie spał, na pewno brzydziłaby się wpuścić go pod swój dach. A to była naprawdę elegancka babka. Młoda, o dobrym sercu, ale wciąż dziecko swoich czasów. Wiedział to już w pierwszej chwili, gdy ujrzał ją stojącą w pociągu.

– Jeszcze raz bardzo dziękuję ci, że pomogłaś tej kobiecie – powiedział.

– Nie ma problemu. Przynajmniej nie wyszłam z wprawy przez ten jeden dzień wolny od pracy – zachichotała, zdejmując płaszcz. – No co tak stoisz?

Nic nie odpowiedział. Czuł, że jego serce zaczyna bić szybciej. Zupełnie tak samo jak wtedy, gdy przez zagajnik uciekał przed zabójcą Trzech Króli. I w chwili, gdy dowiedział się, gdzie spędził ostatni czas. Tak, o tym też nie powiedział jeszcze Ewe...

Ale ona chyba nie chciała już rozmawiać. Płaszcz, który zawsze wieszala w szafie z przesadną starannością (pewnie swoje kosztował!), rzuciła teraz na podłogę. Po chwili obok niego leżała także jej bluzka.

Piotr poznawał uczucie, które zaczynało go właśnie ogarniać.

– Spodobałeś mi się jeszcze w pociągu – powiedziała cichym głosem, zbliżając się do niego. – Nie każdemu dałabym wizytówkę. Miałam nadzieję, że się odezwiesz. I tak się stało.

Otworzył usta, ale położyła mu na nich wskazujący palec.

– Już nic nie mów, nieznajomy. Wysoki sąd odbiera ci głos...

* * *

Obudził się w środku nocy. Przez kilka chwil nie wiedział, gdzie jest. Dopiero, gdy wyciągnął rękę i dotknął nagiej skóry leżącej obok kobiety, uświadomił sobie, co się stało.

Nawet nie wiem, czy kogoś zdradziłem – pomyślał wtedy.

Szybko zasnął ponownie. A kiedy znów odzyskał świadomość, Ewy już nie było. W szparze między niedociągniętymi zasłonami jaśniał dzień. Obok na poduszce, tam, gdzie wcześniej znajdowała się jej głowa, leżała kartka.

„Poszłam do pracy. Miłego dnia” – przeczytał na głos. „PS. Na półce w przedpokoju zostawiłam Ci zapasowe klucze. Zrób, proszę, jakieś zakupy”.

Odrzucił liścik, położył głowę na poduszkę. Przeciągnął się z lubością i westchnął.

Kilka minut później, w drodze do łazienki, rzeczywiście znalazł klucze. Obok leżało pięćdziesiąt złotych. W tej samej chwili wiedział już, jak wykorzysta część tej kwoty. Spowodowały to wczorajsze rozważania na cmentarzu. To się wreszcie musiało skończyć. Chciał wiedzieć, jak się nazywa i gdzie mieszka. A mógł tego dokonać tylko w jednym miejscu. W więzieniu w P., do którego nie dotarł tamtego dnia, kiedy poznał Ewę.

Piotr ubrał się szybko, zjadł śniadanie, zamknął drzwi mieszkania i opuścił budynek. Pół godziny później znalazł się na dworcu. Sprawdził połączenie na tablicy odjazdów. Los mu sprzyjał: najbliższy pociąg odchodził za osiem minut. Na peronie, tak jak przed paroma dniami, gdy wybierał się w podróż z Czaplą, trwał poranny szczyt. Ludzie spieszyli się do pracy, niewyspani po wczorajszym wolnym dniu, który przypadł w środku tygodnia, zaburzając rytm i porządek.

Wreszcie kolejka zatrzymała się na peronie. Piotr wszedł do środka, znalazł miejsce siedzące. Pociąg ruszył. Przespana tylko w części noc, którą mężczyzna miał za sobą, szybko o sobie przypominała. Wystarczyło kilka minut i pozwolił ukołysać się stukotowi kół.

– Halo!

Poczuł szarpnięcie za ramię. Wzdrygnął się, otworzył oczy.

– Bilet pana poproszę.

Stał nad nim jakiś facet. Granatowa kurtka, jakiś identyfikator. Kontroler. Piotr nie miał wątpliwości: był to ten sam kanar, który wtedy zatrzymał Ewę...

– Już. – Sięgnął do wewnętrznej kieszeni bosmanki.

Tymczasem przy kontrolerze zatrzymał się jakiś osobnik. Piotr nie musiał podnosić wzroku, by przekonać się, że to ten drugi.

Jak pech, to pech! – pomyślał ze złością, podając bilet.

Zapisała krótko jakieś urządzenie.

– Dziękuję.

Oddalający się stukot buciorów na podłodze wagonu, rumor odsuwanych drzwi. Piotr słuchał, bo bał się podnieść wzrok. Nie poznali go? A może tylko

wyszli, żeby się naradzić, w jaki sposób i kiedy odplacą mu za tamto. Jednak gdy pociąg zatrzymał się na następnej stacji, a on ujrzał ich dwóch idących po peronie, był pewien, że nic już się nie wydarzy.

Pół godziny później wysiadł w P. Poczekał, aż pociąg odjedzie, i dopiero wtedy wszedł do przejścia podziemnego. W niewielkim budynku dworca sprawdził powrotne połączenia. Na szczęście z P. można było się wydostać co pół godziny. Kupno biletu odłożył na później.

Wstydził się jednak zapytać kogokolwiek o drogę do zakładu karnego.

– Zabić, a najlepiej ukraść batonik – powtórzył na głos żart rudego Mariana z noclegowni.

Jednak i tu fortuna mu sprzyjała. Jakiś dowcipniś na planie miasta, który stał na skraju niewielkiego skweru przy dworcu, napisał koślawymi literami słowo CIUPA. Wystarczyło zapamiętać drogę. Tak też Piotr zrobił i już po dwudziestu minutach bezbłędnie dotarł przed główną bramę zakładu penitencjarnego.

Metalowa, rozsuwana na boki brama. Tuż obok kilka schodków i drzwi – zwyczajne, drewniane, przynajmniej z zewnątrz. Nie, nie pamiętał tego miejsca.

– Raz kozie śmierć. – Nacisnął dzwonek domofonu przy drzwiach.

Gdy w głośniczku ktoś się odezwał, on nagle zapomniał języka w gębie. Na początku wypadało przecież podać nazwisko, a tego przecież nie znał. Miał nadzieję, że ktoś go w tej chwili widzi...

– Dzień dobry – wykrztusił wreszcie. – Chciałbym... chciałbym się widzieć z oficerem dyżurnym. – W ostatniej chwili przypomniał sobie, co mówił Kazek, gdy pierwszy raz jechali do P.

– To bardzo ważna sprawa...

Z głośniczka nie dobiegł żaden dźwięk. On też nic więcej nie powiedział. Nie miał pojęcia, ile czasu upłynęło, zanim rozległo się bzyczenie elektromagnesu. To już zresztą nie miało znaczenia. Pchnął drzwi i wszedł do wąskiego, słabo oświetlonego holu. Gdy usłyszał za plecami zamykające się za nim drzwi, przez grzbiet przebiegł mu zimny dreszcz. W tej samej chwili drogę zastąpił mu uzbrojony strażnik.

– Słucham pana? – zapytał, a przez jego twarz przemknął krótki uśmiech.

Tak, to chyba ten moment.

– Miałem wypadek i straciłem pamięć – oświadczył przybysz. – Nie wiem, jak się nazywam. Nie mam dokąd pójść.

– Powinien się pan udać na policję – powiedział od razu klawisz.

– Wiem. Ale ja prawdopodobnie kilkanaście dni temu wyszedłem stąd...

Zamilkł w oczekiwaniu na reakcję mundurowego. I w nadziei, że tamten przyzna jednak, że widzi go po raz pierwszy w życiu. Strażnik słuchał. Wreszcie wskazał przybyszowi drzwi. Nie były to drzwi, przez które ten przed chwilą przeszedł.

Piotr wszedł do niewielkiego pomieszczenia bez okien, oświetlonego jedną żarówką. Znajdowały się tu tylko trzy meble: drewniany stół i stojące po jego dwóch stronach krzesła. Usiadł na jednym z nich, rozpiął guziki marynarskiej kurtki.

– Spokojnie. Tylko spokojnie.

Nie było to jednak takie łatwe. Skulił się, wsunął ręce pomiędzy nogi. Nagle poczuł nieznośne zimno. Zaczął szybko i miarowo poruszać nogami. Po chwili jednak wstał, zrobił kilka kroków po pomieszczeniu. Zatrzymał się przed drzwiami, położył dłoń na klamce. Nie miał jednak odwagi jej nacisnąć. Kilka sekund po tym, jak z powrotem zajął miejsce na krześle, uchyliły się drzwi i do pokoju zajrzał ten sam klawisz.

– Proszę jeszcze o parę chwil cierpliwości – ogłosił, znów z tym samym, przelotnym uśmiechem. – Powiadomiłem kierownictwo zakładu. Wszystko powinno się wyjaśnić...

To powiedziawszy, zamknął drzwi. Cicho i starannie, tak jak zamyka się drzwi pokoju, w którym właśnie zasnęło małe dziecko. Piotr również poczuł nagłą senność. Położył ręce na blacie stolika. Po chwili, świadomy, że jest pod obserwacją, przyłożył do nich głowę. Przymknął oczy, obiecawszy sam sobie, że tylko na chwilę...

Kiedy się ocknął, ujrzał stojącego obok starszego, ponadpięćdziesięcioletniego mężczyznę. Był średniego wzrostu, krępy. Wyglądał na miłego.

– Przepraszam, że musiałeś tyle czekać – zaczął gość. – Powiadomiono nas od razu, gdy się zgłosiłeś. Do P. jest jednak kawałek drogi. Na szczęście nie było korków...

– Was? Czyli kogo? – przerwał Piotr.

Gość spojrzał na niego z uwagą. A potem odpowiedział pytaniem na pytanie:

– Poznajesz mnie?

Pokręcił głową. Jego wargi poruszyły się kilka razy, jednak nie wydostał się spomiędzy nich żaden dźwięk. Nieznajomy usiadł na drugim krześle, nachylił się nad stołem, jakby chciał coś powiedzieć w wielkiej tajemnicy. Ale zamiast tego zadał kolejne pytanie:

– Na pewno mnie nie pamiętasz?

– Nie. – Tym razem Piotrowi udało się wyartykułować krótki komunikat.

Nieznajomy wyprostował się.

– Pułkownik Bogdan Karcz – przedstawił się po krótkiej chwili. – Mówi ci to coś?

– Jest pan dyrektorem tego więzienia?

Stary przewrócił oczami. Sapnął.

– Nie, jestem szefem fundacji, która opiekuje się takimi jak ty –

odpowiedział.

– Byłymi więźniami?

– Nie. Byłymi żołnierzami – westchnął oficer, by dodać szybko, jakby ta wiedza mu ciążyła: – Nazywasz się Piotr Duch. Kapitan Piotr Duch. Ostatni przydział służbowy 25. Brygada Kawalerii Powietrznej...

Rozdział trzeci

„PAMIĘTAMY TYLKO TO, CO BYŁO DOBRE!”. Hasło tej treści wisiało niemal we wszystkich pomieszczeniach sanatorium dla weteranów misji zagranicznych, które otwarto kilka miesięcy temu w miejscowości K., niespełna godzinę jazdy od stolicy.

Placówka została uruchomiona po wielu latach starań, wydeptywania ścieżek w ministerstwach i parlamencie, a nawet w pałacu prezydenckim. I od pierwszych dni działania wszystkie miejsca, którymi dysponowała, były zajęte. Mimo wielu warunków, które trzeba było spełnić, by skorzystać ze wszystkich jej dobrodziejstw. Mówiło się o kolejkach, które powstawały, o konieczności kilkumiesięcznego oczekiwania na miejsce.

W sanatorium w K. siły odzyskiwali, jak sama nazwa głosiła, wszyscy żołnierze, którzy na misjach poza granicami kraju stracili lub nadwyreżyli zdrowie, także psychiczne. Na korytarzach spotykało się bowiem zarówno mężczyzn utykających, poruszających się o kulach albo wręcz na wózkach inwalidzkich, jak i takich, którym na pierwszy rzut oka nic nie dolegało. Problem znajdował się jednak w ich głowach, a dawał o sobie znać, gdy ten i ów budził się z krzykiem w środku nocy. Albo bez słowa wstawał od stolika podczas posiłku i wychodził...

Tak, w nowym sanatorium w K. zarówno lekarze i pielęgniarki, jak i fizjoterapeuci bez wątpienia mieli co robić.

– Dzień dobry. Jak się dziś mamy? – Dyrektor placówki, profesor nauk medycznych Zenon Tatar, pułkownik z apetytem na generalskie lampasy, wkroczył z uśmiechem do trzyosobowej sali, właśnie bowiem zaczynał się obchód.

– Dzień dobry – odpowiedział mu dwugłos.

Za profesorem, jak to na obchodzie, ciągnął ogonek ubranych na biało lekarzy i stażystów, tak mężczyzn, jak i kobiet. Przeważali ludzie młodzi.

Pułkownik Tatar sięgnął po kartę zawieszoną w nogach pierwszego z brzegu łóżka.

– Znów były te sny, sierżancie? – Spojrzał znad zsuniętych na czubek nosa okularów na siedzącego na krześle przy łóżku mężczyznę z ręką na temblaku.

– Nie, profesorze – odpowiedział z mocą pensjonariusz, prostując się, na ile mógł.

– To dobrze. Kontynuujemy terapię.

Ktoś za plecami szefa powtórzył jego słowa, ktoś jeszcze dalej skrupulatnie je zanotował. Profesor zbliżył się do kolejnego chorego, dryblasza w granatowym szlafroku, który z kolei stał przy swoim łóżku, jakby go pilnował.

– Chorąży Drapella – ucieszył się lekarz albo tylko dobrze markował radość.
– Co u pana?

– Melduję, że wszystko w porządku, panie pułkowniku – powiedział pacjent. Profesor podniósł do oczu historię choroby, coś wskazał palcem tak, żeby widział lekarz stojący bezpośrednio za nim.

– Odstawić – rzucił półgębkiem.

To polecenie także skrzętnie zanotowano. Jak się okazało, komunikacja ta działała w obie strony.

– Nowy pacjent, panie profesorze. Od wczoraj na oddziale – odpowiedział jeden z lekarzy, widząc zakłopotaną minę przełożonego, który stanął przy ostatnim, trzecim łóżku.

– Fakt, wczoraj byłem we Wrocławiu – mruknął Tatar, po czym zwrócił się do pacjenta: – Jak samopoczucie, kapitanie? – zapytał, zezując na podaną mu sekundę wcześniej kartkę. – Wiem, że to wbrew naszej naczelnej zasadzie – spojrzał na towarzyszących mu ludzi w białych kitlach – ale czy coś się panu przypomniało?

Leżący pokręcił głową.

– Nie. Jeszcze nie – mruknął w odpowiedzi.

– Zapewniam pana, kapitanie, że wyjdzie pan stąd jak nowy – rzekł uroczyście profesor.

Wciąż „nowy” – zaśmiał się w duchu Piotr Duch.

Przewieźli go tutaj wczoraj, późnym popołudniem, prosto z zakładu karnego w P. Nie miał sił, by zaprotestować. Kolejne wiadomości na temat swojej tożsamości przyjął z obojętnością. Ot, jakby ktoś nieznajomy powiedział na ulicy czy w tramwaju, że krzywo się zapiął.

Jestem żołnierzem? O, jakie to ciekawe! W dodatku oficerem! O, jakie to wspaniałe...

Profesor Zenon Tatar pożartował jeszcze chwilę, po czym życzył wszystkim zdrowia i obchód opuścił salę.

– Za każdym razem, gdy przychodzą, czuję się jak mała w zoo – rzekł sierżant Kustroń, podchodząc do okna. – Tylko z jednym lekarzem da się pogadać. Major Radzikowski. Ale ostatnio rzadko tu zagląda. Czasami żałuję, kurwa, że się tu dałem zamknąć.

– Nie narzekaj, nie narzekaj – fuknął Drapella, który, w przeciwieństwie do tamtego, właśnie kładł się na łóżku. – Wielu chciałoby być na naszym miejscu. Możesz spokojnie mówić o sobie: pieszczoch losu.

– Akurat!

– Gdyby nie otworzyli tego sanatorium, pewnie wielu z nas już dawno zrobiłoby sobie krzywdę. Sobie albo komuś innemu...

W tym momencie obaj, nie wiadomo dlaczego, spojrzeli na Piotra.

Wiedzieli, że jest od nich starszy stopniem i od samego początku odnosili się do niego z należnym szacunkiem. Jemu, prawdę mówiąc, było to zupełnie obojętne. Rzadko się odzywał. Zazwyczaj tylko wtedy, gdy o coś pytali. A i wówczas najczęstszą odpowiedzią było: nie pamiętam.

Nie, nie miał powodu nie wierzyć w to, co powiedział pułkownik Bogdan Karcz. Co więcej, dzięki temu zrozumiał wiele spraw, nad którymi wcześniej się głowił. Przede wszystkim wyjaśnił się fenomen człowieka, który wykonuje polecenia, nie pytając, po co i dlaczego. To, kim był, pozwoliło mu także bez większego trudu i w parę chwil powalić na ziemię kilku przeciwników. Kanarów w pociągu czy budowlańców na plebanii.

Karcz bez wątpienia wzbudzał zaufanie. Gdy wyszli z więzienia i wsiedli do samochodu, Piotr Duch nie miał pytań. A przecież przez cały ten czas cisnęły mu się ich na usta dziesiątki! Żeby zadać choć jedno i na jedno usłyszeć odpowiedź. Tylko które było najważniejsze?

Emerytowany pułkownik, jakby domyślając się, co dzieje się w głowie poszukiwanego przez niego od dłuższego czasu człowieka, powiedział wtedy, że na wszystko przyjdzie kolej.

„Najpierw musisz odpocząć. Ważne, że się odnalazłeś i jesteś bezpieczny” – powtarzał kilka razy. Podczas drogi opowiadał o tym, jak go szukali. Wspomniał o pechowej stłuczce, a nawet o jednym takim, którego znaleźli w górach i w którym ktoś rozpoznał byłego uczestnika misji.

„Mam nadzieję, że to koniec kłopotów” – podsumował.

Pułkownik zostawił go w sanatorium w K. Obiecał, że się odezwie. Z kimś rozmawiał, czyjeś ręce ścisnął, co przysły pensjonariusz mógł zaobserwować przez matową szybę w drzwiach. A potem sobie poszedł.

Piotrowi spodobało się tu od pierwszej chwili. Nowy budynek, nowe wyposażenie, czyste i jasne pomieszczenia, miły i kompetentny personel. Zaśmiał się, gdy przeczytał hasło przewodnie.

– Ciekawe, co dzisiaj dadzą na obiad – zastanawiał się głośno Kustróń, wciąż wyglądający przez okno.

– Nie narzekaj – mruknął po swojemu Drapella.

– Nie narzekam. – Sierżant gwałtownie odwrócił się od okna. – Po prostu jestem ciekaw. Mam ochotę na naleśniki. Z twarogiem.

– Wczoraj były.

– No to pierogi.

– Kto wie.

Jedzenie, które serwowano w sanatorium, miało być przede wszystkim lekkostrawne. Dbał o to ponoć specjalnie zatrudniony dietetyk. Pod tym względem także nie pożałowano grosza.

Na progu sali ukazała się pielęgniarka. Była młoda i bardzo ładna. Każde jej

pojawienie się pacjenci przyjmowali z istic chłopięcym entuzjazmem.

– Całą noc o pani myślałem, siostró Kasiu – przywitał dziewczynę chorąży.

Komplement spłynął jednak po pielęgniarce jak woda po łysce. Nawet się nie uśmiechnęła.

– Pańska porcja zdrowia. – Wysypała mu na wyciągniętą dłoń zawartość plastikowego pojemniczka.

Mężczyzna włożył tabletki do ust, napił się wody, połknął. To samo uczynił sierżant. Na koniec Kasia podeszła do łóżka Piotra. Podała mu leki, a gdy je przyjął, bez słowa odeszła.

– Nietykalska – ocenił chorąży, gdy opuściła salę, mrugając porozumiewawczo. – Ale coś czuję, że gdyby ją bardziej przycisnąć...

– Powtórzysz to, jak przyjdzie twoja stara? – zaśmiał się Kustroń.

– Spierdalaj!

– Rozkaz, panie chorąży!

Piotr pomyślał o Ewie. Nie zdążył do niej zadzwonić, choć wciąż miał przy sobie jej wizytówkę. Wystarczyło poprosić Karcza o telefon. Ale z jakiegoś powodu tego nie zrobił.

Znalazłszy się w sanatorium, po zdaniu ubrania oraz odebraniu pasiastej pizamy, szlafroka, nocnych pantofli, dwóch ręczników i środków czystości, próbował znaleźć aparat telefoniczny i kiosk, w którym mógłby kupić kartę. Miał jeszcze pieniądze, które prawniczka zostawiła mu na zakupy.

Ale nie znalazł. A gdy zapytał, czy ktoś mógłby użyczyć mu na kilka minut telefonu, dowiedział się, że posiadanie takich urządzeń jest zabronione. Jak mu powiedziano, zakaz wprowadzono w trosce o dobro pacjentów, choć obowiązywał on czasowo. Nie wnikał głębiej w istotę problemu. Znów ogarnął go marazm.

Połknął tabletki, popił wodą i przewrócił się na drugi bok. Jego współlokatorzy zamilkli. Z korytarza, przez szparę w niedomkniętych drzwiach, dochodziły jakieś stłumione dźwięki. Zamknął oczy. Przypomniawszy sobie noc, którą spędził z Ewą. I siostrę Kasię. Wtedy przez plecy przebiegł mu lodowaty dreszcz.

A jeśli naprawdę kogoś zdradziłem?

* * *

Po obiedzie przyszedł Karcz. Nie chciał rozmawiać w sali, więc usiedli naprzeciwko siebie w dwóch fotelach w hallu, pod rozłożystym liściem palmy.

– Teraz chciałbym dowiedzieć się czegoś od ciebie – powiedział.

– Czego? – zapytał Duch.

– Od którego momentu... To znaczy od kiedy...

– ... niczego nie pamiętam? – dokończył za niego Piotr. – Od chwili, gdy dobrzy ludzie znaleźli mnie w krzakach.

I opowiedział o wszystkim, co robił z Patykiem, Cześkiem i Arkiem.

Niczego nie zataił. Ponowna wizyta w mieszkaniu Marii sprawiła bowiem, że czuł się oczyszczony z win. Karcz wysłuchał jego spowiedzi. Następnie Piotr mówił o Trzech Królach, podpaleniu starego budynku. Wreszcie o przykrym końcu, który spotkał jego towarzyszy.

– Domyślasz się, kim mógł być człowiek, który strzelał? – chciał wiedzieć Piotr.

– Być może przysłał go ten, do którego zadzwonił jeden z kloszardów. To tak, jakbyś nosił w kieszeni kartkę z napisem „zabij mnie”. A wtedy, paradoksalnie, każdy z tych ludzi, którzy po kolei wciągali cię w kabałę, ratował ci życie. I Arek, który gnębił lokatorów, i bezdomni, którym płacono za przypadkowe pożary.

– Właśnie sobie przypomniałem, że Arek chciał mi coś powiedzieć na temat tej kartki. – Duch machinalnie dotknął dłonią czoła. – To było na chwilę przed wypadkiem...

Pułkownik nachylił się, jeszcze bardziej ściszył głos.

– Kartkę z numerem telefonu – ciągnął – musiałeś dostać albo w więzieniu, albo zaraz po wyjściu za mur. Nie przypominasz sobie, gdzie to się stało?

– Nie.

Kilka minut później pożegnali się. Karcz obiecał, że wkrótce znów go odwiedzi. Piotr nie zapytał, jak długo będzie musiał tutaj zostać. Właściwie to nie zapytał o wiele innych ważniejszych spraw, które spędzały mu sen z powiek. Choćby o rodzinę. Stchórzył, to jasne. A przecież wystarczyło jedno słowo. Prawdę mówiąc, siedząc pod tą w połowie uschniętą palmą, w głębi ducha modlił się, żeby Bogdan nie poruszył tej kwestii.

– Następnym razem – mruknął pod nosem.

Wrócił do sali. Akurat trafił na rozmowę, która toczyła się między współlokatorami a jeszcze dwoma mężczyznami. Nie widział ich wcześniej, choć nie oznaczało to wcale, że byli tutaj krócej niż on. Sanatorium w K., z tego co zdążył się zorientować, zajmowało trzypiętrowy budynek z kilkoma skrzydłami i dobudówkami.

– Cześć – rzucił do niego jeden z nieznajomych.

– Cześć – odpowiedział Piotr, usiadłszy na krawędzi łóżka.

Jak się okazało, swym pojawieniem się przerwał jakąś zajmującą opowieść. Nie czuł się jednak winny. Mógł przerwać nawet mszę świętą. Wisiało mu to.

– Kapitan Duch – chorąży Drapella zajął się prezentacją. – Porucznik Szarecki, major Langiewicz z piętnastej brygady. Panowie właśnie wrócili z misji. Opowiadają ciekawe rzeczy...

Piotr dał znak, że i on jest gotowy do słuchania. Zrobił to jednak bardziej z grzeczności niż z ciekawości. Zmiał w dłoni chłodny rożek poduszki. Ale już po chwili poczuł się jak mały chłopiec, który z zapartym tchem słucha niesamowitych

opowieści dziadka.

– Mieliśmy obóz na wielkiej górze – opowiadał Langiewicz. – Roboty praktycznie żadnej, bo to, co było do zrobienia w ramach misji, szybko zrobiliśmy. Najbardziej lubiliśmy wieczory. Nie tak gorąco jak za dnia, choć wciąż ciężko było oddychać. Mieliśmy zwyczaj zaraz po kolacji siadać na krawędzi urwiska, skąd roztaczał się piękny widok na okolicę. Największe wrażenie robiła droga, która pięła się serpentyną po zboczu. Zawsze był na niej ruch.

Przerwał, pociągnął łyk z kubka. Po chwili opowiadał dalej:

– Ktoregoś wieczora, gdy tak siedzieliśmy, wpatrując się w przesuwane się powoli światła samochodów, zobaczyliśmy, że jedna z ciężarówek jadących serpentyną nagle osuwa się i zaczyna lecieć w dół. W ciągu kilku sekund podjęliśmy decyzję. Postawienie na nogi naszego szpitala polowego zajęło kilka minut. Kwadrans później pięć ciężarówek pędziło w dół z pomocą. Na miejscu byliśmy po dwudziestu minutach. Ciężarówka, która spadła ze zbocza, leżała na boku. Wokół porzucane bagaże, mnóstwo ludzi na ziemi. Część z nich się nie ruszała. Masakra...

Znów zamilkł. Z korytarza dobiegł czyjś śmiech. W połączeniu z tym, co właśnie usłyszeli, a każdy z osobna, prócz opowiadającego, usiłował sobie wyobrazić, dźwięk ten zabrzmiał wyjątkowo irytująco.

– Byliśmy gotowi do akcji – podjął po chwili Langiewicz. – Ale wtedy wyrósł przed nami jak spod ziemi jakiś starzec z długą brodą. Zastąpił nam drogę z uniesionymi rękami, zaczął coś wykrzykiwać. Oczywiście nikt z nas nie rozumiał ni w ząb, co mówi. Na szczęście mieliśmy ze sobą tłumacza, który szybko przełożył na polski słowa starca.

– O co mu chodziło? – nie wytrzymał sierżant.

Major westchnął.

– Powiedział, że nie chcą naszej pomocy...

– Co?! – krzyknęli jednym głosem pozostali.

– A tak. Stary Paki powiedział: „Bóg dał, Bóg zabrał”. Czy jakoś tak. I zaczął jeszcze bardziej wymachiwać rękoma. Nie było o czym dyskutować.

– Nie próbowaliście go jakoś przekonać? – dopytywał chorąży, nie przestając kręcić głową.

Major rozłożył szeroko ręce.

– W krajach, w których pełniemy taką, a nie inną misję, nie dyskutuje się z miejscowymi. Po prostu stamtąd odjechaliśmy.

Zapadła cisza. Aby rozładować atmosferę, głos zabrał drugi z gości, porucznik Szarecki. Jak się okazało, był on oficerem, który miał na koncie już kilkanaście misji.

– Kiedyś wróciłem czarny jak Murzyn. Albo przynajmniej Hindus – powiedział. – Jechałem pociągiem do siebie, a konduktor próbował do mnie

zagadywać po angielsku. Tak mu się przynajmniej wydawało...

Rozweseliło to wszystkich, nawet milczącego przez cały czas Piotra.

– A pan, kapitanie, na jakiej misji służył? – zapytał Langiewicz.

– Niestety, niczego nie pamiętam – odrzekł bez zastanowienia Duch.

– To najlepszy dowód na to, że lekarstwa, którymi nas faszerują, działają! – podsumował major Langiewicz, zacierając ręce, jakby z jakichś powodów to jemu najbardziej zależało na dobru pacjentów.

Oficerowie chwilę jeszcze porozmawiali, ponarzekali na posiłki, na drugiej szali kładąc urodę pielęgniarek i fizjoterapeutek, po czym pożegnali się. W sali zrobiło się cicho. Dwaj współlokatorzy Piotra zajęli się czytaniem gazet. On sam położył się na łóżku, spojrział w sufit. Był idealny, żadnego pęknięcia, rysy czy nierówności, na której można by było zatrzymać wzrok. Mimo wczesnej pory, znów zaczęła go ogarniać senność. Wkrótce przestał z nią walczyć...

* * *

Z dnia na dzień Piotr Duch był ze swoimi współlokatorami, sierżantem Kustroniem i chorążym Drapellą, w coraz lepszej komitywie. Podobały im się te same pielęgniarki i stażystki, mrugali do siebie porozumiewawczo, gdy dyrektor sanatorium dla weteranów w K., profesor pułkownik Zenon Tatar, fantazjował podczas codziennego obchodu.

Wkrótce wtajemniczyli Piotra w swoje najbardziej sekretne plany.

– Chcemy iść do klubu – powiedział szeptem chorąży.

– Do miasta – sprecyzował Kustron.

Duch uniósł brwi. Właśnie przerwali mu rozważania, dlaczego Karcz nie pojawiał się u niego, choć obiecał. Nie miał im tego za złe. Wręcz przeciwnie: był wdzięczny za skierowanie jego myśli na zupełnie inne tory.

– Macie na myśli K.? – zapytał.

– Mówimy o mieście, kurwa! – zachnął się Drapella. – Wskoczymy około dziewiątej, kiedy na miejscu jest najmniej personelu, a o trzeciej, góra czwartej nad ranem będziemy z powrotem. Jacek załatwił transport. – Spojrzał na sierżanta, który zaczął pęcznić w dumy.

– Znalazłem podopiecznego z dawnych lat – wyjaśnił. – Obiecał, że zawiezie nas na miejsce i odwiezie z powrotem. Zna fajne kluby, gdzie przychodzi dużo studentek. To jak? Wchodzisz?

Minęła chwila, nim Piotr podjął decyzję.

– A co mi szkodzi?!

Wyprawę zaplanowano na wieczór tego samego dnia. Ktoś, kto zobaczyłby trzech pensjonariuszy, którzy nagle wpadli w szal higieny, prawdopodobnie nie domyśliłby się, jaka jest tego przyczyna. Jak dotąd bowiem nie zanotowano żadnego przypadku samowolnego oddalenia się z placówki na odległość dalszą niż

plot otaczający teren sanatorium.

Drapella jakimś sposobem zdobył klucz od magazynu z ubraniami. Poszli tam wszyscy na chwilę przed kolacją, znaleźli swoje rzeczy, które następnie ukryli pod pościelą. Około siódmej wieczorem zjedli posiłek, przyjęli leki. Nie obyło się bez obdarzenia pielęgniarki komplementami, w czym jak zwykle przodował chorąży.

Ledwo dziewczyna zniknęła za drzwiami, a pastylki w ich przełykach, weterani byli gotowi do wyjścia. Teren sanatorium nie był specjalnie strzeżony, ot – dziadek w uniformie na portierni i drugi na recepcji. Pensjonariusze często żartowali, że to ich przyszłość, zresztą wcale nie tak odległa. Teraz obaj pracownicy ochrony byli zajęci oglądaniem telewizji, o czym uciekinierzy doskonale wiedzieli. Na zewnątrz wydostali się przez okno łazienki na parterze, a poza teren sanatorium – przez dziurę w płocie.

– Dziecko dałoby radę – podsumował sierżant, choć kosztowało go to zadyszkę.

– Oszczędzaj siły na potem – zaśmiał się Drapella.

Samochód czekał w bocznej uliczce. Za kierownicą siedział jakiś mężczyzna, jak zapowiedział Kustroń, jego były podwładny. Mimo tej zażyłości mówili sobie per pan.

– No to poszli konie, panie Kamilu! – Sierżant zatarł z zadowoleniem dłoń.

– Się wie – odrzekł kierowca. – Proponuję ulicę, gdzie klubów jest najwięcej. Jeden obok drugiego. Wystarczy na całą noc.

– Aż tyle czasu nie mamy – zauważył chorąży.

– Tak czy inaczej, poprosimy – zakończył kwestię Kustroń.

Już po chwili mknęli przez noc. Na szczęście o tej porze ruch był już niewielki. Trzy kwadransy później Kamil wysadził pasażerów mniej więcej w połowie długości zakrzywionej, zabudowanej z obu stron wysokimi kamienicami ulicy. O jej charakterze świadczyły tłumy młodych ludzi, przewalające się wąskimi chodnikami.

Kustroń, który ustalał jeszcze z kierowcą jakieś szczegóły, najpewniej dotyczące powrotu, dopędził towarzyszy. Swoim zwyczajem zacierał ręce – z zadowolenia, ale także z zimna, było bowiem ledwo kilka stopni powyżej zera.

– To jak, który lokal husaria zaatakuje jako pierwszy? – zapytał.

– Najpierw szybka dezynfekcja – zaordynował chorąży.

Po czym skierowali kroki do nieodległej knajpki, gdzie można było wypić na szybko stopkę wódki czy małe piwo, zagryźć śledziem albo niewielką kanapką. Ściany wytapetowano starymi gazetami, z których były hasła chwające niegdysiejszy ustrój. Jak opowiadał Drapella, tego typu lokale, w których serwowano proste potrawy i napitki, wyrastały ostatnio jak grzyby po deszczu i miały wyjątkowe wzięcie. Wpadało się tutaj na chwilę i zaraz szło dalej.

– Jako gówniarz przychodziłem do takich knajp po mojego starego, gdy się zasiedziały – wspominał Kustron, gdy wraz z Piotrem siedzieli na wysokich barowych stołkach przy ścianie i oczekiwali na wódkę, po którą do baru udał się Drapella. – Teraz taki lokal to rodzaj żartu. Wtedy naprawdę były w nim odrapane ściany i niedomyte szklanki...

– Ojciec jeszcze żyje?

Sierżant pokręcił głową.

On przynajmniej wie – pomyślał Piotr.

Na szczęście wrócił Drapella z tacą, na której stało sześć kieliszeków wypełnionych wódką szczerze, bo aż po krawędzie, a także talerzyk z kiszonym ogórkiem, podzielonym precyzyjnie na sześć kawałków.

– Kompania gotowa do wymarszu! – zawołał.

Wzniesli toast za życie i kobiety, wypili. Piotr nawet się nie skrzywił, choć wódka paliła przełyk. Dopiero po chwili, wiedziony przykładem kolegów, sięgnął po ogórka.

– No to na drugą nóżkę. – Drapella podniósł kolejną stopkę. – Siup, za niepodległą!

I z tym toastem zgodzili się, podnosząc szkło.

– Powiedz, jeśli możesz – Kustron zwrócił się do Piotra – jak to jest tak nic, ale tak zupełnie w chuj niczego nie pamiętać?

– Nie wiem. – Duch wzduł policzki. – Ale wydaje mi się, że za drugim razem będzie... o wiele łatwiej.

Buchnęli śmiechem jak na komendę.

– Zjedli, wypili, pożartowali... – zaczął wyliczać Drapella.

– ... podymali – dokończył Kustron, z sekundy na sekundę coraz bardziej swobodny.

– To dopiero potem, chyba że o czymś nie wiem. Tak czy inaczej, teraz idziemy potać – dokończył pan chorąży, niezdarnie gramoląc się ze stołka.

– Z pijanym nie tańczę! – zaprotestował sierżant piskliwym głosem.

Kilka minut później uciekinierzy z sanatorium stanęli na progu pierwszego z kilkunastu klubów znajdujących się na ulicy. Negocjacje z bramkarzami potrwały krótką chwilę, po czym cała trójka znalazła się na schodach prowadzących w dół, skąd dobiegało miarowe dudnienie basów.

– Pójdę przypudrować nosek – ogłosił sierżant, skręcając w korytarzyk, gdzie najpewniej znajdowały się toalety.

– Ja też – rzekł Drapella, po czym zwrócił się do Piotra: – Zajmij jakiś fajny stolik.

Nie było to szczególnie trudne zadanie, bowiem pora była jeszcze wczesna. Duch zajął stolik pod ścianą. Było stąd blisko zarówno do baru, jak i na taneczny parkiet, na którym pracownicy wyginało się kilka osób.

Zdjął bosmankę i usiadł. Rozglądał się po sali. Cieszył się, że dał się namówić na tę eskapadę.

– Proszę, proszę! – usłyszał naraz za plecami kobiecy głos.

Pół sekundy zajęło mu dopasowanie głosu do twarzy i imienia konkretnej osoby. Mógł się już wtedy spokojnie odwrócić, by potwierdzić swoje przypuszczenia, którym w tym przypadku bardzo blisko było do pewności. Ale nie zrobił tego. Nagle zamarzył, by jakimś cudownym sposobem z powrotem znaleźć się w swoim łóżku, w swojej sali, w sanatorium w K.

Ale drogi ucieczki nie było.

– Cześć, Ewa – odpowiedział wreszcie.

Powoli okrążyła stolik i zajęła miejsce naprzeciwko. Przez cały czas nie spuszczała spojrzenia z siedzącego.

– Cześć – odpowiedziała wreszcie.

Wiedział, że cokolwiek powie, to będzie za mało, nie tak i bez sensu. Milczeć jednak też nie potrafił.

– Wszystko ci wyjaśnię... – zaczął, ale głos uwiązł mu w gardle.

Czy na te słowa właśnie czekała, czy na zupełnie inne, a może wystarczyło, by powiedział coś więcej niż tylko słowo powitania, aby kobieta zerwała się gwałtownie z fotela. Jej obie ręce nie straciły jednak kontaktu z blatem stołu. Wyglądała, jakby za chwilę miała zamiar rzucić się na wroga. Jeszcze jedno ostrzeżenie. Skierowane bardziej do siebie niż do niego.

– Zrozumiem tylko jedno wytłumaczenie tego, co się stało – powiedziała drżącym głosem. – Że znów straciłeś pamięć, nie umiałeś trafić w powrotem do domu. Czy tak było?

Opuścił głowę jak uczeń przyznający się do winy.

– O, Piotr już zadbał o towarzystwo! – zawołał Drapella, który wraz z sierżantem zbliżali się do stolika.

To jeszcze bardziej rozsierdziło Ewę. Odwróciła się gwałtownie i, ku zdumieniu nadchodzących, odeszła szybkim krokiem. Żaden nie zdążył nic powiedzieć. Także i wtedy, gdy Duch rzucił się w pogoń za dziewczyną.

– Jestem w sanatorium – wyrzucił z siebie, gdy tylko udało mu się z nią zrównać w marszu. – To są moi koledzy z sali. Miałem się odezwać...

– Wzruszające! – prychnęła, nie zatrzymując się ani nawet nie zwalniając kroku.

Wiedział już, że tę bitwę przegrał. Jakiś głos podpowiadał mu, żeby oddał pole.

– Poczekaj...

Sam zdziwił się sile, jaką miało to jedno proste słowo. Ewa zatrzymała się, choć nie odwracała. Jacyś ludzie patrzyli na nich i szeptali między sobą.

– Chciałbym ci przynajmniej to oddać. – Sięgnął do kieszeni, w których

wciąż znajdowały się zapasowe klucze do mieszkania prawniczki.

– Za późno – skwitowała zimno.

– Nie rozumiem.

– Właśnie wymieniłam zamki. Właściciel mieszkania nawet się nie zdziwił.

Przypomniawszy sobie tamtego człowieka. I poczuł się zupełnie tak jak on tamtego wieczora. Głupio. Nie, nie upokorzony, to było za mocne słowo. Po prostu śmiesznie.

– Jak chcesz. – Schował klucze z powrotem do kieszeni.

W tym samym momencie obok dziewczyny pojawiło się dwóch mężczyzn w garniturach. Jeden z nich obrzucił Piotra podejrzliwym spojrzeniem, drugi zaś pogardliwym.

– Wszystko w porządku, Ewa? – zapytał ten pierwszy.

– Czekamy na ciebie – powiedział drugi.

– Tak, w porządku – odpowiedziała. – Pan już wychodzi...

* * *

– Wszystkie są takie same. Nie przejmuj się. Wypij luźną i zapomnij o bladzi!

– Kustron stuknął swoją szklanką o szklankę, która stała przed Piotrem.

– Sama prawda – mruknął. – Swoją drogą trzeba mieć wyjątkowe szczęście, żeby się tak w klubie natknąć na swoją byłą...

– Nie była moją dziewczyną – wyjaśnił półgłosem Duch.

– Tak się tylko mówi – bąknął sierżant.

– Kiedy tak!

– Dobra. Nikomu nie powiemy.

– CIA i KGB!

– Gwardia Szwajcarska i Mosad.

Na dłuższą chwilę przy stoliku zapanowała cisza. Potem sierżant zatarł dłonie, popatrzył na towarzyszy i powiedział, lekko już bełkotliwie, ale zrozumieni:

– Zmieniamy lokal, panowie szwoleżerowie. Ten jest chujowy.

Nie oponowali. Minutę później znaleźli się na zewnątrz. Okolica zmieniła się nieco co od chwili, gdy wysiedli z samochodu. Przy drzwiach klubów stały grupki młodych ludzi, a na ulicy, która była jednokierunkowa, zastawiona po obu stronach zaparkowanymi samochodami, a w dodatku wciąż przecinali ją przechodnie, utworzył się korek.

– To dokąd? – Drapella rozejrzył się na boki, a potem utkwiał wzrok w Kustroni. – Macie jakiś pomysł na tę batalię, sierżancie?

– O tym klubie dużo dobrego słyszałem. – Wskazał ręką jakiś kierunek.

Przebiegli ulicę, tuż przed maską jadącego auta, nie zważając na gniewne pohukiwania kierowcy. W odpowiedzi Kustron pokazał mu środkowy palec. Wskoczyli na chodnik, wzdłuż którego amatorzy wieczornej zabawy stali w parach

bądź w większych grupkach, paląc papierosy.

Tym razem negocjacje z ochroniarzami klubu okazały się, najpewniej ze względu na godziny szczytu i sporą popularność miejsca, dużo trudniejsze niż wcześniej.

– Po dwie dychy? – poinformował kolegów sierżant, bo to on znów załatwiał wejście.

Drapella zdecydowanie pokręcił głową. Postanowili, że pójdą gdzie indziej, a po drodze zahaczą jeszcze raz o lokal, gdzie wypili pierwszą wódkę i zakąsili ogórkiem. Tutaj jednak również było zupełnie inaczej niż wcześniej. Ludzie kłębili się nawet na środku, pomiędzy stolikami, a dopchanie się do baru graniczyło z cudem.

Pierwszy zrezygnował Piotr. Po prostu odwrócił się i wyszedł. Miał dość. I to zarówno wrażeń, jak i alkoholu. Marzył o tym, by z powrotem znaleźć się w łóżku. Powrót w pojedynkę nie wchodził jednak w rachubę. Do tego jeszcze ten przykry incydent z Ewą. Może powinien zrobić więcej, by wyjaśnić sprawę? Siedząc wtedy przy stoliku z kolegami, zerkał co raz w tę stronę klubu, gdzie dziewczyna zniknęła z tamtymi facetami. Ale już jej nie dostrzegł.

Z zamyślenia wyrwał go hałas. Jakieś podpite towarzystwo parło całą szerokością i tak wąskiego chodnika. Piotr usunął się, stając pod samą ścianą kamienicy mieszczącej knajpkę.

– A tego to ja znam! – usłyszał naraz męski głos, pijacki dyszkant.

Duch drgnął.

Nie za dużo tych spotkań jak na jeden wieczór? – pomyślał ze złością.

Grupka zwolniła, po chwili oderwał się od niej jeden osobnik.

– Łysy, gdzie ty się pałętasz?! – zawołała jakaś kobieta.

– Muszę tylko coś załatwić – odpowiedział mężczyzna. – Idźcie. Za chwilę was dogonię...

Twarz człowieka, który stanął przed Piotrem, nic mu nie mówiła. Wołali na niego Łysy, ale nie można było przekonać się, czy to właściwy przydomek, bowiem mężczyzna miał ma głowie czapkę. Na jego pucołowatej twarzy widać było jakieś zadrapania, a pod lewym okiem ciemniał siniak.

Stał i nic nie mówił. Piotr Duch również milczał. Wyglądali jak bokserzy stojący naprzeciwko siebie po poprzedzającym walkę ważeniu, obowiązkowym i będącym okazją do postraszenia przeciwnika. Byli niemal tego samego wzrostu i podobnej budowy, mieli więc równe szanse. Tylko że w pewnej chwili mężczyzna, nazwany Łysym, jakby zwiotczał.

– Pan się nie gniewa za tamto... – bąknął. – To wszystko przez Psychologa. Kutas chciał za wszelką cenę zapunktować u bossa, karierowicz jebany! Ja już nie mam z nim nic wspólnego, rzuciłem tę fuchę. Robię uczciwie.

Przez twarz Piotra przebiegł cień uśmiechu. Tak, sam przecież to powtarzał,

jeszcze parę dni temu.

Łysy wziął to za dobrą monetę. Jego twarz jakby pojaśniała.

– Szczęście, że pan się wtedy sam wydostał z samochodu – powiedział.

Duch już otwierał usta, by powiedzieć po raz kolejny, że przecież niczego nie pamięta, ale nie zrobił tego. Zamiast tego przyznał półgębkiem:

– Zrobiłbym to wcześniej, ale chciałem wiedzieć, co zamierzacie.

Łysy znów dał wyraz zakłopotaniu, drobiąc w miejscu.

– Ma pan dobrych przyjaciół – dodał po chwili, odruchowo dotykając ręką zadrapania na twarzy. – Sam bym chciał mieć takich. To ważna sprawa, szczególnie w tych czasach.

– Łysy! Co z tobą, kurwa! – dobiegł ich uszu krzyk, a zaraz potem gwizd.

– Niech pan idzie – powiedział Piotr, wdzięczny temu komuś, że właśnie wybawia go z kłopotu. – Znajomi czekają.

– A nie gniewa się już pan na mnie?

– Nie.

Zakapior pobiegł do czekających na niego znajomych. Wtedy Piotr przypomniał sobie o swoich towarzyszach. Obejrzał się. Do knajpki wchodziła akurat kolejna grupka, więc postanowił przejść kilka metrów dalej i zajrzeć do środka przez okno. Lokal miał duże witryny. Jednak część z nich zaparowała, część zaś zakryły plecy siedzących gości, utrudniając obserwację.

– Mam nadzieję, że nie pojechali beze mnie – mruknął pod nosem, wsuwając zmarznięte dłonie do kieszeni spodni.

W pewnym momencie wydało mi się, że wśród gości widzi Ewę. Wyjął rękę z kieszeni i przyłożył je krawędziami do zimnej szyby. Zwróciło to uwagę przechodzących kobiet.

– Patrzcie, zazdrosny mężuś – skomentowała któraś ku uciesze pozostałych.

Zawstydził się, szybko odwrócił od okna. Przeszedł kilka kroków, udając, że nic nie obchodzi go to, co się dzieje w środku. Ale zaraz wrócił w to samo miejsce. Nie, nie tak wyobrażał sobie tę eskapadę. Oparł się plecami o mur, przymknął oczy.

– Puść mnie, kurwa! – męski głos odbił się o wysokie ściany kamienic.

Piotr wzdrygnął się, zlokalizował źródło hałasu. Pierwsza była myśl, że Łysemu starczyło siły, by być lepszym człowiekiem, ledwo na kilka minut.

Ale to nie był on. Kilkanaście metrów dalej, po drugiej stronie ulicy, leżał na chodniku mężczyzna, przyciskany do ziemi kolanem policjanta. Moment później nie wiadomo skąd pojawił się drugi mundurowy i zaczął... pracowicie okładać leżącego pałką. Dopiero po kilku sekundach Duch zorientował się, że bije kobieta.

– Zabiją! – rozległ się kolejny, zduszony krzyk leżącego człowieka.

Piotr rozejrzał się na boki. Na ulicy nie było już nawet połowy tych przechodniów i samochodów, co jeszcze niedawno. Jacyś ludzie maszerowali

chodnikiem, ale tylko z ciekawością przyglądali się temu, co robią mundurowi, szepcząc między sobą i trącąc się łokciami.

Poczuł w piersiach nieznośne, wibrujące gorąco. Zrobił krok do przodu, schodząc z krawężnika. W tym samym momencie ktoś szarpnął go za ramię i pociągnął z powrotem.

– Gdzie się pchasz, do cholery! – warknął gniewnie Drapella.

Przez chwilę nie wiadomo było, kto, gdzie i jak, głównie za sprawą ludzi, którzy tłumnie wtargnęli pomiędzy nich. Jednak sytuację szybko dało się opanować.

– Koniec balu, panno Lalo – rzekł sierżant Kustron. – Odwrót. Wracamy do sanatorium.

* * *

Do K. dotarli bez problemów. Pan Kamil również w przeciwną stronę nie żałował paliwa. W samym budynku sanatorium nie napotkali nikogo, kto zadawałby niewygodne pytania. Dochodziła trzecia nad ranem, gdy Drapella zgasił światło w sali.

Niestety, niespełna trzy godziny później obudziły ich nawoływania pielęgniarek, trzaskanie drzwiami, jakaś muzyka z radia – codzienna symfonia poranka.

– Ja pierdołę, litości! – stęknął sierżant, nakrywając głowę poduszką. – Nawet na misji nie kazali tak wcześnie wstawać.

Chorąży usiadł na łóżku, ale przez dłuższą chwilę nie otwierał oczu. Potem wzuł pantofle, wstał i nieco niezdarnie poczłapał do okna.

– Mróz ścisnął – poinformował pozostałych. – Nie zazdroszczę tym, którzy nie mieli w taką noc dachu nad głową...

Piotr Duch westchnął głośno. Ze wszystkich sił zacisnął powieki, by po chwili na powrót je otworzyć.

– Znów chyba będzie zbiórka krwi – ziewnął Drapella. – Jak to mówią, dla rannych kolegów. Przymusu nie ma, w końcu my też ranni. Ech, gdyby oddanie krwi było tak samo łatwe i przyjemne jak oddanie spermy, człowiek byłby niezniszczalny.

Nie wracali do wydarzeń z nocy. Drapella i Kustron planowali jeszcze niejeden taki wypad, więc nie chcieli nikogo wtajemniczać. Jednak przy śniadaniu, chcąc nie chcąc, poruszono temat tego, co działo się tuż przed opuszczeniem klubowego zagłębia. Pretekstem była informacja, którą serwował jeden z kanałów telewizyjnych, najczęściej oglądany w stołówce sanatorium. Oglądany, nie słuchany, bowiem potencjometr przykręcono i fonii niemal nie było.

– Czy to nie ten klub, w którym byliśmy? – Kustron wycelował widelcem w odbiornik oddalony o jakieś dziesięć metrów, ustawiony na wysokim regale.

– Ciszej bądź, kurwa! – warknął chorąży.

– Jestem cicho, nie łap paranoi – odgryzł się tamten, a Piotr potwierdził niemo, że tak jest.

Cała trójka ponownie spojrzała na telewizor. Duch nie miał pewności, czy chodziło o to samo miejsce. Zdjęcia zostały wykonane za dnia, więc ciężko było ocenić, czy przedstawiają akurat tę ulicę. Potem na ekranie pojawił się jakiś mężczyzna. Miał posiniaczoną twarz, coś mówił, pokazywał dokumenty z pieczętkami.

– Czy to nie tego gościa chciałeś ratować? – Drapella spojrział na siedzącego obok Piotra, nie przerywając smarować masłem kromki chleba.

– To ten – potwierdził w zastępstwie sierżant. – Poseł, poznaję go. Wychodzi na to, że wybuchła niezła afera. Całe szczęście, że cię przytrzymaliśmy. Scysja z niebieskimi byłaby murowana. Pewnie za coś takiego wyrzuciliby nas stąd na zbity pysk...

– Ale może uratowałbym tego człowieka przed pobiciem – rzekł Piotr.

– Na pewno poślizgnął się na skórce od banana – spekulował Kustroń. – Albo dostał od kogoś zupełnie innego i kiedy indziej. Noc długa.

Przez kolejnych kilka chwil jedli w milczeniu. Kanał informacyjny też zmienił temat: pokazywał teraz wychudzone afrykańskie dzieci i niewiele od nich starszych osobników wymachujących automatami Kałasznikowa.

– Ci to mają przejebane – skwitował Kustroń, znów przeżuując jedzenie, a gdy skończył, zapytał Piotra: – Naprawdę nic nie pamiętasz z misji?

– Nie.

– Może i dobrze – westchnął tamten. – Takie miejsca jak to stworzyli nie dlatego, że ich gryzło sumienie albo że ten czy ów ranny w misji musi czekać pół roku w kolejce do specjalisty. Chuj ich obchodzą nasze połamane gnaty. Dali kilka obsranych piżam po Amerykańcach, co to ich doprać nie mogli, ściągnęli łapiduchów z prowincjonalnych garnizonowych szpitali i gotowe. Można zacząć pozbawiać nas pamięci. Temu ma służyć faszzerowanie ludzi co dzień prochami. Tak naprawdę przecież nie wiesz, co łykasz. Siostra przyniosłaby ci w kieliszeczku truciznę i kazała połknąć, zrobiłbyś to. Bo jesteś nauczony posłuszeństwa, wykonywania poleceń. A jedzenie?

Piotr i Drapella jak na komendę przestali poruszać szczękami.

– Co masz na myśli? – zapytał Duch, przełknąwszy szybko, co miał w ustach.

– Nie urodziłem się wczoraj, więc wiem doskonale, że dosypują nam do żarcia drugie tyle tego syfu, który łykamy w postaci tabletek i kapsułek. Nie, nie poczujesz zmiany ani w smaku, ani w zapachu. Już ktoś nad tym popracował, ktoś wziął za to działkę od rządu...

– I po co to wszystko?

– A po to, żebyś mógł się jeszcze przydać. Nie ma już poboru, a nawet gdyby był, to nikt nie zmusi młodego człowieka, by zmieniał klimat na cieplejszy. To nie amerykańska rozpiarducha w Korei czy Wietnamie. Czasy się zmieniły. Armia zawodowa, sprawa honorowa. Pamiętacie takie hasło? Dam sobie łapę uciąć, że żaden z tych mądrali z sejmu syna by na pustynię nie posłał.

– Pierdolisz jak połamany – skwitował po dłuższej chwili chorąży, ale po leżący na talerzyku niedokończony kawałek kanapki z żółtym serem już nie sięgnął.

– Myśl, co chcesz, a ja swoje wiem. – Sierżant nie wiadomo czemu zrobił obrażoną minę; sam w spokoju dokończył jajecznicę.

Kanał informacyjny pokazał teraz urzędującego prezydenta, a potem zeszłoroczną awanturę, która miała miejsce podczas obchodów Dnia Niepodległości.

– Wysłać tych wszystkich skurwysynów na dwa dni tam, gdzie piasek, to inaczej by każdy śpiewał – prychnął ktoś przy sąsiednim stoliku. – Patrioci, kurwa ich mać!

Zaraz ktoś go uciszył, łagodnie, bez nerwów.

– Ciekawe, czy w tym roku znów będzie taki cyrk? – Kustron wskazał telewizor, tym razem nożem upačkanym dżemem truskawkowym.

Nikt mu nie odpowiedział. Któryś z sąsiadów, może ten sam, który głośno komentował wypadki podczas zeszłorocznego święta, odsunął zbyt zamasyście krzesło i wstał od stolika. Z drugiej strony dobiegło podzwanianie sztucców i talerzy. Pierwszy posiłek tego dnia zbliżał się do końca, choć przecież nikt nigdy nikogo nie wyganiał.

– Swoją drogą, trochę ci zazdroścę – powiedział Drapella do Piotra.

– Nie ma czego – odrzekł ten skromnie, choć nie wiedział przecież, co jego współlokator ma konkretnie na myśli.

– Znajdź w tym, co cię spotkało, pozytywne strony.

– Jakie?

– W jednej chwili zapomniałeś być może o kimś bliskim, kto umarł, dzięki czemu nie cierpisz. Albo o sąsiedzie, którego widoku nie mogłeś znieść, czy psie, który ujadał jak wściekły za każdym razem, gdy mijales drzwi mieszkania. Nie wkurwia cię twój własny klocek, którego postawiłeś i który nie może popłynąć, choć już trzeci raz nacisnałeś guzik spłuczki. Samochód z zepsutym tłumikiem nie budzi cię o piątej nad ranem, a w jakiejś gwieździe z telewizji – wykonał ruch głową w stronę odbiornika – znajdziesz jednak coś ciekawego, choć wcześniej na sam jej widok dostawałeś wysypki.

– Być może masz rację – zgodził się Piotr. – Chciałbym jednak wiedzieć, czy mam rodzinę, czy ktoś na mnie czeka. Nie chcę zachować się jak debil, gdy przyjdą mnie odwiedzić...

– Tutaj nie ma odwiedzin – zauważył Kustroń, dłubiąc w zębie.

Piotr sięgnął po dzbanek, by dolać sobie herbaty. Wtedy spod mankietu szlafroka wysunęła się szeroka, srebrna bransoleta.

– Fajny gadżet – ocenił Drapella.

Czekał na to pytanie i wreszcie się doczekał. Ciekawe tylko, dlaczego dopiero teraz o to zapytali...

– Nigdy nie zdejmujesz – zauważył Kustroń, nie wyjmując palca z ust.

Piotr nic nie odpowiedział.

– Bez obaw, przyjacielu. Tu nie kradną – rzekł z powagą chorąży, po czym pochylił się nad blatem, by przyrzeć się czasomierzowi współlokatora. – Nie spóźnia się?

– Nie wiem. Coś się w nim poprzestawiało. Chyba włączył się stoper.

– Odmierza do tyłu – zauważył sierżant.

Szereg cyfr wyświetlaczu otwierała dwójka, a po niej dwa zera.

– Za dwieście godzin urwie ci rękę – powiedział Drapella, wciąż z tą samą powagą, po czym jakby nigdy nic sięgnął do koszyka po kolejną kromkę chleba.

Dziesięć minut później wszyscy trzej wstali od stolika i skierowali kroki w stronę sali. Zbliżał się bowiem czas porannego obchodu.

– Dzień dobry. Jak się dzisiaj mamy, panowie? – Pułkownik Zenon Tatar wkroczył do sali na czele procesji lekarzy i stażystów.

– Dzień dobry – odpowiedzieli jak na komendę Drapella i Kustroń, tak jak na komendę kilka minut wcześniej zażyli wszystkie przyniesione przez pielęgniarkę leki.

Dyrektor sanatorium jako pierwszą wybrał tym razem kartę zawieszoną w nogach łóżka, na którym leżał Piotr Duch. Leżał i spoglądał tępo w sufit. Sprawiał wrażenie człowieka, który nie zauważył, że liczba osób w sali potroiła się.

– I jak się pan czuje, kapitanie? – zapytał lekarz.

– Wyśmienicie – odparł leżący zadziwiająco szybko.

– Cieszymy się.

Piotr sprężystym ruchem kukielki usiadł na łóżku.

– Czy mogę pana o coś zapytać, profesorze? – zapytał głośno i wyraźnie.

Pułkownik najpierw znacząco potoczył wzrokiem po swojej świdze, co zapewne miało oznaczać: patrzcie, dzieci, jak mi ufają pacjenci. Po czym nachylił się nad siedzącym na łóżku pensjonariuszem zakładu.

– Oczywiście, słucham pana.

– Chciałbym się dowiedzieć, jakie leki są mi podawane.

– Na wzmocnienie – odrzekł bez zająknięcia lekarz i wyciągnął rękę za siebie, tam, gdzie stali jego pomagierzy z dokumentacją. – Chce pan, żebym podał konkretne nazwy?

– Nie. Chciałbym jedynie mieć pewność, że to tylko leki na wzmocnienie...

Po towarzyszącej profesorowi grupce przetoczył się pomruk. Sam Zenon Tatar nie wydawał się jednak zbity z pantafelku. Takie i podobne kłopotliwe pytania najprawdopodobniej zadawano mu często.

– Doktor Brzeski poinformuje pana szczegółowo. – Wskazał znów za siebie, na tłumek, pośród którego zapewne znajdował się wymieniony z nazwiska lekarz. – A co u pana? – Tatar podszedł do łóżka chorążego Drapelli.

– Melduję, że wszystko w porządku, panie pułkowniku – odpowiedział pacjent.

– To świetnie. To znakomicie.

Po chwili orszak opuścił salę. Żaden doktor Brzeski nie został z nimi.

Drapella spojrzął na Kustronia.

– Co cię podkusiło, żeby o to pytać? – zapytał Piotra ten pierwszy; mówił spokojnie, niegłośnie, tak jak przemawia się do dziecka, które nabroilo, ale to przecież tylko dziecko.

Sierżant nie był już tak stonowany w swojej ocenie postępków kolegi. Zerwał się z łóżka i zaczął nerwowo krążyć po sali, raz po raz spoglądając bykiem na Piotra. W końcu zatrzymał się, ale wzroku z niego nie spuszczał.

– Przez niego będą nam się baczniej przyglądać – zawyrokował.

– Co ty gadasz! – prychnął Drapella.

– A być może nawet zwiększą nam dawki.

– Nie pierdol. On chciał tylko wiedzieć, każdy ma prawo. Jestem pewien, że w tej chwili ktoś inny zadaje Tatarowi to samo pytanie.

Kustron zaklął pod nosem. Wrócił do łóżka, położył się, aż zatrzeszczało, tyłem do pozostałych. Drapella mrugnął do Piotra, co mogło oznaczać: „nie przejmuj się, przejdzie mu”. W sali zapanowała cisza, wymarzona do lektury albo ucięcia sobie małej drzemki, co w przypadku tych trzech, którzy przespali tylko część nocy, było nie bez znaczenia.

Piotr właśnie zamknął oczy, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Nikt nie powiedział „proszę”. Sekundę później w szparze między krawędzią drzwi a futryną pokazała się głowa. Przybysz odnalazł wzrokiem łóżko Piotra i uśmiechnął się.

– Cześć, kapitanie.

* * *

Usiedli w tym samym miejscu, gdzie Piotr rozmawiał ostatnio z Karczem. Dwa fotele pod palmą były popularnym miejscem spotkań pensjonariuszy, więc mieli szczęście. Nieznajomy (wszyscy w życiu Piotra Ducha w przeciągu ostatnich tygodni byli nieznajomymi), zanim zaczął mówić, przez kilka chwil z uśmiechem przyglądał się siedzącemu naprzeciwko. Gładził się przy tym po ogolonej gładko twarzy. Jakby stało się to całkiem niedawno, a on wciąż nie mógł się przyzwyczaić.

– Nic się nie zmieniłeś, Piotrze. Dobrze wyglądasz – ocenił wreszcie. –

Długo tu jesteś?

– Od kilku dni.

Tamten uśmiechnął się. Uśmiech ten wydał się Piotrowi jakiś dziwny, nienaturalny. Jakby przyklejony. Nie pasował do smutnych oczu tego człowieka.

– Nie pamiętam cię. – Duch postanowił mieć to już za sobą.

– Co?

– Miałem wypadek i straciłem pamięć. Przez dłuższy czas nie wiedziałem, jak się nazywam, gdzie mieszkam i co przeżyłem. Nie wiem więc, skąd się znamy. Przepraszam...

Przyzwyczajaił się już do reakcji, jaką wywoływały jego słowa. Ludzie najpierw dziwili się albo zakrywali usta, co miało oznaczać poruszenie albo wręcz przerażenie. Tak. Amnezja. To straszne! A potem mówili do niego, starannie wypowiadając słowa. Żeby niczego nie zapomniał.

Mężczyzna wzdrygnął się. Spojrzał na siedzącego naprzeciwko niewidzącym wzrokiem.

– Musisz być teraz ostrożny – wyszeptał. – Obaj musimy. Tutaj ciągle ktoś się kręci.

Piotr rozejrzał się na boki. Na korytarzu nie było nikogo. Tylko gdzieś z daleka dobiegały jakieś głosy, zapewne należące do pielęgniarek.

– Dobrze wyglądasz – powtórzył znów tamten; zanim Piotr zdążył o tym pomyśleć, dodał: – Za dobrze. My nie możemy wyglądać za dobrze, rozumiesz mnie?

– Obawiam się, że nie...

Poczuł, jak nieznośne gorąco zaczyna rozlewać mu się po piersiach. Przypomniał sobie, o czym rozmawiał z Kustroniem i Drapellą kilkadziesiąt minut temu, podczas śniadania. Nie, nie widział wcześniej tego człowieka. Może od tego należałoby zacząć?

– A ty? Długo tu siedzisz? – zapytał Piotr Duch.

Mężczyzna nie od razu odpowiedział. Oddychał ciężko, miał rozbiegany wzrok.

– Co? Czy długo? – ocknął się wreszcie. – Od dwóch tygodni. Widziałem cię już wcześniej, na stołówce, ale z początku nie byłem pewien, czy to ty. Dzisiaj powiedziałem sobie: musisz to sprawdzić. A jeśli to on, musisz go ostrzec!

– Przed czym, do cholery? – Piotr nie zdołał powstrzymać emocji. – Czy wam wszystkim naprawdę odwalilo?!

– Nie krzycz.

– Nie krzyczę. Moi współlokatorzy są przekonani, że ktoś ich regularnie podtruwa, podając leki i wsypując jakieś świństwo do jedzenia. Po czym za chwilę łykają kapsułki grzecznie jak pierwszoklasiści i zmiatają wszystko z talerzy. A ty?

– Ja?

– Co mi chcesz powiedzieć? Że za chwilę wyślą nas wszystkich na Księżyc? Albo zapakują do ciężarówek i wywiozą do lasu?

– To już prędzej... – mruknął tamten, nie spuszczać ani na chwilę wzroku z rozmówcy.

Piotr wstał z fotela. Zakołysał się poruszony przy tym liść palmy. Mężczyzna przeniósł spojrzenie na ten liść, przez chwilę poruszał głową w takt jego ruchów.

– Siadaj. – Pociągnął stojącego za rękaw szlafroka.

Piotr posłuchał. Nie był wcale zły, ale za swój wybuch też nie miał zamiaru przeproszać. Poza tym był ciekaw, co ma do powiedzenia ten człowiek. A nuż okaże się bardziej szczery niż siedzący wcześniej na tym samym miejscu pułkownik Karcz?

– Nazywam się Jan Pilecki, jestem starszym chorążym – zaczął. – Znamy się z misji. Przedostatnia zmiana, baza *White Eagle*. Pamiętasz?

– Nie. Już mówiłem...

Pilecki podniósł rękę. Piotr przełknął ślinę.

– Już nie będę o to pytał, obiecuję – powiedział chorąży. – Po prostu mnie wysłuchaj. To nie może czekać. Mam mało czasu.

– Dobrze. Mów.

– To była niedziela, kapelan jak zwykle odprawił mszę w bazie. Nie byłeś na żadnej wcześniejszej. Ja w każdym razie cię nie widywałem, a chodziłem regularnie. Ale tym razem poszedłeś. Stałeś z boku, nie klękałeś jak pozostali i chyba właśnie to zwróciło moją uwagę. Tamtego dnia, w tym samym momencie, gdy ksiądz podniósł do góry ręce z hostią, ktoś inny nacisnął przycisk alarmowy. Stało się tak nie pierwszy raz. Często cała baza była stawiana na nogi zarówno w dzień, jak w środku nocy. Oni nie pytali o dzień ani o godzinę...

Jan Pilecki rozkaszłał się. Gdy udało mu się zapanować nad przypadłością, mówił dalej:

– Dostaliśmy meldunek ze śmigłowca, że coś się dzieje w odległej o pięć kilometrów wiosce. Te skurwysyny z garnkami na głowach schodziły coraz częściej z gór, by przypomnieć miejscowej ludności, kto ich zdaniem rządzi w kraju. Pojechaliśmy czterema rosomakami. Już z daleka było widać czarny dym. Od najbliższych domów dzieliło nas kilkaset metrów, gdy trafili jeden z naszych wozów. Zatrzymaliśmy się. Uszkodzenia nie były poważne, nikomu z naszych nic się nie stało, ale dalej nie mogliśmy jechać. Wyciągnęliśmy karabin maszynowy i moździerz. Zajęliśmy stanowiska, dowódca wydawał kolejne rozkazy. Zaczęliśmy strzelać...

Przerwał. Pochylił się i ukrył twarz w dłoniach. Piotr wyciągnął przed siebie rękę, by dotknąć ramienia tamtego, ale szybko ją cofnął, jakby zawstydzony tym odruchem. Trwało to kilka sekund. Gdy Jan Pilecki ponownie poniósł głowę, jego twarz wyglądała normalnie: żadnego grymasu ani tym bardziej śladów łez.

– Nie pojechaliśmy do wsi, żeby sprawdzić, jaki efekt spowodował ostrzał, ponieważ dostaliśmy przez radio kolejne wezwanie. Trzeba było wesprzeć kolegów, którzy wpadli w zasadzkę w wąwozie. Dopiero potem zacząłem o tym myśleć. Że tam, w tej wiosce, mogło wcale nie być terrorystów, tylko... tylko bezbronne kobiety i dzieci. Pamiętasz...?

Usłyszawszy obco brzmiącą nazwę, Piotr poczuł nagle gorąco, a w jego uszach odezwał się pulsujący szum.

Czyżby to było to?

– Kto był tym dowódcą? – zapytał.

– Jak to kto? Ty.

Piotr przełknął ślinę niczym śliwkę.

– Potem wróciliśmy do kraju – ciągnął Pilecki. – Dostałem dłuższy urlop, więc postanowiłem zniknąć na jakiś czas. Któregoś dnia przeczytałem o tobie w gazecie...

Na korytarzu pojawiły się dwie pielęgniarki.

– Przypominam, że tu nie wolno palić – powiedziała jedna z nich, patrząc srogo na siedzących po palną.

Nie odezwali się. Kobiety odeszły. Pilecki wstał z fotela.

– Zacząłem odczuwać starą kontuzję – ciągnął – jeszcze z wcześniejszej zmiany. Po starej znajomości udało mi się dostać tutaj. Ale to przecież paszcza lwa, do której dobrowolnie włożyłem głowę. Każdego dnia budzę się z pytaniem, czy to dziś?

– Co dziś?

– Czy przyjdą po mnie?

* * *

W wieży kontroli lotów portu lotniczego w S. było cicho i ciepło. Nieliczne lampy sodowe, oświetlające betonowy, dwukilometrowy pas startowy, rzucały nieco światła przez brudne szyby budowli pamiętającej jeszcze czasy lotniska wojskowego i zimnej wojny.

Siedzący w fotelu mężczyzna drzemał z brodą na piersiach i ze splecionymi poniżej rękoma. Pochrapywał. Dziwna to jednak była drzemka; gdyby bowiem ktoś wyłączył nagle stojące nieopodal małe radio, od razu spowodowałoby to otwarcie oczu siedzącego.

– Podajemy rybacką prognozę pogody – zaskrzeczało radjyko, a śpiący zacmokał smacznie.

Lotnisko w S., największy i jedyny port lotniczy w promieniu kilkuset kilometrów, zdolne było do obsługi samolotów średniej wielkości. Posiadało ILS, *Instrument Landing System*, czyli specjalny radiowy system nawigacyjny, który miał za zadanie wspomagać lądowanie samolotów w warunkach ograniczonej

widzialności i niskiego zachmurzenia.

Od dawna nikt jednak z tego wszystkiego nie korzystał. Lotnisko nie działało, a dobiegający sześćdziesiątki człowiek w wieży kontroli lotów nie zajmował się sprowadzaniem na ziemię samolotów, tylko pilnowaniem inwentarza. Pracował tu dopiero od trzech miesięcy, nie mógł więc widzieć lądujących tu pewnej nocy Boeinga 737 ani Gulfstreama V. Nie widział podjeżdżających do tych samolotów furgonetek ani uwijających się przy nich ludzi.

– Witam i zapraszam na nocny program – dobiegło z głośniczka.

Głos lektora stopił się ze skrzypnięciem klamki w drzwiach. Ktoś nacisnął ją od zewnątrz, drzwi uchyliły się bezszelestnie. Wąską szczelinę na niemal całej jej wysokości wypełnił cień. Dozorca nie drgnął nawet wtedy, gdy do środka weszły dwie osoby. Odzyskał świadomość dopiero na sekundę przed jej utratą.

– Co je... – zdążył jęknąć.

W powietrzu rozniósł się zapach eteru. Po chwili bezwładne ciało legło na podłodze, pod ścianą. Opiekuńcza ręka położyła mu na piersiach wciąż skrzeczące, ale ściszone radyjko.

– Gotowy – szepnął jeden z mężczyzn.

– Do sprzętu – zaordynował drugi. – Mamy mało czasu.

Po kolei zaczęły zapalać się kolorowe diody i lampki na tablicy rozdzielczej pod najszerszym oknem wieżyczki. Człowiek, który je uruchamiał, robił to z wprawą.

– Teraz ILS – mruknął ten pierwszy. – Jak radio?

Drugi z napastników przyłgnął jednym uchem do słuchawek.

– Mam ich.

– W takim razie zaczynamy.

W kilka chwil pomieszczenie wypełniły dźwięki, jakich dawno tu nie słyszano: szумы, popiskiwanie, komunikaty w międzynarodowym języku żegluga powietrznej, czyli angielskim.

– Za chwilę stracą ich z radarów – zameldował jeden z mężczyzn.

– Zbliżają się – odpowiedział drugi.

– Tu wieża, tu wieża... *Over*.

W tym samym momencie setkami białych światełek rozblysnął pas startowy.

Kilkanaście minut później czterosilnikowy transportowiec wojskowy Lockheed C-130 Hercules kołował na pasie startowym. Był jeszcze w ruchu, kiedy zbliżyły się do niego dwie furgonetki. Z każdej z nich wysiadło po czterech mężczyzn w kombinezonach i kominiarkach. Czekali, aż transportowiec zatrzyma się i otworzy właz.

Po chwili cała ósemka niemal jednocześnie oderwała się od furgonetek, by zniknąć w brzuchu Herculesa. Kilkanaście metrów od samolotu powolnym

krokiem oddalił się żołnierz. Zapalił papierosa i w milczeniu przyglądał się rozwojowi wypadków. Już po chwili czterech mężczyzn schodziło bardzo powoli po trapie w podbrzuszu Herculesa, niosąc skrzynię. Po pierwszej pojawiła się druga. Obie spoczęły w furgonetkach.

To jednak nie był koniec. Zamaskowani mężczyźni jeszcze trzy razy znikali w ładowni i tyle razy z niej wychodzili. Po niespełna dziesięciu minutach dzieło było skończone. Jeden z mężczyzn podszedł do żołnierza. Ten wskazał ogieńkiem tlącego się papierosa na wieżę.

– Temu człowiekowi nic nie będzie? – zapytał.

– Nie. Obudzi się za godzinę, może dwie. Niczego nie będzie pamiętał.

– I pomyśleć, do jakich metod musimy się uciekać, by nasza robota miała sens – westchnął tamten, pstrykając niedopałkiem, który zarysował w ciemnościach szeroki łuk.

– Chcieliście demokracji i wolności słowa, to macie.

– Tak. Za chwilę szef sztabu generalnego będzie się prężył przed jebanym prezesem stacji telewizyjnej.

– Oby nie.

– Oby nie. Dobranoc.

– Czołem.

Uścisnęli sobie dłonie, po czym żołnierz ciężkim krokiem zmęczonego człowieka podążył w stronę wylotu wjazdu. Po kilku minutach zaryczały silniki i samolot zaczął kołować.

W pewnej chwili otworzyły się boczne drzwi i wyleciał z nich niewielki, okrągły kształt. Upadł bezgłośnie na płytę lotniska. Chwilę później z lasu wyprysnął przyczajony cień. W kilka sekund zbliżył się do zagubionego pakunku, pochwycił go, by równie szybko zniknąć...

Lockheed C-130 Hercules, którego wszystkie drzwi były już szczelnie pozamykane, znalazł się ponownie na pasie startowym. Zaryczały silniki, samolot zaczął nabierać prędkości. Ogromne cielsko transportowca zadziwiająco lekko oderwało się od ziemi.

* * *

Tej nocy Piotr Duch długo nie mógł zasnąć. Koledzy na sąsiednich łóżkach już dawno szczęśliwie potracili świadomość, a on wciąż przewracał się z boku na bok albo leżał na wznak, wpatrując się w refleksy światła na suficie. Kilka razy wydawało mu się, że przez ścianę słyszy krzyk. Myślał wtedy o Janie i o wszystkim, co powiedział.

W końcu udało mu się zasnąć. Gdy się ocknął, było już jasno.

– Szczęść Boże – przywitał go z uśmiechem sierżant Kustron, po którym nie było już widać wczorajszej złości.

– Dzień dobry – odpowiedział Piotr, siadając na łóżku.

Potem wszystko potoczyło się utartym torem. Śniadanie, podczas którego na szczęście nikt już nie snuł spiskowych teorii, a po nim obchód, szybki i pobieżny, widać profesor śpieszył się do swojego gabinetu i prywatnych pacjentów.

– Pan ma dzisiaj zabieg, prawda? – Jeden z lekarzy wycelował długopisem w sierżanta, a gdy ten potwierdził, coś zapisał.

Gdy lekarze opuścili salę, Drapella i Kustroń wyciągnęli się na łóżkach. Pierwszy czytał jakiś kolorowy tygodnik, drugi gapił się w sufit, zupełnie tak samo jak przed paroma godzinami trzeci z nich. Nie rozmawiali. Dzień za oknem był szary i ponury.

Pół godziny później do sali weszła ich ulubiona pielęgniarka i zabrała sierżanta na zapowiedziany zabieg. Nie wiedzieli, na czym ma on polegać. Bezpośrednio zainteresowany nie chciał powiedzieć, co od razu spowodowało spekulacje. Drapella twierdził, że jego koledze najprawdopodobniej będą robić płukanie okrężnicy.

– Okropność. – Wzdrygnął się, po czym najspokojniej w świecie przewrócił kolejną stronę czasopisma.

Piotr Duch wstał z łóżka. On nie czekał na żadne zabiegi. W ogóle miał wrażenie, jakby o nim zapomniano. Jeden z lekarzy podczas obchodu tylko pobieżnie omiół okiem kartę wiszącą u nóg łóżka.

– Dokąd idziesz? – Chorąży podniósł wzrok znad gazety.

– Odwiedzę znajomego.

Mówił prawdę: chciał dowiedzieć się, co z Pileckim. Nie miał pojęcia, w którym pokoju mieszka jego były podkomendny, ale dowiedział się tego bez problemu od dyżurującej pielęgniarki. Widział ją tu po raz pierwszy, po raz pierwszy też maszerował korytarzem drugiego skrzydła budynku sanatorium. To właśnie tutaj zakwaterowano Jana.

Ale nie było go w sali. Współlokator, jedyny, bo izba miała tylko dwa łóżka, wesoly grubasek, nie potrafił powiedzieć, gdzie można znaleźć kolegę.

– Może być na świetlicy – odpowiedział, drapiąc się zapamiętałe po wystającym spod pizamy brzuchu, a potem mimowolnie zrymował: – Albo w kaplicy.

Piotr podziękował za informację. Przypomniawszy sobie o początku wczorajszej opowieści, więc postanowił sprawdzić najpierw drugie z tych miejsc. Drogę wskazały mu strzałki na ścianach. Kaplica znajdowała się na drugim piętrze w skrzydle, w którym była też świetlica. Znalazłszy się przed drzwiami, Piotr zawahał się. W końcu nacisnął klamkę.

Było to niewielkie pomieszczenie z dwoma rzędami drewnianych ław i pomalowanymi na biało ścianami. Ławy miały klęczniki, a na ścianach wisały antyramy przedstawiające drogę krzyżową. Naprzeciw wejścia znajdował się

ołtarz, skromny, wręcz surowy. Do środka nie wpadało dzienne światło, mrok rozpraszały tylko cztery kinkiety.

W pierwszej ławie, blisko przejścia, z pochyloną łysą głową klęczał Jan Pilecki. Prócz niego nie było w kaplicy nikogo. Nie poruszył się nawet, gdy Piotr zbyt mocno zamknął za sobą drzwi. Przybysz nie wiedział, co dalej robić i jak się zachować. Czy wypada przerywać modlitwę?

Usiadł w drugim rzędzie.

– Jan – powiedział szeptem, a gdy tamten nawet nie drgnął, dotknął jego ramienia.

– Co? – Pilecki podniósł głowę i odwrócił się. – O, czolem, kapitanie. Co słychać?

– W porządku. Chciałem się dowiedzieć, czy u ciebie lepiej.

– Tak.

– W czymś ci pomóc?

– Nie. Modlitwa mi pomaga.

W tym momencie do kaplicy ktoś wszedł. Piotr nie odwrócił się, ale Pilecki, który wciąż trwał w tej niezbyt wygodnej pozycji, otaksował wzrokiem przybysza.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – przywitał się, głośno i przesadnie wyraźnie, niczym pierwszak na katechezie.

– Na wieki wieków – odpowiedział przybyły. – Miło cię znów tutaj widzieć, synu.

Na dźwięk tego głosu Piotr Duch znieruchomiał.

– To właściwe miejsce, a modlitwa pomaga na wszystko – powiedział z egzaltacją Pilecki. – Wszystkim będę powtarzał, że warto odwiedzać księdza Remigiusza...

– Wkrótce będzie nabożeństwo – rzekł duchowny.

Serce w piersiach Piotra wykonało sześć uderzeń zamiast dwóch. Skurczył się w sobie. Na szczęście duchowny, zaraz po tym, jak ukląkł przed ołtarzem, zniknął za bocznymi drzwiami.

– „Nie lękaj się cierpień, które mają przyjść na cię” – rzekł Jan cicho, ale wyraźnie. – „Oto diabeł wtrąci niektórych z was do więzienia, abyście byli poddani próbie, i będziesz w udręce przez dziesięć dni. Bądź wierny aż do śmierci, a dam ci koronę żywota...”

Pilecki opuścił głowę. Duch podniósł się z ławki, po chwili był już przy drzwiach. Minął się w nich z jakimiś dwoma facetami w szlafrokach. Idąc szybkim krokiem po korytarzu, krokiem właściwym personelowi, nie pensjonariuszom, zastanawiał się nad tym, co się stało.

Czy mnie rozpoznał? – to było pytanie, które nie dawało mu spokoju.

Minął wracającego z zabiegu Kustronia. Sierżant włókł się krok za krokiem, miał zboląłą minę, trzymał się za siedzenie.

– Co ci zrobili? – zainteresował się Piotr.

– Płukanie okrężnicy – jęknął tamten, by zaraz dodać buńczucznie, wygrażając pięścią: – Jutro stąd spierdalam. Nie dam się więcej masakrować!

Mogli iść dalej razem, do swojej sali, ale Duch nie zawrócił, nie zamierzał się nawet zatrzymać. Bał się, że zaatakowany przez niego kilka dni temu pedofil w sutannie, jeśli nawet go nie goni, to właśnie spokojnie podąży w stronę gabinetu dyrektora sanatorium, by poinformować go, że ten ma u siebie pospolitego kryminalistę. Ciekawe, komu by uwierzyli...

Zawrócił jednak po kilkunastu krokach. Dogonił kuśtykającego sierżanta.

– Powiedz mi, jak dostać się do magazynu z ubraniami? – zapytał, starając się, by pytanie zostało wypowiedziane obojętnym tonem.

– A co? Też stąd spierdaliasz?

– Tylko na chwilę.

– Jakaś panienska w okolicy? Nic nie mówiłeś.

– Zostawiłem po prostu coś w kieszeni – zachnął się Piotr. – Kto ma ten klucz, powiesz?

– Kto ma, to nie wiem. – Kustroń wzruszył ramionami. – Pewnie jakiś kilkugwiazdkowy popierdoleniec z logistyki, który znalazł tu ciepłą posadkę, ale na misji zesrałby się pierwszego dnia. Zapasowy, a może dorobiony klucz leży na futrynie drzwi...

Coś jeszcze mówił, na coś wyrzekał, może znów na bolesny zabieg, a może na oficerów z kwatermistrzostwa, ale Piotr go już nie słyszał. Był daleko.

Magazyn znalazł szybko, a klucz był tam, gdzie miał być. Piotr wszedł do środka. Cuchnęło tu starzyzną, potem i papierosami. Kilka minut zajęło mu znalezienie swoich ciuchów. Zwinął je w kłębek, wsunął pod pachę i opuścił magazyn. Był zabezpieczony, a przez to trochę spokojniejszy. Miał zamiar wrócić teraz do sali.

Dzieliła go od niej może minuta marszu, gdy na końcu korytarza ujrzał dyrektora sanatorium. Pułkownik Tatar kroczył w towarzystwie... trzech żandarmów. Jeden z nich, oficer, rozmawiał z profesorem.

Piotr skręcił gwałtownie i podszedł do ściany, udając, że ogląda wiszący na niej obraz.

– Tak, oczywiście, wszystko rozumiem – dobiegł go podniesiony głos lekarza. – Nie widzę przeciwwskazań, żebyście panowie mogli z nim porozmawiać...

Cała czwórka zniknęła w drzwiach gabinetu. Piotr oddychał ciężko.

A jednak przyszli! – pomyślał.

Od tej chwili działał jak w transie. Przebrał się w pierwszej napotkanej, otwartej łazience. Aby nie rzucać się za bardzo w oczy, narzucił na siebie szpitalny szlafrok. Krępował mu ruchy, ale dało się wytrzymać. Kilka chwil później

ponownie stanął przed drzwiami kaplicy. Tym razem zastał je uchylone; poruszały się lekko, prawdopodobnie za sprawą przeciągu.

Gdy wszedł do środka, w ławie nie było już Pileckiego.

– Spóźniłem się...

Już miał się odwrócić, by iść do pokoju Jana, gdy usłyszał czyjś głos. Dochodził zza uchylonych drzwi, za którymi wcześniej zniknął kapelan sanatorium, ksiądz Remigiusz. Gdy Piotr je otworzył, zamarł. Chorąży Jan Pilecki klęczał na parapecie okna z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

– Co robisz?! – krzyknął Piotr.

Mężczyzna odwrócił się. Jego twarz była spokojna.

– „Ten, kto zwycięży, zostanie przyobleczony w szaty białe i nie wymażą imienia jego z księgi żywota, i wyznam imię jego przed ojcem moim i przed aniołami jego”.

– Co? – jęknął Piotr.

– Jestem gotowy... – powiedział Jan.

I przechylił się.

– Nie!!! – Duch rzucił się w stronę okna w wyciągniętymi rękami.

Nie zdołał jednak chwycić żołnierza, który runął w dół z ostatniego piętra.

Piotr chwycił oburącz za krawędź zewnętrznego parapetu, ze wszystkich sił zacisnął na niej palce. Ostra blacha wbiła się w skórę wszystkich palców prócz kciuków. Nie poczuł jednak bólu.

– Co tu się dzieje? – usłyszał za plecami gniewny głos. – Co pan tu robi?

To był ksiądz Remigiusz. Piotr Duch odwrócił się powoli.

– Ja cię znam. – Duchowny zmarszczył brwi.

W tej samej sekundzie z zewnątrz dobiegł przerażający krzyk kobiety. Ciekawość zwyciężyła: kapelan dopadł okna i wychylił się przez parapet. Ujrawszy leżącego na ziemi Pileckiego, którego nie chciał zobaczyć Piotr, wydał z siebie krótki, cichy jęk. Przeżegnał się. A potem odwrócił się powoli i spojrzał na stojącego z jakichś powodów wciąż w tym samym miejscu mężczyznę w szlafroku.

– Morderca – syknął. – Teraz już się nie wywiniesz.

– Nic nie zrobiłem! – krzyknął Piotr. – On sam wyskoczył. Usiłowałem go powstrzymać...

– Łżesz! Wszystko widziałem. Wypchnąłeś go!

– Ja też wiele widziałem. Na przykład na plebanii.

– Gównu widziałeś. Za to inni widzieli, do czego możesz być zdolny. Jesteś skończony...

* * *

Wyciągnął klucz z kieszeni i skierował go do szczeliny zamka. Dwa kawałki srebrnego metalu dzieliło dziesięć, a może siedem centymetrów. Wtedy zawahał

się. A jeśli mówiła prawdę? I rzeczywiście wymieniła zamki? Zresztą dlaczego miałyby być inaczej? Po cholere tu przychodziłem? – jedna myśl w głowie Piotra Ducha gonila następną.

Wreszcie wsunął klucz w szczelinę, ale znów chwilę czekał, by wykonać kolejny ruch. Ten decydujący, najważniejszy...

Nie wahał się, gdy dwie godziny temu stał na parapecie okna zaplecza kaplicy w sanatorium, skąd kilka chwil wcześniej wyskoczył Pilecki. Ksiądz Remigiusz zablokował Piotrowi drogę ucieczki, ale nie spodziewał się, że ten będzie próbował takiego numeru. Klecha po prostu zbaraniał. Jeszcze przed dziesięcioma sekundami oskarżał go o zabójstwo. Teraz zaczął prosić, by się opamiętał i zszedł. Pieprzył o grzechu śmiertelnym, a gdy to nie odniosło skutku, zaczął się głośno modlić.

Piotr widział, jak nad leżącym na ziemi Pileckim pochylają się jacyś ludzie w białych fartuchach. Nie dostrzegł krwi, ale z tej wysokości mógł jej nie widzieć. Odwrócił się. Ksiądz Remigiusz wciąż się modlił żarliwie. Znów spojrzął w drugą stronę. Wystarczyło kolejnych parę sekund, by ocenił sytuację, swoje szanse i podjął decyzję.

Odbił się od parapetu i wylądował kilka metrów niżej, na dachu drugiego skrzydła budynku sanatorium. Wylądował na blasze. Hałas spłoszył stadko gołębi siedzących na dachu wyższego skrzydła. Zaraz usłyszał krzyk księdza, który znów widział w nim bandytę, nie zaś kogoś, kogo trzeba naprowadzić na ścieżkę prawa, cnoty i sprawiedliwości...

Kilkanaście metrów dalej uciekinier trafił na uchylony właz. Po chwili znalazł się w ciemnym, wąskim korytarzu. Szedł na wycucie, ale intuicja go nie myliła. Dotarł na parter, gdzie były drzwi prowadzące na zewnątrz; jak się okazało, na zaplecze. Opuścił teren sanatorium i dotarł do przystanku autobusowego.

Miał szczęście, bo właśnie zza zakrętu wyjechał podmiejski. Piotr wsiadł do środka, by niecałą godzinę później wysiąść w centrum metropolii. Nogi same zaprowadziły go do mieszkania Ewy. Dopiero gdy stanął przed drzwiami, zaczął się zastanawiać, czy dobrze postąpił.

Teraz pozostała do rozwiązania ostatnia kwestia.

– Zmieniłaś zamki czy nie zmieniłaś? – mruknął pod nosem.

Nie mógł dłużej czekać. Ewa miała czujnych sąsiadów, o czym zresztą powiedziała mu na samym początku ich krótkiej znajomości. Zdecydowanym ruchem zgiął nadgarstek. Rozległ się zgrzyt mechanizmu, najpiękniejsza muzyka, którą może usłyszeć włamywacz. Albo ktoś taki jak on – ktoś, kto nie ma już nic do stracenia. Może zresztą był włamywaczem, bo za coś go przecież zamknęli.

Tak czy inaczej, droga do mieszkania była wolna.

– Dzień dobry. Halo! – zawołał na wypadek, gdyby ktoś jednak był w środku, Ewa albo może ktoś z rodziny; nie chciał nikogo przestraszyć, nie chciał

też być wzięty za bandytę.

Ale mieszkanie było puste. W pokoju Ewy znalazł komputer, włączył go i wszedł do internetu. W wyszukiwarce wpisał tylko dwa słowa, które usłyszał od Jana.

– Mam nadzieję, że dobrze zapamiętałem...

To, co po chwili ujrzał na ekranie, spowodowało, że głowę zaczęły mu kłuć tysiące małych igiełek, a skronie otuliło coś miękkiego i gorącego.

– Żandarmeria Wojskowa zatrzymała żołnierzy podejrzanych o dokonanie zbrodni wojennej – czytał na głos. – W wyniku ostrzału śmierć poniosło sześć osób, natomiast trzy zostały ciężko ranne. Wśród poszkodowanych znajdowali się mężczyźni, kobiety i dzieci. Wszystkim żołnierzom postawiono zarzuty złamania prawa wojennego...

Przerwał, przez kilka chwil przeglądał zdjęcia zatrzymanych. Na części z nich twarze były zamazane albo zakryto na nich oczy czarnymi kreskami. Potem oglądał zdjęcia z sali sądowej, gdzie zatrzymani występowali już w mundurach, jednak ich twarze wciąż nie można było rozpoznać. Poniżej podawano niepełne personalia i wojskowe stopnie podsądnych.

Jeszcze przez dobrych kilka chwil przeglądał strony poświęcone tamtemu wydarzeniu, jednocześnie starając się przypomnieć sobie dokładnie słowa, które wypowiedział Jan. Myślał o tym nawet wtedy, gdy w laptopie Ewy wyczerpała się bateria.

Wzdrygnął się, spojrzał na zegar wiszący w sypialni. Dochodziła piąta, za oknami było już ciemno. Wiedział, że Ewa pracuje długo, jednak nie miał pewności, czy nie wróci wcześniej. Chyba wolałby jej nie spotkać. Szczególnie w takiej sytuacji.

– Żegnaj. I przepraszam. – Dotknął dwoma palcami jej zdjęcia w stojącej na półce ramce; przez sekundę zastanawiał się nawet, czy nie zabrać go sobie na pamiątkę, ale odpędził tę myśl.

Ubrał się, sięgnął po klucze, przez chwilę ważył je w dłoni, stojąc w niemal całkowitej ciemności na środku przedpokoju. Wtedy usłyszał metaliczny szcęk. Zbagatelizował go, dopiero gdy po chwili ktoś zaczął przekręcać klucz w zamku, pojął, że wpadł. Że jest już za późno na cokolwiek. W pierwszym odruchu chciał się schować, aby maksymalnie odroczyć ten moment. Nie był jednak w stanie wykonać najmniejszego ruchu.

Zamek został otwarty, Ewa nie wchodziła jednak do środka, nie szukała po omacku włącznika światła. Jakby nasłuchiwała. Wreszcie zapaliło się światło.

– O Boże! – Właściciel mieszkania chwycił się za serce. – Ale mnie pan przestraszył, panie Kowalski...

Duch nie odezwał się. Także dlatego, że właśnie kończył układać w głowie plan. Jego pierwszym elementem było spojrzenie. To pod tym spojrzeniem natręt,

mężczyzna niewysoki, zmalął jeszcze bardziej. Do tego poczerwieniał. Wiedział, że został nakryty.

– Ja... ja przepraszam bardzo – zaczął dukać. – Ja tylko...

Kolejny punkt planu. Piotr zdecydowanym ruchem sięgnął do pustej kieszeni spodni.

– Dzwonię na policję, zboczeńcu.

Właściciel mieszkania podskoczył w miejscu, wyciągnął przed siebie rękę, jakby chciał osłonić się przed ciosem.

– Pro... proszę tego nie robić... – wyjęczał błagalnym głosem. – Ja wszystko wytłumaczę.

– Słucham. – Piotr nie wyjmował dłoni z kieszeni, do tego lekko przechylił się w stronę tamtego człowieka, co prawdopodobnie uczyniło go jeszcze groźniejszym.

Ale właściciel mieszkania, zamiast próbować wymyślać na gorąco kolejne bzdurne tłumaczenia, od razu przeszedł do następnego etapu.

– To już się więcej nie powtórzy, proszę pana. – Ręce, którymi przed chwilę bronił się przed ciosem, teraz dotknęły piersi. – Więcej już nie przyjdę, Bóg mi świadkiem!

Piotr pokręcił głową, co tamten odebrał jako znak, że nie jest dobrze.

– Co mam zrobić, żeby mi pan uwierzył? – Tym razem złożył ręce jak do modlitwy.

– Jest jeden sposób.

Twarz winowajcy rozjaśniła się, ale tylko na krótką chwilę, bo zaraz wykrzywił ją grymas. Pewnie pomyślał sobie coś obrzydliwego.

– Jaki sposób? – zapytał słabym głosem, prawdopodobnie pełen najgorszych obaw.

Piotr Duch wiedział, że nie może przeciągać. Zdawał sobie sprawę z tego, co by się stało, gdyby w tej chwili w drzwiach mieszkania stanęła Ewa. Czyją stronę by wzięła. Był pewien, że tamten człowiek nie dałby się powstrzymać przed sięgnięciem po telefon i wybranie numeru policji. Tym bardziej na prośbę, a nawet przy braku protestu dziewczyny.

– Obniżysz czynsz pani Ewie – powiedział wreszcie.

– Co? – Właściciel był zaskoczony.

– Obniżysz czynsz. O jedną trzecią.

– Ale...

– Czegóż nie rozumiesz? Pamiętasz chyba ze szkoły, ile to jest jedna trzecia, co? Chyba że... – Ręka, którą Piotr w międzyczasie zdążył wyjąć z kieszeni, ponownie tam zanurkowała.

– Dobrze – westchnął mężczyzna. – Ale może dopiero od nowego roku...

– Od grudnia!

Właściciel mieszkania przygryzł wargę. Skinął pokornie głową. Został pokonany.

– A teraz spieprzaj, póki nie zmieniłem zdania – warknął Piotr.

– Do widzenia.

– Mam nadzieję, że nie.

Opuszczenie mieszkania zajęło jego właścicielowi dwie sekundy. Wtedy dopiero z Piotra zeszło powietrze. Oparł się plecami o ścianę. Wtedy poczuł silny uścisk w żołądku. Na szczęście znalazł drogę do łazienki. Zdążył tylko zakryć oburącz usta...

Wymiotował krótko. Potem przepłukał usta, obmył twarz zimną wodą. Na koniec spojrzął w lustro, na obcą ciągle twarz.

Wyszedłszy z mieszkania, uświadomił sobie, że Ewa najpewniej będzie dociekać, co stoi za niespodziewaną i szlachetną decyzją właściciela. Być może nawet, od słowa do słowa, wyjdzie na jaw historia sprzed paru minut. Był ciekaw, jak dziewczyna zareaguje, gdy dowie się o wszystkim. Ale on będzie już wtedy daleko.

Dojechał windą na parter. Ledwo z niej wyszedł, ujrzał wchodzącą do budynku Ewę. Ubrana jak zawsze elegancko, dźwigała w jednej ręce teczkę z dokumentami, w drugiej zaś reklamówkę z zakupami.

Piotr gwałtownie skręcił w bok, podszedł do tablicy z ogłoszeniami i udawał, że czyta. Gdyby go poznała i zagadnęła, też udawałby, że dopiero przyszedł. Stukot obcasów na podłodze hallu zamarł. Mężczyzna wstrzymał oddech. Rozległ się znajomy gong. Drzwi windy rozsunęły się. Jeszcze dwa kroki, dwa uderzenia fleków o dno dźwigu. Zgrzyt skrzydeł drzwi, pokonujących powrotną drogę...

Odwrócił się powoli. Z jednej strony poczuł ulgę, z drugiej żal. Chyba po równo.

* * *

W gabinecie dyrektora sanatorium dla weteranów misji zagranicznych w K., pułkownika profesora Zenona Tatarą, panowała cisza. Mimo że w pomieszczeniu znajdowały się trzy osoby, można było śmiało nazwać ją totalną. Albo grobową. To drugie określenie było chyba nawet trafniejsze. Zważywszy na to, co się stało.

Przerwał ją jeden z gości dyrektora placówki, pułkownik Karcz.

– „Pamiętamy tylko to, co dobre” – przeczytał starannie hasło, które wisiało także i na jednej ze ścian gabinetu.

Tatar niespokojnie poruszył się w fotelu. W słowach siedzącego naprzeciwko oficera wyczuł wyraźną nutkę złośliwości. Jeszcze nie spotkał się z żadną złośliwą interpretacją hasła, które było mottem jego pracy i które zresztą sam wymyślił. Był gotów bronić swoich racji. A najlepszą obroną, o czym wiedział także i on, żołnierz z lekarskim fartuchu, jest atak.

– Tak jak powiedziałem, panie pułkowniku, mamy kłopoty. Poważne kłopoty! – wyrzucił z siebie jednym tchem, utkwivszy spojrzenie znad zsuniętych na czubek nosa okularów.

– Dobrze, że użył pan liczby mnogiej – zauważył niegłośnie Karcz.

– To kwestia odpowiedzialności za pacjentów. Nie zmienia to jednak faktu, że to pański protegowany napytał sobie biedy. Jeżeli to przedostanie się do mediów... Nie, ja nie chcę nawet o tym myśleć!

Gdy dwie godziny temu Bogdan Karcz odebrał telefon z K., od razu czuł, że coś się stało. W sanatorium udało mu się umieścić tylko kilku swoich ludzi. O jednych martwił mniej, o innych bardziej. Nie powiedzieli mu przez telefon, o kogo chodzi. O tragedii dowiedział się na miejscu.

Podejrzany o wypchnięcie Jana Pileckiego z okna na ostatnim piętrze był człowiek, którego Karcz wysłał tu jako ostatniego. W spokoju wysłuchał relacji personelu, wezwanego na miejsce prokuratora wojskowego, a także jedyne go świadka zdarzenia, pracującego tu kapelana. Ten nie miał wątpliwości: kapitan Piotr Duch wypchnął z okna Pileckiego. Prawdopodobnie w wyniku kłótni i szarpaniny, bo ksiądz słyszał wcześniej krzyki.

Karcz w to nie wierzył. Znał obu, kiedyś byli jego podkomendnymi. Fakty jednak były, jakie były. Oliwy do ognia dodał porucznik Żandarmerii Wojskowej, który pojawił się w gabinecie profesora Zenona Tatara jako ostatni, kilka minut wcześniej. Przedstawił wstępne wyniki działań operacyjnych. Wiele wyjaśnić miała sekcja zwłok Pileckiego, a także zapis monitoringu, tak wewnętrznego, jak i zewnętrznego.

– Słyszałem, że byliście na miejscu jako pierwsi – rzekł Karcz do żandarma.

– Tak się złożyło – odparł skromnie porucznik Tomasz Łopuch. – Powodem naszego przyjazdu było coś zupełnie innego.

– Panowie byli już w moim gabinecie, kiedy wszczęto alarm – wszedł mu w słowo profesor Tatar. – Rozmawialiśmy o pewnym problemie, z istnienia którego nie zdawałem sobie sprawy.

– Co to za problem? – chciał wiedzieć Karcz.

– Nie wiem, czy możemy o tym mówić... – Lekarz spojrział na porucznika Łopucha, a następnie na Karcza, by na koniec przenieść wzrok z powrotem na mundurowego, który przyzwalająco skinął głową. – Mam nadzieję, pułkowniku, że odpłaci mi pan potem szczerością za szczerłość.

– Oczywiście. Co to za sprawa?

– Dostaliśmy informację – zaczął żandarm – od naszych kolegów ze stołecznej policji, że na terenie sanatorium można kupić narkotyki. Głównie kokainę i marihuanę. Doniesienia były dość szczegółowe, więc nie pozostało nam nic innego, jak oficjalnie sprawdzić sprawę na miejscu. Śmierć pacjenta opóźniła nasze działania, ale w końcu mamy to.

Obaj wyżsi oficerowie spojrzeli wyczekująco na młodego. Ten westchnął. Najwyraźniej wiedza, którą niedawno posiadał, nie była wygodna.

– Wszystko wskazuje na to, że procederem zajmował się... kapitan Duch – powiedział wreszcie. – W jego nocnej szafce znaleziono sporą ilość narkotyków. Podejrzewamy, że Pilecki albo odkrył, czym się zajmuje oficer, albo sam był jego klientem, o czym dowiemy się, gdy będą wyniki sekcji zwłok. W grę wchodzi także szantaż. Tak czy inaczej, prokurator jeszcze dzisiaj wystawi list gończy za kapitanem Duchem. Znalezienie go to kwestia godzin...

– Życzę powodzenia – mruknął Bogdan.

* * *

– To co? Jeszcze po jednym?

Piotr sięgnął po stojącą na stole szklanę, dopił resztę piwa i podał szklanę mężczyźnie, który miał iść po repetę. Stał jednak jeszcze przez chwilę przy stoliku i patrzył na Piotra z góry.

– Nic się nie zmieniłeś – powiedział. – No, może trochę.

– Ty też.

– Dzięki. – Poklepał się znacząco po wystającym brzuchu. – Jesteś bardzo miły. Muszę to powtórzyć swojej starej, bo wciąż pyta: gdzie jest ten szczupły przystojniak, za którego wysłałam?!

Wreszcie tamten oddalił się, by napełnić szklanki. Siedzący odprowadził go wzrokiem. Nie skłamał przed chwilą, mówiąc, że tamten się nie zmienił. Z prostego powodu: nie miał pojęcia, z kim poszedł do pubu i z kim zaliczył pierwszą, jak się właśnie okazało, kolejkę.

Wpadli na siebie krótko po tym, jak Duch opuścił apartamentowiec Ewy. Był już wieczór, świeciły latarnie i reklamy. Tamten szedł z przeciwnej strony, rozmawiał przez telefon. Gdy ujrzał Piotra, zatrzymał się w pół kroku i rzucił do aparatu: „Nie uwierzysz, kogo właśnie widzę!”

Piotr nie był pewien, czy to o niego chodzi, ale w najbliższym sąsiedztwie nie było akurat nikogo. Tymczasem tamten perorował: „Nie, to nie prezydent”.

Zatrzymali się, uścisnęli sobie dłonie, po czym znajomy-nieznajomy się rozłączył. I od razu zaproponował pójście na piwo. Szczęśliwie lokal był kilka metrów dalej.

– No to na drugą nóżkę! – Postawił szklanki na stoliku i usiadł; krzeselko niepokojąco pod nim zaskrzypiało. – Co tam?

– W porządku.

Tym razem Piotr nie zrobił tego, co zwykle czynił w takich bądź podobnych sytuacjach. Nie opowiedział o wypadku i swojej przypadłości. Chciał dowiedzieć się czegoś o sobie.

Jednak przy pierwszym piwie okazało się to niemożliwe. Piotr musiał

bowiem najpierw wysłuchać zwierzeń o kłopotach Nowaka, bo tak właśnie mówił o sobie, używając nazwiska, stary znajomy. Zarobił więc dziś Nowak mandat za nieprzepisowe parkowanie, więc dostało się straży miejskiej, „tym nierobom i bandytom, którzy uprzykrzają życie uczciwym, ciężko pracującym ludziom”. Do tego jego córka, której imienia Piotr nie zapamiętał, a może Nowak go nie zdradził, miała kłopoty w gimnazjum. Groziły jej aż cztery niedostateczne na zbliżające się półrocze. Na szczęście w robocie jakoś się układało.

– Mieszkasz tu? – zapytał Duch, wykorzystując chwilę milczenia Nowaka.

– Od trzech lat. – Mężczyzna otarł krawędzią dłoni pianę z ust. – Przenieśliśmy się z rodziną zaraz po tym, jak przeszedłem na emeryturę. Miałem dość armii, więc wykorzystalem pierwszy możliwy termin, żeby się zerwać. Na początku sprzedawałem polisy ubezpieczeniowe. Ale to wszystko na procent, więc różnie bywało. Niby masz tę emeryturę, ale wiesz, jak to jest. Troje dzieci, wydatki. Dom stawiam pod miastem. Już prawie skończyłem.

– Wspaniale!

– Wypijmy za to.

Stuknęli się szklankami.

– A teraz, od roku – ciągnął Nowak – siedzę znów na państwowej posadzie. Kokosów z tego nie ma, ale daję radę. No i masz zawsze tę pewność, że pensja pod koniec miesiąca spłynie.

– Co to za robota?

Nowak podał nazwę. Piotr gwizdnął z podziwem.

– Pewna, bez względu na ustrój! – ocenił.

– Jest nieźle. Mam spore szanse na kierownicze stanowisko.

– Trzymam kciuki.

– Sprawa ma się rozstrzygnąć lada dzień. Jeśli to się uda, to... – podniósł rękę i pogroził pięścią komuś niewidocznemu – pokażę wszystkim skurwysynom! Wypijmy.

Podnieśli szklanki. Ale Nowak tym razem nie zamoczył ust.

– Wiesz, że gdybym się nie zwolnił – ściszył głos – pewnie już bym gryzł ziemię?

– Nie rozumiem.

– Chcieli mnie koniecznie wysłać na wojnę. Ktoś w sztabie się uparł, żebym na pół roku albo nawet dłużej zmienił klimat. Ale ja na początku tej roboty założyłem sobie, że nikt nie będzie ze mną tak pogrywał. Zagroziłem, że jeśli jeszcze raz będą chcieli mnie wysłać, odejdę. No i spróbowali. Ale dzięki temu możemy jeszcze rozmawiać. Ale gadaj, co tam u ciebie?

– W porządku. Jakoś się kręci – odpowiedział wymijająco Piotr.

Chyba niczego się od niego nie dowiem – pomyślał.

Zadzwoił telefon. Nowak przeprosił i odebrał połączenie. Po kilku chwilach

wstał od stolika i wyszedł z sali. Piotr został sam. Pociągnął kolejny łyk. Piwo niezbyt mu smakowało, ale gasiło pragnienie, a to dokuczalo mu, odkąd wymiotował w mieszkaniu Ewy. Sprawdził, ile ma przy sobie pieniędzy. Potem zaczął się zastanawiać, gdzie spędzi zbliżającą się noc.

Nowak wrócił. Wyraz jego twarzy nie pozostawiał wątpliwości, czy właśnie usłyszał dobre wieści, czy nie.

– To jak? Po trzecim? – zapytał, zacierając dłonie.

Wcześniejsza kontrola stanu gotówki sprawiła, że Duch zdecydowanie odmówił. Poza tym czuł już w głowie lekki szum.

– Masz rację, nie ma co nabijać komuś kabzy – powiedział Nowak. – Idziemy do mnie. Po drodze wejdziemy do spożywczaka i weźmiemy kilka browarów. Pasuje?

– Pasuje.

Wsiadli do tramwaju, którym przejechali kilkanaście przystanków. Nowak znów wyrzekał na straż miejską, choć do tematu szkolnych kłopotów córki już nie wracał. Wsiadli na jakimś osiedlu. W sąsiedztwie przystanku znaleźli niewielki, sieciowy sklepik. Nowak zapłacił za piwo w pubie, więc Piotr postanowił, że to on zrobi zakupy w sklepie. Wziął cztery butelki z lodówki i dużą paczkę paprykowych chipsów.

– Liga Mistrzów, co? – skomentował sprzedawca, przesuwając towar nad popiskującym czytnikiem.

Nowak coś burknął pod nosem. Wypity alkohol coraz wyraźniej dawał o sobie znać.

– Dziękuję. – Duch schował resztę do kieszeni i złapał za ucho reklamówki.

Wyszli ze sklepu. Okolica przypominała trochę osiedle, na którym stał kościół księdza Remigiusza. Piotr nie zapytał jednak towarzysza, gdzie są, bo przecież i tak nie wiedział, jak nazywała się tamta dzielnica. A o sprawie z kościoła wolał nie myśleć.

– Rodzina nie będzie miała nic przeciwko? – zapytał tylko.

– Są w innym w mieszkaniu, na peryferiach – wyjaśnił Nowak. – Kupiłem je zaraz po przyjeździe, żeby mieć gdzie głowę przyłożyć. Celem jest dom, mówiłem ci.

– Mówiłeś.

– A to lokal po ciotce. Korzystam z niego w awaryjnych sytuacjach i mogę też przenocować kogoś, kto akurat jest w potrzebie...

Piotr ucieszył się. Właśnie rozwiązał się jeden z jego problemów!

Odziedziczone mieszkanie znajdowało się na pierwszym piętrze. Nowak otworzył drzwi, przepuścił gościa przodem. W środku czuć było starością i gnijącymi warzywami.

– Hilton to nie jest, ale przynajmniej na głowę nie kapie – powiedział

gospodarz, wyjmując z kuchennej szafki szklanki do piwa.

Usiedli w fotelach. Były stare, z wytartymi podłokietnikami jak w mieszkaniu pani Marii, ale wygodne. Piotr otworzył butelki, zaczął nalewać piwo. Miał zamiar dokończyć to, czego nie udało mu się zrobić wcześniej.

– Ile my się właściwie znamy? – zapytał.

– Kopę lat, jak to mówią. – Nowak czknął. – A wiesz, że ja cię zawsze szanowałem? Bo zrozumiałeś, chyba jako pierwszy z nas, o co w tym wszystkim chodzi. I dałeś nogę...

O czym on mówi, do cholery? – zaniepokoił się Piotr.

– A ty wiesz, że mogłem już nie żyć? – wybełkotał Nowak po chwili.

– Tak, mówileś.

Mężczyzna sapnął głośno.

– Dostać w czapę to jeszcze nie najgorsze. Słyszałem o wypadkach, że chłopaki po misjach nie potrafili rozpoznać swoich dzieci, które musieli odebrać ze szkoły czy przedszkola. Albo mieli problem z trafieniem do własnego domu. Bywało, że niemal całkowicie tracili poczucie czasu, nie wspominając już o tym, że bez przerwy bali się, czy ktoś za chwilę do nich nie strzeli albo oni sami nie nadepną na niewłaściwą część ziemi. Masz pojęcie? A to są tylko przypadki, które zostały zgłoszone lekarzom. Ile jest takich, o których nie wiemy?

Piotr nie odpowiedział.

– Pomyślałbyś, że można popuścić w spodnie, słysząc odgłos przelatującego śmigłowca? Albo gdy jakiś gówniarz odpali petardę w Sylwestra? Oddzielna kategoria to żony takich, co wrócili. One powinny dostawać chyba jakiś specjalny dodatek od państwa, mam rację?

– Oczywiście.

– I to wszystko po co? Po co?! By zadowolić panów w Waszyngtonie, tego z Białego Domu i tych z Wall Street. A większość z tych debilów, zapewniam cię, nie ma nawet pojęcia, gdzie Polska leży! Może między Niemcami a Izraelem, ale nikt tego nie wie na pewno. Wmawiają nam, że takie są konsekwencje sojuszu. Dobrze sobie. Jak przyjdzie co do czego, będziemy się zastanawiać, czy wypada drogim sojusznikom z powodu ruskich czołgów nad Wisłą przerywać popołudniową herbatkę.

Zamilkł. Nalał do szklanki resztę piwa z butelki.

– Dlatego powiedziałem jasno i wyraźnie: ni chuja, nigdzie nie jadę! – krzyknął, ale zaraz zakrył usta, bo może uświadomił sobie, że coraz wyraźniej i coraz głośniej przemawia przez niego alkohol. – Wziąłem roczne uposażenie, za które od razu kupiłem ziemię. Przyjąłem szablę od kolegów. Śmialiśmy się, że będzie na starość jak znalazł do... grzebania po śmietnikach. Wziąłem z magazynu kilkanaście puszek malpiny, bo i tak mi przysługiwała. I tyle mnie widzieli.

Tym razem emeryt pogroził pięścią telewizorowi, w którym nie było meczu,

jak spekulował sprzedawca w spożywczym, tylko jakiś film. Żaden z nich nie śledził jednak akcji, każdego pochłonęły bez reszty, prócz oparów alkoholu, jego własne myśli.

A może ja wcale nie zostałem pobity? – zastanawiał się Piotr.

– A ty? – Nowak spojrział z ukosa na gościa.

– Co ja?

– Nic. – Znów czknął.

– Ty, a co to jest małpina? – zapytał Piotr po chwili.

Ale odpowiedziało mu chrapnięcie. Nowak spał.

Piotr ostrożnie odstawił szklankę na stół, wyłączył telewizor i zgasił światło. Przeszedł do sąsiedniego pokoju, gdzie znalazł kanapę. Wyciągnął się na niej, stęknął z zadowoleniem, splótł ręce pod głową. Po chwili także i on stracił świadomość.

* * *

Biała bila uderzyła w trójkąt złożony z kilku innych, kolorowych. Człowiek, który trzymał kij, wyprostował się znad stołu i po raz nie wiadomo już który rozejrzał się po pomieszczeniu.

Był to ogromny salon umeblowany w stylu angielskiego klubu, z kominkiem na jednej ze ścian i o wielkich, zasłoniętych w tej chwili roletami oknach. Na pomalowanych na brązowo ścianach wisiały obrazy przedstawiające sceny polowań i bitew, tu i ówdzie straszły poroże jelenia, głowa dzika czy szable skrzyżowane pod ryngrafem z wizerunkiem Matki Boskiej.

– Kiedyś też będę taki miał – mruknął sam do siebie, pogładził palcami wąsy, po czym sięgnął po szklankę wypełnioną płynem w kolorze ścian. – A przynajmniej, kurwa, bilardowy stół.

Znów pochylił się nad zielonym suknem, przez chwilę analizował sytuację. Nie przeszkadzało mu, że gra sam ze sobą. Miało być inaczej, ale przeciwnik kilka chwil wcześniej przeprosił i wyszedł. Obiecał, że nie na długo.

Dotrzymał słowa. Między skrzyżowanymi szablami a głową dzika rozsunęły się drzwi i stanął w nich gospodarz. Miał zadowoloną minę.

– Udało się? – chciał wiedzieć mężczyzna z kijem w ręku.

– Tak. Właśnie otrzymałem przesyłkę. Z dalekiego kraju.

– Możemy za to wypić.

– Należy nam się.

Podszedł do stylowego barku i nappełnił szklankę. Odwrócił się.

– A pan?

– Jeszcze mam. Dziękuję.

Gospodarz zbliżył się do stołu, położył mężczyźnie protekcjonalnym gestem rękę na ramieniu, po czym stuknął swoją szklanką o szklankę.

– Za zwycięstwo – rzekł. – Czy to nie takie toasty wznosiliście jeszcze niedawno, co?

– Coś w tym rodzaju.

– Tylko wróg się zmienił. Nad ocean można dojechać z biurem podróży, a nie czołgiem, jak to sobie wyobrażali twardogłowi generałowie. Tylko że dziś jest jednocześnie o tyle gorzej, że nigdy nie będziesz wiedział, kto jest twoim przyjacielem, a kto wrogiem.

– Nie da się ukryć.

– Każdy ciągnie w swoją stronę, ze wszystkich sił. I każdy długo i ciężko pracował na swoją pozycję w tym biznesie. Ja też. Głodować na państwowej posadce czy emeryturze?

– Nie wchodzi w grę.

– Pan też to wie, dlatego jest pan tutaj, ze mną. Pijemy, rozmawiamy, ale żaden z nas nie jest pewny, czy nikt nie wbije mu nagle noża w plecy. Nie zadzwoni po zomozę. A propos, co tam u naszego wspólnego znajomego?

Mężczyzna bał się tego pytania, ale stało się. Wolną ręką starł z kącików ust wezbraną w ciągu chwili ślinę.

– Ma kłopoty – mruknął. – Poważne.

– To mnie nie dziwi. Szkoda, że nie powiedział pan wcześniej, gdzie go mogę znaleźć. Próbuję nawiązać z nim kontakt od dłuższego czasu.

– Za późno skojarzyłem, że to chodzi o niego. Minęło kilka lat...

– Odwiedziłbym go w tym sanatorium. Kompot przyniósł, może pomarańcze jakieś...

– Teraz szuka go policja i żandarmi.

– Niezła konkurencja. Ciekawe, kto będzie pierwszy na mecie. Może zakład, pułkownika? – Wadim Szmyt wyciągnął przed siebie rękę.

* * *

Obudził go huk. Zaraz po nim pokrzykiwania. Jakby ktoś dopingował biegacza, któremu zostało coraz mniej sił i mniej dystansu do pokonania, może to nawet ostatnia prosta. Ale to nie były zawody sportowe. Piotr zrozumiał to chwilę po tym, jak do jego uszu dobiegł tupot ciężkich buciorów.

Dopadli mnie – to była kolejna myśl, która pojawiła się, obok bólu, w jego głowie. Ale pierwsza logiczna. W jaki sposób tak szybko udało się go namierzyć? Czy ktoś za nimi wczoraj szedł?

Zsunął się z tapczanu, na którym leżał w ubraniu, ale bez butów, które musiał zzuć przez sen. Jednym ruchem uniósł leżysko i podtrzymując je, nie bez wysiłku, jakoś wgramolił do środka. Wszystko trwało sekundy. Ruchoma część tapczanu nie dotarła jednak do pionowej deski pudła, tylko zatrzymała się na ramionach Piotra. Syknął z bólu. Chwilę później rozległ się trzask, ale z drugiej

strony. To pękło dno wykonane z cienkiej pilśniowej płyty.

Między krawędzią deski a dnem pozostała szpara szerokości kilku centymetrów. Ukrywający się mógł obserwować przez nią wszystko, co działo się na zewnątrz. No i oddychać, bowiem w pudle bynajmniej nie pachniało różami.

Pokój pocięły na kawałki wiązki laserowych celowników. Ktoś nacisnął włącznik światła, bo za oknami wciąż była szarówka. Na środku stało kilku osobników w zielonych kombinezonach, hełmach z goglami i długą bronią. Zaszemrała krótkofalówka na ramieniu jednego z nich.

– Pusto – powiedział, skręciwszy nieco głowę.

Krok do tyłu. Jeszcze jeden.

– Sprawdź jeszcze w tapczanie – polecił jeden drugiemu.

Antyterrorysta postąpił krok do przodu, wyciągnął rękę. Piotr przyknął oczy. W tej samej chwili z sąsiedniego pokoju dobiegł krzyk:

– Mamy go! Schował się do szafy, skurwiel.

Opuścili pomieszczenie. Rozległ się krzyk. Duch rozpoznał głos swojego gospodarza.

– Puszczajcie mnie, skurwysyny! – charczał Nowak.

– Leż, kurwa, bo ci łeb odstrzelę – zawołał któryś z nieproszonych gości.

– Załatwię was, że się nie pozbieracie! Już możecie szukać sobie nowego zajęcia!

Kilka chwil później Piotr ujrzał, jak wyprowadzają Nowaka z pokoju. Domyślał się, że to on, bo z tej perspektywy widział tylko gołe, owłosione nogi. Aresztowany już się nie odgrażał, nie wykrzykiwał. Szedł grzecznie, podtrzymywany przez dwóch rosłych antyterrorystów. Po nich mieszkanie opuściła reszta. Zrobiło się cicho, jakby nic się nie stało.

Piotr już naprężył mięśnie, by podnieść ściskające go leżysko tapczanu, gdy znów usłyszał głosy. Uspokoił oddech i ponownie zbliżył oko do szpary. Nikt jednak nie wszedł do mieszkania. W tym samym momencie mężczyzna uświadomił sobie, że prawdopodobnie przed chwilą został zamknięty i znalazł się w pułapce. Usiłował sobie przypomnieć, na którym jest piętrze. Nie, wczoraj nie szli na górę zbyt długo.

– Trzeba stąd spieprzać...

Nie bez trudu wygramolił się z pudła. Stanął na środku pokoju, otrzepując z siebie jakieś paprochy i kłęby kurzu. Pochłonięty tą czynnością, a może też do końca nie rozbudzony, nie dosłyszał odgłosu otwieranych drzwi. Gdy rozległy się głosy, było już za późno, by się ukryć.

– Co pan tu robi?! – zaatakował go jakiś mężczyzna w płaszczu, spod którego lyskała biała koszula, a towarzyszący mu drugi facet, blondyn w skórzanej kurtce, już sięgał po telefon.

– Pilnuję – odpowiedział bez namysłu Piotr.

Mężczyzna w skórze opuścił rękę z telefonem, spojrzął na towarzysza.

– Jesteśmy z prokuratury – powiedział ten drugi. – Zabezpieczamy materiały dowodowe.

– W takim razie proszę. – Duch wykonał zapraszający gest, ale pozostał poważny.

W głowie układał kolejne kłamstwa, ale tamci o nic więcej już nie pytali, nie żądali dodatkowych wyjaśnień ani dokumentów. Nawet nie zauważyli, że jest bez butów. Jeden zajął się kredensem, drugi przeglądał szuflady wiekowego biurka. Oba te meble znajdowały się w pokoju, w którym wczoraj wieczorem Nowak i Duch oglądali telewizję i gdzie gospodarz przyłożył głowę.

Piotr wzuł buty i poszedł do kuchni, gdzie, jakby nigdy nic, zaczął przygotowywać kawę. W pewnym momencie przeszło mu nawet przez myśl, czy nie zaproponować poczęstunku tamtym dwóm, ale zrezygnował. Po chwili nalał wrzątek do kubka, wyjął z lodówki śmietankę. Nowak musiał często tu zaglądać, bo była świeża.

Tymczasem facet w skórze, skończywszy przeszukiwanie biurka, zajął się szafą. Skrzypnęły otwierane drzwi. Czynność ta zajęła mu zaledwie kilka minut.

– To wszystko – ogłosił, po czym rzucił do współnika: – Możemy iść.

Wyszli. Piotr odetchnął. Zbliżył się do drzwi i wyjrzał przez wizjer. Na korytarzu nie było nikogo. Wrócił do pokoju. Jego uwagę przykuła szafa, której pracownik prokuratury nie zamknął – a dokładnie jej zawartość. Wyciągnął z niej garnitur. Na wieszaku znajdowała się także niebieska koszula i krawat. Na dole dostrzegł pantofle. Myśl, która zaświtała mu głowie i którą początkowo uznał ją za nedorzeczną, szybko zamieniła się w czyn.

– Chyba się nie pogniewa – mruknął do swojego odbicia w lustrze, wiążąc krawat; zdziwił go trochę, ale bardziej ucieszył fakt, że potrafił to zrobić szybko i nawet ładnie.

Wszystko pasowało, jakby uszyte było specjalnie dla niego. Nie chcąc dalej kusić losu, narzucił na garnitur bosmankę i wyszedł z mieszkania. Przez chwilę jeszcze zastanawiał się, czy dobrze robi, zostawiając je otwarte, ale machnął na to ręką.

Znalazłszy się na osiedlowej alejce, zaczął szukać wzrokiem przystanku. Znów musiał sięgnąć pamięcią do poprzedniego wieczora.

– Spróbujmy tędy – rzekł sam do siebie i skierował kroki w stronę wylotu uliczki, śladem jadącej powoli, szarej furgonetki.

Samochód zatrzymał się, więc idący zaraz go dogonił. Był już na wysokości bocznych drzwi furgonetki, gdy te otworzyły się. Nie zwrócił jednak na to uwagi. Nie zaniepokoił się nawet wówczas, gdy ktoś wysiadł z pojazdu. Gdy zarzucono Piotrowi na głowę worek i zadano silny cios w potylicę, było już za późno na cokolwiek.

* * *

Wadim Szmyt obudził się parę minut po ósmej. Mimo że wczorajszego wieczora nie wypił zbyt wiele, bolała go głowa. Przez chwilę zastanawiał się, z kim pił whisky.

A, to głupie trepiszcze – przypomniał sobie. Choć wygląda na inteligentnego faceta. Nie, chyba się nie polubią, choć Wadim nigdy nie był w wojsku, więc nie ma nic do zawodowych. W dodatku łączą ich interesy. Chociaż kto wie. Może się wyrobi, zupak jebany, ogłady nabierze.

Przewrócił się na drugi bok. Kilkanaście centymetrów przed oczami miał teraz ścianę, gładką, świeżo odmalowaną. Wzdrygnął się. Wspomnienie celi sprawiło, że wstał z łóżka.

Dom, w którym przebywał, był nowym nabytkiem. Szmyt wszedł w jego posiadanie po tym, jak poprzedni właściciel, znany polityk, kilka miesięcy temu przeniósł się na tamten świat. Był ciotą, zawoalowaną jak tylko można, bo przecież te wszystkie szable w salonie, Matki Boskie na ryngrafach, półmetrowe krucyfiksy niemal w każdym pomieszczeniu. Nie miał ów polityk rodziny, ale co to za problem, by jednak znalazł się jakiś daleki kuzyn. Nie trzeba było nawet wiele wysiłku, ot, odrobina sprytu. Wadim i jego ludzie byli w tym oblatani.

Dopił akurat ostatni łyk kawy, gdy odezwał się telefon.

– Szmyt. – Chwilę nasłuchiwał. – Dobrze, że się pan odzywa. Czy moglibyśmy się spotkać? Najlepiej u mnie. Jestem tu do trzeciej po południu, potem spotykam się z córkami. W takim razie czekam. A, no tak, nie podałem adresu...

Rozłączył się, odłożył aparat na blat. Spojrzał za okno. Znów zapowiadał się dzień bez słońca. Trzeba będzie pomyśleć o jakimś wyjeździe do ciepłych krajów.

Opuścił kuchnię i szedł do garażu. Właśnie uwijało się w nim kilku ludzi.

– Cześć! – przywitał się.

– Dzień dobry, szefie – odpowiedzieli chórem.

Zamienili kilka zdań. Szmyt dowiedział się, że część towaru, który dotarł do jego nowej willi wczoraj późnym wieczorem, została wysłana do laboratorium. Stamtąd wróci za kilka dni jako gotowy do sprzedaży produkt. Trzeba go będzie tylko podzielić na porcje.

W tej chwili jego ludzie przygotowywali do wysyłki towar porcjowany wcześniej. Była to amfetamina i marihuana. Dilerzy już czekali pod telefonem, machina za chwilę miała ruszyć. Właściwie to nie zatrzymywała się ani na chwilę nawet wtedy, gdy Wadim przebywał za kratkami. Dzięki zaprzyjaźnionym strażnikom więziennym bez problemów kierował firmą na odległość. Wypożyczenie komórki wcale nie było tak drogie, jak opowiadają.

– Co słyszać na mieście? – zagadnął, usiadłszy na niegdysiejszym

ulubionym fotelu posła, który teraz dożywał tutaj swoich dni, bo nowemu właścicielowi jakoś nie przypadł do gustu.

– Stara bida, szefie – odpowiedział jeden z jego ludzi, który akurat stał najbliżej; był to jednocześnie człowiek, z którym Szmyt pracował najdłużej i do którego miał największe zaufanie. Mówili na niego Skorpion, choć nikt nigdy nie zapytał, dlaczego.

– Psy węższą?

– Mogą sobie powęszyć. Za swoimi fiutkami.

Wadim aż musiał otrzeć wezbraną w oku łzę, tak go to rozbawiło. Naprawdę brakowało mu tych ludzi i atmosfery. Po chwili reszta wróciła do swojej pracy. Wszyscy prócz Skorpiona.

– Kilka dni temu złapali jednego aktora, słyszał szef? – powiedział.

– Nie. Co za aktor?

– Akurat wyleciało mi ze łba nazwisko. Taki wysoki, babkom się podoba.

– I co?

– Polew jest, bo grał psa w jednym serialu. I to takiego ostrego. Aż tu pewnego pięknego wieczora popierdala swoją wypasioną furą po mieście, gdy nagle zajeżdżają mu drogę. Wyskakują po cywilnemu, świecą w oczy blachami i z miejsca zaczynają mu trzepać auto. Nie minęły dwie minuty, a już mieli w rękę to, czego szukali.

– Ktoś musiał im go nadać – skwitował Szmyt. – Nie ma innej opcji. Aż tak dobrzy nie są.

– Oczywiście sprawa. Gość podobno zbaraniał, bo tego nie można było podciągnąć nawet pod prywatny użytek. Niezła afera. Jak szef chce, to w necie można znaleźć więcej o tej hecy. Także nazwisko gościa.

– Sprawdzę. – Wadim zakończył rozmowę, podnosząc się z fotela.

Ogarnął jednym spojrzeniem garaż, który robił teraz za magazyn, po czym opuścił go wolnym krokiem. Nie wrócił jednak na górę. Przeszedł krótkim korytarzykiem do innego pomieszczenia na tym samym poziomie. Dostępu do niego broniły solidne, obite blachą drzwi. Wadim sięgnął do kieszeni po klucz. Nie miał tu dostępu nikt prócz niego i Maksyma.

Nieraz zachodził w głowę, po cholerę takie kazamaty były potrzebne politykowi, w dodatku pedałowi. Miał kilka podejrzeń, a każde mniej przyzwoite od poprzedniego. Sam też zastanawiał się, gdy zaczął tu bywać, co z nimi zrobić. Okazja nadarzyła się niedawno...

Za obitymi blachą drzwiami były następne, zaopatrzone w wizjer. Szmyt zbliżył do niego oko. Pomieszczenie, na które patrzył, było niewielkie i nie miało okna. Mrok rozpraszała żarówka w okratowanej lampie, umieszczonej na niskim suficie. Bezpośrednio pod lampą stało krzesło. Na krześle siedział człowiek. Nagi. Jego ręce i nogi były przywiązane do krzesła przy pomocy szerokiej, plastikowej

taśmy. Na głowie, którą teraz zwiesił, więc wydawało się, że śpi, miał czarny worek. Obok stał stojak i blaszane wiadro.

Usłyszawszy szmer, więzień poruszył się. Podniósł głowę.

– Jest tu kto? – spod worka dobiegł stłumiony głos.

Wadim Szmyt przełknął ślinę.

– To ty, Jacek? – zapytał znów więzień.

Minęło kilka dni od chwili, gdy się tu znaleźli, pozbawieni przytomności, a przy okazji także dokumentów, pieniędzy i kluczy. Byli to włamywacze, na których Szmyt natknął się pod cmentarzem. Nie docenili go. Nie wiedzieli, że ma przy sobie broń i że jej użyje. Był to co prawda tylko pistolet gazowy, ale wystarczył, by ich skutecznie unieszkodliwić. Przynajmniej na chwilę, potrzebną do ich skrzepowania i wrzucenia do bagażnika. W tych czynnościach pomógł szefowi Maksym, który z cmentarza wrócił chwilę później.

Z dokumentów Szmyt dowiedział się, że jeden miał na imię Radek, drugi Jacek. Mieli po dwadzieścia jeden lat i mieszkali w jednej z podstołecznych miejscowości, więc akcja pod cmentarzem była częścią ich gościnnych występów. Nikt ze znajomych Wadima o nich nie słyszał.

Postanowił, że zagoszczą u niego jakiś czas. Kazał też zadzwonić do ich domów i zbadać, jakie są szanse na uzyskanie dobrej ceny. Na razie nic się nie działo, ale Wadim był dobrej myśli. W razie czego planował przekonać niedowiarków w sposób znany na całym świecie, mianowicie przesłaniem po jednym palcu każdego z więźniów. Mogli wybrać, którym.

Radek i Jacek załatwiali się do wiader ustawionych pod krzesłami, które miały w siedzeniach wycięte dziury. Jeśli zaś chodzi o jedzenie, raz dziennie Maksym zawieszał na oddalonym o kilka kroków stojaku butelkę z jakimś specyfikiem, który spływał do żył więźniów przez rurkę i wenflon. Gdy robił to za pierwszym razem, jeden z drugim próbowali się szarpać. Maksym użył wtedy argumentu w postaci kija do baseballa, więc przy następnym karmieniu i każdym kolejnym był już spokój.

– Co z nimi? – Wadim usłyszał za plecami głos, który zawsze go uspokajał.

– Rodziny nie chcą płacić.

– Jeszcze poczekajmy – odparł.

– Długo? – chciał wiedzieć Maksym.

– Kilka dni. Jestem pewien, że w końcu skruszeją.

– Oni czy ich starzy?

Wadim tylko się uśmiechnął. Ruszył z powrotem korytarzem, po schodach wspiał się na parter. Tutaj czekał już na niego umówiony telefonicznie gość.

– Jest pan bardzo szybki – rzucił na powitanie.

– Ładna okolica – ocenił mężczyzna.

– Ujdzie. Zapraszam.

Przeszli do salonu. Wciąż jeszcze czuć tam było dym z cygara, które kopcił wczoraj wieczorem poprzedni gość. Wadim Szmyt nie przepadał za tym zapachem, ale nie oponował. Tego wymagała gościnność.

– Drinka? – zapytał.

– Nie, dziękuję – odparł przybysz. – Nie piję przed trzynastą.

Usiedli.

– Skoro mnie pan wezwał, domyślam się, że sprawa znów jest aktualna – powiedział przybysz, o którym Wadim wiedział, że nigdy nie narzeka na nadmiar wolnego czasu, nie używa samochodu, tylko porusza się komunikacją miejską, ba! nawet za to płaci.

– Zgadza się. Wracamy do sprawy. Zaszły nowe okoliczności, a jednocześnie czas nas nagli. Mam pewien pomysł, ale najpierw muszę o coś zapytać.

– Słucham?

– Chciałbym wiedzieć, czy ma pan kontakty w policji?

– Myślę, że bez nich już by mnie nie było.

– To dobrze. A w Żandarmerii Wojskowej?

– Zdziwiał mnie pan, panie Szmyt...

– Czasami sam siebie zdziwiam. To jak?

* * *

Kilka uderzeń w głowę, które zadano mu chwilę po tym, jak furgonetka ruszyła z miejsca, miały utwierdzić napastników w przekonaniu, że ich ofiara straciła przytomność. Ale tak się nie stało. Piotr Duch znieruchomiał, udając tylko nieprzytomnego. Musiał poddać się sile bezwładu, gdy pojazd skręcał lub gwałtownie hamował. Gdyby więc chcieli się przekonać, jak jest naprawdę, musieliby zerwać mu z głowy ten pieprzony worek. Albo... połaskotać.

Przez cały czas nasłuchiwał. Miał nadzieję, że kilka słów, które zamienią ze sobą porywacze, pozwoli mu zorientować się, z kim ma do czynienia tym razem. Ale nikt nie rozmawiał. Być może napastnik został sam z napadniętym, więc siłą rzeczy gadać nie było z kim. Zamiast słów Piotr słyszał warkot silnika.

Bał się, bez dwóch zdań, ale najgorsza była niepewność. Gdyby wiedział, że celem podróży jest komenda policji, z pewnością byłby spokojniejszy. Albo od razu więzienie w P. lub jakiegokolwiek inne. Starał się zatrzymać pędzące w głowie myśli: na przykład licząc, ile razy furgonetka zatrzymywała się, prawdopodobnie na skrzyżowaniach albo w korkach przed nimi. Szybko jednak zrezygnował i z tego...

Inne zmysły? W ustach wciąż czuł smak kawy, którą zdążył wypić w mieszkaniu Nowaka, podczas gdy ludzie w prokuratury zbierali dowody. Czy coś znaleźli, tego nie wiedział, zresztą nic go to nie obchodziło. Od chwili, gdy

runął na podłogę furgonetki, nie czuł żadnego zapachu. Zdążył już nawet pogodzić się w myślą, że znów stracił węch.

Jednak w pewnym momencie zmysł powrócił. Piotr poczuł zapach, intensywny i znajomy. Worek, który miał na twarzy, był nim przesiąknięty...

Skąd go mogę znać? – zastanawiał się.

Ledwo zadał sobie to pytanie, samochód zatrzymał się. Zaczęli trzaskać drzwiami.

– Mam nadzieję, że nie kipnął – odezwał się jakiś głos.

Odpowiedział mu inny głos, ale Piotr nie zrozumiał. Może było to tylko chrząknięcie, półsłówko, którym ten drugi uspokoił pierwszego, że nic takiego nie ma prawa się zdarzyć. Równie dobrze jednak mogło to być potwierdzenie obawy...

– *Lā* – powtórzył ten drugi głos.

Piotr zeszywniał, jakby cios, który mu zadano, okazał się rzeczywiście zbyt silny. Słowo było jak ten zapach. Porwany zdawał sobie sprawę, że za chwilę go wyciągną, zedrą z głowy worek, więc dalsze udawanie nie będzie miało sensu. Z drugiej strony miał przecież wolne, póki co, ręce i nogi, z których mógł zrobić użytek.

Jednak nikt po niego nie sięgał. Miał wrażenie, że tamci stoją w otwartych drzwiach i patrzą na niego. Albo już celują...

– Zabierajcie go – powiedział ktoś wreszcie.

Dalej wszystko potoczyło się błyskawicznie. Wywlekli go z samochodu i postawili na ziemię, jakby byli pewni, że nie upadnie. Potem ktoś zerwał mu z głowy ten worek, którego zapach obudził w nim niejasne wspomnienie.

Oto stał na środku jakiegoś pomieszczenia, które kiedyś mogło być fabryką albo magazynem. Patrzył przed siebie, dokładnie w twarz człowieka z długą czarną brodą, która okalała twarz o oliwkowej cerze. Człowiek ten z ogromną prędkością wyrzucił z siebie kilkanaście słów. Mówił, ale wyraz jego twarzy nie zmieniał się.

Ledwo skończył, Piotr usłyszał głos za plecami. Tym razem była to polszczyzna.

– Od tej chwili jesteś więźniem organizacji „Nowy Front Dżihad”. Wszelkie oznaki nieposłuszeństwa będą karane chłostą.

Po czym ponownie narzucili mu na głowę worek. Tym razem jednak Piotr Duch przypomniał sobie, czym tak intensywnie pachniał. To były jakieś orientalne przyprawy. I spalony sezam.

* * *

Samolot transportowy CASA C-295 trząśł niemiłosiernie. To jednak nie przeszkadzało jego pasażerom w drzemce. Przyzwyczajeni do niewygód, znieczulali się, by następnie zapaść w sen. Innej możliwości transportu do kraju jak na razie nie wymyślono. Luk pasażerski rozbrzmiewał chrapaniem, które

w połączeniu z pomrukiem silników tworzyło niepowtarzalną melodię.

Tylko jedna osoba na pokładzie, wyłączając rzecz jasną załogę transportowca, nie spała. Był to telewizyjny reporter, Daniel Stefański. Właśnie po kilku miesiącach pracy wracał do kraju. A nie spał dlatego, że myślał. Od kilku dni tylko o jednym: czy to, co tamtego dnia powiedział mu Scott, brytyjski reporter, miało coś wspólnego z tym, co usłyszał sam Daniel, podsłuchując rozmowę w toalecie między dwoma Polakami? Nie rozmawiał o tym z kolegami z ekipy telewizyjnej, choć wiele razy go korciło.

Na chwilę przed odlotem na płytę lotniska wjechała ciężarówka, z której wyładowano kilka sporych rozmiarów skrzyń.

Dobrze, że to nie pełne trumny – pomyślał wtedy Stefański, ale mimo to lodowaty dreszcz zdążył przebiec mu po plecach.

– Nie śpi pan?

Daniel ocknął się z letargu.

Musiałem przysnąć z otwartymi oczami. Inaczej nikt by mnie nie zaczepił – zinterpretował w myślach.

– Czujności nigdy nie za wiele. Zawsze to powtarzam swoim żołnierzom – skomentował stojący nad nim człowiek w piaskowej panterce.

Reporter skinął głową. Momentalnie zrobiło mu się gorąco.

– Niech pan spróbuje zasnąć. Lądujemy dopiero za kilka godzin – powiedział oficer.

– Tak jest – odpowiedział ten bezwiednie.

Ciężkie buciory zabębniły na podłodze, a może to tylko serce Daniela Stefańskiego tak biło. Trzaśnięcie zamykanych drzwi.

Poznał go od razu! Oczywiście, że poznał ten głos. To był jeden z tych dwóch, których rozmowę podsłuchał. A jeżeli tamten tu jest, to... Nie, to jakieś szaleństwo. Przecież nie wstanie teraz, w środku nocy, i nie zacznie szukać po samolocie nie wiadomo czego! I to akurat w tym, a nie tamtym, który odleciał do kraju przedwczoraj. Albo tym, który odleci za trzy dni.

Światelko pod sufitem zaczęło przygasać. Daniel wtulił się w koc, przymknął oczy. Czuł się jak ktoś, kogo porwano, zamknięto w ciemnicy, ale kto w pewnym momencie zauważył klucz tkwiący w drzwiach wyjściowych, pozostawiony przez zapomnienie.

W pewnym momencie światło zgasło zupełnie. Stefański zrzucił z siebie koc, wstał z ławki i podszedł do drzwi. Nacisnął klamkę.

Jakby się ktoś pytał, to zabłądziłem w poszukiwaniu kibla – postanowił w duchu, co dodało mu nieco odwagi.

Znał układ samolotu, miał bowiem w zwyczaju zapoznawać się pobieżnie z konstrukcją każdej maszyny, do jakiej wsiadał. Stare, trochę dziennikarskie, a trochę chłopięce przyzwyczajenie. Wiedział zatem, jaki jest pułap samolotu, jego

osiągi i waga. Z drugiej strony CASA C-295 to nie był prom kosmiczny, więc raczej trudno było tu zabłądzić.

Delikatnie zamknął za sobą drzwi, rozejrzał się. Nikogo. Skręcił w lewo. Wąski korytarzyk doprowadził go do kolejnych drzwi. Tutaj powinien znajdować się luk bagażowy.

Zajrzę tylko do pierwszej z brzegu skrzyni, nic więcej – obiecał sobie.

* * *

Zabrali mu krawat, pasek i sznurówki, jak każdemu aresztantowi, i wrzucili do niskiego i ciasnego pomieszczenia. Jego ściany były niedbale pobielone wapnem, na jednej świeciła się goła żarówka. Drzwi, które zamknięto za Piotrem, były zbite z nieheblowanych desek. Jak w piwnicy. Szczeliny między kawałkami drewna były szersze niż one same, ale wypełniała je ciemność.

Usiadł na grubej gąbce, którą ułożono na dwóch drewnianych paletach. Obok znajdowała się taka sama, prowizoryczna prycza. To wszystko.

– Gdzie ja jestem, co cholery?

Dopiero teraz zaczął odczuwać ból po uderzeniach, które miały pozbawić go przytomności. Bardzo dokuczało mu pragnienie.

Naraz zza drzwi dobiegły jakieś głosy. Był to znów język arabski, ktoś wyrzucał z siebie słowa szybko i gniewnie. Po chwili coś gwałtownie naparło na deski drzwi.

– Co ze mną zrobicie?! – krzyknął ktoś po polsku.

Drzwi otworzyły się i do pomieszczenia został wepchnięty jakiś mężczyzna. Pewnie marny byłby jego los, gdyby nie trafił precyzyjnie na gąbkę wolnej pryczy, która zamortyzowała upadek. Drzwi zostały ponownie zamknięte. Zgaszono światło.

– Boże... Boże... Co oni chcą ze mną zrobić! – leżący wcisnął twarz w gąbkę i zacząć płakać.

Piotr zdążył zauważyć, że był to młody człowiek. I że miał długie włosy, być może dredy. Ubrany był we flanelową koszulę w czarno-czerwonej kratę i sprane dżinsy. Chyba był bosy. Łkał jeszcze przez chwilę, po czym ucichł. I jak jeszcze przed momentem wierzgał, tak teraz znieruchomiał.

Nagle Piotr, bardziej niż wody, zapragnął odezwać się do leżącego obok człowieka.

– Proszę pana... – zaczął. Jego własny głos wydał mu się jednak zbyt słaby, odchrząknął więc; postanowił też zwrócić się do tamtego inaczej: – Słyszysz mnie?

Tamten poruszył się niespokojnie.

– Słyszę – odpowiedział.

– Długo tu jesteś?

– Od tygodnia.

Cisza. Teraz przerwał ją długowłosa. Jego głos wydał się Piotrowi zupełnie inny niż jeszcze przed chwilą: nie był już płaczący, nie łamał się i nie drżał.

– Zgarnęli cię do furgonetki?

– Tak. Ciebie też?

Ciężkie westchnięcie.

– Nie. Odpowiedziałem na ogłoszenie w gazecie – odparł długowłosa. – Przepraszam, nie przedstawiłem się jeszcze. Bartek jestem. Podaję ci rękę.

Ostatnie zdanie musiał powiedzieć, bowiem w celi było ciemno jak w grobie. Piotr opuścił stopy na ziemię, wyciągnął rękę przed siebie. Chwilę potrwało, nim odnaleźli się w mroku. W innych okolicznościach pewnie byłoby to zabawne, teraz nie.

Dłoń Bartka była wąska, niemal dziecięca. Piotr też się przedstawił. I poczuł się nieco pewniej.

– O jakie ogłoszenie chodziło? – zapytał.

– Chcieli zatrudnić informatyka, młodego, zaraz po studiach. Z ambicjami – wyliczał. – Każdy by się dał wziąć na taki lep. Nie mówiąc już o kimś, kto właśnie kończy naukę, a w tej samej chwili kończy ją kilkuset takich jak on. Zagraniczna firma, ludzie w dobrych garniturach. Nic nie wzbudzało podejrzeń. Obiecali, że się odezwą, ale nie spodziewałem się, że nastąpi to tak szybko. Wracalem do akademika, gdzie jeszcze mieszkam, kiedy mnie zgarnęli.

Tak jak mnie – pomyślał Duch.

– Z początku myślałem, że to żart kolegów. Ale koledzy nie użyliby gazu, żeby mnie uśpić. Ocknąłem się tutaj. Następnego dnia zabrali mnie, wsadzili worek na głowę i zaprowadzili w miejsce, gdzie stało kilka komputerów. Wszystkie podłączone do sieci. Tam zacząłem pracę...

– To znaczy?

– Miałem włamywać się na strony internetowe prezydenta, rządu, parlamentu, centralnych urzędów i najważniejszych stacji telewizyjnych w kraju. Na początek tylko na próbę. Poprzestawiać jakieś litery, zamienić zdjęcia.

– Jesteś hakerem?

Chłopak ciężko westchnął.

– Nie wiem skąd, ale o tym wiedzieli. W tamtym pomieszczeniu były też kamery, kilka mikrofonów, kabli. Jak w studiu telewizyjnym. Ale ode mnie chcieli tylko, żebym zajął się włamaniami na strony. Oczywiście przez cały czas pilnowali, żebym nie wysłał gdzieś maila ani nie napisał czegoś na portalu społecznościowym. Jakby to cokolwiek, kurwa, mogło zmienić...

– Jak myślisz, co oni tak naprawdę chcą zrobić? – zapytał Piotr po chwili.

– Nie wiem. Ale wiem, że są śmiertelnie poważni.

– Nie da się ukryć.

– Pewnie powiedzieli ci, że jesteś więźniem organizacji „Nowy Front

Dżihad”?

– „A wszelkie oznaki nieposłuszeństwa będą karane chłostą” – dokończył Piotr. – Teoretycznie powinienem wiedzieć, kim są i co o im chodzi. Byłem niedawno na Wschodzie.

– Naprawdę?

– Tak. Tylko nic nie pamiętam. Miałem wypadek. Nieważne...

Nastała cisza. Miarowy, głośniejszy niż wcześniej oddech Bartka kazał Piotrowi sądzić, że jego towarzysz zasnął.

* * *

CASA wylądowała kilka minut po drugiej w nocy. Mimo późnej pory, na mokrej od deszczu płycie lotniska znajdowało się sporo ludzi: mundurowi, cywile, kobiety i dzieci. Jakaś ekipa telewizyjna. Nie było tylko oficjeli, pora wszak nieludzka.

– Proszę państwa, znajdujemy się na lotnisku wojskowym – cedził do mikrofonu telewizyjny reporter – gdzie przed chwilą wylądował samolot, na pokładzie którego znajdują się nasi żołnierze...

Po czym reporter, a wraz z nim dwóch operatorów kamer, akustyk i ktoś jeszcze, zaczęli przemieszczać się w stronę kołującej jeszcze CASY. Zatrzymali się przy grupce ludzi.

– Trudno opisać słowami, co czują rodziny, które po wielu miesiącach rozłąki za chwilę zobaczą bliskich – sapał mężczyzna. – Jest z nami rodzina kaprała Jacka Nowaka z 20. Brygady Zmechanizowanej, który na misji przebywał od stycznia.

Światło z kamery ogarnęło kobietę i dwoje dzieci, nastoletniego chłopca i małą dziewczynkę. Wszyscy wyglądali na bardzo przejętych, jeżeli nie wystraszonych.

– Co państwo czują? – zapytał reporter, kierując mikrofon w stronę rodziny.

– Zimno – powiedziała dziewczynka.

Matka szarpnęła dzieckiem, chłopak roześmiał się.

– Oczywiście, to wielkie wzruszenie – odpowiedziała wreszcie pani Nowakowa. – Bardzo tęskniliśmy za mężem i cieszymy się, że zaraz się spotkamy.

– Czy jest pani dumna z męża? – brzmiało kolejne pytanie.

– Tak, oczywiście. Wszyscy jesteśmy bardzo dumni. Przecież walczyliśmy o...

Ostatnie słowa kobiety zagłuszył ryk silników. Po kilku chwilach otworzyły się włazy samolotu, zwarty dotąd tłumek rozsypał się i nie bacząc na przepisy porządkowe, ruszył szeroką ławą ku cielsku maszyny. Po głowach ludzi wodziło światło jednej z kamer, reporter coś mówił do drugiej, za tło mając wydarzenia rozgrywające się przy samolocie.

Daniel Stefański opuścił pokład jako jeden z ostatnich. Zatrzymał się na

krawędzi trapu i chwilę rozglądał, jakby miał nadzieję, że i po niego ktoś wyszedł. Była to jednak złudna nadzieja, bo przecież nikogo nie zdążył uprzedzić o powrocie. I, choć przyzwyczajony, poczuł smutek.

Szybko otrząsnął się jednak z odrętwienia, zarzucił plecak na ramię i podążył w stronę wyjścia. Nie oglądał się za siebie. Wiedział, że gdy tylko osoby postronne opuszczą płytę lotniska, zacznie się właściwy rozładunek. Także skrzyń. Skrzyń, których nie zdołał otworzyć.

– Łapię paranoję – zdiagnozował sam siebie.

Dotarł do budynku, gdzie trzeba było dokonać wszelkich formalności.

– Witamy w Polsce, panie redaktorze. – Paszport mlasnął o kamienny parapet okienka.

Stefański schował dokument i opuścił budynek. Stanąwszy pod ścianą, odprowadził wzrokiem rodziny żołnierzy, które wraz z bohaterami (co ważne: żywymi) zmierzały w stronę oczekującego na parkingu autokaru.

Może by mnie podwieźli? – pomyślał z nadzieją.

Był już w połowie drogi, gdy usłyszał za sobą kroki. Nie odwracał się jednak, pewny, że to któryś z żołnierzy lub ich rodzin, kto również ma zamiar wydostać się z lotniska. Obejrzał się dopiero wtedy, gdy ów osobnik jednym gwałtownym ruchem szarpnął za plecak, który Stefański niósł przewieszony nonszalancko przez ramię.

* * *

Ewa Ignaszak od samego rana była bez reszty pochłonięta pracą. Za kolejne sprawy, a tych kancelaria miała ostatnio coraz więcej, zabierała się z wielkim zapałem. Kiedy od siedzenia przed komputerem zaczynały ją boleć oczy i plecy, wstawała, starym zwyczajem podchodziła do okna i patrzyła na miasto.

– Tylko nie skacz – zaśmiał się jeden z jej kolegów z pracy, specjalista od prawa międzynarodowego. – Szkoda młodego życia.

– Nie wchodzi w grę – odpowiedziała z uśmiechem.

Mówiła prawdę. W ostatnich dniach w jej życiu zaszła istotna zmiana. A nawet kilka. Na lepsze. Przede wszystkim poprawił się stan zdrowia jej ojca. W rozmowach telefonicznych z matką wciąż był to temat główny, ale już o zupełnie innym zabarwieniu.

Po drugie, Ewa poznała fajnego chłopaka. Spotkali się w jednym z klubów, dokąd dała się zaciągnąć znajomym z pracy. Pracował w reklamie. Od razu nawiązała się między nimi nić porozumienia. Wymienili się wizytówkami, a on zadzwonił pierwszy, następnego dnia. I choć nie umówili się na kolejne spotkanie, była dobrej myśli.

Jakby tego było mało, właściciel mieszkania, które wynajmowała, obniżył jej czynsz. Gdy zapytała, dlaczego to robi, tylko machnął ręką. Ale nie ustępowała.

Nie pozwalała jej na to zawodowa wnikliwość. Nie wspominając już o tym, że po prostu wietrzyła jakiś podstęp. Przyciśnięty do muru, powiedział wreszcie, że to w ramach przeprosin za kłopoty, które sprawił.

Ewa odwróciła się od okna i wróciła do biurka. Usiadła, położyła palce na klawiaturze. Przez kilkanaście kolejnych minut pracowała w największym skupieniu. W takich momentach nikt ani nic nie było jej w stanie przeszkodzić.

– Ewa?

Stał za nią inny kolega, który zajmował się prawem karnym. W rękę trzymał jakąś teczkę.

– Nie chciałem cię przestraszyć, przepraszam – zmitygował się.

– Nic się nie stało. Co jest?

– Przeglądałem papiery sprzed kilku lat i natknąłem się na sprawę, którą się kiedyś zajmowaliśmy. Gdy zobaczyłem wtedy w klubie tego faceta, wiesz, o kogo mi chodzi?

– No. – Ewa poczuła, że się czerwieni.

– Kiedy go ujrzałem, miałem wrażenie, że skądś do znam. No i miałem rację.

– Stuknął w palec w bristol. – Chcesz obejrzeć? To była głośna sprawa. Zastanawiam się tylko, co ten człowiek robi na wolności...

* * *

Żarówka zapaliła się z trzaskiem. To wystarczyło, by Piotr się obudził. Natychmiast uniósł głowę i rozejrzał się po całej celi, jakby na zapas. Obok spał nieporuszony Bartek. Miał twarz dzieciaka i rzeczywiście nosił dredy, które w tej chwili doskonale sprawdzały się jako poduszka.

Otworzyły się drzwi i do środka wpadło kilku osobników w kominiarkach na twarzach.

– Wstawać! Szybko! – krzyknął jeden z nich po polsku, ale z wyraźną nutką, którą słyszało się we wciąż wyrastających jak grzyby po deszczu budach z kebabem.

Piotr upuścił stopy na podłogę. Bartek się opierał, więc musieli zwlec go z pryczy siłą. Potem ich wyprowadzili.

Czy to już koniec? – pomyślał z trwogą Piotr.

Nie szli daleko, choć nie był to łatwy spacer, bo wspinali się po schodach, by zaraz schodzić w dół. Piotr dwa razy potknął się o stopień. Tak dotarli do pomieszczenia, o którym wspominał haker. Na spiętrzonych paletach stało kilka komputerów, dwa były włączone.

– Do pracy. – Jeden z ludzi w kominiarkach wskazał Bartkowi koślawe krzeselko przed komputerem. – Wejdiesz dzisiaj na strony rządu.

Młody człowiek wzruszył ramionami niczym uczeń, które rodzice zapędzają do odrabiania lekcji. Ale zajął miejsce.

Potem herszt bandy przeniósł spojrzenie na Piotra. Czy był to ten sam, który „powitał” go zaraz po przyjeździe? Więzień widział teraz tylko oczy w owalu materiału. Mężczyzna rzucił kilka słów po arabsku, wykonał kilka gestów. Jednym z nich wskazał na Piotra, drugim na kamerę stojącą na statywie.

– *Go!* – Ktoś pchnął więźnia w plecy.

Staął przed kamerą. Zmrużył oczy od ostrego światła, które chwilę wcześniej włączono. Jeden z tamtych poprawił mu kołnierzyk koszuli i zapiął guzik marynarki. Następnie przekręcił mu głowę nieco w lewo. Mężczyźni ci (twarze ukrywali, ale prawdopodobnie nie było pośród nich żadnej kobiety), porozumiewali się półsłówkami, których mógłby nie zrozumieć nawet specjalista.

Któryś z nich stanął za kamerą. Zapaliła się czerwona lampka w jej przedniej części. Piotr przez dobrą minutę spoglądał nieruchomo w szklane oko. Następnie operator przekręcił kamerę, snop światła padł na dowódcę, który zaczął coś wykrzykiwać i gestykulować. Uniósł czarny kawałek materiału z arabskimi napisami, transparent albo flagę, którą przez chwilę potrząsał.

Wtedy Piotr nie wytrzymał.

– Czego od nas chcecie!? – krzyknął, zeskoczywszy z podwyższenia.

W mgnieniu oka dopadło go dwóch, przewróciło i przyduśiło do ziemi. Było jasne, że swoim krzykiem zepsuł cały materiał. Już przypadł do niego trzeci i kopnął w żebra. Piotr jęknął z bólu.

Ale to jeszcze nie było najgorsze. W pewnej chwili jeden z nich zadarł mu lewy mankiet i zaczął wykrzykiwać, wskazując palcem na zegarek. Czyżby dopiero teraz go zauważyli? Zaraz pochylił się nad nim ten, który go kopnął. Chwilę później podniósł wysoko rękę, coś w niej błysnęło...

– Dosyć! – krzyknął nagle ktoś po polsku.

Był to prawdopodobnie ten sam głos, który tłumaczył porwanemu słowa przywódcy grupy. Piotr, mimo że wciąż go trzymali, podniósł głowę. Ujrzał wiszący nad jego ręką kindżał.

– Puście go. – Z mroku wyłoniła się jakaś postać.

Ten, który wykrzykiwał i potrząsał flagą albo transparentem, znów zabalgotał niczym indyk, wyrzucając z siebie kilkanaście albo nawet kilkadziesiąt słów, z czego żadne na pewno nie było słowem przyjaznym. Który z nich miał tu większy posłuch? Dowódca czy ktoś, kto prawdopodobnie był jedynie tłumaczem?

Po chwili Piotr stanął z powrotem na nogach, a tłumacz zbliżył się do niego. Więzień mógł go zobaczyć. Był to długowłosa mężczyzna przed trzydziestką, na szyi miał sporych rozmiarów słuchawki. Jego twarz niczym szczególnym się nie wyróżniała, ot, zwyczajny facet, których setki mija się codziennie na ulicy. Piotr Duch nie mógł jednak oprzeć się wrażeniu, że już go gdzieś widział. I to niedawno.

– Czego... czego ode mnie chcecie? – wydyszał.

– Już mówiłem, jesteś więźniem organizacji „Nowy Front Dżihad” – odparł

tamten.

– To absurd.

– Nie. To nie jest absurd. To nasza wojna.

– Nasza?

– Tak. Ja też jestem członkiem tej organizacji. A ty jesteś naszym więźniem, jednym z pierwszych, którego zatrzymaliśmy w Polsce. Sytuacja wymaga od nas rozszerzenia pola działań. Moi towarzysze długo się do tego przygotowywali, cel też nie był przypadkowy. Pracownik państwowej instytucji, przez wielu ludzi z wiadomych powodów znienawidzonej. Garnitur za dwie pensje pielęgniarki.

Wzięli mnie za Nowaka – uświadomił sobie Piotr.

– Nie jest tak drogi – bąknął z głupia frant.

– Być może. Ale zegarek tak.

– To nie jest zwyczajny zegarek.

– Czyli jednak ma GPS i moi ludzie nie pomylili się, chcąc odrąbać ci dłoń?

Piotr westchnął.

– To tylko stoper – powiedział cicho. – Nie ma tam żadnego GPS.

– Cieszę się, że to wyjaśniliśmy. Tak czy inaczej podejrzewam, że reakcje na to, co zaplanowaliśmy, będą skrajnie różne...

– A co zaplanowaliście, chorzy ludzie? Jakiś nowy zamach? Wybuch?! – Piotr pogrążał się z każdym słowem, zamiast próbować wyjaśnić oczywistą pomyłkę.

– Ścięcie ci głowy – odparł ze spokojem mężczyzna. – Stanie się to jutro. Oczywiście przed kamerami.

* * *

Osiedlowy sklep spożywczy oferował przekąski na ciepło i gorące napoje. Choć człowiek pracujący dla Wadima Szymta zawsze starał się być ostrożny, a w jego przypadku polegało to między innymi na nierzucaniu się w oczy, od razu skorzystał z tej możliwości. Kręcił się po osiedlu już od godziny, to i zgłodniał. Zresztą stąd też dobrze widział blok i okna mieszkania na drugim piętrze. Wciąż były ciemne.

Wreszcie się doczekał. Kończył właśnie hot-doga, gdy przed klatką schodową pojawiła się kobieta z dwójką dzieci, chłopcem i wyższą od niego dziewczynką. Zniknęli za drzwiami. Mężczyzna wytarł dłonie o drelichowe spodnie. Sięgnął po stojącą na podłodze dużą kanciastą torbę na pasku, jakiej używają specjaliści zajmujący się domowymi usterkami. Zarzucił ją na ramię, jeszcze raz spojrzął w okna na drugim piętrze. W jednym z nich właśnie zapalono światło.

– Dziękujemy i zapraszamy ponownie – rzuciła za nim ekspedientka.

Wyszedłszy ze sklepu, poprawił czapkę z daszkiem, by ten jeszcze

bardziej oceniał mu oczy. Docisnął przyklejone wąsy. Wreszcie podążył w stronę drzwi klatki schodowej. Tam rozejrzał się, nacisnął klawisz domofonu. Po chwili w głośniczku odezwał się dziecięcy głos.

– Słucham?

– Dzień dobry, hydraulik – powiedział.

Chwila napięcia. Wreszcie ciche bzyczenie elektromagnesu.

– Jeszcze ja, jeszcze ja! – usłyszał za sobą głos.

Kobieta z siatkami wyładowanymi zakupami dreptała po chodniku. Pociągnął za klamkę i otworzył szerzej drzwi.

– Proszę. – Mimowolnie uśmiechnął się, co spowodowało, że lewa część jego sztucznych wąsów znów odkleiła się od skóry.

Poza tym wszystko szło zgodnie z planem. Odczekał chwilę i sam wśliznął się do środka.

* * *

Lista rzeczy, a konkretnie dobrodziejstw zachodniej cywilizacji, za którymi Daniel Stefański tęsknił, była krótka. Pierwsze miejsce zajmowała na niej klimatyzacja. Pewnie dlatego, że ta w samochodach, którymi na co dzień poruszała się ekipa telewizyjna, jak i w hotelu, gdzie mieszkała, często się psuły. Gdyby wszystko zliczyć skrupulatnie, częściej nie działały, niż działały.

Daniel siedział w hallu redakcji jednego z największych dzienników. Miał przymknięte oczy. Chłonał życiodajny chłód wszystkimi porami skóry. Pewnie szybko zapomni o tamtych miesiącach, tak jak zapomina się o szczególnie upalnym lecie lub wyjątkowo mroźnej zimie.

Koło niego przechodzili ludzie, mruzczały faksy, drukarki, dzwoniły telefony. On jednak zdawał się być obok tego wszystkiego niczym aktor w reklamie, stojący na środku jakiegoś placu lub hali dworca kolejowego; człowiek osobny, wokół którego świat pędzi dokądś na przyspieszonych obrotach. Szklana ściana, oddzielająca aktora od świata, jest jednak bardzo cienka i w każdej chwili może rozprysnąć się na tysiące kryształków.

Jest jeszcze czas, żeby wstać i wyjść – pomyślał.

Jeśli teraz podniesie się z miejsca, podejdzie do drzwi windy, nic się nie stanie. Pojedzie na dworzec, kupi bilet, wsiądzie w pociąg do domu. I może za kilka tygodni albo miesięcy zapomni o wszystkim. O plecaku, który wyrwano mu na wojskowym lotnisku. Zaraz wrócił do budynku, w którym kilka chwil wcześniej dokonano odprawy paszportowej, by zgłosić incydent. Nie zdążył jeszcze skończyć, gdy do środka wszedł żołnierz z... plecakiem Daniela w rękę. Powiedział, że znalazł go na środku drogi.

Dziennikarz od razu sprawdził, czy nic nie zginęło. Nie miał wielu rzeczy, więc szybko stwierdził, że nie. Wrócił do mieszkania, które wynajmował, zrzucił

buty i runął na łóżko. Spał jak zabity prawie do południa. Potem wyskoczył kupić coś do jedzenia, a gdy wrócił, zajął się wypakowywaniem plecaka.

Wtedy na jego dnie natknął się na coś dziwnego. Coś, co nie należało do niego...

– Pan Stefański?

– Tak – odpowiedział Daniel, podnosząc wzrok.

Ujrzał przed sobą mężczyznę, trzymającego w jednej ręce kubeczek z wodą, w drugiej komórkę. Człowiek ten przedstawił się i jakimś cudem wyciągnął rękę do powitania.

– Zastępuję w tym tygodniu sekretarza działu krajowego – powiedział. – Podobno ma pan coś dla nas?

Stało się – pomyślał Daniel.

Po chwili zmierzali już w stronę *newsroomu*.

* * *

Piotr nie spał całą noc. Niezliczoną ilość razy przewracał się z boku na bok, pocił się jak mysz. Raz było mu zimno, za chwilę miał wrażenie, że zaczyna się gotować. Tracił świadomość, by za minutę ją odzyskać. Chciał z kimś mówić, obojętnie o czym, byle tylko zniszczyć tę ciszę, która dusiła go do spółki z ciemnością. Ale jego współtowarzysz niedoli, Bartek, nie wrócił do celi.

Wciąż brzmiały mu w uszach słowa wypowiedziane przez tamtego człowieka, którego twarz wydawała mu się skądś znajoma. Że obetną Piotrowi głowę, wszystko nagrają, by następnie udostępnić film w sieci. Dla potwierdzenia, że to nie żarty, chwilę później puścili mu kilka takich zarejestrowanych egzekucji. Każdą poprzedzało żarliwe przemówienie, które wygłaszał kat. A potem głowa skazańca lądowała w kałuży krwi, obok podrygującego jeszcze przez chwilę ciała.

Egzekucje odbywały się w różnych krajach Azji i Afryki. Teraz przyszedł czas na Europę. Duch miał być pierwszy. Tak powiedziano. Była to jednak marna pociecha.

– Boże... Boże... Boże... – charczał miarowo, zgrzytając zębami.

To nasunęło mu myśl, że może powinien się pomodlić. Usiłował przypomnieć sobie słowa jakiegokolwiek modlitwy, ale nie potrafił. Na słóweczko od suflera, a takim mógł być przecież każdy, może poza tymi typami w kominiarkach na twarzach, nie mógł liczyć.

Leżąc w zamknięciu, na pryczy z gąbki i kilku palet, stracił zupełnie poczucie czasu. Nie miał pojęcia, ile go minęło, a tym bardziej, ile jeszcze go zostało. Drzwi prowizorycznej celi mogły się otworzyć w każdej chwili... Przed oczami jego wyobraźni jeszcze raz przetoczyły się wszystkie miejsca, w których był od chwili wyjścia z więzienia, i twarze ludzi, których poznał. Tych, którzy jeszcze żyli, jak i tych, którzy umarli. On za chwilę miał dołączyć do tych drugich.

Czy spotka ich po drugiej stronie? Pileckiego? Trzech Króli? Nawet nie wiedział, czy jest wierzący. Z tego, co opowiadał jego niegdysiejszy podwładny, nieczęsto bywał w kaplicy...

Gdy tylko usłyszał głosy za drzwiami, wstał z pryczy. Stał obok. Wyprostował się, zapiał guzik nie swojej marynarki, która teraz miała się stać jego śmiertelną koszulą. Chyba że za chwilę każą mu włożyć na siebie pomarańczowy kombinezon, bo takie mieli na sobie wszyscy mordowani. Nie da po sobie znać, że się boi. Może właśnie na to czekają, to chcą osiągnąć.

Drzwi się otworzyły. Dwóch zamaskowanych jak poprzednio osobników weszło do środka, dwóch zostało na zewnątrz. Jeden z awangardy pokazał ruchem głowy, że aresztant ma wyjść. Ten jednak ani drgnął.

– *Go!* – Terrorysta szarpnął go za ramię.

I od razu tego pożałował. Precyzyjny cios w skroń spowodował, że runął na ścianę. Piotrowi udało się zaskoczyć także drugiego: z całej siły kopnął bandytę między nogi. Tamten zgiął się w pół, ale tylko na chwilę, bo postawił go do pionu, a następnie wygiął w stronę przeciwną cios kolanem w szczękę.

Ci, którzy czekali na zewnątrz, patrzyli na to jak na film lub przedstawienie. Dopiero gdy obaj ich kamraci leżeli na ziemi, rzucili się na więźnia. A Duch ruszył im naprzeciw, dzięki czemu ciosy miały zyskać dodatkowy impet. Od przeciwników dzieliły go dwa metry, może mniej, gdy jeden z nich wyciągnął przed siebie rękę z jakimś niewielkim przedmiotem.

Gaz wyprysnął prosto w twarz więźnia. Piotr krzyknął i zakrył oczy. Tamci powalili go na ziemię, po czym jeden zaaplikował mu kilka kopniaków w żebra, wykrzykując. Szybko podnieśli go z podłogi, związali ręce na plecach i powlekli na miejsce kaźni. Worka na głowę nie trzeba już było zakładać. Przecież oglądał to miejsce po raz ostatni...

Wszystko już przygotowano. Dzięki zapalonym światłom, w studiu było jasno jak w dzień. Za kamerą stał jeden z terrorystów, przy komputerach Bartek, a na podwyższeniu – długowłosa mężczyzna, Polak. W rękach trzymał wielki nóż, a może maczetę...

Ujrawszy go, mimo łzawiących po gazie oczu, Piotr zaczął się szarpać. Jednak udało mu się tylko wyrwać z uścisku jednego z terrorystów i to na krótko.

– Nie jestem tym, za kogo mnie bierzecie! – krzyknął.

Kat przełożył narzędzie przyszej zbrodni z lewej ręki do prawej. Zastukały klawisze komputera pod palcami Bartka. Więzień trafił na szafot. Któryś wykręcił mu ręce do tyłu, zaczął wiązać, ale kat powiedział, żeby tego nie robił.

Wtedy Piotr nagle przypomniał sobie, skąd go zna.

– Dlaczego jesteś po ich stronie? – zapytał, podnosząc głowę.

– Żeby pokazać, że inny świat jest możliwy – odparł tamten.

– Ale to nie jest twój świat! Czym cię omamili?

Kat nie odpowiedział.

– Powtarzam, nie jestem tym, za kogo mnie bierzecie! – krzyknął Piotr. – Byłem tylko w jego mieszkaniu, pożyczyłem garnitur...

Któryś z zamaskowanych mężczyzn zabulgotał. Kat odpowiedział. Prawdopodobnie cudzoziemcy domagali się tłumaczenia dialogu. Równie dobrze jednak mogli zameldować, że wszystko jest już gotowe. I krzyknąć: kamera, akcja!

– Znam cię. – Duch ściszył głos. – Pracujesz albo pracowałeś w sklepie zoologicznym na peryferiach. Kilka tygodni temu kupowaliśmy u ciebie klatki. Przypominasz sobie?

Przez twarz tamtego przebiegł krótki skurcz.

– Nie bierz tego do siebie – powiedział. – Tu chodzi o coś więcej. O życie bez wartości, bez najmniejszego sensu. Kościół kłamie, zawsze kłamał, od tysięcy lat, a ludzie w tym kraju byli głusi, ślepi, a przede wszystkim głupi. Gdy poznałem tych – ogarnął wzrokiem stojących w łuku kamratów, śniadych i czarnookich – wszystko się zmieniło. Oni wytłumaczyli mi, jak można żyć prawdziwie. U nich wszystko jest proste, wszystko ma swoje miejsce...

– Omamili cię! – nie wytrzymał Piotr. – Dopięło ci życie, nasza rzeczywistość. Ona nikogo nie oszczędza. Ale to nie znaczy, że masz prawo...

– Milcz! – przerwał mu, po czym zawołał do pozostałych w ich języku.

Światło stało się mocniejsze, zapaliła się czerwona dioda w kamerze. Terrorysty zaczęli kolejno zdejmować z głów kominiarki. Siedzący nad klawiaturą Bartek z dredami przeżegnał się bardzo powoli.

– Klękaj – rzucił długowłosa do Piotra. – Plecami do mnie. Ręce do tyłu.

Więzień wykonał polecenie. Zmrużył oczy od światła. Fanatyk zaczął coś gardłowo wykrzykiwać, wymachując nożem kilka centymetrów nad głową skazańca. Transmisja trwała.

Wtedy rozległ się huk, który spowodował, że Piotr przestał cokolwiek słyszeć. Widział tylko wbiegające do środka, zniekształcone przez swoje własne łzy postacie w zielonych kombinezonach i hełmach z goglami. I terrorystów podnoszących ręce do góry i poruszających ustami, choć z pewnością płynęły z nich zupełnie inne wołania niż jeszcze przed chwilą, przed egzekucją niewiernego, którą miał ujrzeć cały świat. Jeden z nich już leżał na podłodze, przyduszony do niej kolanem.

Piotr zaczął niezdarnie podnosić się z klęczek. W tej samej chwili ujrzał przed sobą wylot lufy.

– Na ziemię! – usłyszał, o dziwo, słowa, które dobiegły spod maski.

Podniósł ręce do góry, ugiął kolana. Czyjaś ręka szarpnęła go ku górze za kołnierz marynarki, by następnie zmienić wektor. Chwilę potem Piotr dotykał policzkiem miejsca, gdzie przed chwilą klęczał.

– Jestem Polakiem. Porwali mnie – tłumaczył. – Rozumiesz po polsku?

– Wiemy, kim jesteś – odpowiedział tamten. – Myślisz, że po kogo przyszliśmy?

Piotr Duch już się nie odezwał. Parę chwil później usłyszał nad sobą:

– Podnieście go.

Czyjeś ręce zrobiły to, jakby nic nie ważył. Stał przed nim porucznik żandarmerii.

– Kapitan Piotr Duch? – zapytał.

– Tak.

– Jest pan zatrzymany do dyspozycji prokuratora – rzekł oficer, a do podkomendnych rzucił krótko: – Zabrać!

Chwycili go niemal zupełnie tak samo jak przed chwilą terroryści, prowadzący go na ścięcie.

– On mówi prawdę! – zawołał Bartek, który także leżał na podłodze. – Obaj zostaliśmy porwani.

Ale żandarm puścił to mimo uszu. Wtedy z drugiej strony odezwał się nowy głos:

– Zostawcie go. Kapitan jest niewinny.

Piotr podniósł głowę. Bogdan Karcz kuśtykał w ich stronę, wymachując jakimś papierem.

– Wszystko wyjaśniliśmy, tutaj jest decyzja prokuratora. – Wręczył papier żandarmowi. – Chorąży Jan Pilecki zostawił list pożegnalny, który dopiero salowa znalazła pod materacem. Kapelan gdzieś zniknął, zapewne dlatego, że szuka go policja pod zarzutem molestowania seksualnego nieletnich. Matka jednego z nich, pewnie wbrew reszcie parafian na osiedlu, zdecydowała się przerwać milczenie.

Porucznik Łopuch przebiegł wzrokiem po dokumencie, a Karcz ciągnął:

– Współlokatorzy Ducha przyznali się do podrzucenia mu narkotyków. To oni zajmowali się handlem, zresztą nie tylko na terenie sanatorium. Jak widzę, zdążyliście w ostatniej chwili. – Rozejrzał się po hali, a potem spojrzał na żandarma. – Ciesz się, poruczniku, i z tej zdobyczy. To, jak widać, poważna sprawa. Przerwaliście ciekawy program.

Żandarm starannie złożył dokument.

– I pomyśleć, że już pewnie nie miałbyś głowy – Karcz przeniósł wzrok na Piotra, któremu w końcu rozwiązano ręce – gdybyś nie pomylił w magazynie pasków od portek.

– Nie rozumiem.

– Ten ma zamontowany w sprzączce GPS. Już kilka razy się przydał. Dobrze, że właściciel w porę się zorientował...

– ... a ja założyłem go do nowych spodni – dokończył Piotr Duch.

Rozdział czwarty

Dobra, to teraz do ministra. – Bogdan Karcz trzasnął tylnymi drzwiczkami limuzyny. – Mamy jeszcze sporo czasu, ale lepiej być wcześniej. Nie bój się. Tam już nie będą ci robić makijażu – dodał z udawaną powagą.

Nic nie odpowiedział. Odruchowo, po raz nie wiadomo który, sięgnął ręką do czoła i potarł je palcami. Puder, który nałożono mu na chwilę przed występem na wizji, wydawał dziwne, niezbyt przyjemne skrzypienie.

Piotr Duch, prócz bosmanki, miał na sobie nowy szary garnitur i błękitną koszulę z krawatem w paski. Wszystko to Karcz przyniósł do resortowego szpitala, dokąd przewieźli odbitego zakładnika i gdzie spędził noc. Takie były podobno procedury, choć na miejscu jakoś nikt nie zaprzętał sobie nim głowy. Zmierzyli mu temperaturę, nakarmili. Rano przyjechał pułkownik. Piotr ucieszył się na jego widok chyba bardziej niż wtedy, gdy żandarmi celowali mu w głowę.

Spoglądał na przesuwający się za szybą krajobraz. Byłoby szaro i przygnębiająco, jak to w listopadzie, gdyby nie biel i czerwień flag. Nazajutrz przypadało narodowe Święto Niepodległości. Tu i ówdzie można było zauważyć pierwsze dekoracje bożonarodzeniowe.

– Patrz, już jedenasty – westchnął Karcz. – A jeszcze przed chwilą było Wszystkich Świętych. Czas tak zapierdala, że nie oplaca się choinki rozbierać.

Wspomnienie świątecznego drzewka spowodowało, że Piotr poczuł w sercu nagły uścisk.

– Ale nic, cieszymy się! – Bogdan zatarł z zadowoleniem dłoń. – Jestem ciekaw, czy któryś z chłopaków dostanie jutro gwiazdkę.

– Za zniszczoną wioskę?

Stary spojrzął z ukosa na Ducha.

– Jaką wioskę, do kurwy nędzy?

– Na pustyni, ale nie pytaj mnie o nazwę. Nieważne.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Pilecki zdążył mi wszystko opowiedzieć.

– Chorąży Pilecki miał urojenia. Leczył się od kilku miesięcy. Jak to się skończyło, sam widziałeś. Na razie o tym nie myśl. Teraz ważne jest to, że wczoraj odbiliśmy cię z rąk terrorystów.

– Przypadkiem – zauważył Duch, spoglądając krzywo na Karcza.

– Ważny jest efekt końcowy. I to, co możemy dzięki temu teraz ugrać.

– Na przykład?

– Nie stoisz już pół roku w kolejce do lekarza specjalisty, renty też trochę

podnieśli, działa sanatorium. Człowiek nie czuje się jak parias. Ale to wciąż za mało, czego najlepszym przykładem jest Pilecki.

– A ja?

– Co ty?

– Też chciałbym wreszcie żyć jak człowiek. Do sanatorium nie wrócę, nie ma bata. Chcę do domu, do rodziny. Włożyć kapcie, usiąść w fotelu, włączyć telewizor i obejrzeć jakąś bzdurę. Ostatnio oglądałem, w mieszkaniu Nowaka. Nie wiesz przypadkiem, za co go zdjęli?

– Wiem. Brał udział w ustawianiu przetargów na sprzęt komputerowy dla swojej firmy. Pewnie zdążyłeś się dowiedzieć, gdzie pracował, skoro oglądaliście razem telewizję.

– Tak, wiem.

– Nieźle jak na emeryta, tylko pozazdrościć. Niestety, to było dla niego za mało. Tego samego dnia zgarnęli kilkanaście innych osób, nie tylko w mieście, ale także w całym kraju. Wszyscy usłyszeli zarzut udziału w zмовie przetargowej.

– Ale żeby od razu wysłać antyterrorystów?

– Widać ktoś się obawiał, że się będzie stawiał. Może myśleli, że jako były oficer trzyma w szafie kałacha. O, już jesteśmy na miejscu.

Limuzyna zatrzymała się przed szlabanem. Z oszklonej budki wyszedł młody wartownik i zbliżył się do samochodu. Kierowca opuścił szybę, podał mu jakiś dokument. Po chwili podniesiono szlaban i wjechali na niewielki dziedziniec.

– Mówiłem, że będziemy przed czasem. – Karcz odgiął mankiet płaszcza.

To samo chciał uczynić i Piotr, ale zrezygnował.

– Ludzie już powyjeżdżali z miasta przed świętami – prychnął Bogdan. – Dać im dzień wolny w tygodniu, od razu zrobią z tego tydzień. Albo i lepiej. I jak w tym kraju ma być dobrze?

Otworzył drzwi, wystawił jedną nogę na zewnątrz. Odwrócił się i spojrzał na Piotra.

– Nie wysiadasz?

Nie odpowiedział.

– Kapitanie Duch!

– Chcę się zobaczyć z rodziną – rzekł twardo. – Najpierw wsadzasz mnie do sanatorium, teraz wozisz po jakichś telewizjach jak tresowaną małpę. Mam tego dość. Chcę do domu!

– Powiedziałem ci, że wszystko w swoim czasie. Nie wierzysz mi?

Nic nie powiedział.

– No dobra, pojedziemy zaraz po wizycie u ministra. Obiecuję. Słowo. – Uniósł dwa palce na wysokość ucha.

Kiepsko łągał, ale Duch skinął głową. Wysiadł z samochodu. Chciał mieć to już za sobą, choć najgorsza była chyba wizyta w telewizji. Na szczęście materiał

nie był realizowany na żywo, a redaktor nie męczył go zbyt długo. Pytał, o czym myślał, gdy trzymali go w celi śmierci; dokładnie takiego określenia użył. Piotr skłamał, że głównie o bliskich. Dukał jak tłumok, kilka razy zaczynając to samo zdanie.

Uspokajali go, że to nic, bo przecież materiał i tak będzie montowany. Zresztą potem na szczęście odpowiadał już tylko Karcz jako jego były dowódca, a jednocześnie ekspert od operacji antyterrorystycznych. Ostatnim spotkaniem była wizyta w ministerstwie obrony.

Wyszedł im naprzeciw jakiś oficer. Piotr zdziwił się, ponieważ miał na sobie mundur marynarza. Dwa rzędy złotych guzików błysnęły w światłach cofającego samochodu.

– Cieszę się, że mogę poznać bohatera – powiedział komandor, a potem zasalutował. – Proszę, pan minister już na panów czeka.

Weszli do środka. Szerokimi schodami wspięli się na pierwsze piętro, gdzie przejął ich kolejny oficer, wyższy stopniem. Ten już nie słodził. W ogóle nic nie mówił. Kilka chwil później otworzył przed nimi drzwi gabinetu ministra. Ten najpierw uściskał dłoń Piotra, potem przywitał się z Karczem.

– W imieniu premiera chciałbym panu podziękować za niezłomną i godną Polaka postawę. Pan prezydent jest również pełen podziwu – wyrecytował, po czym wskazał skórzane fotele.

Sam jednak nie usiadł. Na jego ogromnym biurku rozdzwonił się bowiem telefon. Przeprosił gości i odszedł. Fuknął do słuchawki, potem przez dłuższą chwilę nasłuchiwał.

– Rozumiem, tak. Zaraz będę, panie przewodniczący.

– Wstawaj, idziemy – rzucił niegłośnie Karcz.

Podnieśli się z foteli. Minister zbliżył się ze zboląłą miną i rozłożonymi rękami.

– Tak mi przykro, panowie. Może niedługo...

* * *

– I tak na chuja nie będę głosował – warknął Karcz, gdy minutę później szybkim krokiem schodzili w dół. – Ani na jego partię złodziei.

Opuścili gmach ministerstwa. Samochodu nie było już na dziedzińcu, tylko czekał przy ulicy, kilka metrów za bramą. Kierowcy nie było w środku, za to za wycieraczkę zatknięto jakąś kopertę.

– Co to, znów jakaś reklama? – Pułkownik wyszarpnął ją ze złością zza wycieraczki. – Nie pilnuje pan, co mu wciskają? – zwrócił się do kierowcy, który właśnie nadchodził. – A gdyby ładunek podłożyli? Już by nas tu, kurwa, nie było.

– Byłem w kiosku, za rogiem – usprawiedliwiał się szofer. – Szczerze mówiąc, myślałem, że trochę dłużej panom zejdzie. A tej koperty jeszcze przed

chwilą nie było.

Karcz odwrócił ją i dopiero teraz wszyscy mogli zobaczyć, że wypisano na niej personalia Piotra. Podał mu przesyłkę. Duch zważył dłoniach kopertę. Musiała kryć coś więcej niż papier.

– Co to może być? – mruknął.

Tymczasem od strony gmachu ministerstwa zbliżał się oficer – ten sam, który zaprowadził ich do gabinetu szefa. Odciągnął Karcza za łokieć na stronę. Wyglądał na zdenerwowanego.

– I kogoś takiego tu przyprawdzacie?! – mimo dzielącej ich odległości Piotr słyszał dokładnie każde słowo, które wypowiadał wypomadowany sztabowiec.

– Przecież odbiliśmy go... – usiłował tłumaczyć Karcz.

– Narażacie opinię ministerstwa. To nie jest wasz prywatny folwark, pułkowniku!

Wtem koperta zaczęła wibrować. Czyżby Karcz miał rację? Piotr wyciągnął rękę jak najdalej za głowę, by na możliwie największą odległość ją odrzucić, gdy przesyłka zaczęła... dzwonić.

Rozerwał papier. W środku był telefon. Hałasował coraz głośniej.

– Na pustyni byś zdechł pierwszego dnia, bucu pierdolony! – ryknął nagle pokraśniały na twarzy Karcz na zbaraniałego oficera. – *Ruki pa szwam!*

Piotrowi wreszcie udało się wydostać aparat z koperty. Nacisnął guzik.

– Słucham – rzucił niepewnie.

Nikt się nie odezwał.

– Halo!

– Miło cię słyszeć – w sitku odezwał się wreszcie męski głos.

– Kto mówi?

– Przyjaciel.

– Jaki przyjaciel?

Człowiek po drugiej stronie zbył pytanie.

– Widziałeś już, co ci przesłałem?

Piotr zajął do koperty. Rzeczywiście, coś tam jeszcze było.

– Jak się napatrzysz, złap okazję i jedź na północ. Trzymaj telefon blisko. I żadnych głupich ruchów, rozumiemy się? Psy zostają w domu, wojsko w koszarach, a kurwy za płotem. Odezwę się – powiedział nieznajomy i rozłączył się.

– Halo. Halo! – krzyknął Duch, ale odpowiedział mu przerywany sygnał.

Podszedł Karcz. Był wciąż zdenerwowany.

– Co się dzieje? – zapytał.

Zamiast odpowiedzieć, Piotr sięgnął do koperty. Po sekundzie trzymał w ręku fotografię. A raczej wydruk z komputerowej drukarki. Przedstawiał kobietę z dwojgiem dzieci, mniejszym chłopcem i większą dziewczynką. Wszyscy mieli

zaklejone usta i przerażone oczy. Kobieta trzymała dzisiejszą gazetę.

– Czy... czy to jest moja rodzina? – wykrztusił z największym trudem, pokazując zdjęcie pułkownikowi.

– Tak. To oni. Jak się o nich mogli dowiedzieć? – Karcz złapał się za głowę, by zaraz sięgnąć w zanadrze. – Już dzwonię po naszych. Tym razem wytluką ich jak kaczki...

– Nie! – Piotr złapał go za łokieć.

Bogdan zastygł w napoleońskiej pozie, spojrzał na niego spod ściągniętych brwi. A potem zawołał do szofera, który najspokojniej w świecie ćmił na stronie jednego z zakupionych przed paroma chwilami papierosów:

– Panie Marianie, jedziemy!

– Ale ja miałem was zawieźć tylko do telewizji i ministerstwa... – zaprotestował szofer.

– Wsiadajcie, kurwa, za kółko, żołnierzu! Albo oddajcie kluczyki!

Chwilę później siedzieli znów w samochodzie i jechali, jak poleciał tajemniczy głos w słuchawce, na północ. Karcz sprawdzał coś w komórce, podczas gdy Piotr nie mógł oderwać wzroku od zdjęcia. Dotknął papieru w miejscu, gdzie była twarz kobiety. Zawstydził się jednak tego gestu, cofnął rękę.

I wtedy nagle sobie przypomniał. Tak, jakby na ekranie telewizora, na którym jeszcze przed chwilą widać było tylko brudnoszary śnieg, pocięty tu i ówdzie jeszcze ciemniejszą falą, nagle pojawił się obraz, kolorowy i wyraźny. Kadr z dobrze znanego, lubianego filmu.

Spogląda w bok i zamiast kulawego oficera widzi siedzącą na tylnej kanapie samochodu piękną dziewczynę w białej, ślubnej sukni. Nerwowym ruchem sięga do szyi, by poprawić krawat. Drugi gest, w dół i nieco na prawo: dotyka galowego sznura, ślub bierze bowiem w mundurze. Wie, że koledzy zrobią szpaler z szabli, pod którym przejdą on i jego dopiero co poślubiona żona.

Zamyka oczy, a kiedy znów je otwiera, nie widzi już sukni. Ale nadal jest kobieta. Między nimi siedzi mała dziewczynka. To jego córeczka. Podnosi główkę, wtula ją w jego ramię. Uśmiecha się. On nie może sobie przypomnieć jej imienia...

– Prawdopodobnie jesteśmy obserwowani – męski głos przywrócił go rzeczywistości.

Karcz schował telefon w wewnętrznej kieszeni płaszcza.

– Nie mogę pojąć, jak mogło do tego dojść. Jak w ogóle zdołali znaleźć twoją rodzinę?

– Ja im nie mogłem powiedzieć – zauważył zgryźliwie Piotr. – Nawet gdybym chciał.

– Fakt.

– Poza tym to nie ja miałem stracić głowę.

– Nie rozumiem.

Opowiedział mu o swoich podejrzeniach, że to nie on, a Nowak miał zostać zakładnikiem ekstremistów.

– To się nawet trzyma kupy – zgodził się Karcz. – Ale tym bardziej nie rozumiem, dlaczego porwali twoją rodzinę...

Na chwilę zapadła cisza. Wtedy Piotr przypomniał sobie o incydencie przed ministerstwem.

– O co właściwie chodziło temu sztabowcowi? – zapytał.

Karcz nie odpowiedział. Patrzył w okno. Może nie dosłyszał pytania, a może udawał, że nie słyszy. Duch już otwierał usta, by zapytać ponownie, gdy odezwał się telefon.

– Słucham.

Limuzyna jechała w tym momencie po kocich łbach, więc musiał przycisnąć mocniej aparat do ucha, by cokolwiek usłyszeć.

– Rozumiem. – Rozłączył się, by zaraz rzucić do kierowcy. – Proszę się zatrzymać.

– Co się dzieje? – chciał wiedzieć pułkownik.

Ale Piotr milczał. Gdy samochód zatrzymał się przy krawężniku, otworzył drzwi i wysiadł. Po chwili zrobił to także Karcz. Przez cały czas czuł na sobie jego wzrok.

– Możesz mi w końcu wyjaśnić, co się dzieje? – warknął nieprzyjaźnie stary.

Zamiast odpowiedzieć, rozejrzał się dookoła. Stali przy szerokiej alei, którą w obie strony mknęły samochody.

– Chodźmy – zawołał do Bogdana, starając się przekrzyczeć hałas.

Najbliżej było wejście do jakiejś kawiarni, co Piotr wywnioskował z rysunków, wykonanych jakby dziecięcą ręką. Po kilku krokach zatrzymał się i zawrócił.

– Poczekaj chwilę – rzucił przez ramię.

Kilka sekund później podszedł do drzwi kierowcy i pochylił się nad opuszczoną szybą.

– Pułkownik pana prosi na chwilę – powiedział; chciał powiedzieć „woła”, ale na szczęście w ostatniej chwili ugryzł się w język.

Pan Marian najpierw spojrział na niego, jakby nie rozumiał języka, w którym mówi. Potem zaczął niezdarnie gramolić się z auta. Piotr złapał za krawędź drzwiczek, uniemożliwiając ich zamknięcie. Kierowca obejrzał się. Duch skinął głową na znak, że wszystko jest pod kontrolą. Bo było. Marian nie doszedł nawet do miejsca, w którym Piotr nieoczekiwanie zawrócił, gdy ten wślizgnął się do auta i zajął jego miejsce. Przekręcił kluczyk, który szofer zostawił w stacyjce.

– Co robisz?! – usłyszał krzyk pułkownika, a po chwili, we wstecznym lusterku, malejące z każdą chwilą postacie obu mężczyzn.

Zniknęli za zakrętem i z jego głowy. Wciąż za to brzmiał mu w niej głos

w słuchawce. Był to głos człowieka, który nie żartuje. W myśl jego polecenia, Piotr miał jechać teraz pod konkretny adres. Miał stawić się tam jak najszybciej. I musiał być sam...

Za kierownicą czuł się pewnie, mógł więc próbować uporządkować myśli. Przede wszystkim usiłował przypomnieć sobie wszystkie szczegóły podane mu przez tamtego człowieka i dotyczące drogi, którą miał pokonać. Na szczęście nie było ich zbyt wiele: dwa ronda, na których miał jechać prosto, następnie duży park po lewej stronie, a nieco ponad kilometr dalej niedokończony biurowiec. Miał go rozpoznać po jasnozielonych ścianach i otaczającym plac budowy blaszanym płocie.

Dwa czy trzy ronda? – nagle złapała go wątpliwość.

Poczuł duszność. Ruszył spod świateł, bardziej w reakcji na poczynania innych kierowców niż zmianę na zielone. Gdyby wszyscy złamali przepisy, zrobiłby to i on. Machinalnie wrzucał kolejne biegi, ani na chwilę nie przestając zastanawiać się nad problemem. Z tych też powodów w ogóle nie spoglądał na strzałkę szybkościomierza. Droga była prosta, bez skrzyżowań i świateł, niewiele więc brakowało, by popełnić błąd...

– Sierżant Damian Ciosek, wydział ruchu drogowego komendy stołecznej policji. Proszę przygotować prawo jazdy, dowód rejestracyjny i dowód zawarcia ubezpieczenia OC – wyrzucił z siebie jednym tchem funkcjonariusz, który kilkanaście sekund wcześniej opuścił rękę z radarem, jednocześnie podnosząc drugą, uzbrojoną w lizak. – Zapraszam.

W tym samym momencie odezwała się komórka.

– Nie spieszysz się, jak widzę – rzekł z przyganą nieznajomy.

– Policja mnie złapała – odpowiedział Duch. – Drogówka.

– No i co?

– Nie wiem. Nie mam ze sobą dokumentów.

– Kasy też nie masz?

– Kasy?

– Rzuć im jakąś kość i będzie po krzyku.

Spojrzał w stronę radiowozu. Napotkał wyczekujący wzrok policjanta. Nieznaczny ruch głowy, który oznaczał najpewniej: szybciej, nie mamy czasu, panie kierowco! Uśmiechnął się i dał znać ruchem ręki, że za chwilę przyjdzie.

– Kasy też nie mam – rzucił do słuchawki.

Ale nie usłyszał już w niej głosu prześladowcy tylko przerywany sygnał. Wysiadł z samochodu i podążył śladem sierżanta. Od radiowozu dzieliło go może z dziesięć metrów, gdy wysiadł z niego drugi z policjantów, starszy, wąsaty.

– Kolega pana nie poznał! – zawołał. – Nic się nie stało, niech pan jedzie dalej.

– Dziękuję...

Piotr odwrócił się, zrobił dwa kroki – a nuż zmienia zdanie? Ale zaraz się zatrzymał.

– Szukam niedokończonego biurowca o zielonych ścianach...

* * *

Wykonał lekki półobrót. Przed całkowitą zmianą pozycji powstrzymał go stanowczy głos:

– Stój w miejscu. Nie oglądaj się. Ręce daleko od ciała.

Czy to ten sam głos, co w słuchawce? – zastanawiał się Piotr.

Wszedł tu, ponieważ było to jedyne miejsce, do którego był wolny dostęp. Podobnie jak kilka minut wcześniej wjechał w jedyną bramę w płocie okalającym niedokończony biurowiec, otwartą zapewne dla niego. Wszystko było gotowe na przyjęcie gościa.

– Gdzie jest moja rodzina? – zapytał twardo.

Zamiast odpowiedzi usłyszał kroki. Intruz zbliżał się do niego powoli, podeszwy zamlaskały na wilgotnej posadzce niewielkiego holu biurowca, którego nie zdążono dokończyć. Zaraz potem rozległo się charakterystyczne szczęknięcie: wróg odbezpieczył broń, po czym rzekł:

– Żeby twoja rodzina mogła żyć, musisz wykonać dokładnie polecenia, które usłyszysz.

Sekundę później coś chrupnęło i zrobiło się dużo jaśniej. Piotr poruszył się nerwowo.

– Spokojnie, młody człowieku – usłyszał, tym razem z bardzo bliska.

Duch skądś znał ten głos! Ale jego właściciel okazał się szybszy.

– Piotr?!

– Kazek? Kazek Czapla?

Stali teraz twarzą w twarz. Hiszpańska bródka, ta sama skórzana kurtka, oddech przesiąknięty tytoniem. Do tego obrazka nie pasował jedynie gną w wyciągniętej ręce znajomego z noclegowni, towarzysza pechowej wyprawy pociągiem.

– Nie miałem pojęcia, że chodzi o ciebie. – Kazek był najwyraźniej przejęty, jednak, jak przystało na zawodowca, ręki z pistoletem wycelowanym w Piotra nie opuścił nawet o centymetr.

– A ja nie wiedziałem, że zajmujesz się takimi sprawami – odparł bez uśmiechu Duch.

– Grunt to nie rzucać się w oczy.

– I że zadajesz się z ekstremistami.

– Wszystko jest kwestią ceny.

– Nie ma zasad?

– Nie. Żadnych.

Przez chwilę patrzyli na siebie. Niestety, żaden nie wybuchnął śmiechem, nie zmniejszył napięcia mięśni.

– Radzę ci mnie posłuchać i zrobić wszystko, co powiem – rzekł Czapla.

– To ty rozmawiałeś ze mną przez telefon? – chciał wiedzieć Piotr.

– Tak.

– I porwałeś moją żonę i dzieci?

– Nic im nie będzie, jeśli zrobisz to, co powiem.

– Słucham.

– Pojedziemy w jedno miejsce. Ten, który mi płaci, chce ci to powiedzieć osobiście. Mamy niewiele czasu.

Chwilę później siedzieli w skradzionym samochodzie. Kazek zajął miejsce na tylnej kanapie, zapiął przepisowo pas bezpieczeństwa. Polecenia dotyczące drogi wydawał spokojnym głosem. Dopiero po niecałym kwadransie zapytał, nieco innym, lżejszym tonem, gładząc po swojemu hiszpańską bródkę:

– Dotarłeś w końcu do tego ancla?

– Tak. Ale dużo później.

– Że też nie skojarzyłem, że to o ciebie chodzi. Przecież tam siedziałeś.

– Co to ma do rzeczy?

Nagle przypomniał sobie tamten wieczór, gdy ktoś strzelał do Trzech Króli w zamieszkiwanej przez nich ruderze przy torach. A przecież potem Piotr przejeżdżał pociągiem obok tamtego miejsca, co więcej – razem z domniemanym zabójcą tych ludzi! Że też Kazek w żaden sposób się wtedy nie zdradził.

Ciekawe, czego się jeszcze dowiem? – zastanawiał się Piotr, zmieniając kolejne biegi. Kim jest człowiek, do którego właśnie jadą? Czyżby kolejnym znajomym?

– Na światłach skręć w lewo – poleciał Czapla.

Byli w dzielnicy willowej. Po minucie zjechali z głównej drogi i skręcili w osiedlową uliczkę z licznymi progami spowalniającymi.

– Teraz w następną w prawo i do końca. Gdy dotrzemy na miejsce, wyjdiesz spokojnie z fury. Zrozumiałeś?

– Dlaczego to robisz?

– Już ci mówiłem. To moja praca.

Zatrzymali się przed bramą z kutej stali, która po chwili zaczęła się otwierać. Piotr zaparkował na dziedzińcu przed piękną, otynkowaną na biało willą. Wyłączył silnik i zgodnie z poleceniem Kazka wysiadł z samochodu. Czapla uczynił to samo. Nie miał w ręku broni. W tym samym momencie ktoś otworzył od wewnątrz drzwi budynku.

– Idź – rzucił Kazek. – Pamiętaj. Czas płynie.

* * *

Uderzona końcem kija bila potoczyła się po zielonym suknie i trąciła dwie inne. Człowiek, który to zrobił, energicznie wyprostował się nad stołem. Spojrzał z uwagą na przybysza.

– Nie poznajesz mnie? – stwierdził bardziej niż zapytał.

– Nie – odpowiedział Piotr.

– I podobno niczego nie pamiętasz?

– Nie. Miałem wypadek.

Wadim Szmyt pokiwał głową. Nie był to jednoznaczny gest. Mógł bowiem oznaczać zarówno: „tak, rozumiem, to rzeczywiście straszne”, jak i: „nasi chłopcy sprawili się dobrze, zasługują na premię”. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w końcówkę kija, w którą właśnie skończył wcierać kredę.

– Maksym, możesz iść – rzucił do goryla, który stał niespełna metr od przybysza, nieco z tyłu, gotowy w każdej chwili go unieszkodliwić.

Mężczyzna, który przyprowadził Piotra do największego pomieszczenia w budynku, wykonał polecenie. Drzwi, za którymi zniknął, pozostały jednak uchylone.

– Czasu mamy niewiele, ale opowiem ci w kilku zdaniach, co powinieneś wiedzieć. – Wadim przysiadł na krawędzi stołu. – Znamy się z więzienia w P., ze spacerniaka. Podczas tych kilkunastu rozmów dowiedziałem się o tobie bardzo dużo. Wiem, że byłeś na misji. Aż na trzech zmianach.

– Aż trzech? – zdziwił się Piotr. – Zaczynam sam siebie nie poznawać.

– Wiedziałem też, co potrafisz, chociaż nie o wszystkim chciałeś opowiadać. To oczywiście zrozumiałe, tajemnica wojskowa. Dlatego, gdy wychodziłeś, dałem ci kartkę z numerem telefonu. Ale się nie odezwałeś. Nie wiedziałem, co cię spotkało. Ale w końcu końców się widzimy.

Duch przełknął ślinę. Nie uspokajał go fakt, że rzekomo zna się z tym człowiekiem. Dobry znajomy porywający kobiety i dzieci?

– Gdzie jest moja rodzina? – zapytał.

– Bezpieczna – odparł Szmyt, na powrót wlepiając wzrok w koniec kija. – Będzie wolna, choć w tym kraju nie idzie to w parze z bezpieczeństwem, gdy zrobisz to, co ci powiem.

– Co takiego?

Mężczyzna wstał ze stołu, odłożył kij na jego brzeg. Podeszedł do ściany, na której wisiały jakieś skrzyżowane szable i ryngraf z Matką Boską. Przez chwilę wpatrywał się w ozdoby.

– Jutro, jak pewnie zdążyłeś się zorientować po wystroju ulic, przypada Dzień Niepodległości. Przez miasto ma przejść kilka demonstracji. W jednej pójdą zadowoleni, w innej niezadowoleni, a w trzeciej ci, którym wszystko jedno, byle tylko można było podpalić kilka samochodów i powalczyć z policją.

– Co mi do tego?

– Pójdiesz na jedną z tych demonstracji i w dogodnym dla siebie momencie wyeliminujesz pewnego człowieka. Człowieka, którego dalsze istnienie za bardzo komplikowałoby życie i pracę wielu ludzi w tym mieście, a może nawet kraju. Przez niego straciłem wiele lat, siedząc w gościnnych murach więzienia. Teraz za to zapłaci.

– A jeśli nie?

– Wierzę, że nie odmówisz. Będą ci towarzyszyć moi ludzie, z których jeden będzie trzymał w ręku małą kamerę, dzięki której ja wszystko zobaczę na żywo. Nieźle, nie? – mrugnął. – Technika poszła do przodu. Chłop strzela, Pan Bóg kule nosi, a ja na to wszystko patrzę, siedząc wygodnie w fotelu i sącząc whisky z lodem. Jestem pewien, że sobie poradzisz.

– A jeśli sobie nie poradzę?

– Wtedy los twojej rodziny będzie nie do pozazdroszczenia. I nie radzę informować o tym policji. Gdy tylko zobaczę zbyt blisko siebie policyjny mundur, osobiście rozwalę głowy twojej miłej i bachorów. To wszystko.

Ostatnie słowa padły już z sąsiedniego pomieszczenia. Ledwo Wadim Szmyt zniknął, w salonie ponownie pojawił się Maksym. Za nim wszedł Kazek.

– Mam ci przekazać broń – powiedział ten ostatni. – Chodźmy.

Ale Piotr nie ruszył się z miejsca.

– Co jest? – Czapla spojrzał na niego; potem, zezem, na Maksyma.

– Chcę zobaczyć żonę i dzieci – rzekł przez ściśnięte gardło Duch.

W ułamku sekundy goryl znalazł się przy nim, wyprowadził cios, silny i precyzyjny, w żołądek. Piotr zgiął się pół, a wtedy kolejne uderzenie, nieco wyżej, przywróciło go do pionu. Maksym uniósł rękę po raz trzeci, ale wtedy wtrącił się Kazek.

– Dość! Ma być skuteczny! – krzyknął, a potem spojrzał na Piotra. – Będziesz spokojny?

– Tak.

Wyszli na zewnątrz, wsiedli do auta, ale tym razem za kierownicą usiadł Kazek. W chwili, gdy wyjeżdżali na osiedlową uliczkę, przed domem gangstera zatrzymywało się auto dostawcy pizzy.

– Pewnie jesteś głodny – rzucił Kazek do półleżącego na tylnym siedzeniu Piotra. – Wstąpimy gdzieś na jakiegoś araba, jeśli oczywiście cię nie odrzuca. A potem po sprzęt. I radzę ci potraktować to serio. Szmyt nie żartuje...

* * *

– Po cholere przyjechaliśmy na dworzec? – zapytał Piotr, gdy godzinę później szli jednym z podziemnych korytarzy. – Już wiem, kim jestem. Nie muszę jechać do P.

– Tutaj mam skrytkę – wyjaśnił szybko Czapla. – Pewniejsza niż w banku.

Tłok był spory. Perspektywa wolnego dnia sprawiła, że ludzie, którzy w stolicy tylko pracowali, wyjeżdżali do rodzinnych domów. Przed kasami utworzyły się długie kolejki. Mechaniczny, kobiecy głos w megafonach zapowiadał odjazdy i przyjazdy pociągów.

Kazek uśmiechnął się na wspomnienie niedawnej eskapady.

– Ale niezły łomot żeśmy sprawili tamtym skurwysynom, co? – zarechotał.

Piotr nic nie powiedział.

– A ta panienka? – Właściciel hiszpańskiej bródki pogładził ją swoim zwyczajem. – Widziałeś się z nią od tamtego czasu?

– Nie – skłamał Duch.

Ominęli ogonek kolejki do jednej z kas i pokonali zakręt. Zaraz za nim natknęli się na policyjny patrol. Funkcjonariusze właśnie rozmawiali z jakimś obdartusem. Mimo to jeden z nich, kawał chłopca (obaj byli rośli, ale ten budził wyjątkowy respekt), łypnął okiem na przechodzących.

Kazek przyspieszył kroku, ale było już za późno na ucieczkę.

– Poproszę pana – powiedział posterunkowy.

– Ja? – Czapla próbował udawać głupiego.

Wyciągnięta w bok ręka nie pozostawiała złudzeń. Kazek zbliżył się do patrolu. Jednocześnie dyskretnie pchnął towarzysza w plecy. Piotr parł więc dalej, nie oglądał się za siebie. Kilka chwil później znalazł się za następnym załomem korytarza. Dopiero tutaj się zatrzymał. Bezradnie rozejrzał się dookoła. W pewnej chwili złowił wzrok jednego z przechodzących ludzi.

– To ty? – Młody mężczyzna z długimi strąkami włosów zbliżył się do niego z wyciągniętą ręką i uśmiechem.

– Bartek! – ucieszył się Piotr.

– Ale niezła była jazda, co? – rzekł haker, gdy już się przywitali.

Było jasne, co ma na myśli.

– Jest co wspominać na starość – zgodził się Duch. – Nic ci się nie stało?

– Tylko parę siniaków, głupstwo.

Bartek nie bez wysiłku zdjął solidnych rozmiarów, przerastający go o pół głowy plecak i postawił obok na podłodze. Najwyraźniej, jak większość ludzi w tym miejscu, również dokąś się wybierał.

– Tak naprawdę – podjął po chwili – to nie wierzyłem, że cię zabiją.

– Nie rozumiem.

– Przez cały ten czas, który u nich przesiedziałem, prócz włamywania się na strony rządowe, kazali mi szukać w sieci filmów z wcześniejszych egzekucji. Przede wszystkim tych, do których doszło w Azji. Widziałeś je. A kiedy już je znalazłem, polecili mi je montować tak, by wyszła kolejna, inna. Zupełnie nowa. Dla mnie to pestka, ale... Po prostu chodziło im pewnie tylko o to, żeby oszukać świat.

Piotr nerwowo potarł ręką czoło.

– Wybierasz się dokądś? – Wskazał ręką na plecak.

– Do domu po wałówkę – odparł Bartek. – A co?

Kilka chwil później Duch dostrzegł zbliżającego się Kazka. Widać policjanci tylko go spisali, a może nawet i to nie. Ujrawszy intruza przy swoim podopiecznym, zabójca fuknął coś, wykonał gwałtowny ruch głową. Bartek zarzucił plecak na ramię i czmychnął bez słowa.

– Wiedziałem, że nie uciekniesz – uśmiechnął się Czapla, by zaraz zapytać:

– Czego chciał od ciebie ten brudas?

– Pytał o drogę – odpowiedział Piotr. – Do kościoła.

– I ksiądz go jebał. Chodźmy.

Minutę później znaleźli się przy rzędzie metalowych skrytek na bagaże w ustronnej części labiryntu podziemnych korytarzy dworca. Kazek wydobył z kieszeni skórzanej kurtki jakiś karteluszek i począł wciskać guziki z cyframi, które składały się na kod. Otworzył drzwiczki i wydobył ze skrytki czarną, podłużną walizeczkę.

– Teraz lepiej, żeby się żaden pies nie napatoczył – mruknął pod wąsem.

Piotr utkwiał wzrok w walizeczce. Nie musiał pytać, co było w środku.

– Czy teraz powiesz mi coś więcej? – Przeniósł spojrzenie na Kazka.

– To już nie moja sprawa. Ja miałem tylko przywieźć cię do człowieka, który mi płaci, a potem przekazać ci sprzęt, przy pomocy którego wykonasz zadanie. O szczegółach dowiesz się przez telefon. I już nie ode mnie.

Wtedy Piotr chwycił Kazka za ramię, ścisnął mocno.

– Pomóż mi – jęknął, patrząc w prosto w te jego przekrwione oczy.

– Nie mogę.

– Dlaczego? Raz już mi pomogłeś...

– Nie rób scen, dobrze? – Zabójca znów rozejrzał się na boki. – Nie wiem, co ma do ciebie Wadim Szmyt. I nie chcę wiedzieć. Po prostu zrób, co ci każe, a twoja rodzina będzie bezpieczna. Wiemy, że potrafisz. Byłeś w tym dobry.

– Podobno.

– Mówią, że to jak z jazdą na rowerze albo grą na gitarze. Tego się nie zapomina. Tu masz jeszcze kod do zamka. – Wsunął mu do kieszeni bosmanki złożoną na czworo karteczkę.

– Co mam teraz robić? – zapytał Piotr, znów spokojny, jakby pogodzony z losem.

– Czekać.

– Gdzie?

– Tutaj. – Kazek szerzej otworzył drzwiczki skrytki.

Duch zaśmiał się nerwowo.

– Żartujesz?

– Nie bój się, już korzystaliśmy z niej w ten sposób. Jest czym oddychać, jest też zasięg. A że trochę niewygodnie, cóż. W rosomaku też nie miałeś pewnie za wiele miejsca, co? A tutaj przynajmniej nie jest tak gorąco.

* * *

– Znalazł się samochód, szefie – dobiegło ze szpary w drzwiach.

Pułkownik Bogdan Karcz wyprostował się nad stołem.

– Przepraszam pana, mecenasie – powiedział do siedzącego naprzeciwko mężczyzny w granatowym garniturze, po czym wstał z krzesła i zbliżył się do drzwi. – Gdzie się znalazł?

– Stoi zaparkowany przy dworcu.

Karcz zmarszczył brwi.

– Czyżby wyjechał dokądś pociągiem? – spekulował. – Tylko dokąd? I przede wszystkim, po co? Nic z tego nie rozumiem.

– A może to jakaś choroba, co? – wtrącił swoje Jacek, jeden z braci, bo to on przyniósł wieści.

– Co?

– Jakimś świństwem tropikalnym go zarazili? Słyszałem niedawno o jednym takim poruczniku...

Bogdan przerwał mu gwałtownym ruchem ręki.

– Idź już – fuknął. – Spróbujcie się czegoś dowiedzieć. Czy Pełczyński się odzywał?

Podwładny zaprzeczył niemo. Gdy wykonał przepisowy w tył zwrot, Karcz zamknął drzwi i skierował kroki w stronę stołu.

– Jeszcze raz bardzo przepraszam, panie mecenasie – powiedział do eleganta, który właśnie z uwagą wertował jakieś dokumenty.

– Nie ma problemu. Właśnie znalazłem kilka niejasności dotyczących sponsorowania pańskiej fundacji.

Pułkownik nie zdążył jednak zapytać, o jakie niejasności chodzi i ile lat mu za to grozi, gdy znów ktoś zapukał do drzwi gabinetu. Karcz wzniósł oczy do sufitu. Nie chciało mu się wracać, więc krzyknął jak za starych, dobrych czasów:

– Wejść!

Na progu stanęła młoda, ładna blondynka. Jej widok zdziwił pułkownika, ale też mecenasa.

– Ewa, co ty tu robisz? – zapytał, zanim oficer zdążył cokolwiek powiedzieć.

– Czyżbym poprosił cię o pomoc i tego nie pamiętała?

– Cześć, Karol – przywitała się Ewa. – Nie, ja do pułkownika. Dzwoniłam przed południem.

Karcz zerwał się z miejsca. Zapomniawszy o bólu spowodowanym niegdyś kontuzjami, w dwóch krokach zbliżył się do gościa.

– Dobry wieczór. Oczywiście, przypominam sobie. W czym mogę pani pomóc? Chciała pani porozmawiać o moim byłym podwładnym. Tylko że ja...

– Był pan świadkiem obrony na jego procesie – przerwała mu Ewa. – Chciałabym jeszcze raz zapytać o tamtą sprawę. To bardzo ważne...

* * *

Szafa grająca! To była pierwsza myśl, która pojawiła się w jego głowie chwilę po tym, jak usłyszał ten dźwięk: kilka szybkich, mocnych uderzeń w blachę. Tak zabawiali się kaprale, pastwiący się nad młodym wojskiem. Delikwent był zamykany w szafce, a reszta w nią kopała i uderzała pięściami, mając przy tym ubaw. Oficerom ciężko było ukrócić te praktyki.

Skrzypnęły drzwiczki, zrobiło się jaśniej.

– Wylaż. Już czas.

To był goryl Szmyta, Maksym. Teraz wydawał się jeszcze bardziej ponury, odstręczający.

– A gdzie Kazek? – zapytał Piotr, gramoląc się ze skrytki.

Zamiast odpowiedzieć, gangster wyjął z górnej części szafki walizeczkę. Duch zdziwił się; był bowiem pewien, że Kazek zabrał broń wczoraj ze sobą. Zresztą nawet gdyby Piotr chciał, nie mógłby do niej dotrzeć, bo skrytkę dzieliła półka.

– Idziemy. – Maksym zamknął drzwiczki.

– Zaraz, niech się wyprostuję – jęknął Piotr, krzywiąc się przy tym.

Cała noc spędzona w pozycji siedzącej, z podkurczonymi nogami. Nie, to z pewnością nie był najszcześniejszy moment w życiu. Z drugiej strony potwierdziło się to, co powiedział Kazek Czapla: powietrza było bowiem dość i gorąco nie dokuczało.

– Idziemy – powtórzył goryl, tym razem słowa wspomagając gestem.

Piotr podążył przodem, we wskazanym kierunku. Opuścili teren dworca, po drodze mijając niewielu podróżnych; było jeszcze dość wcześnie, za kwadrans siódma.

– Dokąd idziemy? – chciał wiedzieć Piotr.

Maksym coś odburknął, podniósł rękę, w której trzymał kluczyki. Pisnął alarm samochodu.

– Wsiadaj do tyłu.

A nie do bagażnika? – pomyślał Duch z rozbawieniem, mimo wszystko.

Ledwo zatrzasnął za sobą drzwi, bmw wyskoczyło z szeregu zaparkowanych przy budynku dworca samochodów. Chwilę później jechali pustą niemal o tej porze aleją. Kierowca włączył radio.

– Dziś przez stolicę przejdzie pięć manifestacji... – dobiegł z głośników męski głos.

Więcej Piotr nie usłyszał, bowiem Maksym zmienił stację, a może to była muzyka z płyty. Głośniki zabulgotały miarowo. Pasażer wtulił się w kątek kanapy, opuścił głowę.

– Nie śpij, kurwa! – dobiegło z przodu.

– Bo co, kurwa?! – Piotr gwałtownie podniósł głowę. – Znów mnie pobijesz, czy może od razu do piachu, co?

W tej samej chwili rozległ się dzwonek telefonu. Piotr trzęsącą się ręką wydobył aparat z wewnętrznej kieszeni marynarki. Maksym ściszył muzykę.

– Jak noc? – w słuchawce odezwał się głos Wadima Szmyta.

– Bywało lepiej. Co z moją rodziną?

– Zaczynasz być nudny. Jest bezpieczna. Od wczoraj nic się nie zmieniło. Czy będzie tak dalej, to zależy już tylko od ciebie. Ja słowa dotrzymuję.

– Co mam zrobić?

– Jaki niecierpliwy! – zaśmiał się bandyta. – Wychodzi z ciebie twoja natura narwańca, który lubi wychodzić przed szereg. To nawet dobrze. Byleby ci tylko ręka nie zadrżała, gdy trzeba będzie nacisnąć spust.

– Co mam zrobić?! – powtórzył dużo głośniej Piotr.

– Już powiedziałem. Wyeliminować na zawsze pewnego osobnika podczas marszu, który przejdzie ulicami miasta. Jak już pewnie wiesz, otrzymasz w tym celu broń...

– Nie wiem tylko, o który marsz chodzi?

Cisza. Piotr Duch przełożył aparat do drugiego ucha, przycisnął silniej. Maksym ruszył spod świateł, łagodnie, jakby wiozł porcelanę.

– Człowiek, który ma zginąć, będzie szedł w marszu organizowanym przez kancelarię prezydenta.

– Co?!

– Spokojnie, żołnierzu. Tak naprawdę to nikt ważny.

– Po co więc chcesz go zabić?

– Mam swoje powody. Ta menda po prostu lubi czasami ogrzać się w blasku ludzi z pierwszych stron gazet. Maksym przekaże ci fotografię celu. No i w razie czego zawsze możesz go zapytać, bo będzie ci towarzyszył z kamerą, dzięki której, jak mówiłem, wszystko zobaczę na żywo i będę miał pewność, że nie skrewisz. Oczywiście nie muszę dodawać, że przez cały czas będę miał na muszce twoją lubą i bachory. Jakies pytania?

– Jesteś szaleńcem.

– Trudno. Jakoś muszę z tym żyć. Poza tym są gorsi.

– Chyba nie.

– Jakies pytania?

– Przysięgnij, że po wszystkim wypuścisz moją rodzinę. – Głos Piotra zadrżał.

– Nigdy tego nie robię. Do miłego...

Duch opuścił rękę z aparatem. Na wyświetlaczu perliło się kilka kropelek potu.

– W środku masz zdjęcie celu. – Maksym wyciągnął do tyłu rękę z szarą kopertą, nie spuszczając wzroku z drogi. – Wyjmij i obejrzyj tego chuja.

Piotr wytrząsnął na kanapę dwie fotografie. Jedna była czarno-biała, zrobiona w jakimś wnętrzu, zapewne biurze. Druga zaś kolorowa, wykonana w plenerze, nad wodą. Przedstawiały jakiegoś siwego mężczyznę.

– Kto to jest?

Maksym, co było do przewidzenia, nie odpowiedział.

Zatrzymali się kilka minut później na rogu ulic. Biało-czerwone flagi łopotały na latarniach i w rękach niosących je ludzi. Ten i ów zarzucał ją sobie na plecy, jakby szedł na mecz narodowej reprezentacji. Najmniejsze flagi, papierowe, trzymały w rączkach dzieci, idące obok matek lub niesione przez ojców na ramionach. Mimo jesieni dzień zapowiadał się ładny i słoneczny.

– Marsz prezydencki będzie szedł stamtąd. – Maksym wskazał kierunek ręką, trzymając w niej zapalonego papierosa, po czym zatrzasnął drzwiczki limuzyny. – Szeroki jak ulica, pełen znanych gęb. Szansa na wypatrzenie i skutecznie sięgnięcie celu będzie wtedy, gdy ustawisz się na tej kamienicy – przełożył peta do drugiej ręki, jakby to rzeczywiście był wskaźnik, i skierował ją w przeciwnym kierunku. – Dostęp do dachu jest łatwy, sprawdziliśmy. Reszta już zależy od ciebie. I pamiętaj, że będę cały czas miał cię na oku. Ja i szef.

Piotr spojrział w perspektywę ulicy, potem zadarł głowę i skierował wzrok na dach pięciopiętrowej, starej kamienicy. Przymrużył oczy.

– Broń ma tłumik? – zapytał.

– Wreszcie gadasz jak zawodowiec. Zuch chłopak!

– Spierdalaj. Pytałem, czy broń ma tłumik.

– Tak – odparł półgębkiem Maksym. – Wycelujesz dobrze i nikt się nie spostrzeże. Gość osunie się jak zemdlona babcia, a jeśli nawet ktoś to zauważy i go nie zadcpczą bliźni, pomyślą, że to zasłabnięcie. Że za bardzo przejął się losem niepodległej, pierdolony złodziej. Ale wtedy ty będziesz już bezpieczny...

– A luneta? Będę coś w ogóle przez nią widział z takiej odległości?

– Nie bój nic. Włóż do wozu, to ci pokażę. Psy węszą od rana...

* * *

Wszystko było widać jak na dłoni. Obserwację fragmentu ulicy ułatwiało także słońce, które świeciło zza pleców mężczyzny. Wiatr słaby, stały. Wymarzone warunki, by oddać strzał. Jeden. Skuteczny.

Marsz prezydencki był jeszcze daleko. Na tyle daleko, by starannie się przygotować. Albo przemyśleć wszystko jeszcze raz i opuścić stanowisko. Piotr

Duch przyłożył policzek do zimnego metalu, wciągnął zapach oliwy do konserwacji broni. Potem podniósł do oczu lornetkę, którą otrzymał od Maksyma wraz z bronią. Okrągły obraz gibnął gwałtownie w bok, zakółysał się, wreszcie uspokoił.

– Gdzie jesteś?

Podziałką lunety zaczął wodzić po twarzach nieświadomych niczego demonstrantów. Najpierw z prawej do lewej, pobieżnie, potem w powrotem, nieco wolniej. Czy już kiedyś musiał łuskać w tak gęstym tłumie?

– To on?

Obraz zatrzymał się. Piotr oddalił oko na dwa, trzy centymetry od szkiełka, zamrugał. Sięgnął do kieszeni, gdzie przełożył fotografie celu; nie położył ich na wierzchu w obawie przed wiatrem. Jeszcze raz przyjrzał się postaci na zdjęciu, jeszcze raz spojrział przez lunetę snajperskiego karabinka.

Jest!

Mężczyzna kroczył kilka rzędów od czoła, sam. Sprawiał wrażenie zamyślonego. Z nikim nie rozmawiał. Nie machał nawet rękami jak pozostali, nie pozdrawiał ludzi, którzy stali na chodnikach wzdłuż jedni. Od poprzedzającego rzędu dzieliła go znaczna odległość, co ułatwiało sytuację i zmniejszało ryzyko postrzelenia osoby postronnej.

Piotr odłożył lornetkę na bok, przeładował broń. Po raz kolejny wciągnął przez nos zapach oliwy. Wtedy coś go podkusiło, aby spojrzeć na przegub ręki i zegarek, którego nie potrafił zdjąć i w którym włączył się stoper, więc pożytku z niego nie było żadnego.

W chwili, gdy odchyłał mankiet bosmanki, a potem koszuli, na wyświetlaczu pojawiły się same zera...

* * *

Wadim Szmyt podniósł do ucha rękę z telefonem, chwilę czekał na odebranie połączenia.

– Jesteś na stanowisku? – zapytał.

Odpowiedziały mu jakieś hałasy. Dopiero po chwili przedarł się przez nie głos Piotra:

– Tak.

– Co tak szumi?

– Wiatr. Jak to na dachu. Czego chcesz?

– Widzisz wszystko dobrze?

– Tak. Czego chcesz?

– Mała zmiana planów.

– Co? Jaka zmiana?

– Zmieniłem zdanie. Będzie inny cel. Zastrzelisz kogoś innego.

- Kogo?
- Maszeruje w pierwszym rzędzie, w samym środku. Szczerzy zęby i pozdrawia tłumy, jakby go nakręcili. Na pewno bez problemu go rozpoznasz...
- O czym ty mówisz, do jasnej cholery?!
- A czego, kurwa, nie rozumiesz?
- Czego ode mnie chcesz, Szmyt?!
- Masz zabić prezydenta!
- Oszalałeś?!
- Zrób to. I pamiętaj, do kogo ja celuję...

Gangster rozłączył się. Spojrzał w kąt pokoju, skąd spoglądały na niego trzy pary oczu.

Wadim Szmyt nie blefował. Na tapczanie siedziała matka z dwójką dzieci. Dziewczynka wyglądała na jakieś dziesięć lat, chłopczyk, niższy od siostry, mógł jeszcze chodzić do przedszkola. Cała trójka miała związane ręce i nogi, a usta zaklejone plastrami.

Gangster zbliżył się do stolika, na którym leżał otwarty laptop. Obok spoczywało otwarte pudełko z pizzą, przeniesioną kilkanaście minut temu. Sięgnął po przedostatni kawałek.

– Czas na mój ulubiony program – rzekł do siebie, ale jednocześnie na tyle głośno i wyraźnie, by usłyszeli go zakładnicy.

Ugryzł kawał pizzy, uruchomił urządzenie. Po chwili ekran błysnął na niebiesko, potem pojawił się na nim mniejszy, czarny prostokąt.

– No, panowie, sprawdźcie się. – Szmyt zatarł dłonie.

Kilka sekund później w czarnym okienku pojawił się obraz. Przedstawiał tłum ludzi.

– Co? – Wadim spojrział w kierunku sofy. – Też chcecie obejrzeć? Nie ma problemu! Przepraszam, że od razu o tym nie pomyślałem.

Przeniósł komputer bliżej wiszącego na ścianie, plazmowego telewizora. Podłączenie kilku przewodów zajęło mu chwilę. Na dużym ekranie pojawił się ten sam obraz, co na komputerze. Nad głowami maszerujących powiewały biało-czerwone flagi.

– No, do dzieła! – Szaleniec wpatrywał się w ekran z ekscytacją, z jaką kibic piłki nożnej ogląda mecz narodowej jedenastki.

I oto w tym doskonałym, mimo kręcenia „z ręki” obrazie coś zaczęło szwankować. Wreszcie. Zwarty szereg kroczących zgodnie demonstrantów tu i ówdzie zaczął się rwać. Co się stało? Co zakłóciło tę harmonię? Ten człowiek należał, póki co, do nielicznych, którzy wiedzieli.

– No, pokaż to. Chcę to zobaczyć! – zawołał z pełnymi ustami.

Na ekranie pojawili się policjanci w kaskach z przyłbicami, uzbrojeni w tarcze i długie pałki. Usiłowali zapanować nad coraz bardziej niesfornym

tłumem, choć żaden z nich nie zadawał ciosów. Po kilku sekundach cały kadr wypełniła karetka pogotowia. Szybko wyskoczyli z niej ludzie w czerwonych uniformach, trzymający nosze. Obraz był coraz bardziej niestabilny, ale widzowi to nie przeszkadzało. Wciąż nie było widać krwi, ani ognia czy dymu, ale on był spokojny.

Było już niemal pewien, że zadanie zostało wykonane.

– Widzicie, tatuś się sprawił – rzucił do zakładników, którzy również jak urzeczzeni wpatrywali się w ekran.

Ale w pewnej chwili spojrzenia całej trójki porwanych przykuło coś zupełnie innego. Oczy kobiety powiększyły się jeszcze bardziej, coś w nich błysnęło. Ledwo dostrzegalnie pokręciła głową. Ale zaraz nią kiwnęła. Jeden raz.

– Nie siedź tak blisko – Wadim Szymt usłyszał głos, którego nie powinien usłyszeć. – Szkoda oczu.

Uśmiech w ułamku sekundy zniknął z jego twarzy. Odwrócił się.

– Co...? Co ty tu robisz? – wydukał.

– Celuję w twój łeb – odpowiedział Duch, podnosząc nieznacznie snajperski karabinek.

– A to? – Wadim wskazał palcem na ekran; sprawiał wrażenie zupełnie zbaraniałego.

– Iluzja.

– Co?

– Iluzja – powtórzył ze spokojem Piotr. – A ściślej mówiąc, materiały szkoleniowe policji i wielu innych, bardzo szlachetnych służb. Nagrane ćwiczenia, jeśli jeszcze tego nie rozumiesz. Oni muszą dużo ćwiczyć, by być skutecznymi. Jest takie stare powiedzenie: im więcej potu na poligonie, tym mniej krwi na prawdziwym polu walki.

Twarz Szymta poczerwieniała, usta zacisnęły się w wąską, siną kreskę.

– Po... poligon? – wykrztusił z największym trudem. – Ale... ale w jaki sposób?

Zakładnicy zaczęli jęczeć, poruszać się niespokojnie na kanapie. Kiedy Piotr dał im sygnał ręką, cała trójka momentalnie się uspokoiła.

– Grunt to mieć dobrego hakera – zaczął. – Ja takiego mam. Znamy się krótko, ale chyba zdążyliśmy się polubić. To właśnie on zebrał bez trudu trochę szkoleniowych filmów, zlepził w całość, a godzinę temu podłączył się do twojego komputera. Aha, uprzedzając twoje pytanie, wcześniej przyniósł ci pizzę. Trafił tu bez trudu, ponieważ w nocy był w pobliżu. Zresztą obaj byliśmy.

– Przecież...

– Siedziałem zamknięty? To prawda, ale do czasu. Kazek Czapla zostawił mi kod do walizki z karabinkiem, ale na kartce znajdował się również kod do skrytki na dworcu. Zadzwoiłem do Bartka, bo tak ma na imię ów haker, którego

spotkałem przypadkowo na chwilę przed uwięzieniem. Uwolnił mnie. Mieliśmy całą noc, by przygotować ten numer.

– A Maksym?

– Leży spokojnie pod schodami w kamienicy, z której dachu miałem strzelać.

– Blefujesz.

– Tak? To włącz telewizję.

Gangster zrobił to. Po chwili na ekranie pojawił się obraz, bardzo podobny do tego z komputera, ale sprzed paru chwil. Marsz prezydencki z okazji narodowego Święta Niepodległości szedł ulicami stolicy. Tylko że nic go nie zakłóciło, nikt nie strzelał do prezydenta.

Zapadła cisza. Przerwały ją dopiero jęki kobiety i dzieci.

– Teraz uwolnisz moją rodzinę – polecił Piotr.

– Nic nie wiesz...

– Wiem już wystarczająco dużo, aby cię zabić. Ale na razie jesteś mi potrzebny. Ruszaj, nie mam czasu na gadanie! Ręce na boki. Bez numerów. Celuję w twoją wątrobę.

Wadim Szymt powoli podniósł się z krzesła. Nie spuszczał wzroku z Piotra. Podeszedł do kanapy. Jako pierwszej zdarł plaster z ust siedzącej najbliższej dziewczynce.

– Mamo – powiedziała tylko mała i zaczęła płakać.

– Nic się nie bój! – zawołał do niej Piotr. – Tata cię obroni. Jesteś bezpieczna.

Dziesięciolatka spojrzała na niego, potem na matkę. Usiłujący zapanować nad targającymi nim emocjami Piotr nie usłyszał otwierających się drzwi, przez które sam kilka chwil wcześniej przeszedł.

– Rzuć broń!

Drgnął. Odchylił w bok rękę z karabinkiem i lekko skręcił szyję. To wystarczyło, by ujrzał celującego w niego nieznajomego człowieka.

Szlag! Przecież wchodząc tu, był pewny, że w domu nie ma nikogo oprócz Szymta i Bartka, który siedział ukryty w łazience z laptopem zdolnym czynić cuda!

– Spokojnie. Schyl się bardzo powoli i połącz giwerę na podłodze – wydawał kolejne polecenia niemłody mężczyzna z niemodnymi wąsami.

Duch wykonał polecenie. Szymt w sekundę dopadł do niego i uderzył pięścią w twarz. Rozległ się krzyk dziewczynki, Piotr upadł na podłogę. Wtedy gangster kopnął go w bok.

– I czyje na wierzchu?! – krzyknął, pochylając się nad leżącym, po czym spojrzał na wybawcę: – Dzięki, pułkowniku.

– Nie ma sprawy. Choć nie jestem jeszcze pułkownikiem i pewnie już nie będę – zaśmiał się major Andrzej Pełczyński, ani na chwilę nie przestając celować

w głowę Piotra. – Zawsze wpięprzałeś się w nie swoje sprawy, Duch. I po co?

Znam go? – pomyślał Piotr, usiłując przyjrzeć się, nawet z tej psiej perspektywy i mimo kół wirujących przed oczami, człowiekowi, który popsuł mu szyki. Zrozumiał, gdy wąsaty wypowiedział następane zdanie:

– Karcz już ci nie pomoże, kapitanie Duch – zaśmiał się Pełczyński, pochylając się nad Piotrem, tak jak chwilę wcześniej uczynił Wadim Szmyt.

Ten kucnął obok leżącego.

– Nie wiem, czy naprawdę straciłeś pamięć, czy to tylko sprytny wybieg – zaczął. – Założmy jednak, że tak jest. Pewnie chciałbyś się dowiedzieć czegoś o sobie, co? Otóż to, że znamy się z więzienia, ze spacerniaka, to tylko część prawdy. Zanim trafiłeś za kratki, któregoś dnia złożyliśmy wizytę w twoim domu. Niestety, nie byłeś wtedy na żadnej misji i nie dałeś się zabić, choć to mniej kłopotliwe, patrząc na nasz wymiar sprawiedliwości. Obroniłeś swoją rodzinę, jak na żołnierza przystało, zabijając własnymi rękami dwóch napastników. Użyłeś do tego orientального kindżału.

Piotr słuchał milczeniu. Po chwili Wadim ciągnął:

– Jednym z ludzi, których zabiłeś, był mój młodszy brat, Aleks. Nie miał nawet dwudziestu lat. Wykrwawił się po tym, jak przeciąłeś mu tętnicę udową. Gdy jakiś czas temu sam trafiłem za kratki z powodów, które są nieistotne dla tej opowieści, i gdy ujrzałem cię na spacerniaku, wiedziałem, że czas zemsty jest bliski. Nie mogłem jednak zrobić tego za murem. Jak już mówiłem, gdy wychodziłeś, dałem ci kartkę z numerem telefonu. Miałeś przyjść, potulny jak baranek. A ja albo ktoś, komu płacę, mieliśmy wyrównać rachunki w najbliższym lesie.

– Czemu więc nie zrobiłeś tego wczoraj?

– Bo wcześniej wpadłem na pomysł, by nieco urozmaicić zabawę. Nie do końca się to udało, ale, jak widać, jesteś u mnie. I pewnie już stąd nie wyjdiesz. Twojego hakera zaraz znajdziemy, a że oni są mocni tylko w sieci, nie będzie stawiał oporu. Jakieś pytania?

– Prośba.

– Słucham.

Piotr spojrział na żonę i dzieci. Uśmiechnął się. Przecież wszystko będzie dobrze...

– Wypuść moją rodzinę. Masz mnie.

– Dokładnie to samo powiedziałeś tamtego dnia – rzekł Szmyt.

Tymczasem Pełczyński zbliżył się do telewizora. Nie pokazywano już demonstracji z okazji dnia odzyskania niepodległości.

– O kurwa! – zaklął, kucając przed odbiornikiem.

Piotr, po raz trzeci w ciągu kilku dni, ujrzał znajomych antyterrorystów. Tym razem prowadzili zakutego w kajdanki człowieka w piaskowej panterce. Po chwili,

w podobnych rolach, wystąpili policjanci. Przebitka z bazy wojskowej, kawałek pustyni.

– Na trop tej bulwersującej afery, w którą zamieszani są nawet wyżsi oficerowie, wpadł Daniel Stefański, korespondent wojenny – poinformował głos z *offu*.

W następnej scenie młody mężczyzna mówił do podstawionego mikrofonu:

– Narkotyki, przede wszystkim heroina, były przewożone w lukach bagażowych samolotów lub po prostu w plecakach żołnierzy. Niektórzy byli zupełnie nieświadomi tego, co przewożą. Proceder trwał z przerwami od wielu lat...

Na ekranie pojawił się starszy mężczyzna. Pasek pod spodem informował, że to prokurator.

– To dopiero początek zatrzymań – mówił. – W tej sprawie podejrzanych jest...

Dalsze słowa zagłuszył huk. Pełczyński runął na ziemię. Pistolet wypadł mu z ręki. Z dziury na skroni na podłogę i ścianę trysnęła krew. Wadim Szmyt złapał się za głowę. Wydawało się, jakby nie rozumiał żadnego ze słów, które dobiegały z głośnika, a obraz śnieżył. Piotr nie mógł nie wykorzystać okazji: szybkim ruchem sięgnął po karabinek i wycelował w bandytę.

W tym samym momencie rozległa się seria huków, tupanie i krzyki:

– Rzuć broń! Na ziemię!

Piotr Duch spokojnie odłożył karabinek i rozłożył szeroko ramiona. Zdążył już nabrać wprawy. Po chwili tuż obok niego leżał powalony na ziemię Wadim. Gangster uśmiechał się.

– Jeszcze się spotkamy, ty gnido – wycedził przez zęby. – Tym razem dostaniesz kosę, choćby i na spacerniku.

* * *

– I pomyśleć, że przez tyle lat robił to wszystko pod moim nosem – westchnął Karcz. – Major Andrzej Pełczyński. Zawsze wierny przysiędze, a zwąchał się z bandytą. Dobrze, że przynajmniej zakończył sprawę honorowo.

– A ja wiem już wszystko – mruknął Piotr.

Bogdan nic nie odpowiedział. Bawił się bilą, tocząc ją po zielonym suknie. Obaj siedzieli na krawędzi stołu bilardowego Szmyta.

– Przepraszam cię, muszę wreszcie porozmawiać z rodziną. – Piotr wstał ze stołu, bo właśnie w drzwiach salonu pokazała się jego żona i dzieci.

Kobieta zauważyła, że się zbliża. Przez jej twarz, twarz dobrze mu przecież znaną od lat, twarz, którą pewnie niezliczoną ilość razy całował i z której zbierał łzy, więc przez tę twarz najmielszą przemknął krótki skurcz. W tym samym momencie do salonu wpadł jakiś blondyn w cywilnym ubraniu. Na jego widok

chłopczyk zawołał:

– Tata!

Mężczyzna porwał chłopczyka w ramiona. Miał łzy oczach.

– Przepraszam – szepnęła do Piotra i podążyła śladem syna.

Duch spoglądał na tę scenę, a minę musiał mieć pewnie taką samą jak Wadim w chwili, gdy o końcu swojej kariery narkotykowego bossa dowiedział się z telewizji.

– Zadzwoń do ciebie, tato – powiedziała dziewczynka i podążyła śladem matki i brata.

Chwilę później cała czwórka opuściła salon.

– Rozwiedliście się z Dorotą na kilka miesięcy przed tym wypadkiem – powiedział pułkownik, który zbliżył się od tyłu do stojącego wciąż jak słup mężczyzny. – Nie mogła znieść ciągłej rozłąki, samotnego wychowywania dziecka, podczas gdy ty wyjeżdżałeś na kolejne misje zagraniczne. Ona chyba nigdy nie pogodziła się z faktem, że wróciłeś do wojska...

– Jak to wróciłem?

– Uczęszczałeś do jednej z takich szkół, o których dzisiaj już mało kto pamięta, a w której chcieli z was zrobić wojaków jeszcze przed osiągnięciem pełnoletności. Było to tuż przed upadkiem komuny. Ale szybko dałeś stamtąd drapak. Przez kilka lat byłeś szczęśliwym nastolatkiem, cywilem. Słuchałeś polskich zespołów, jeździłeś za nimi na festiwale. Nie za bardzo jednak potrafiłeś powiedzieć, co tak naprawdę chcesz robić w dorosłym życiu. Zew okazał się na tyle mocny, że poszedłeś do szkoły oficerskiej...

– I co dalej?

– Pamiętasz bajkę o Piotrusiu Panu?

– Ja przecież nic nie pamiętam – warknął Duch. – I chyba nikt nie opowiadał mi bajek. Aż do dzisiaj...

– Napisano ją ponad sto lat temu – ciągnął niezrażony złośliwością Karcz. – Opowiada o pewnym chłopcu, który nigdy nie chciał dorosnąć. Przewodził grupie Zaginionych Chłopców, z którą przeżywał niebezpieczne przygody. Twoją Nibylandią stała się pustynia, Piotrze. Gdy samolot, w którym siedziałeś, odrywał się od ziemi, znikaly wszystkie kłopoty. Po rozwodzie jeździłeś tam z jeszcze większą ochotą, a gdy Zaginieni Chłopcy, czyli twoi podwładni, wyciągali fotografie bliskich, odwracałeś wzrok. Choć przecież też nosiłeś w kieszeni na sercu takie zdjęcie... Ona szybko znalazła sobie pocieszyciela.

– To jego syn?

– Tak. Któregoś dnia wpadłeś do swojego dawnego mieszkania, wiedząc, że tego mężczyzny tam nie będzie. Chciałeś zabrać jakieś drobiazgi, ale wtedy okazało się, że ludzie Szmyta czekają tam na ciebie. Chcieli się zemścić za to, co zrobiłeś...

– Co zrobiłem? Czego się jeszcze, kurwa, dowiem?! – Piotr nie zapanował nad nerwami.

– Puściłeś z dymem cały transport opiatów, z których mieli wyprodukować towar, a tym zalać pół kraju. Przypadkowo wpadłeś na trop grubej afery; ale w przeciwieństwie do tego chłopaka, dziennikarza, którego robotę widzieliśmy przed chwilą w telewizji, postanowiłeś sam załatwić sprawę. Zawsze taki byłeś, niecierpliwy, trochę raptus. Z dymem poszło kilkanaście kilogramów proszku. Nawet nie chce mi się liczyć, ile to setek tysięcy euro...

– I za to chcieli mnie zabić?

– Tak. Potrafią i za mniej, uwierz mi. Ale nie dałeś się. Raniłeś śmiertelnie dwóch napastników. Ocaliłeś rodzinę, bo im pewnie też by nie darowali. Prokurator był jednak wyjątkowo wredny. Nazywa się to przekroczenie obrony koniecznej. Dostałeś dziesięć lat...

Piotr sapnął głośno, przewrócił oczami. Zrobił kilka kroków w stronę wyjścia, ale zawrócił.

– Na szczęście wymyślono coś takiego jak amnestia – powiedział, uważnie wpatrując się w twarz Karcza, jakby chciał w niej coś wyczytać. – Zauważyłeś, że to bardzo podobne słowo do „amnezja”? To zresztą nieważne. Teraz dopiero zacznę prawdziwe życie. Nie zmarnuję ani jednego dnia. Ani jednego! Może nawet się zakocham, ożenię jeszcze raz. Jest taka jedna...

Bogdan opuścił głowę.

– Jak tam twój zegarek? – zapytał po chwili.

Piotr spojrzał na nadgarstek.

– Stoper się zatrzymał, jeszcze wtedy, gdy leżałem na dachu. Same zera. Ciekawe, co to może oznaczać. Jak na razie nic nie wybuchło...

Karcz już otwierał usta, ale w tej samej chwili do salonu weszło dwóch policjantów.

– Piotr Duch? – zapytał jeden z nich.

– Tak. O co chodzi?

– Dwie godziny temu przekroczył pan termin przepustki.

– Jakiej przepustki?

– Minęło pięćset jeden godzin. Nie zauważył pan? Po przekroczeniu granicy pięciuset godzin w urządzeniu włącza się alarm.

Piotr spojrzał na zegarek, na kilka nieruchomych prostokątów zer. Niczego nie słyszał.

– Ale przecież amnestia... – jęknął z rozpaczą.

– Ciebie nie objęła – rzekł cicho Karcz. – To była tylko przepustka. Mieliśmy ci pomóc jako fundacja przez ten czas. Różne rzeczy ludziom przychodzą do głowy, kiedy wyjdą na powietrze. Ale nie wiedzieliśmy, jak ci to powiedzieć. Nigdy nie mieliśmy przypadku, żeby ktoś stracił pamięć...

– System namierzania, który się uruchomił, doprowadził nas do pana – rzekł drugi z funkcjonariuszy. – Dopiero go testujemy, ale zadziałał znakomicie. W tej chwili jest pan spóźniony. Za dwie godziny pana status zmieni się w ucieczkę. Mamy pana jak najszybciej przewieźć do zakładu karnego w P.

– Proszę z nami. – Pierwszy z policjantów zabrzączał odpiętymi od pasa kajdankami.

– Myślę, że to nie będzie konieczne – zaproponował pułkownik. – Byłem jego dowódcą i biorę za niego pełną odpowiedzialność.

Ruszyli ku wyjściu. Na podjeździe przed posiadłością Wadima Szmyta czekała karetka pogotowia. Dwóch młodych chłopaków właśnie coś do niej ładowało na noszach. Obok stała więźniarka. W chwili, gdy jeden z mundurowych otwierał drzwi przed Piotrem, na podwórko wjechał osobowy samochód. Zatrzymał się, wyskoczyła z niego młoda kobieta. Duch, wciąż oszołomiony, nie od razu ją poznał.

– Dokąd go zabierają? – zapytała Ewa pułkownika Karcza.

– Przecież pani wie – odparł Karcz. – Do więzienia. Tam, skąd wyszedł. Od wczoraj nic się nie zmieniło. Przed nim jeszcze połowa kary...

Dziewczyna zbliżyła się do drzwi więźniarki. Dalszą drogę zagroził jej policjant.

– Proszę nie podchodzić.

– Jestem jego adwokatem – powiedziała głośno i dobitnie.

Piotr zniknął we wnętrzu samochodu. Huknęły zamykane drzwi, chrupnął krótko zamek. Wtedy Ewa podeszła bliżej, dotknęła zimnej, okratowanej szyby.

– Wyciągnę cię z tego, słyszysz?! – zawołała. – Przeglądałam twoje dokumenty z dochodzenia i procesu. Znalazłam dużo nieścisłości. Trzymaj się...

Ostatnie słowa wygłuszył uruchomiony silnik. Dopiero wtedy Piotr wstał z ławki i zbliżył się do okienka.

– Czekaj na mnie. Czekaj! – jego słowa odbiły się od niskiego sufitu.

Więźniarka ruszyła. Piotr Duch wpił się palcami w druciane okna, chroniące szybę przed wybiciem, co uratowało go przez pewnym upadkiem. Sylwetka stojącej bez ruchu Ewy malała, by po chwili zniknąć, gdy samochód wjechał w zakręt. Z nieba padał pierwszy śnieg.

W SERII „LITERATURA Z POCISKIEM” UKAZAŁY SIĘ:

BEZSENNOŚĆ

Monika Siuda



Gdy śni ci się zawsze ten sam sen... sen, który mimo że nie jest typowym koszmarem, nie pozwala ci spać, wrywając nawet z najgłębszego snu... sen, który zaczyna rządzić całym twoim życiem. Gdzie szukałbyś pomocy? Jak próbowałbyś go wyjaśnić? Czy potrafiłbyś przewidzieć, do czego doprowadzi próba jego wyjaśnienia? Czy umiałbyś domyślić się, do jakiego miejsca cię zaprowadzi? A może odpowiedź na te pytania nie jest tak oczywista, jak moglibyśmy się spodziewać? Może to, co uważamy za wytwór naszej podświadomości, ma znacznie większe znaczenie, niż moglibyśmy się spodziewać?

Monika Siuda (ur. w 1980 r.) pochodzi ze Złocieńca. W 2013 r. zadebiutowała powieścią „Tajemnica Niny”. W 2014 r. ukazał się pierwszy kryminał Siudy, „Dwudziesta szósta ofiara”, stanowiący pierwszą część z cyklu powieści o detektywie Tomaszu. Kolejną książką z tej serii było „Wyznanie Agaty”, z 2015 r. i „Uprowadzone” z 2016 r.

DZIEWCZYNY, KTÓRE MIAŁ NA MYŚLI

Kazimierz Kyrzcz JR.



Wzasnutym smogiem Krakowie grasuje seryjny morderca prostytutek. Sebastian Bednarski, przyłoczony problemami osobistymi policjant, próbuje rozwikłać zagadkową sprawę. W tym samym czasie pewien witrażysta natyka się w Lasku Wolskim na zwłoki młodej samobójczyni, a jego życie komplikuje się, gdy poznaje atrakcyjną, neurotyczną malarkę. Losy obcych sobie ludzi zaczynają się splatać w zaskakujący sposób...

„W brawurowo poprowadzonej fabule Kazimierz Kyrzcz nie sili się na retusz i aplikowanie znieczulenia czytelnikowi. Lektura uświadamia nam prędko, że motywy prowadzące ku zbrodni towarzyszą każdemu z nas. Nie każdy przekracza niewidzialną granicę. A czasem nie spostrzega, kiedy ją przekroczył...”

JACEK SKOWROŃSKI

„Kraków w wersji Kyrzcza staje się miastem zaludnionym przez dziwaków, ekscentryków, psychopatów, manipulatorów – wymieniać można jeszcze długo... Nikt tu nie jest niewinny, za to każdy ma do ukrycia – lub i odkrycia – mroczną stronę swojej osobowości. „

KSENIA OLKUSZ

„Można polecić tę pozycję z czystym sumieniem nie tylko miłośnikom kryminałów i opowieści mrozących krew w żyłach. "Dziewczyny, które miał na myśli" to pozycja świetnie napisana, trzymająca w napięciu, skrząca się wartką akcją i błyskotliwymi dialogami, choć jednocześnie skłaniająca do refleksji nad naturą człowieka i kondycją społeczeństwa.”

RAFAŁ DĘBSKI

Kazimierz Kyrzcz jr., oficer krakowskiej Policji. W 2004 roku ukazał się zbiór opowiadań grozy „Piknik w piekle”, który napisał z Dawidem Kainem. Dwa lata później na księgarskich półkach pojawiła się jego kontynuacja „Horrorarium”. Ukoronowaniem tej współpracy był zbiór „Chory, chorszy, trup”. Jego opowiadania znalazły się w licznych antologiach, m.in.: Księga strachu, Pokój do wynajęcia, Białe szepty, Czarna kokarda, City 1 i 2, 15 blizn. Współpraca z Robertem Cichowlasem zaowocowała zbiorem opowiadań „Twarzem szatana” oraz powieściami: „Siedlisko”, „Koszmar na miarę” i „Efemeryda”. Ponadto razem z Łukaszem Radeckim opublikował zbiór opowiadań „Lek na lęk”. W 2009 roku na podstawie opowiadania, które napisał z Łukaszem Śmigłem, powstał anglojęzyczny film krótkometrażowy „Head to Love” wyreżyserowany przez Vana Kassabiana.

Redakcja i korekta
Judyta Wajszczak

Projekt graficzny okładki, skład i łamanie
Agnieszka Kielak

Fotografia na okładce
fotolia.com

© Copyright by POCISK magazyn literacko-kryminalny, Warszawa 2017
© Copyright by Krzysztof Beśka, Warszawa 2017

Wydanie pierwsze
ISBN: 978-83-63842-62-8

Wydawca
POCISK magazyn literacko-kryminalny
Imprint wydawnictwa Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.
ul. Borowskiego 2 lok. 205
03-475 Warszawa
tel. 22 115 77 59
redakcja@magazynpocisk.pl
www.magazynpocisk.pl

Dystrybucja:
Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o. Sp. j.
05-850 Ożarów Mazowiecki
ul. Poznańska 91
e-mail: hurt@olesiejuk.pl
tel. 22 733-50-10
www.olesiejuk.pl

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

